

M A R C U S   S A K E Y

# LEPSZY ŚWIAT

„TRZYMA CZYTELNIKA ZA GARDŁO DO OSTATNIEJ SEKUNDY NIEUCHRONNEGO,  
NIEWYOBRAŻALNEGO PRZEZNACZENIA, BY ZARAZ POTEM WCIĄGAĆ GO JESZCZE BARDZIEJ...”

PUBLISHERS WEEKLY



Tego autora polecamy również

**DWUKROTNA ŚMIERĆ DANIELA HAYESA**

**NIEBEZPIECZNY DAR**

M A R C U S   S A K E Y

# LEPSZY ŚWIAT

**Przełożyli**  
**Anna Krochmal i Robert Kędzierski**



**DOM WYDAWNICZY REBIS**

*Mojemu ojcu,  
który pokazał mi,  
co to znaczy być mężczyzną*

Zimny płyn rozpryskujący się na twarzy ocucił Kevina Temple'a.

Jechał przez całą noc, trasa na zamówienie z Indiany z ładunkiem świeżych warzyw. Piętnaście minut po tym, jak opuścił magazyn w Cleveland, zaczął odczuwać mdłości, skutek zbyt dużych ilości kawy i suszonej wołowiny. Tak naprawdę miałby ochotę na podwójnego cheeseburgera, ale choć to normalne, że tirowiec zaczyna dorabiać się brzucha, był dumny z tego, że wieku trzydziestu dziewięciu lat ważył jedynie niespełna pięć kilogramów więcej niż w szkole średniej.

Gdy za nim w ciemności pojawiły się światła policyjne, podskoczył i zaklął. Pewnie się rozkojarzył, za mocno przycisnął pedał gazu – ale nie, prędkościomierz wskazywał sto kilometrów na godzinę. Był zmęczony, ale nie aż tak, by zjechać ze swojego pasa. Zepsute tylne światła? Było po czwartej rano; może gliniarze po prostu się nudzili.

Kevin zjechał na pobocze. Ziewnął, przeciągnął się, po czym włączył światło w kabinie i opuścił okno. Został tydzień do Święta Dziękczynienia, powietrze było przyjemne.

Policjant ze stanowej był w średnim wieku, szczupły, miał w sobie coś z wilka. Jego mundur był wykrochmalony, a czapka przysłaniała oczy.

– Wie pan, dlaczego pana zatrzymałem?

– Nie, sir.

– Proszę wysiąść z kabiny.

Musiało chodzić o zepsute tylne światło. Niektórzy gliniarze lubili się z tego powodu wyzywać na kierowcy. Kevin wysunął prawo jazdy z portfela, chwycił kartę przewozową i dowód rejestracyjny, otworzył drzwi i wysiadł. Do pierwszego policjanta dołączył drugi.

– Proszę trzymać ręce tak, żebym je widział.

– Jasne – odparł Kevin. Uniósł w ręce papiery. – O co chodzi, panie władzo?

Policjant wziął prawo jazdy, włączył latarkę.

– Pan... Temple.

– Tak, sir.

– Jedzie pan do Cleveland?

– Ta, sir.

– Jeździ pan regularnie na tej trasie?

– Dwa, trzy razy w tygodniu.

– Jest pan porąbanicem?

– Że co?

Policjant powtórzył:

– Jest pan odmiercem?

– Co pan... Co to pana obchodzi?

– Proszę po prostu odpowiedzieć na pytanie. Jest pan odmiercem?

To była jedna z tych chwil, gdy wiedział, co powinien zrobić w idealnym świecie. Powinien odmówić odpowiedzi. Powinien wygłosić mowę o tym, że to pytanie narusza jego prawa obywatelskie. Powinien powiedzieć temu fanatycznemu gliniarzu, żeby zamknął swój kretyński ryj i nie wycierał go sobie takimi słowami jak „porąbaniec”.

Była jednak czwarta rano, droga była pusta, a on był zmęczony i czasem to, na co człowiek miał ochotę, tłumilo to, co powinien zrobić. Postanowił więc przestać na trochę zadziornym tonie i odparł:

– Nie, nie jestem obdarzony.

Policjant wpatrywał się w niego przez chwilę, potem zaświecił mu w oczy. Kevin skrzywił się, zmrugał powieki i rzucił:

– Hej, co jest?! Nic nie widzę.

– Wiem

Kątem oka wychwycił jakiś ruch, drugi gliniarz uniósł jakieś urządzenie, z którego popłynęło elektryczne, błękitne światło, a potem trafiło go prosto w pierś. Wszystkie mięśnie natychmiast się napięły, usłyszał coś jakby krzyk, który wydobywał się z jego własnych ust, przed oczami zabłyśły gwiazdy, a szpony wbiły się w zębra.

Gdy ból wreszcie minął, osunął się na ziemię. Myśli się nie kleiły, usiłował pojąć, co się właśnie stało. Ziemia była zimna. I poruszała się. Nie, to on się poruszał; ciągnęli go. Ręce miał za plecami, czymś je skrępowano.

Potem poczuł płyn na twarzy. Zimno sprawiło, że wciągnął powietrze i część tego płynu poczuł też w ustach. Smakował paskudnie. Gryząca, chemiczna ciecz, której nigdy nie smakował, ale tysiące razy czuł jej zapach, i to wtedy przez resztki bólu przebiła się panika, bo leżał skutny na poboczu drogi i ktoś oblewał go benzyną.

– O Boże, proszę, proszę, nie... Proszę...

– Szsz. – Policjant o wilczym spojrzeniu przykucnął obok niego. Jego partner przechylił kanister i cofnął się o krok, rozlewając benzynę na ziemi. – Teraz bądź cicho.

– Proszę, panie władzo, proszę...

– Nie jestem gliniarzem, panie Temple. Jestem... – zawahał się – chyba można powiedzieć, że jestem żołnierzem. Z armii Darwina.

– Zrobię, co tylko chcecie, mam trochę pieniędzy, bierzcie wszystko...

– Bądź cicho, dobrze? Po prostu słuchaj. – Głos mężczyzny był stanowczy, ale nie ostry. – Słuchasz?

Kevin gorączkowo pokiwał głową. Opary benzyny były wszędzie, wdzierały się do nosa, gryzły woczy, czuł ją na twarzy i na dłoniach.

– Chcę, żebyś wiedział, że to nie dlatego, że jesteś normalny. I naprawdę mi przykro, że musimy

zrobić to w ten sposób. Ale na wojnie nie istnieje coś takiego jak niewinny obserwator. – Przez chwilę wydawało się, jakby chciał dodać coś jeszcze, ale potem po prostu wstał.

Kevina ogarnął strach w najczystszej postaci, przeszył go na wskroś. Chciał krzyczeć, błagać, wrzeszczeć, uciekać, ale nie mógł znaleźć słów, zęby mu szczękały, ręce były skrępowane, a nogi jak z gumy.

– Jeśli to cię może w jakiś sposób pocieszyć, wiedz, że teraz jesteś elementem czegoś większego. Nieodzowną częścią planu. – Żołnierz potarł zapalkę o pudełko, raz, drugi. Zapaliła się. Jasnożółty płomień odbijał się w jego oczach. – To tak zbudujemy lepszy świat.

A potem upuścił zapalkę.

## **TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ**



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Z szeroko rozłożonymi rękami i pustymi dłońmi, a ż nazbyt świadomy tego, z ilu broni w niego mierzono, Cooper myślał o wszystkim, co nie poszło zgodnie z planem.

To był gorączkowy miesiąc. Gorączkowy rok. Połowę z niego spędził, działając pod przykrywką, z dala od dzieci, ścigając najbardziej poszukiwanego człowieka w Ameryce. Jednak gdy już odnalazł Johna Smitha, odkrył, że wszystko, w co wierzył, zbudowano na kłamstwach. Że agencja, dla której pracował, nie była po prostu tajna – była skorumpowana i w rękach człowieka, który podzegał do wojny dla własnego zysku.

Konsekwencje tego odkrycia były krwawe i dramatyczne – zwłaszcza dla jego szefa. A w kolejnych tygodniach Cooper sprzątał ten bałagan i na nowo budował więź ze swoimi dziećmi.

Dzisiaj jednak miało być spokojnie. Jego była żona, Natalie, zabierała dzieci do swojej matki. Cooper nie miał żadnych spotkań, niczego, o co musiałby zadbać, i w tej chwili nie miał nic do roboty. Zamierzał pójść na siłownię, potem na lunch. Później może jakaś kawiarnia, popołudnie spędzone na czytaniu książki. Chciał zjeść kolację, otworzyć butelkę burbona, czytać i popijać aż do zaśnięcia. Przespać dziesięć godzin, tylko dlatego, żeby poczuć, jaki to luksus.

Udało mu się dotrzeć do lunchu.

To był mały arabski lokal, jego ulubiony – kanapka, zupa z soczewicy i falafel. Siedział na stołku przy frontowym oknie, od sztućców odbijało się słabe listopadowe słońce. Wlewał akurat do zupy pikantny sos, gdy uświadomił sobie, że nie jest sam.

Stało się to ot tak, po prostu. W jednej chwili krzesło naprzeciw było wolne, w następnej już na nim siedziała. Jakby zmaterializowała się z promieni słońca.

Shannon dobrze wyglądała. Nie w tym sensie, że była sprawna i zdrowa, raczej chodziło o to, że na jej widok mężczyźni przychodzili do głowy różne myśli. Dopasowana czarna bluzeczka bez rękawów, kosmyki włosów wsunięte za uszy, usta wykrzywione w półuśmiechu.

– Cześć – rzuciła. – Tęskniłeś za mną?

Oparł się wygodnie i przyjrzał jej.

– Wiesz, kiedy zapraszałem cię na randkę, myślałem, że to ma być wkrótce. A nie miesiąc

później.

– Miałam parę spraw do załatwienia.

Cooper czytał ją, nie tylko słowa, ale też subtelne napięcie mięśni czworobocznych i to, że chciała zerknąć w bok, ale tego nie zrobiła. Czujność, z jaką rozglądała się po pomieszczeniu. *Wciąż jest żołnierzem i nie jest pewna, czy stoi z tej samej strony.* To było fair. Sam nie był tego pewien.

– No dobra.

– Nie chodzi o to, że nie ufam...

– Rozumiem.

– Dzięki.

– Ale teraz jesteś tutaj.

– Teraz jestem tutaj. – Pochyliła się i sięgnęła po połowę jego kanapki. – No dobrze, Nick. To co dziś robimy?

Odpowiedź, jak się okazało, była oczywista dla nich obojga, i spędzili popołudnie, strącając zdjęcia ze ścian w jego mieszkaniu. To było zabawne; kochali się dopiero po raz drugi – i trzeci, i pół czwartego – ale czuli nieskrępowaną swobodę, jaka zwykle wymagała długiego, zażyłego związku. Może dlatego, że myślał o niej przez cały miesiąc, czekał, aż znowu się zjawi, i to było trochę tak, jakby byli razem.

A może po prostu dlatego, że w ich związku i tak było już dość komplikacji. On był obdarzonym, który dotychczas przez całą karierę polował – na zlecenie rządu – na innych obdarzonych. Ona była rewolucjonistką, której metody graniczyły z terroryzmem. Do diabła, tego dnia, gdy się poznali, trzymała go na muszce. I wtedy to nie był ostatni raz.

*Z drugiej strony, ocaliła też życie twoim dzieciom i pomogła ci obalić prezydenta.*

Jako jeden z najlepszych agentów Departamentu Analiz i Reagowania Cooper zrobił karierę, przechwytyując terrorystów, zazwyczaj zanim doszło do ataku. Jednak ten, który ciągle mu umykał – i umykał całemu krajowi – był również najniebezpieczniejszy. John Smith był charyzmatycznym przywódcą i mistrzem strategii. Uważano również, że odpowiadał za rzeź wielu niewinnych ludzi.

Po wyjątkowo przerażającym zamachu na Manhattanie, który pochłonął ponad tysiąc ofiar, Cooper musiał działać w ukryciu, by odnaleźć Smitha. To w tamtym okresie przecięły się drogi jego i Shannon; z początku byli śmiertelnymi wrogami, potem niechętnymi sobie towarzyszami, aż wreszcie stali się kochankami. Gdy jednak Cooper wreszcie namierzył Smitha, ten otworzył mu oczy na przerażającą prawdę: prawdziwym potworem był mentor Coopera, Drew Peters. Dowód stanowiło nagranie, na którym Peters i prezydent Stanów Zjednoczonych planują masakrę w popularnej restauracji na Wzgórzu Kapitolu. Był to manewr polityczny, sposób, by spolaryzować kraj i dać rządowi więcej władzy. Zrzucając odpowiedzialność za ten zamach na terrorystów obdarzonych specjalnymi zdolnościami, Peters i jemu podobni zdobyli ogromną władzę,

która pozwalała im kontrolować, a nawet eliminować „odmieńców”.

A kosztowało to życie tylko siedemdziesięciu trzech niewinnych osób, w tym sześciorga dzieci.

Gdy Cooper odkrył prawdę, Drew Peters porwał jego dzieci i byłą żonę. Shannon pomogła mu ich uratować. Nie miał absolutnie żadnych wątpliwości, że gdyby nie ona, jego dzieci byłyby już martwe.

A więc tak, to było skomplikowane. On i Shannon byli jak te nakładające się na siebie okręgi na diagramach. Niektóre ich części mogły na zawsze pozostać tajemnicą, ale to, co nakładało się na siebie: o rany!

W każdym razie seks był świetny, prysznic był świetny, seks pod prysznicem był świetny. Rozmowa też była swobodna. Opowiedziała mu, co robiła w ostatnim miesiącu: o czasie spędzonym w Nowym Kanaan, enklawie w Wyomingu, gdzie obdarzeni próbowali stworzyć nowy świat. O panujących tam nastrojach, o tym, że ludzie zaczęli się martwić. Rozmawiali o znakowaniu, które miało się rozpocząć następnego lata – o rządowym planie, by wszczepiać urządzenia namierzające w tętnicę każdego obdarzonego mieszkającego w Stanach Zjednoczonych. Począwszy od tych ze zdolnościami pierwszego poziomu, takich jak Shannon. Takich jak on sam.

Jak wiadomo, fenomen obdarzonych rozpoczął się na początku lat osiemdziesiątych, lecz został wykryty dopiero w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku, kiedy to naukowe badania ujawniły, że z niewyjaśnionych przyczyn jeden procent wszystkich dzieci rodzi się jako „odmieńcy” posiadający zdolności sawantów. Zdolności te przejawiały się na różne sposoby; większość była imponująca, lecz niegroźna – jak umiejętność mnożenia wielkich liczb albo idealnego zagrania utworu, który słyszało się tylko raz.

Zdolności innych „odmieńców” mogły wstrząsnąć całym światem. Tak jak to było w przypadku Johna Smitha, którego talent strategiczny pozwolił mu pokonać trzech mistrzów szachowych równocześnie – i to w wieku czternastu lat.

Podobnie było z Erikiem Epsteinem, którego umiejętność analizowania danych przyniosła mu majątek w wysokości trzystu miliardów dolarów i wstrząsnęła globalnymi rynkami finansowymi.

I podobnie jak z Shannon, która potrafiła wyczuwać wektory w otaczającym ją świecie, dzięki czemu poruszała się niezauważona – była po prostu tam, gdzie nikt nie patrzył.

Zdolność Coopera polegała na rozpoznawaniu wzorców u ludzi. Było to coś w rodzaju wyostrzonej intuicji. Potrafił odczytywać mowę ciała, a dzięki ruchom położonych pod skórą mięśni wiedział, co dana osoba może za chwilę zrobić. Potrafił obejrzyć mieszkanie swojego celu i na podstawie książek, sposobu, w jaki ten człowiek segregował rzeczy w szafach, oraz tego, co trzymał na stoliku przy łóżku, wyczuwał, gdzie spróbuje uciec. Dzięki temu Cooper był doskonałym łowcą, ale miało to pewną cenę. Rzeczy, które widział, dręczyły go. Istniała pewna ironia w byciu elitarnym żołnierzem, który desperacko pragnie zapobiec wojnie.

*Nie jesteś już żołnierzem. I to nie twoja wojna.*

Tę mantrę powtarzał sobie od miesiąca. Jednak powtarzanie jej nie sprawiało, by stawało się to faktem.

– Przesłuchiwali cię? – Leżeli na sofie pod kocem, nadzy i zmęczeni. Shannon oparła głowę na jego ramieniu i bawiła się włosami na jego piersi. – Twoja dawna agencja?

– Tak.

– Co im powiedziałaś o Petersie?

– Nie pytali.

– Poważnie? Dyrektor DAR spada z dwunastopiętrowego budynku, a oni nie chcą grzebać w przeszłości?

– Na pewno wiedzieli, że to ja. Ale Quinn się tym zajął. – Tamtej nocy dawny partner Coopera był trzecim członkiem zespołu. Przejął centrum ochrony w budynku i zatarł wszelkie ślady ich obecności. – Gdyby istniały oczywiste dowody, nie mieliby wyboru. Ale bez tego woleli uniknąć skandalu. Zaproponowali mi nawet moją dawną robotę. – Wyczuł, że ciało Shannon się napięło. – Wyluzuj. Odmówiłem.

– Czyli jesteś bezrobotny?

– Nazywamy to przejściem w stan spoczynku. Technicznie rzecz biorąc, wciąż jestem rządowym agentem, ale zrobiłem już dość dla Boga i ojczyzny. Potrzebuję czasu, żeby sobie poukładać różne sprawy.

Shannon kiwnęła głową. Zdolność Coopera, która nigdy nie przestawała działać i nigdy nie znajdowała się całkowicie pod jego kontrolą, nasunęła mu pewną myśl. *Ona chce mnie o coś zapytać. Ma jakiś plan. Nie chodzi tylko o to, co robimy.*

Jednak gdy się odezwała, spytała tylko:

– Jak tam twoje dzieci?

– Świetnie. Miały przez jakiś czas koszmary, ale są takie silne. Wydaje mi się, że mamy to już za sobą. Kate przerabia fazę nudyizmu, ciągle się rozbiera, a potem gania po domu i chichocze. A Todd postanowił, że kiedy dorośnie, chce być prezydentem. Mówi, że skoro ostatni robił takie rzeczy, potrzebujemy lepszego.

– Ma mój głos.

– Mój też.

– A Natalie? – spytała, aż nazbyt swobodnie.

– W porządku. – Cooper dobrze wiedział, że nie należy rozwijać tego tematu.

Później poszli na spacer. Magiczna godzina, słońce już zachodziło i światło zdawało się dobiegać ze wszystkich stron równocześnie. Jesień była łagodna, drzewa pyszniły się feerią barw, a liście zaczęły opadać dopiero w ubiegłym tygodniu. Piękna pogoda, liście szeleszczące pod stopami,

zarumienione policzki i ciepła dłoń w jego ręce. Waszyngton jesienią. Czy istniało coś lepszego? Przechadzali się The Mall, minęli staw przed pomnikiem Lincolna.

– No to na jak długo zostajesz?

– Nie jestem pewna – odparła. – Może na jakiś czas.

– I co będziesz robić?

– Różne rzeczy.

– Ach, znowu różne rzeczy.

– Robi się coraz gorzej, Cooper. Ta wojna, którą się zawsze martwiłeś, jeszcze nigdy nie była tak blisko. Większość ludzi, normalnych i obdarzonych, chce po prostu jakoś żyć. Ale ekstremiści zmuszają ich wszystkich, by wybrali którąś ze stron. Wiesz, że w Liberii zaczęli porzucać noworodki ze znamionami? Uważają, że to znak obdarzonych, więc po prostu je porzucają. W Meksyku obdarzeni przejęli kartele i wykorzystują je przeciwko rządowi. Prywatne armie dowodzone przez uzdolnionych bandziorów i finansowane pieniędzmi z narkotyków.

– Oglądam wiadomości, Shannon.

– Nie wspominając już nawet o tym, że w całej Ameryce pojawiają się prawicowe organizacje paramilitarne. Taka powtórka z Ku-Klux-Klanu. W zeszłym tygodniu w Oklahomie banda normalnych porwała obdarzonego, przywiązała go do pick-upa i ciągnęła po polu. Wiesz, ile mieli lat?

– Szesnaście.

– Szesnaście. Zamachy w szkołach w Georgii. Mikrochipy wszczepiane ludziom w gardła. Senatorowie gadający w CNN o rozbudowywaniu akademii i wysyłaniu do nich dzieci z talentami drugiego, a nawet trzeciego poziomu.

Odwrócił się, podszedł do parkowej ławeczki i usiadł. Filary pomnika Lincolna lśniły białą w świetle reflektorów, na schodach wciąż roilo się od turystów. Z tej odległości nie widział posągu, ale potrafił go sobie wyobrazić. Uczciwy Abe pogrążony w myślach, rozpamiętujący sprawy, które mogły zniweczyć jego unię.

– Cooper, mówię poważnie.

– Szkoda.

– A dlaczego?

– Liczyłem na to, że przyjechałaś się ze mną spotkać.

Shannon otworzyła usta. Zamknęła je.

– No to czego chce John? – spytał Cooper.

– Skąd...

– Masz rozszerzone źrenice, to świadczy o skupieniu, i zerknąłeś w lewo, to są wspomnienia. Twój puls przyspieszył o dziesięć uderzeń na minutę. I wymieniałś najgorsze okropności, to akurat

było proste, ale zrobiłaś to w porządku geograficznym, od tych, które wydarzyły się najdalej, do tych najbliższych, a coś takiego raczej nie wydarza się przypadkiem. I nazwałaś mnie Cooper zamiast Nick.

– Ja...

– Cały ten argument był wykuty na pamięć. A to znaczy, że chcesz mnie do czegoś przekonać. Czyli on chce mnie do czegoś przekonać. No to mów, o co chodzi.

Shannon wpatrywała się w Nicka, zagryzła wargę. Potem przysiadła obok niego na ławce.

– Przykro mi. Naprawdę przyjechałam do ciebie. To była osobna sprawa.

– Wiem. Tak właśnie postępuje John Smith. Ubiera swoje cele w plany, a plany owija w spiski. Rozumiem to. Czego chce?

Odpowiedziała, nie patrząc na niego:

– Odkąd został oczyszczony z zarzutów, sytuacja się zmieniła. Wiesz, że napisał książkę?

– *Jestem John Smith*. Naprawdę włożył w ten tytuł całe serce.

– Teraz jest osobą publiczną, prowadzi wykłady i rozmawia z mediami.

– Tak. – Cooper potarł nos. – I to ma coś wspólnego ze mną?

– Chce, żebyś się do niego przyłączył. Pomyśl, jakie by to było przekonujące. Smith i człowiek, który kiedyś na niego polował, współpracują ze sobą, żeby zmienić świat.

Cooper zapatrzył się przed siebie, w zapadającą ciemność, w ludzi wspinających się po stopniach pomnika. Był dostępny dwadzieścia cztery godziny na dobę, co Cooperowi zawsze wydawało się wzruszające.

– Wiem, że mu nie ufasz – powiedziała łagodnie. – Ale wiesz też, że jest niewinny. Ty to udowodniłeś.

Nie chodziło też tylko o Lincolna. Martin Luther King stał kiedyś na tych stopniach i mówił światu o swoim marzeniu. A teraz mógł przyjść tu każdy, o każdej porze, od arystokracji aż po tego faceta opróżniającego kosz...

*Śmieciarz sztywno się porusza. Ma krótkie włosy, jak u ludzi z agencji, i już bardzo długo opróżnia ten kosz.*

*Robiąc to, patrzy uszędzie, tylko nie na prawo... gdzie jakiś biznesmen rozmawia przez komórkę. Komórkę z ciemnym wysłuietlaczem. Biznesmen, któremu wystaje coś pod ręką.*

*A ten dźwięk, który słyszysz, to obroty mocnego silnika. Z trubodoładowniem.*

*...i wszyscy są mile widziani.*

Cooper odwrócił się do Shannon.

– Po pierwsze, John jest tak niewinny jak Czyngis-chan. Może nie zrobił rzeczy, które mu zarzucano, ale po łokcie jest ubrudzony krwią. A po drugie, zmywaj się stąd.

Była profesjonalistką i nie wykonała żadnego gwałtownego ruchu, spoglądała tylko wokół, jakby

podziwiała widok. Wychwycił, że lekko się spięła, gdy wypatrzyła śmieciarza.

– Jesteśmy lepsi razem.

– Nie – odparł. – Nadal jestem rządowym agentem. Nic mi nie będzie. Ty jesteś poszukiwanym przestępcą. Zrób to, co potrafisz najlepiej. Przejdź przez ściany.

Dźwięk silników był coraz głośniejszy, dochodził teraz z różnych kierunków. Najprawdopodobniej SUV-y. Zerknął przez ramię, odwrócił się.

– Słuchaj, mówię poważnie...

Shannon zniknęła.

Cooper się uśmiechnął, pokręcił głową. Ta sztuczka nigdy się nie zestarzeje.

Wstał, zdjął kurtkę, wyjął z kieszeni portfel, odłożył wszystko na ziemię. Potem cofnął się, rozłożył ręce. Niczego w nich nie miał.

Byli dobrzy. Cztery czarne escalade z przyciemnianymi szybami zajęły równocześnie z czterech stron. Zupełnie jakby wyreżyserował to Busby Berkeley. Drzwi się otworzyły i z wozów z choreograficzną precyzją wyskoczyli ludzie, oparli się o maski z bronią automatyczną w rękach. Było ich co najmniej dwudziestu, zajęli pozycje z czystą linią strzału.

Dobra wiadomość była taka, że ta ekipa była do tego stopnia profesjonalna i działała w tak nieskrępowany sposób, że niemal na pewno byli to agenci rządowi. Złą wiadomością natomiast było, że wielu ludzi z rządu pragnęło śmierci Coopera.

*No cóż.* Z rękami wyciągniętymi na boki krzyknął:

– Nazywam się Nick Cooper. Jestem agentem Departamentu Analiz i Reagowania. Nie mam broni. Moja odznaka jest w portfelu na ziemi.

Z tylnych drzwi jednego z SUV-ów wysiadł mężczyzna w jakimś garniturze. Wszedł między otaczających go ludzi, a wtedy Cooper wyczuł, że lufy się obracają, by pokryć inne kierunki.

– Wiemy, kim pan jest, sir. – Agent schylił się, podniósł portfel i kurtkę Coopera i oddał mu je. Potem rzucił krótko tonem, jakim zwykle mówiło się do mikrofonu: – Teren zabezpieczony.

Limuzyna zatoczyła krąg i zbliżyła się do nich. Wjechała na krawężnik, wtoczyła się między dwa SUV-y i zatrzymała przed nimi. Agent otworzył drzwi.

Cooper w myślach wrzucił ramionami i wszedł do środka. W samochodzie pachniało skórą. Siedziały w nim dwie osoby. Jedną była szczupła kobieta po pięćdziesiątce, o stalowoszarych oczach – otaczała ją aura absolutnego profesjonalizmu. Drugim był czarny mężczyzna, który wyglądał jak wykładowca z Harvardu... którym faktycznie kiedyś był.

*Hmm. A już wcześniej ci się zdawało, że ten dzień zmierza w dziwną stronę.*

– Witam, panie Cooper. Mogę do pana mówić Nick?

– Oczywiście, panie prezydencie.

– Przepraszam za ten dość dramatyczny sposób, w jaki doszło do naszego spotkania. Ostatnio

wszyscy jesteśmy trochę nerwowi. – Lionel Clay miał głos wykładowcy, dźwięczny, głęboki i ociekający erudycją, z leciutkim akcentem z Karoliny Południowej.

*To łagodny sposób, by to wyrazić.* Obdarzeni nadal dominowali w każdej dziedzinie, od sportu aż po zoologię, a normalni ludzie robili się nerwowi. Nietrudno było sobie wyobrazić świat podzielony na dwie klasy, jak u H.G. Wellsa, i nikt nie chciał być Morlokiem. Z drugiej strony, najbardziej skrajni z obdarzonych nie walczyli po prostu o równość – wierzyli, że są lepsi, i aby to udowodnić, byli gotowi zabijać. Ameryka przyzwyczała się do terroryzmu, do zamachów samobójczych w centrach handlowych i trucizn wysyłanych pocztą do senatorów. Najgorszy był zamach z dwunastego marca; gdy terroryści wysadzili budynek giełdy na Manhattanie, zginęły tysiąc sto czterdzieści trzy osoby. Cooper tam był, wędrował zniszczonymi, szarymi ulicami jak zamroczony. Czasem śniła mu się różowa pluszowa maskotka porzucona na skrzyżowaniu z Broadwayem. *Jesteśmy więcej niż nerwowi – jesteśmy cholernie przerażeni.* Ale na głos powiedział:

– Rozumiem, sir.

– To mój szef sztabu, Marla Keevers.

– Pani Keevers. – Choć Cooper przez jedenaście lat był rządowym agentem, nigdy nie przepadał za polityką. Słyszał jednak o Marli Keevers. Twardy polityczny gracz. Prowadziła rozgrywki za kulisami i miała reputację brutalnej.

– Panie Cooper.

Prezydent zastukał w szybę dzielącą ich od szofera i limuzyna ruszyła.

– Marlo?

Szefowa sztabu powiedziała:

– Panie Cooper, czy upublicznił pan nagranie z restauracji Monocle?

*No cóż, to by było na tyle, jeśli chodzi o ustęp.*

Powrócił myślami do tamtego wieczoru. Po tym, jak Shannon uwolniła jego dzieci, Cooper zagnał swego dawnego szefa na dach budynku. Odzyskał nagranie, na którym widać było, jak Drew Peters wraz z prezydentem Walkerem planują zamach, a potem zrzucił swojego byłego mentora z dwunastego piętra.

To było dobre uczucie.

Później Cooper siedział na ławce niedaleko od miejsca, w którym się teraz znajdowali, i zastanawiał się, co zrobić z tym nagraniem. Masakra w Monocle była pierwszym i najbardziej prowokacyjnym krokiem w procesie podziału kraju: nie Północ przeciw Południowi, nie liberałowie przeciw konserwatystom, lecz normalni przeciw obdarzonym. Ujawnienie prawdy o tym zamachu wydawało mu się słuszne, choć wiedział, iż spowoduje to konsekwencje, nad którymi nie będzie w stanie zapanować.

Co powiedział Drew tuż przed śmiercią? „Jeśli to zrobisz, świat spłonie”.



Prezydent Clay go obserwował. Cooper uświadomił sobie, że to test.

– Tak.

– To była bardzo lekkomyślna decyzja. Być może mój poprzednik nie był dobrym człowiekiem, ale był prezydentem. Podważył pan zaufanie narodu do tego urzędu. Do całego rządu.

– Sir, za pana pozwoleniem, to prezydent Walker podważył to zaufanie, gdy zlecił zamordowanie amerykańskich obywateli. Ja tylko wyjawilem prawdę.

– Prawda to śliska koncepcja.

– Nie, w prawdzie wspaniale jest to, że jest prawdziwa. – Ton jego głosu świadczył, że autorytety nic dla niego nie znaczą. Przylapał się na tym. – Sir.

Keevers pokręciła głową. Wyrzała za okno. Clay spytał:

– Co ostatnio porabiasz, Nick?

– Jestem w stanie spoczynku.

– Zamierzasz wrócić do DAR?

– Nie jestem pewien.

– Zamiast tego zacznij pracować dla mnie. Jako specjalny doradca prezydenta. Co ty na to?

Gdyby Cooper zrobił sobie listę stu rzeczy, jakie mógł mu powiedzieć prezydent Stanów Zjednoczonych, akurat to by się na niej nie znalazło. Uświadomił sobie, że otworzył usta. Zamknął je.

– Chyba ma pan błędne informacje, sir. Zupełnie się nie znam na rządzeniu.

– Przyjrzyjmy się temu, dobrze? – Clay wbił w niego wzrok. – Walker bardzo pogmatwał sprawy. On i dyrektor Peters dla osobistych zysków zmienili DAR, który być może był naszą najlepszą nadzieją na pokojową przyszłość, w prywatną agencję szpiegowską. Zgodziłbyś się z tym?

– Ja... Tak. Sir.

– Ty sam zabiłeś ponad dwunastu ludzi i doprowadziłeś do przecieku ściśle tajnych informacji.

Cooper kiwnął głową.

– A jednak w całej tej katastrofie jedynie ty postępowałeś jak człowiek prawy.

Na te słowa Keevers wydeła usta, ale się nie odezwała. Prezydent pochylił się w stronę Coopera.

– Nick, sytuacja się pogarsza. Znajdujemy się na skraju przepaści. Istnieją normalni, którzy pragną uwiecznienia wszystkich obdarzonych albo nawet uczynienia z nich niewolników. Istnieją obdarzeni, którzy opowiadają się za ludobójstwem, za uśmierceniem wszystkich normalnych. Nowa wojna domowa, przy której ta ostatnia mogłaby wyglądać jak nic nieznacząca potyczka. Potrzebuję pomocy, by do tego nie dopuścić.

– Sir, pochlebia mi pan, ale naprawdę nic nie wiem o polityce.

– Mam doradców politycznych. Potrzebuję opinii z pierwszej ręki od obdarzonego, który

poświęcił swoje życie polowaniu na „uzdolnionych” rewolucjonistów. Do tego udowodniłeś, że gotów jesteś zrobić to, co według ciebie jest słuszne, bez względu na cenę. Właśnie takiego doradcy potrzebuję.

Cooper zapatrzył się przed siebie. Usiłował sobie przypomnieć, co wie o prezydencie. Profesor historii z Harvardu, potem senator. Niejasno przypominał sobie pewien artykuł, który kiedyś czytał; sugerowano w nim, że prawdziwym powodem, dla którego wybrano Claya na wiceprezydenta, była wyborcza matematyka. Jako czarny z Karoliny Południowej zmobilizował wyborców z Południa oraz Afroamerykanów.

*Jezu, Cooper, niejasno przypominasz sobie artykuł? Przecież to ci od razu mówi, czy ten samochód to właściwe miejsce dla ciebie.*

– Przykro mi, sir. Naprawdę doceniam pańską propozycję, ale nie sądzę, żebym się do tego nadawał.

– Źle mnie zrozumiałeś – zauważył łagodnie Clay. – Twój kraj cię potrzebuje. Ja nie pytam.

Cooper spojrzał na...

*Pozycja Claya, jego mowa ciała, wszystko idealnie zgrane ze słowami.*

*To nie użerunkowe posunięcie ani sposób, by cię uciszyć.*

*I wszystko, co mówi o sytuacji na świecie, się zgadza.*

...swojego nowego szefa.

– W takim wypadku, sir, jestem do usług pana prezydenta.

– Dobrze. Co wiesz o grupie nazywanej Dziećmi Darwina?

**TYDZIEŃ  
PRZED ŚWIĘTEM DZIĘKCZYNIENIA**

## ROZDZIAŁ DRUGI

Ethan Park się gapił.

Półki supermarketu były puste. Nie kiepsko zaopatrzone. Nie pozbawione różnorodności. Były puste. Wyczyszczone do zera.

Przymknął oczy, poczuł, że świat się zakolysał. Był przyzwyczajony do długich godzin pracy; zespół badawczy od roku był bliski przełomu, a gdy przeszli do fazy testów słuszności koncepcji, dni zaczęły się zacierać. Jedli posiłki na stojąco, drzemali ukradkiem na krzesłach w pomieszczeniu socjalnym. Od roku był zmęczony.

Ale dopiero wówczas, gdy Amy urodziła Violet, odkrył, czym jest prawdziwe wyczerpanie. Czerni pod przymkniętymi powiekami wydawała się niebezpiecznie przyjemna, jak łóżko w zimną noc, w którym mógł się po prostu zakopać, odpłynąć...

Ocknął się, otworzył oczy i znów sprawdził półkę. Wciąż była pusta. Znak nad przejściem między regałami głosił: SIEDEM: WITAMINY – KONSERWY EKOLOGICZNE W PUSZKACH – RĘCZNIKI PAPIEROWE – PIELUCHY – ŻYWNOSĆ DLA NIEMOWLĄT. Papierowych ręczników wciąż było mnóstwo, ale na półce, na której do dziś stały Enfamil, Similac i Earth's Best, teraz leżał tylko kurz i porzucona lista zakupów.

Ethan poczuł się dziwnie zdradzony. Gdy ci się coś kończyło, szedłeś do sklepu. Była to właściwie podstawa współczesnego życia. Co się dzieje, gdy nie zawsze możesz już na to liczyć?

*Wrócisz do wyczerpanej żony i głodnego dziecka z głupią miną na twarzy.*

Zanim urodziło im się dziecko, kipł sobie z pomysłu, że karmienie piersią jest trudne. Był genetykiem. Do tego właśnie służyły piersi, do karmienia młodych. I to niby miało być trudne?

Okazało się jednak dość trudne dla delikatnych współczesnych piersi ubieranych w bawełnę i koronki, piersi, które nigdy nie czuły wiatru ani słońca, nigdy nie ocierały się o jakieś rzeczy i nie stawały się wskutek tego szorstkie. Po miesiącu potwornie czasochłonnego karmienia piersią, protekcyjnego traktowania ich przez „konsultantkę ds. laktacji” – wciskającą im specjalne poduszki i kremy homeopatyczne – oraz cierpienie Amy, której sutki popękały i krwawiły, aż w końcu wdało się w nie zakażenie, postanowili z tym skończyć. Obwiązała sobie pierś bandażem elastycznym, by zatrzymać produkcję mleka i przerzucili się na mieszanki dla niemowląt w proszku.

Całe ich pokolenie na tym się wychowało i nic mu nie dolegało. A poza tym to było łatwe.

To znaczy łatwe, dopóki na półce w supermarkecie był pokarm dla niemowląt.

No tak. Jakie miał opcje?

Cóż, w wieku Violet krowie mleko nie było idealnym rozwiązaniem. Micele kazeinowe za bardzo obciążały rozwijające się nerki dziecka. Z drugiej strony, krowie mleko jest lepsze niż żadne...

Lodówka z nabiałem była pusta. Przyklejono do niej taśmą kartkę z napisem:

PRZEPRASZAMY ZA NIEDOGODNOŚCI. OSTATNIE ZAMACHY ZAKŁÓCIŁY DOSTAWY.  
MAMY NADZIEJĘ, ŻE WKRÓTCE UDA NAM SIĘ UZUPEŁNIĆ ZAOPATRZENIE.  
DZIĘKUJEMY ZA PAŃSTWA CIERPLIWOŚĆ W TYCH TRUDNYCH CZASACH.

Ethan gapił się na kartkę. Jeszcze wczoraj wszystko było normalnie. Teraz zabrakło pokarmu dla niemowląt. W lodówce nie było mleka. Co się tutaj dzieje?

*Pieczyno.*

Odwrócił się na pięcie i pobiegł przejściem między regałami. Teraz zdał sobie sprawę, że inni kupujący zgarniają towary jak leci, ładują do wózków całe półki, kłócąc się przy tym i przepychając. Wyobraził sobie, jak sklep będzie wyglądał za godzinę: całkowicie ogołocony, z wyjątkiem widokówek, czasopism i artykułów szkolnych. Może nikt nie wpadł na pomysł, żeby...

Tam, gdzie zwykle stało skondensowane mleko, świeciła tylko wielka dziura.

Ethan przykucnął przy półce, zajrzał głębiej, w nadziei, że może znajdzie jakąś pominiętą puszkę czy dwie. Wiedział jednak, że się łudzi.

*Inny sklep.*

W Sav-A-Lot roilo się od ludzi, do kas ciągnęły się długie kolejki. Kasjerzy wyglądali na oszołomionych. Rozpychając się, wyszedł na zewnątrz.

Była połowa listopada, pochmurno i zimno. Podskoczył, słysząc klakson. Audi prawie nie zwolniło. Parking pękał w szwach, kolejka samochodów sięgała Detroit Avenue. Wskoczył do wozu i cofając, wybrał stację WCPN.

– ...doniesienia o potężnych brakach w zaopatrzeniu w całym rejonie miejskim Cleveland. Policja prosi o zachowanie spokoju. Naszymi gośćmi są doktor James Garner z Departamentu Transportu oraz Rob Cornell z Departamentu Analiz i Reagowania. Doktorze Garner, mógłby pan to jakoś wyjaśnić?

– Spróbuję. Dziś rano doszło do potężnej serii zamachów na branżę przewozową w Tulsie, Fresno oraz oczywiście w Cleveland. Terroryści porwali ponad dwadzieścia TIR-ów i zamordowali kierowców.

– Nie tylko zamordowali.

– Nie. – Mężczyzna odkaslnął. – Kierowcy zostali spaleni żywcem.

*Jezu Chryste.* W ostatnich latach było wiele zamachów. Terroryzm stał się w Ameryce

codziennie. Ludzie niemal się do tego przyzwyczaili. Potem, dwunastego marca, doszło do wybuchu w nowym budynku giełdy na Manhattanie. Ponad tysiąc sto osób zginęło, tysiące zostało rannych i nagle nie dało się już dłużej ignorować tej przykrej schizmy, która narastała w kraju. Choć tamten atak był obrzydliwy, w tym ostatnim było coś jeszcze gorszego, brutalniejszego. Ktoś wyciągał z ciężarówki żywego człowieka, oblewał go benzyną i podpalał zapalną.

– ...poza tym doszło do zamachów w magazynach we wszystkich trzech miastach. Straż pożarna ugasiła płomienie w Tulsie i Fresno, ale magazyn w Cleveland został zniszczony.

W tym momencie wtrąciła się prowadząca audycję:

– Wszystko to przypisuje się grupie odmieńców o nazwie Dzieci Darwina. Ale to przecież wielkie miasta, z tysiącami samochodów dostawczych.

– Zgadza się. Ale z powodu ataków na kierowców ubezpieczyciele nie mieli wyboru. Musieli wycofać się z umów. Bez ubezpieczenia ciężarówkom nie wolno wyjeżdżać w trasę.

Ethanowi udało się dwa razy przejechać na zielonym świetle, ale za trzecim razem musiał się zatrzymać. Czekał, bębnił niecierpliwie palcami w kierownicę.

– Chce pan powiedzieć, że po jednym dniu bez dostaw sklepy są puste?

– Współczesny świat to sieć misternych powiązań. Firmy takie, jak sklepy spożywcze, działają w trybie zwanym JIT. Jeśli kupuje się puszkę fasoli, skaner powie komputerowi, żeby zamówić więcej, i zostaną one dostarczone z następną dostawą. To niesamowicie złożony system. Dzieci Darwina zdają się to rozumieć. Celami ich ataków są słabe punkty w naszych systemach.

– Panie Cornell, jest pan z Departamentu Analiz i Reagowania. Czy DAR nie istnieje po to, by zapobiegać takim atakom?

– Po pierwsze, dziękuję za zaproszenie. Po drugie, chciałbym przypomnieć wszystkim, w tym również pani, że powinniśmy zachować spokój. To chwilowy problem, wywołany przez agresywną, ale niewielką organizację terrorystyczną...

Ethan jechał na wschód, minął restaurację, giełdę samochodową, szkołę średnią. Niedawno nad rzeką otwarto nowy luksusowy market. Było tam na tyle drogo, że ludzie mogli o nim nie pomyśleć. *Nawet jeśli masz rację, to się szybko zmieni, więc zaplanuj swoje posunięcia. Pieruszym celem jest pokarm dla niemowląt, bez względu na to, jaką węgańską odjechaną formułę będą mieli. Potem mleko. Tyle mięsa, ile tylko zdołasz załadować do wózka. Pomijaj produkty, które się łatwo psują, skup się na konserwach i mrożonkach uwarzanych...*

Droga do marketu była pełna samochodów, które trąbiły, migały światłami. Wozy cisnęły się jeden obok drugiego na pasie. Czterdzieści metrów dalej widział już tłum ludzi otaczających wejście. Jakaś kobieta z wózkiem na zakupy próbowała się dopchać do wyjścia. Rozległy się krzyki, krąg ludzi się zacieśnił. Mężczyzna w garniturze wyszarpnął jej torbę z zakupami. Kobieta wrzasnęła, a on odbiegł ze swoim łupem, przewracając przy tym jej wózek. Na chodnik posypały się konserwy

i butelki, wszyscy próbowali je zbierać. Jakiś chudy facet włożył sobie kurczaka pod pachę, jakby to była piłka, i oddalił się biegiem. Dwie damy, które musiały sporo wydać na swoje fryzury, były się o karton mleka.

– ...spodziewamy się, że wkrótce będziemy mieli ten problem pod kontrolą. Jeśli wszyscy zachowamy spokój i będziemy ze sobą współpracować, przetrwamy to.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. To była witryna marketu. Tłum z wraskiem wtargnął do środka.

Ethan zawrócił wóz.

Gdy przeprowadzili się do Cleveland, agent z biura nieruchomości zapewniał ich, że Detroit Shoreway to dokładnie taka okolica, jakiej szukali: położona półtora kilometra od brzegu jeziora, trzy kilometry od śródmieścia, dobre szkoły, obsadzone drzewami ulice i przyjazna społeczność ludzi „podobnych do nich” – właściwie wszystkie zalety przedmieścia, mimo mieszkania w centrum. Wspaniałe miejsce, by wychowywać dzieci, zapewniał ich agent, patrząc przy tym na nich znacząco, jakby już oczami wyobraźni widział plemnik spotykający komórkę jajową.

Minęło trochę czasu, nim się przyzwyczaili. Ethan był rodowitym nowojorczykiem i nie ufał żadnemu miejscu, gdzie człowiek potrzebował samochodu. Do diabła, gdyby parę lat temu ktoś mu zasugerował, że zamieszka w Cleveland, wysmiałby go. Abe założył jednak laboratorium właśnie w Cleveland i choć ten facet był najbardziej aroganckim palantem, jakiego Ethanowi kiedykolwiek zdarzyło się spotkać, był też geniuszem, a praca w Instytucie Zaawansowanej Genomiki była zbyt dobra, by przegapić taką okazję.

Ostatecznie był dość zaskoczony. Choć uwielbiał Manhattan, to można tam było mieszkać przez dziesięć lat w tym samym mieszkaniu i nigdy nie poznać swoich sąsiadów. Osiedlenie się wśród nieskomplikowanych i życzliwych mieszkańców Środkowego Zachodu okazało się przyjemnym kontrastem: barbecue w ogródkach, podejście w stylu: „odbiorę twoją pocztę, ty możesz pożyczać moją kosiarke”.

Do tego uwielbiał mieć dom. Nie mieszkanie, nie apartament, tylko prawdziwy dom z piwnicą i ogródkiem. Własny dom, gdzie mogli sobie głośno słuchać muzyki, a Violet płacząca o północy nie budziła sąsiadów z dołu. Ethan umiał robić różne rzeczy, potrafił położyć instalację elektryczną, postawić ściankę działową z płyt. I było to dla niego przyjemnością, gdy mógł sprawiać, by ten dom stawał się naprawdę ich, jedno popołudnie po drugim, a potem zmęczony siał z piwem na ganku i patrzył, jak za ich własnymi klonami zachodzi słońce.

Teraz się zastanawiał, czy nie oszukiwał sam siebie. Może i Manhattan był zatłoczony i drogi, a Waszyngton strasznie rozciągnięty i gorączkowy, ale to było nie do pomyślenia, by tam w supermarketach nie było mleka.

*Wczoraj mógłbyś to samo powiedzieć o Cleveland.*

Wyłączył silnik i siedział w ciemności. Jutro wyjedzie z miasta, pojedzie autostradą, znajdzie pokarm dla niemowląt gdzieś indziej.

*No tak, ale dziecko jest głodne dziś. Weź się w garść, tatusiu.*

Ethan wysiadł z wozu i ruszył w stronę domu sąsiada. Budynek wyglądał jak domek z piernika, a całą południową ścianę porastał bluszcz. Sąsiedzi mieli trzech synów, którzy urodzili się w metronomicznych dwuletnich odstępach, i zza ściany słychać było stłumione odgłosy świadczące o tym, że się bawią.

– Witaj, sąsiedzie. – W drzwiach stanął Jack Ford. – Co słychać?

– Posłuchaj, przepraszam, że pytam, ale skończył nam się pokarm dla niemowląt, a sklepy świecą pustkami. Masz może trochę?

– Przykro mi. Tommy'ego nie karmimy tym już od ponad pół roku.

– No tak. – Rozległy się dźwięki syren, policja albo karetka, gdzieś niedaleko. – A może zwykłe mleko?

– No pewnie. – Jack się zastanowił. – Wiesz co? Mam skondensowane mleko w piwnicy. Chcesz?

Ethan się uśmiechnął.

– Ratujesz mi życie.

– A od czego ma się sąsiadów? Wejdz, napijemy się piwa.

W domu Jacka pełno było rysunków, komiksów i pachniało zapiekanką. Ethan ruszył za nim po skrzypiących schodach, zeszli do piwnicy. Znaleźli się w surowym, niewykończonym pomieszczeniu. W kącie na dywanie stały dwa fotele ustawione naprzeciw wielkiego trójwymiarowego ekranu, nowego modelu z ulepszonym polem projekcyjnym. Resztę piwnicy zajmowały głębokie regały uginające się od konserw i pakowanej żywności.

Ethan zagwizdał.

– Widzę, że masz tu własny sklep spożywczy.

– Tak, no cóż. Było się kiedyś skautem. – Sąsiad pokiwał głową, ale bez zakłopotania, a potem otworzył miniaturową lodówkę i wyciągnął dwa piwa. Usiadł na fotelu i wskazał na drugi. – Czyli w supermarketach pustki?

– W tym, w którym byłem, szabrownicy rozkradli wszystkie towary.

– To przez nienormalnych – stwierdził Jack. – Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień.

Ethan bez przekonania kiwnął głową. Znał wielu obdarzonych; choć nienormalni podnosili poprzeczkę w każdej dziedzinie, ich zalety były najbardziej widoczne na polu nauki i technologii. Jasne, bywały takie dni, kiedy doprowadzało go to do szaleństwa, bo wiedział, że istnieją ludzie, którym mimo dyplomów z Columbia i z Yale po prostu nigdy nie uda mu się dorównać. To tak jakby grać w podwórkową koszykówkę z Lakersami; bez względu na to, jak świetny jesteś, na tym boisku ktoś zawsze mógł ci dokopać.



Ale co można zrobić? Przestać grać? O nie, dzięki.

– Każde pokolenie jest przekonane, że świat schodzi na psy, prawda? – rzucił Ethan, sącząc piwo.

– Zimna wojna, Wietnam, rozprzestrzenianie broni jądrowej, co tam jeszcze... Nieuchronnie zbliżająca się zagłada to nasz naturalny stan.

– Zgadza się, ale żeby nie było mleka w spożywczym? To nie Ameryka.

– Będzie dobrze. W radio mówili, że Gwardia Narodowa zacznie rozdawać jedzenie.

– Dla pół miliona ludzi? – Jack pokręcił głową. – Pozwól, że cię o coś zapytam. Badasz ewolucję, prawda?

– Tak jakby. Jestem epigenetykiem. Badam sposób, w jaki współdziałają ze sobą świat i nasze DNA.

– Brzmi to jak jakieś straszne uproszczenie – uśmiechnął się Jack. – Ale załóżmy, że tak jest. Chciałbym wiedzieć, czy były już takie czasy jak teraz, kiedy, no wiesz, pojawiła się nagle zupełnie nowa grupa?

– Jasne. Gatunki inwazyjne, gdy organizmy są introdukowane do nowego ekosystemu. Karp azjatycki, racicznica zmienna, holenderska choroba wiązu.

– Tak właśnie myślałem. To wszystko to były raczej katastrofy, prawda? To znaczy nie jestem fanatykiem; nie mam nic przeciwko obdarzonym. To z m i a n a mnie przeraża. Świat jest taki kruchy. Jak mamy żyć z takimi zmianami?

To było pytanie, które ostatnio często słyszał. Rozmawiano o tym podczas proszonych kolacji, dyskutowano w programach telewizyjnych i na portalach społecznościowych. Kiedy odkryto obdarzonych, ludzie byli głównie zaintrygowani. Bądź co bądź jeden procent populacji stanowił jakieś kuriozum. Dopiero gdy ten jeden procent wkroczył w wiek dorosły, świat wreszcie zdał sobie sprawę, że niesie on ze sobą fundamentalną zmianę.

Problem polegał na tym, że stąd do nienawiści był już tylko jeden mały krok.

– Wiem, co masz na myśli, stary. Ale ludzie to nie karpie. Musimy znaleźć jakiś sposób.

– Oczywiście. Masz rację. – Jack podźwignął się z fotela. – W każdym razie jestem pewien, że się uda. Zobaczmy, co z tym mlekiem.

Ethan ruszył za nim. Regały były załadowane po brzegi konserwami, bateriami, kocami. Jack sięgnął z półki karton z dwudziestoma czterema puszkami skondensowanego mleka.

– No i proszę.

– Wystarczyłoby kilka puszek.

– Weź je, to żaden problem.

– Mogę ci chociaż za nie zapłacić?

– Nie wygłupiaj się.

Jakaś część niego chciała dalej protestować, ale pomyślał o Violet, o ogołoconym

supermarkecie, więc powiedział tylko:

– Dzięki, Jack. Odkupię ci nowe.

– Nie ma sprawy. – Sąsiad przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę. – Ethan, może to zabrzmieć dziwnie, ale jesteś jakoś zabezpieczony?

– Mam paczkę kondomów na stoliku przy łóżku.

Jack się uśmiechnął, ale tylko z grzeczności.

– Chyba nie rozumiem, o co ci chodzi – doszedł do wniosku Ethan.

– Chodź tutaj. – Jack podszedł do metalowej szafki i zaczął manipulować przy zamku szyfrowym.

– Póki Gwardia Narodowa nie zrobi z tym wszystkim porządku, będę czuł się lepiej, jeśli dam ci jeden z nich.

Szafka na broń była schludna, karabiny i śrutówki oparte na stojakach, na kołkach wisiało pół tuzina pistoletów.

– Nie jestem typem, który lubi broń – mruknął Ethan.

Jack go zignorował. Wyjął broń.

– To rewolwer kaliber .38. Najprostsza broń na świecie. Musisz jedynie pociągnąć za spust. – Światło jarzeniówek odbijało się w oliwionym metalu.

– W porządku, stary – Ethan zmusił się do uśmiechu, uniósł puszkę z mlekiem. – Naprawdę, to mi wystarczy.

– Weź go. Na wszelki wypadek. Połóż na jakiejś półce i zapomnij o nim.

Ethan chciał obrócić to w żart, ale twarz sąsiada była poważna. *Facet ci pomaga. Nie uraż go.*

– Dzięki.

– Hej, przecież ci mówiłem. Od czego są sąsiedzi.

Po ostatnich dwóch godzinach wejście do domu było jak wkroczenie w ciepłe objęcia. Ethan zamknął drzwi na klucz i zdjął buty. Grzegorz Mendel podszedł do niego powolnym krokiem i otarł się o jego nogi, cicho mrucząc. Ethan podrapał kota za uchem, potem chwycił karton mleka i ruszył w stronę ciepłego światła płynącego z korytarza, szukając swoich dziewczyn.

Zastał je w kuchni. Amy przytulała Violet do piersi.

– Och, dzięki Bogu! – twarz żony rozpromieniła się na jego widok. – Zaczynałam się naprawdę bać. Słuchałeś wiadomości? Mówią, że ludzie rozkradają towary ze sklepów.

– Tak. – Wyciągnął ręce, a Amy podała mu Violet. Córeczka nie spała i była niemożliwie śliczna, prawie bez szyi, pulchna, z grzywą kasztanowych włosów. – Byłem tam. Wszystko wyczyszczone do zera. To mleko to prezent od Jacka.

– Całe szczęście, że je miał. – Otworzyła puszkę i przelała zawartość do butelki. – Chcesz ją nakarmić?

Ethan oparł się o kuchenny blat i przełożył córkę do lewej ręki, opierając jej ciężar na biodrze.

Zobaczyła butelkę i zaczęła płakać. Desperacko, jakby się bała, że on tylko udaje, że chce ją nakarmić. Wsunął smoczek do jej chciwych ust.

– To cała puszka?

– Pięć uncji – odczytała z etykiетки. – To mleko jest dość kaloryczne. Pewnie możemy je rozcieńczać wodą, żeby na dłużej starczyło.

– Po co? Mamy przecież jeszcze dwadzieścia trzy puszki.

– Ona je cztery razy dziennie. To nie starczy nawet na tydzień.

– Do tego czasu sklepy będą zaopatrzone.

– Mimo wszystko – odparła.

Kiwnął głową.

– Masz rację. Dobry pomysł.

Stali tak przez moment, oboje wykończeni, ale było w tej chwili coś pięknego. W tych dniach wszystko miało w sobie jakąś słodczy, złocisty blask, jakby oglądał własne życie na spłwiałych zdjęciach. Bycie ojcem wszystkiemu przydawało znaczenia.

– Hej – odezwał się. – Powiedzieć ci coś śmiesznego?

– Pewnie.

– Jack ma fioła na punkcie survivalu. Jego piwnica zaopatrzona jest jak schron bombowy. Dał mi nawet broń.

– Co?

– Wiem. – Zaśmiał się cicho. – Nie chciał mnie bez niej wypuścić.

– Masz ją przy sobie? Teraz?

Ethan chwycił Violet jedną ręką, wsunął sobie butelkę pod brodę i wyciągnął rewolwer z kieszeni kurtki.

– Wariactwo, no nie?

Oczy Amy się rozszerzyły.

– Dlaczego myślisz, że potrzebujemy broni?

– Mówił, że powinniśmy się zabezpieczyć.

– Powiedziałeś mu, że mamy kondomy?

– Chyba uznał, że to nie wystarczy.

– Mogę go zobaczyć? – spytała Amy.

– Uważaj, jest naładowany.

Ostrożnie ważyła rewolwer w dłoni.

– Cięższy, niż można by pomyśleć.

– Wiem. – Ethan oparł córeczkę na ramieniu i zaczął masować jej plecy. Violet beknęła jak kierowca ciężarówki. – Nie przeraża cię to?

– Trochę. – Odłożyła rewolwer na blat. – Ale pewnie to wcale nie taki zły pomysł. Tak na wszelki wypadek.

– Na wypadek czego?

Nie odpowiedziała.

## JAKE FLYNN Z INDESTRUCTIBLE ZDRADZA SWOJĄ TAJEMNICĘ!

Jake Flynn, obiekt westchnień, jest znany ze swoich mięśni brzucha. Ale ludzi najbardziej przeraża fakt, że jest obdarzony. W zeszłym tygodniu ten piosenkarz, który okazał się kinową sensacją, ogłosił, że jest obdarzonym z talentem piątego poziomu, o czym nigdy dotychczas nie wspominał.

Teraz w ekskluzywnym wywiadzie dla „People” seksowna gwiazda filmowa opowiada o swoim życiu, miłości i o swym talencie.

„PEOPLE”: Zacznijmy od pańskich zdolności. Jest pan hipermnezykiem. Co to oznacza?

FLYNN: Pamiętam wyjątkowo wyraźnie pewne nieistotne szczegóły. Jeśli poda mi pan jakąś datę, mogę panu powiedzieć, w co byłem ubrany, jaka była pogoda, tego typu rzeczy.

„PEOPLE”: Trzeci maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć.

FLYNN: To był jeden z tych dni, kiedy człowiek czuje, że nadeszła wiosna. Błękitne niebo, kłębiaste obłoczki, zapach budzącej się do życia przyrody. Miałem na sobie pidżamę ze Spidermanem. [Śmiech.] Miałem pięć lat.

„PEOPLE”: Nigdy nie zdradzał się pan z tym, że jest pan obdarzonym. Dlaczego?

FLYNN: Gdybym o tym mówił, zaszufladkowano by mnie. „Nienormalny aktor ma wystąpić w... bla, bla, bla”. Ta zdolność nie jest dla mnie aż tak ważna i nie chciałem, by była tak ważna dla innych.

„PEOPLE”: W takim razie dlaczego teraz pan o tym mówi?

FLYNN: Ludzie bardzo się nakręcają normalnymi i nienormalnymi. Poczułem, że nie wspominając o tym, sam stanowiłbym część tego problemu. Chciałem po prostu powiedzieć: Hej, wszyscy myśleliście, że kimś byłem, a teraz wiecie, że jestem kimś innym. Ale tak naprawdę nic się nie zmieniło. A więc wyluzujcie trochę.

„PEOPLE”: Pańska zdolność musi panu ułatwiać uczenie się kwestii.

FLYNN: Chciałbym, żeby tak było. Ale to nie polega na rewelacyjnej pamięci. Ciągłe gubię kluczyki do samochodu.

„PEOPLE”: Nienormalni to gorący temat. Co pan powie ludziom, którzy sugerują, że mówi pan teraz o tym, bo to taki

chwyt reklamowy?

FLYNN: To jakiś absurd.

„PEOPLE”: Dlaczego?

FLYNN: Po pierwsze, kiedy myślę o sobie, to chyba dwudziesta z kolei rzecz, jaka przychodzi mi do głowy. Jestem mężem, jestem ojcem, jestem Amerykaninem, jestem aktorem, piosenkarzem, jestem fanem Cubs, jestem miłośnikiem psów i tak dalej, i tak dalej. I dopiero po tym wszystkim przychodzi mi do głowy, a tak, jestem też obdarzony.

„PEOPLE”: Co pan sądzi o narastającym konflikcie między normalnymi i obdarzonymi?

FLYNN: Nienawidzę tego. Dla mnie bycie obdarzonym to coś takiego, jak mieć niebieskie oczy. Rozumiem, że istnieją ludzie ze zdolnościami pierwszego poziomu, wyjątkowe jednostki, które zmieniają paradygmat. Ale o wiele więcej jest ludzi takich jak ja. To znaczy, naprawdę – wiem, że dziewiątego czerwca ubiegłego roku w Denver padał deszcz. I z tego powodu mój rząd chce mi wszczepić mikrochipa w szyję?

„PEOPLE”: Jeśli tak to ująć, Inicjatywa Nadzoru i Monitoringu naprawdę wydaje się głupotą.

FLYNN: Problem polega na tym, że media przedstawiają to w taki sposób, jakby istniały dwie frakcje, normalni i nienormalni, i jakby wszyscy powinni opowiedzieć się po którejś ze stron. Ale tak naprawdę to szerokie spektrum. Z jednej strony ma pan prezydenta Walkera, który mordował własnych obywateli, bo tak bardzo bał się tego, co reprezentują sobą obdarzeni, i który chciał władzy, by nad nimi zapanować. Z drugiej strony ma pan nienormalnych terrorystów, którzy nie walczą o równe prawa, lecz o to, by obdarzeni rządili światem. To ekstremiści są problemem. Większość ludzi chce po prostu normalnie żyć.

„PEOPLE”: Skoro już o życiu mowa, panu i pańskiej żonie, modelce z Victoria's Secret Amy Schiller, ostatnio urodziła się córeczka...

FLYNN: O Boże, nie. Tylko niech pan nie pyta o imię.

„PEOPLE”: Jest dość niezwykłe.

FLYNN: Nie wiem, co ci powiedzieć, człowieku. Chcemy, żeby mogła być sobą, by nie czuła, że musi się dopasowywać do ograniczeń tego świata, i oboje naprawdę uwielbiamy tajskie jedzenie, więc...

„PEOPLE”: Kluseczka Flynn.

FLYNN:

W przedszkolu żadna inna dziewczynka nie będzie miała tak na imię.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Gdy SUV wreszcie się zatrzymał, mężczyzna był pajakiem.

Wóz był czarny. W środku siedziało dwóch mężczyzn. Zatrzymywał się przez prawie trzy minuty. Upłynęły trzy kolejne, nim otworzą się drzwi. Potem pięć minut, nim przejdą te pół tuzina kroków do miejsca, gdzie siedział. Miał mnóstwo czasu na bycie pajakiem. Ocean czasu. Ogromny, głęboki, przytłaczający i zimny. Czas jak w Rowie Mariańskim, głębokim na jedenaście kilometrów. Czas, który ciążył i się odkształcał.

Pająk. Jasnobrązowo-czarny, wielkości kilku centymetrów. Ptasznik, jak sądził, choć nie był jakimś wielkim ekspertem od pajaków. Obserwował go od jedenastu godzin. Najpierw pojawiła się odraza, pierwotne obrzydzenie. Po jakimś czasie włoski na jej odnóżach i odwłoku – bo doszedł do wniosku, że to samica – zaczęły się wydawać delikatne, niemal zapraszające, jak u pluszowej maskotki. Ośmioro oczu, lśniących i doskonałych. Zafascynowały go pazury jadowe. Noszenie broni w tak oczywisty i nieskrywany sposób, poruszanie się po świetle jak jakiś koszmar. Pająk przyglądał mu się, a on przyglądał się pajakowi.

Była idealna. Całkowity bezruch, dopóki nie był potrzebny ruch. A później był on tak szybki i precyzyjny, że zdobycz nawet tego nie dostrzegała. Brutalny i bez wyrzutów sumienia. Dla pajęczycy świat sprowadzał się jedynie do jedzenia i zagrożenia. Istniały jakieś pajaki-wegetarianie? Nie sądził.

Nie, była zabójczynią.

Ze swojego miejsca widział zarówno pająka, jak i SUV-a; skupił się na pojeździe. Jego oczy oczywiście się nie poruszyły; były jak wtopione w zamarlą masę mięśni, ciała i krwi. Jednak już dawno temu nauczył się skupiać uwagę na różnych rzeczach, choć jego ciało za tym nie podążało. Skoncentrowanie się na SUV-ie i dwóch mężczyznach w środku było proste. Kierowca coś mówił. Wypowiedzenie ośmiu słów zajęło mu dwadzieścia sekund, a treść łatwo było odczytać z ruchu ust.

Kierowca w samochodzie spytał:

– No to kim w ogóle jest ten facet?

– Nazywa się Søren Johansen. Jest najniebezpieczniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. – John Smith uśmiechnął się zza przedniej szyby. – I moim bardzo starym przyjacielem.



*Witaj, John. Tęskniłem za tobą.*

Najtrudniej było z ludźmi.

Nie bez powodu był sam. W odosobnieniu, jak buddyjski mnich na szczycie góry. I podobnie jak mnich nie dążył do wiedzy ani do mądrości, ale do nicości. Nie do idei nicości, nie do ćwiczenia nicości, myśli posyłanych z biegiem rzeki, w miarę jak zakłócały jego medytację. Nie. Pocieszenie przychodziło do niego w chwilach prawdziwej nicości. W chwilach, gdy nie istniał. Tylko wtedy nie przytłaczał go nieubłagalnie powolny, rozciągnięty upływ czasu.

Gdy nie mógł być niczym, co często się zdarzało, stawał się czymś innym. Czymś czystym i prostym. Tak jak ten pajak.

Ludzie jednak nie byli ani prości, ani czysti. To była udręka, patrzeć, jak brną przez życie, jakby poruszali się w mokrym cemencie. Każdy ruch przeciągał się w nieskończoność, każde słowo brzmiało przez wieczność – i po co? Ruchy pozbawione celu i gracji, słowa, które przebrzmiewały i cichły.

Dlatego zaskoczyło go, gdy uświadomił sobie, że tęsknił za Johnem. Jednak ze wszystkich obdarzonych – a nikt inny nie był nawet wart wzięcia pod uwagę – John był do niego najbardziej podobny. John żył w wielowarstwowej wizji przyszłości, w planach wplecionych w plany, możliwościach za rok od teraz, które można wprawić w ruch przeprowadzoną dziś rozmową. Była to inna perspektywa niż Sorena, ale dostarczała punktów odniesienia, sposobów komunikacji.

Tak jak teraz, gdy John przebiegł te trzydzieści metrów, jakie ich od siebie dzieliły, zamiast sprawiać, by Soren cierpiał, obserwując, jak podchodzi do niego, wlokąc się w nieskończoność. To, jak zwrócił się do niego, po staremu: „Couciebie?”.

To nie była tylko uprzejmość, Soren to wiedział. Pytanie zadane na wielu poziomach. John pytał go, jak się trzyma.

Przeblysk wspomnień, tak żywy, jak w trójwymiarowym telewizorze: jedenastoletni John Smith rozmawiający z nim na placu zabaw w Hawkesdown Academy. Podający mu chusteczkę, by mógł otrzeć zakrwawiony nos, rozbity przez jednego ze starszych chłopaków. Mówiący: „Lepiej, jeśli mówię szybko, prawda?”.

Mówiący: „Jesteśbystryaleniemyślisz”.

Mówiący: „Użyjtego naswojąkorzyść”.

Mówiący: „Iniktciejuznigdynieuderzy”.

Nauczył go medytacji, tego, jak odsunąć od siebie przywracający o zawrót głowy wir przyszłości i istnieć tylko w teraz. Nauczył go, że jeśli będzie potrafił panować nad swoją zdolnością, będzie mógł wykorzystać tę strasliwą klątwę, by coś zrobić, użyć jej przeciwko tym wszystkim nieznaczącym ludziom, którzy próbowali go skrzywdzić. John rozumiał, że chłopiec, o którym wszyscy myśleli, że jest załamany, był po prostu przytłoczony, miażdżony przez każdą sekundę.

Ludziom wydawało się, że czas jest czymś stałym, bo tak im podpowiadał umysł. Ale czas był jak woda. Nawet ta najbardziej nieruchoma wibrowała i drżała energią.

John go tego nauczył i następnym razem, gdy starsi chłopacy przyszli po Sorena, pamiętał. Stał się samą chwilą, niczym więcej. Nie planował. Nie przewidywał. Przyglądał się po prostu, jak poruszali się w zwolnionym tempie, i leniwym gestem, ukradzionym skalpelem, poderżnął gardło temu największemu.

Nikt już więcej po niego nie przyszedł.

– Mam więcej nicości niż kiedykolwiek dotąd.

Smith zrozumiał.

– Todobrze.

– Potrzebujesz mnie.

– Tak.

– Gdzieś w świecie.

– Przykromi. Tak.

– To ważne?

– Kluczowe. – Chwila milczenia. – Soren, jużczas.

Przestał być pajakiem i znów stał się człowiekiem. Przez chwilę wydawało mu się, że przyszłość go przytłoczy, jej przerażająca nieskończoność, jak bycie samemu na środku Pacyfiku w bezgwiezdną noc, cała ta woda i czas, wokół niego i pod nim, najgłębsza dziura na całej planecie wysysająca go w ciemność.

*Bądź niczym. Nie bądź pajakiem ani człowiekiem, ani przyszłością, ani przeszłością. Bądź chwilą. Bądź niczym.* Tak jak nauczył go John.

Soren wstanie i pójdzie ze swoim przyjacielem w świat. Zrobi...

– Cokolwiek zechcesz.

**Traktuj mnie jak obłęsnego porąbańca**

Mężczyzna P4, 18 l., szczupły, ogolony. Ojciec wykopał mnie z domu - będziesz moim nowym tatusiem?

**Normalna para szuka nienormalnej pomocy domowej**

Jesteśmy: po czterdziestce, profesjonalni, sprawni, zaradni. Ty jesteś: czytaczka poziom 2 lub 3. Jeśli jesteś tą, której szukamy, wiesz już, czego chcemy.

**Żonaty nienormalny zabawi się bez zobowiązań**

Nie bez powodu nazywają nas obdarzonymi. Zróbmy coś porąbanego.

**Samotny na szczycie**

Fizyk P1 szuka osoby z talentem poziomu pierwszego, by rozmawiać, zaprzyjaźnić się, może coś więcej, jeśli obie strony będą zainteresowane. Wiek, rasa, płeć bez znaczenia.

**Szukam gorącej zabawy z nienormalnym**

Wiem, że tak się nie robi, ale nie dbam o to. Musisz przynieść wyniki testu Trefferta-Downa i/lub dyplom akademii. Może być u mnie.

**Zrób mi dziecko**

Atrakcyjna normalna, 37, szuka mężczyzny P1, by spędzić noc na namiętnej prokreacji. Bez kondomów, bez zobowiązań. Po prostu spuść spodnie i daj mi te geny.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Cooper nie był do tego przyzwyczajony. Ani trochę.

Upłynęły trzy tygodnie, odkąd odbył tę nieplanowaną przejażdżkę limuzyną. Od dwudziestu jeden dni był specjalnym doradcą prezydenta Stanów Zjednoczonych. I wszystkie te dni przepracował. Miał wrażenie, że wkrótce weekendy staną się odległym wspomnieniem. Spędził ten czas na spotkaniach i konferencjach, śleczął na raportami i przesiadywał w Gabinetie Dowodzenia w Białym Domu.

Gabinet Dowodzenia, na litość boską. Dwadzieścia jeden dni to nie było dość czasu, by się do czegoś takiego przyzwyczaić. Cooper machnął przepustką przy budce strażników przy Pennsylvania Avenue. Odczekał, aż zamek przy drzwiach zacznie brzęczeć.

– Dzień dobry, panie Cooper.

– Dzień dobry, Chet. Mówiłem ci, wystarczy Cooper. – Zdjął kurtkę i położył ją na aktówce na pasie przy wykrywaczu metali. Przeciągnął przepustkę w czytniku i wstukał kod identyfikacyjny. – Jak ci minęła noc?

– Złożyłem się z zięciem i przez Skinsów straciłem dwadzieścia dolarów. Proszę podnieść ręce.

Cooper uniósł je, a Chet przesunął wykrywaczem wzdłuż całego ciała, szukając śladów materiałów wybuchowych i broni biologicznej. Wykrywacz był nową technologią, opracowaną w reakcji na publiczne protesty związane z opóźnieniami podczas kontroli bezpieczeństwa na lotniskach. Cooperowi wydawało się, że niczego to nie przyspieszyło.

– Nie wystarczy, że żeni się z twoją córeczką? Musi jeszcze wyciągać od ciebie kasę?

– Co pan powie. – Strażnik się uśmiechnął, wskazał na przeciwny koniec skanera. – Miłego dnia, panie Cooper.

I tak po prostu znalazł się po drugiej stronie ogrodzenia, na terenie Białego Domu. Idąc długim, wijącym się podjazdem, minął trójwymiarowe kamery w Pebble Beach, gdzie w dzień i w nocy przesiadywali ludzie z mediów. Znów włożył kurtkę i szedł dalej, napawając się widokiem budynku, jego realnością. Dom narodu, symbol tego, co w nim najlepsze, epicentrum globalnej władzy – jego miejsce pracy.

*Cóż, tak jakby. W rzeczywistości jego gabinet mieścił się w OEOB, budynku biurowym po drugiej*

stronie ulicy. Jednak prawie go nie widywał; godziny pracy spędzał niemal w całości w Zachodnim Skrzydle.

Żołnierz piechoty morskiej w paradnym mundurze wykonał precyzyjny „w prawo zwrot” i przytrzymał Cooperowi drzwi. W holu Cooper zerknął na komórkę i stwierdził, że przyszedł punktualnie, kilka minut przed siódmą. Minął Gabinet Roosevelta, przepuszczając generała i dwóch adiutantów. Dywan był gruby i puszysty, wszystko lśniło, meble wydawały się świeżo wypolerowane. Nigdy nie zastanawiał się zbyt, jak mogłoby pachnieć powietrze w Białym Domu, ale mimo to zaskoczyła go odpowiedź: kwiatami. Pachniało kwiatami, bo codziennie przynoszono tu świeże bukiety.

Skręcił w prawo, minął Salę Gabinetu – Salę Gabinetu! – i po chwili wchodził już do pomieszczeń prezydenta w Zachodnim Skrzydle. Dwie asystentki stuknęły w klawiatury projektowane na blaty zabytkowych biur, a ich monitory były z polaryzowanego monoszkła, tak cienkiego, że gdy patrzyło się z boku, wydawały się nie istnieć. Zabawne połączenie starego i nowego.

Rzecznik prasowy Holden Archer pogrążony był w rozmowie z Marlą Keevers – bystra i bezwzględna szefowa sztabu ubrana była w szary kostium. Oboje byli wytrawnymi politykami i niewiele zdradzali, jednak w oczach Coopera subtelne usztywnienie postawy w chwili jego przybycia mówiło mu bardzo wiele.

*Wyluzujcie, ludzie. Nie chcę uam odebrać roboty.*

Cooper wsunął ręce do kieszeni i skupił uwagę na obrazie w połączanej ramie, przedstawiającym Statuę Wolności wynurzającą się z impresjonistycznej mgły. Obraz wydawał się dość ładny, jednak gdyby zobaczył go na ulicznym jarmarku, nie zwróciłby na niego uwagi.

– Panie Cooper?

Odwrocił się.

– Panie sekretarzu? Dzień dobry.

Choć obecnie Owen Leahy był sekretarzem obrony, wywodził się z wywiadu i było to po nim widać. Cała jego postawa sugerowała, że nie tylko nie skomentowałby jakości tego poranka, ale nie potwierdziłby też, ani nie zaprzeczył, że faktycznie jest przed południem. Niewiele istniało ludzi, którzy tak niewiele zdradzali zdolnościom Coopera.

– Coś nowego z Dziećmi Darwina? – spytał Cooper.

Leahy przybrał obojętną minę.

– Znaleźli już dla pana gabinet?

– Tak, po drugiej stronie ulicy.

– Ach! – Ledwie dostrzegalny uśmiešek. Cooper zauważył, że ludzie tutaj bardzo zwracają uwagę na to, gdzie mieszczą się ich gabinety. – A jak się panu tutaj podoba? – ciągnął Leahy. – Po pracy w DAR wszystkie te spotkania muszą się wydawać strasznie nudne.

– Och, wcale nie jest aż tak inaczej – odparł Cooper. – Mniej strzelania, ale i tak mnóstwo ofiar śmiertelnych.

Leahy zaśmiał się cicho, jakby chciał powiedzieć: ale z ciebie zabawny gość. Cooper widział, że sekretarz obrony szykuje się do kolejnej zawołanej obelgi, lecz nim zdążył ją wypowiedzieć, otworzyły się łukowate drzwi w południowo-zachodniej ścianie. Prezydent Lionel Clay wysunął głowę, rzucił do sekretarki: „Przesuń na później wszystko, co nieistotne”, po czym zawrócił, wskazując przez ramię, że mają pójść za nim.

Gabinet Ovalny błyszczał w promieniach porannego słońca. Światło odbijało się od wszystkich wypolerowanych powierzchni. Keevers, Leahy i Archer weszli swobodnym krokiem, jakby to był jakiś zwykły pokój. Cooper usztywnił ramiona i spróbował zachowywać się tak samo, ale wciąż miał to dziwne, wyjątkowe uczucie, którego doświadczał za każdym razem.

– Owen, jak wygląda sytuacja z Dziećmi Darwina?

– Uzyskujemy coraz kompletniejszy obraz, sir, ale dzieje się to powoli. – Sekretarz obrony zaczął zapoznawać prezydenta z najnowszymi informacjami, było jednak oczywiste, że nie poczyniono żadnych znaczących postępów.

Odłąd Cooper został doradcą Clay'a, stał się kimś w rodzaju eksperta od spraw związanych z tą organizacją terrorystyczną. Pochłaniał każdy raport na temat Dzieci Darwina, spotykał się z ludźmi z DAR, FBI i NSA, przez wiele godzin wpatrywał się w zdjęcia spalonych żywcem tirowców. Jednak mimo całego czasu, jaki temu poświęcił, wciąż wiedział bardzo niewiele. Wydawało się, że ta organizacja powstała w pełni ukształtowana. Nikt nie wiedział, jaka jest duża, gdzie ma swoją bazę, skąd bierze fundusze, czy jest scentralizowana, czy też stanowi jedynie luźną sieć komórek terrorystycznych.

– A do czego się to sprowadza, sir? – ciągnął dalej Leahy. – W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się dość dużo: bomby w magazynach żywności ilustrują ich wiedzę techniczną i dostęp do materiałów chemicznych, nagranie z kamery pokazuje, że podczas zamachów na ciężarówkę posłużyli się skradzionymi policyjnymi radiowozami, nasi analitycy wiedzą coraz więcej dzięki porównywaniu danych, lecz żadna z tych rzeczy nie dostarczyła nam odpowiedzi umożliwiających podjęcie działań.

– Może to dlatego, że są fanatykami? Szaleńcami – wtrąciła Keevers. – Palą ludzi żywcem. Czemu traktujemy Dzieci Darwina jak jakiś obcy reżim, a nie jak sektę?

Prezydent potarł podbródek.

– Nick? Co o tym sądzisz?

Tylko jego była żona Natalie i Shannon zwracały się do niego po imieniu, ale jakoś nie potrafił zdobyć się na to, by poprosić prezydenta Stanów Zjednoczonych, by mówił do niego Cooper. Odchrząknął, zastanowił się chwilę.

– Proszę pomyśleć, jak rozwścieczony był cały naród po obejrzeniu nagrania z Monocle. Prezydent planował zabić swoich obywateli.

Clay zachował łagodny wyraz twarzy, ale troje członków sztabu wymieniło spojrzenia, zaczęło przekładać papiery. Cooper czuł, że się od niego dystansują. Niech będzie. *Dopóki tu jesteś, równie dobrze możesz mówić prawdę.*

– Cóż, teraz proszę wziąć pod uwagę punkt widzenia obdarzonych. Dzieci ze zdolnościami pierwszego poziomu są siłą odbierane rodzicom i wysyłane do akademii. DAR eliminuje obdarzonych, których uznaje za zagrożenie dla społeczeństwa, bez rozprawy, bez wyroku sądu. Za sprawą Inicjatywy Nadzoru i Monitoringu każdy obdarzony Amerykanin zostanie zmuszony do wszczęcia mu mikrochipa w szyję...

– To się jeszcze okaże – wtrącił Clay. – Nie jestem fanem takiego rozwiązania.

– Miło to słyszeć, panie prezydencie. Jednak nawet jeśli uda się panu doprowadzić do uchYLENIA ustawy, a powinno się udać, nie zmieni to faktu, że obdarzeni są traktowani jak obywatele drugiej kategorii.

– Nie jestem pewien, czy widzę jakąkolwiek wartość taktyczną tej analizy – rzucił Leahy.

– Jest tak – odparł Cooper. – Może i są fanatykami, ale nie są szaleńcami i mają prawo być wkurzeni. Przez całe życie polowałem na terrorystów. Nienawidzę wszystkiego, co reprezentują. Ale nie udawajmy, że nie zostali sprowokowani.

– I nie zapominajmy – odparł Leahy – że zabili tysiące ludzi, spalili żywcem niewinnych mężczyzn i kobiety i próbują zagłodzić trzy amerykańskie miasta. Co pan proponuje? Żebyśmy usiedli przy stole i pogawędzili o tym, co nas różni?

– Nie. Nie możemy negocjować z terrorystami.

– W takim razie...

– Ale ktoś mógłby negocjować w naszym imieniu.

Prezydent Clay wyglądał na zamyślonego.

– Kogo masz na myśli, Nick?

– Erika Epsteina. – Ten najbogatszy człowiek świata zarobił ponad trzysta miliardów dolarów, wykorzystując swoją zdolność do odkrywania wzorców na giełdzie. Gdy w końcu zamknięto globalne rynki, by chronić się przed ludźmi takimi jak on, skupił się na nowym projekcie: zaczął budować dom dla obdarzonych. Wykorzystał swój majątek, by w sercu pustyni w Wyomingu stworzyć Izrael dla nienormalnych. – Jako przywódca Nowego Kanaan posiada koneksje wśród obdarzonych na wszystkich szczeblach. I nie akceptuje terroryzmu, więc... – Cooper zawiesił głos. Pozostali członkowie sztabu wymieniali spojrzenia. – O co chodzi?

– Oczywiście, nie wie pan – zauważyła Marla Keever. – Jest pan w tym świecie nowy, skąd miałby pan wiedzieć. Ale widzi pan, Erik Epstein nie istnieje.

Wpatrywał się w nią zdeprymowany. Pamiętał, jak stał w podziemnym świecie komputerów pod Nowym Kanaan i rozmawiał z Epsteinem. Dziwnym, inteligentnym mężczyzną, który posiadał potężną zdolność korelowania pozornie niezwiązanych źródeł i budowania wzorców na podstawie danych.

Oczywiście, ta sama zdolność uczyniła z niego odludka, niemal niezdolnego do komunikowania się z innymi ludźmi. To dlatego jego brat był publicznym „Erikiem Epsteinem”, tym, który brał udział w talk-show i spotykał się z prezydentem. Była to tajemnica znana tylko garstce ludzi.

– Widzi pan – ciągnęła Keevers – to przecież oczywiste, że człowiek udający Epsteina nie jest tym samym, który doprowadził do zamknięcia giełdy.

– Co czyni niemożliwym wykorzystanie go w celach dyplomatycznych – stwierdził prezydent. – Nigdy nie moglibyśmy być pewni, z kim mamy do czynienia.

– Ale... – Cooper ugryzł się w język. Znał prawdę, której ci ludzie nie znali, szczegół, który mógł okazać się ważny. Z drugiej jednak strony, to byli jedni z najpotężniejszych ludzi na świecie. Jeśli Epstein postanowił nie zdradzać im swego sekretu, musiał istnieć jakiś powód.

*Ostatnim razem, gdy spotkałeś Epsteina, obiecałeś mu, że zabijesz Johna Smitha. Ale oszczędziłeś go. Naprawdę chcesz dwa razy wydybać najbogatszego człowieka na świecie?*

– Rozumiem.

– Na razie – podjął Leahy, jakby mu w ogóle nie przerwano – skupiamy się na opanowaniu sytuacji. Jutro mamy nadzieję rozpocząć rozdawanie żywności i artykułów pierwszej potrzeby.

– Jutro? – Prezydent zmarszczył brwi. – Supermarkety są puste już od dwóch dni. Skąd to opóźnienie?

– Powinniśmy raczej traktować to jako sukces, sir – stwierdziła Keevers. – Gwardia Narodowa nie utrzymuje rezerw żywności. W Tulsie i Fresno negocjujemy z dystrybutorami żywności, ale w rejonie Cleveland największy magazyn został zniszczony. Musimy to koordynować z innymi dystrybutorami z północno-wschodniego Ohio.

– A co z Federalną Agencją Zarządzania Kryzysowego?

– Nie może podjąć działań, dopóki gubernator Timmons nie ogłosi stanu wyjątkowego i formalnie nie zwróci się o pomoc.

– Czemu tego nie zrobił?

– Jest demokratą – odparła Keevers. – Jeśli zwróci się o pomoc do republikańskiego prezydenta, przy następnych wyborach wypomną mu to jako słabość.

– Proszę to załatwić. Ludzie są głodni.

– Tak, sir. – Marla Keevers wyjęła tablet i zapisała w nim notatkę. – A tymczasem Gwardia Narodowa usiłuje organizować ośrodki dystrybucji żywności, ale mają z tym kłopoty. W wielu sklepach spożywczych doszło do incydentów. Powybijane szyby, bójkі, szabrownictwo. Gwardia



Narodowa usiłuje zachować spokój, ale kiedy kontrolują tłum i bronią sklepów, nie mogą tworzyć ośrodków pomocy. A im większe opóźnienia w dostawach żywności, tym więcej ludzi wychodzi na ulice.

Prezydent Clay odwrócił się do nich plecami i podszedł do okna. Zapatrzył się na Ogród Różany rozświetlony promieniami porannego słońca.

– Jakież ofiary?

– Jeszcze nie. Kilka osób trafiło do szpitala.

– Ludzie muszą się uspokoić – stwierdził Clay. – Ta panika jest gorsza niż sam problem.

– Tak, sir – przyznała Keevers. – Uważamy, że powinien pan wygłosić orędzie do narodu.

– Dziś po południu?

– Wieczorem będziemy mieli lepszą oglądalność – zauważył sekretarz prasowy Archer.

– Tylko krótkie oświadczenie – dodała Keevers. – Przygotowane uwagi. Nadzoruje pan osobiście wszystkie próby...

– Wysiłki – poprawił Archer – nie próby. Osobiście nadzoruje pan wszelkie wysiłki czynione w tym trudnym okresie.

– W trudnym okresie, gdy Amerykanie muszą połączyć swoje siły...

– ...by wykazać hart ducha i determinację, które definiują charakter narodu, et cetera.

– Pokłada pan najgłębsze zaufanie w Gwardii Narodowej oraz w mieszkańcach Cleveland, Tulsy i Fresno.

– A tymczasem nie szczędzi się wysiłków w poszukiwaniu tych, którzy w tak podły sposób zaatakowali nasz naród.

– Przepraszam – odezwał się Cooper.

Rytm został zakłócony. Wszyscy odwrócili się, by na niego spojrzeć, jakby zapomnieli, że w ogóle tam jest. Uśmiechnął się przyjaźnie.

– Powiedziała pani „oświadczenie”. Czy prezydent nie powinien odpowiedzieć na pytania?

– Nie – odparli Keevers i Leahy jednocześnie.

– Absolutnie nie – dodał Archer.

– Trzy miasta są pogrążone w chaosie – powiedział Cooper. – Brakuje żywności, dochodzi do szabrownictwa i trzeba się liczyć z ryzykiem zamieszek. Dlaczego prezydent nie miałby odpowiedzieć na pytania?

Na twarz Keevers widać było napięcie.

– Panie Cooper, nie sądzę, żeby...

– Właściwie – odezwał się prezydent Clay – to, co on mówi, ma sens. Czemu nie miałbym odpowiedzieć na pytania?

Pozostała trójka popatrzyła po sobie. Po chwili Archer odparł:

– Dłatego, sir, że te pytania będą brzmiały: Kim są Dzieci Darwina? Gdzie oni są? Czego chcą? Jakie mamy szanse ich powstrzymać?

– Dlaczego nie pokazać się z silnej strony? – spytał Clay. – Powiedzieć, że sytuacja jest pod kontrolą i że Dzieci Darwina zostaną wkrótce zneutralizowane tajnymi, szybkimi i ostatecznymi działaniami.

– Bo wywiad sugeruje, że może dojść do kolejnych zamachów – powiedział sekretarz obrony. – Jeśli powie pan, że się tym zajmujemy, a godzinę później coś wybuchnie, będzie to wyglądało tak, jakbyśmy przysnęli.

– A więc proszę powiedzieć prawdę – odezwał się Cooper. – Proszę powiedzieć ludziom, że nie zna pan jeszcze wszystkich odpowiedzi. Że cała uwaga amerykańskiego rządu skoncentrowana jest właśnie na tym problemie. Że nie będziemy tolerować terroryzmu, a Dzieci Darwina zostaną schwytane lub zabite. I że tymczasem zwraca się pan do swoich obywateli, by zachowywali się jak duzi chłopcy i się uspokoiili.

Zapadło milczenie. Miało ono swój ciężar i teksturę. To było milczenie, które bardzo wiele mówiło; milczenie, w którym co najmniej trzy osoby się zastanawiały, jak daleko sięga jego głupota.

*To by było na tyle, jeśli chodzi o „prawda nas wyzwoli”.*

Po dłuższej chwili odezwał się prezydent.

– W porządku. Pytań nie będzie.

Cooper oparł się wygodnie na swoim krześle. Słumił chęć, by wzruszyć ramionami.

– Ale Nick poruszył istotny problem – ciągnął dalej Clay. – To ważne, by ludzie nie przestali myśleć, że z prezydentem nie ma żartów, a jeśli wygłoszę oświadczenie i nie odpowiem na pytania, to będzie sugerować, że coś ukrywamy. Ale Holden będzie miał pole manewru i będzie mógł udzielać wymijających odpowiedzi. On odpowie na pytania.

– Tak, sir.

– Chocę wiedzieć wszystko o dzieciach Darwina, Owen. Nie w przyszłym tygodniu, nie jutro. Teraz.

– Tak, sir.

– Dobrze.

Lionel Clay przeszedł za biurko, nałożył okulary do czytania i zaczął przerzucać dokumenty z jakiejś teczki. Natychmiast pochłonęło to całą jego uwagę. Efekt uboczny zdolności Coopera był taki, że z reguły kategoryzował ludzi jako różne odcienie barw; napaleńcy wydawali mu się czerwoni, introwertycy przybierali odcienie szarości. Lionel Clay był przydymionym złotem ścian kawiarni, kolor budzący zaufanie i wyrafinowany.

*I świetnie. Ale zastanawiam się, czy nie potrzebujemy teraz człowieka, którego uzorzec*

*przypominałby wypolerowaną stal.*

Wstał, zapiał marynarkę i wyszedł za pozostałymi z Gabinetu Ovalnego. Marla Keeverś odczekała, aż zamkną się drzwi, po czym natychmiast na niego naskoczyła.

– Jak duzi chłopcy?

– I jak duże dziewczynki – odparł Cooper.

Jej uśmiejch był sztuczny, chłodny i nie widać go było w oczach.

– Zdaje pan sobie sprawę, że osiągnął pan tylko tyle, iż prezydent podniecił się czymś, czego nie jest w stanie zrobić?

– Z tego, co rozumiem, może zrobić właściwie wszystko, co zechce.

– Myli się pan. A teraz, zamiast prezydenta, który powie narodowi, by się nie martwił, będziemy mieli sekretarza prasowego, który manewruje i robi uniki. Holden jest w tym dobry, ale nam potrzeba przywódcy wolnego świata, który mówi ludziom, że wszystko jest w porządku.

– Nawet jeśli nie jest w porządku.

– Zwłaszcza wtedy.

– Widzi pani, właśnie w tym punkcie się nie zgadzamy. Ja uważam, że zadaniem prezydenta jest chronić kraj. A powiedzenie ludziom prawdy jest najlepszym sposobem, by to zrobić.

– O Chryste. – Przewróciła oczami. – Powiedziałabym, że mam nadzieję, że wie pan, co pan robi, ale jak widać nie.

– Zobaczmy – stwierdził Cooper.

– Tak – odparła Marla Keeverś. – Zobaczmy.

**PRAWDA ZA ZASŁONĄ KŁAMSTW**  
**INTERNETOWE FORUM DLA NIEDOWIARKÓW**  
Proszę, zarejestruj się przed opublikowaniem posta

**\$pišek wokół zamordowania dyrektora DAR**

**El Chupacabra**

„Dlaczego mówi się na to «zdrowy rozsądek», skoro to niezdrowe, że występuje tak rzadko”.

Użytkownik 493324

Słuchajcie, musicie to usłyszeć.

Wiedzie, że trzy miesiące temu Drew Peters z DAR skoczył na główkę z wieżowca w Waszyngtonie? Oficjalna historyjka głosi, że w związku z rolą, jaką odegrał w masakrze w Monocle, aż tak przytłoczyło go poczucie winy, że wrzucił do sieci nagranie, na którym zaplanował to z Walkerem, a potem skoczył z dachu.

Już sam początek jest nieźle zakreśiony, bo koleś był szefem Służb Obywatelskich, które zabiły Bóg wie ilu ludzi. Dlaczego miałby się aż tak przejąć tymi 73, którzy byli w restauracji?

Ale teraz będzie naprawdę porąbana część. Mam kumpla w waszyngtońskiej policji, który powiedział mi, że tej samej nocy w tym samym budynku doszło do strzelaniny w studiu projektowym. Najwyraźniej kompletnie je zdemolowali, porozwalane monitory, stłuczone szkło. Mój kumpel twierdzi, że było sporo krwi, ale żadnego ciała.

Mojego kumpla wysłali na miejsce zdarzenia, ale zawrócili go faceci w czerni. Uważa, że to mogli być agenci DAR. A później, tej samej nocy, zadzwonił do niego komisarz policji i powiedział mu, że się myli, że nie było żadnej krwi, żadnej strzelaniny.

Najwyraźniej było trochę inaczej. Według mnie Peters nie upublicznił tego nagrania; zrobił to ten, który zdemolował studio projektowe.

A to znaczy, że Peters został zamordowany. I nikt o tym nie gada.

A więc rozkaz musiał pochodzić z samej góry. Ktoś ze sporą władzą poprzekładał za kulisami kawałki tej układanki.

Bądźcie czujni i gotowi. Nadchodzą kiepskie dni.

**Re: \$pišek wokół zamordowania dyrektora DAR**

**Benito Wielki**

„Zatrzymajcie się i we mnie uznajcie Boga”<sup>[\*]</sup>

Użytkownik 784321

Dopiero teraz ci to świta?

Musiło być w to zaangażowanych więcej ludzi. Walker był prezydentem, a Peters dyrektorem DAR. Chyba nie myślisz, że to któryś z nich wykonał mokrą robotę w Monocle? I nikt nie znalazł tych, którzy strzelali, co znaczy, że ich też wyeliminowano.

A ty się dziwisz, że maczali w tym palce inni?  
Tutaj działał cały gabinet cieni. Występują w telewizji i pokazują nam jakiś magiczny show. Nakręcamy się tym, że jakiś burmistrz wysłał dziewczynie zdjęcie swojego fiuta albo senator palnął coś rasistowskiego, albo czyjś bliski współpracownik pali crack. Cali jesteśmy w achach i ochach. Podniecamy się i w ogóle nie interesujemy się tym, co oni naprawdę robią.  
Kluczowe decyzje dla tego narodu podejmuje się za zamkniętymi drzwiami. Nikt tego nie nagrywa i nie wydaje się żadnych komunikatów dla prasy.  
To sięga o wiele głębiej niż Monocle. Istnieje klika, która pociąga za wszystkie sznurki i nie waha się zabijać tych, którzy są niewygodni. Lepiej, żeby twój kumpel z policji był ostrożny.

Re: \$pišek wokół zamordowania dyrektora DAR

**LadyKiller87**

„Ludzie, wszyscy jesteście owcami”

Użytkownik 123021

Jakaś ściema. Zatuszowanie zabicia dyrektora DAR wymagałoby niesamowitych wpływów.

Re: \$pišek wokół zamordowania dyrektora DAR

**Benito Wielki**

„Zatrzymajcie się i we mnie uznajcie Boga”

Użytkownik 784321

Masz rację, to by wymagało kogoś w stylu prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ale czekaj! On był w to zamieszany. Debilu.

\$pišek wokół zamordowania dyrektora DAR

**El Chupacabra**

„Dlaczego mówi się na to «zdrowy rozsądek», skoro to niezdrowe, że występuje tak rzadko”.

Użytkownik 493324

No to jak głęboka jest ta królicza nora? Walker był prezydentem; kto jeszcze należy do jego kliki? Prezydent Clay? Sekretarz obrony Leahy?

Re: \$pišek wokół zamordowania dyrektora DAR

**Benito Wielki**

„Zatrzymajcie się i we mnie uznajcie Boga”

Użytkownik 784321

Możliwe. Wiem tylko tyle, że mam spakowany plecak, a mój domek letniskowy jest przygotowany. Dwie palety konserw, dwieście galonów wody

i sprzęt do obrony.

Kiedy to gównu już się zacznie, zamierzam zniknąć w wielkim stylu. I biada każdemu durnemu świrowi, który wejdzie na mój teren.

Re: \$pi\$ek wokół zamordowania dyrektora DAR

**BananaGirl**

„Zamartwianie się to złe wykorzystanie wyobraźni”

Użytkownik 897236

Ziomal, niepotrzebna ci cała ta woda. Zbuduj sobie po prostu basenik na deszczówkę i system oczyszczania. Tutaj masz plany.

---

[\*] Biblia Tysiąclecia, Stary Testament, Księga Psalmów 46,11.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

– Jak duże dziewczynki? Naprawdę tak powiedział?

– I uśmiechał się, jakby to było czarujące. – Marla Keeverś popijała kawę.

– Przynajmniej ma refleks. – Owen Leahy pokręcił głową. Był sekretarzem obrony i tylko przed nielicznymi z otoczenia odsłaniał karty. Marla była jednak przyjaciółką, przynajmniej na tyle, na ile umożliwiała to polityka na tym szczepku. Oboje pracowali za prezydenta Walkera i szybko się przekonał, że była jedną z tych nielicznych osób, które wykonywały swoją robotę bez względu na cenę. Lubił takich ludzi. Sam był jednym z nich. – Wygląda na to, że prezydent jest nim zauroczony.

– Cooper od razu go sobie pozyskał. Wiesz jak? Kiedy Clay zaproponował mu tę robotę, a on odmówił.

– Żartujesz sobie?

– Nie. Uwierzyłbyś? Facet siedzi w limuzynie, po całym tym pokazie siły, gdy zgarnęło go dwudziestu agentów z Secret Service, i odmawia.

Znajdowali się w jej gabinecie, za zamkniętymi drzwiami. Leahy założył nogę na nogę i odchylił się na krześle. Te nieformalne konferencje miały swój początek, gdy musieli jakoś zapanować nad wszystkim w okresie przejściowym między Walkerem a Clayem, ale potem zaczęli sobie w tym czasie ucinąć pogaduszki.

– Odstawiał przedstawienie?

– Nie. To jest właśnie najdziwniejsze. Naprawdę nie chciał tej roboty.

Coś takiego potrafiło wytrącić z równowagi. Byli w Waszyngtonie. Każdy chciałby tę robotę.

– Czyli Cooper jest jego najnowszym pupilkim.

Marla pokiwała głową. Wpatrywali się w siebie, a potem wybuchnęli śmiechem. To było miłe uczucie, choć sytuacja była absurdalna.

– Nieżle się porobiło na tym świecie, co? Zrzucasz swojego szefa z dachu i kończysz na służbie u prezydenta – stwierdził Leahy. – Chyba zawsze możemy to wykorzystać, by mieć nad nim kontrolę.

– Cooper nie stanie się marionetką. A poza tym, czy naprawdę chcemy otwierać akurat tę puszkę Pandory? – Marla pokręciła głową. – Gdyby prawda o tamtej nocy wyszła na jaw, ludzie

zaczęliby zadawać pytania, kto jeszcze był w to zamieszany.

– Nie miałem nic wspólnego z Monocle.

– Ja też nie. Ale istnieje mnóstwo innych rzeczy, których byliśmy... świadomi. – Nie rozwinęła tej myśli, a on to docenił. Zgrabne posunięcie.

– No nie wiem, Marlo. Czy to ze mną coś jest nie tak, czy ten świat oszalał? Nadciąga być może największy kryzys w historii Stanów Zjednoczonych, a prezydent zasięga rady u jakiegoś harcerzyka.

– Wiesz, ilu ludzi zabił Nick Cooper?

– No dobra – przyznał Leahy. – Niebezpiecznego harcerzyka.

Wzruszyła ramionami. Rozległ się sygnał, przyszła do niej jakaś wiadomość. Zerknęła na nią, szybko wstukała odpowiedź. Leahy splótł palce na karku, zapatrzył się w sufit.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, gdy Bryce opublikował raport ze swoich badań dotyczących obdarzonych, dopiero zaczynałem pracować w CIA. Odslużyłem cztery lata w wywiadzie wojskowym, przeniosłem się. Byłem pieprzonym kotem od Bliskiego Wschodu, młodszym analitykiem, i dostawałem same najgorsze zadania. Ale kiedy przeczytałem ten raport, wstałem od biurka, poszedłem prosto do gabinetu zastępcy szefa i zapytałem, czy znalazłby dla mnie pięć minut.

– No nie mów.

– Byłem młody.

– Spotkał się z tobą?

– Tak. – Leahy uśmiechnął się na wspomnienie tamtego dnia. Styczeń, mróz; buty miał poplamione solą i gdy czekał pod gabinetem Mitchuma, ślinił sobie palce i próbował je doczyścić. Wciąż czuł w ustach ten cierpki posmak soli i ziemi. – Popatrzył na mnie, jakbym był niespełna rozumu. – Wzruszył ramionami. – Wtedy już nie mogłem się wycofać, więc pomyślałem: pieprzyć to. Albo sobie dziś wyrobisz nazwisko, albo wylecisz z roboty.

– Co mu powiedziałeś?

– Rzuciłem ten raport na jego biurko i oświadczyłem: „Sir, może pan zapomnieć o szejkach, o Berlinie i o Sowietach. To będzie konflikt, który zdefiniuje kolejne pięćdziesiąt lat dla amerykańskiego wywiadu.

– No nie. – Marla uśmiechała się szeroko. – Nie mów.

– Tak.

– No i?

– Wyśmiał mnie, wyprosił ze swojego gabinetu i spędziłem dodatkowy rok jako młodszy analityk. Ale miałem rację. Wiedziałem to wtedy i teraz też to wiem. – *I Mitchum też to wie.* Upłynęło pięć lat, nim zastępca szefa dostrzegł prawdę, a wtedy przypomniał sobie, kto powiedział



mu o tym jako pierwszy. Od tego czasu Mitchum zaczął się nim osobiście interesować, a Leahy w przyspieszonym tempie piał się w górę. – Nic w naszej historii nie stanowiło takiego zagrożenia, jakim są obdarzeni.

– Wyluzuj. „New York Times” zapłaciłby fortunę, żeby móc cię zacytować.

– „Times” może mnie pocałować. Mam troje dzieci i pięcioro wnuków i żadne z nich nie jest obdarzone. Co powiesz o ich perspektywach na przyszłość? Myślisz, że za dwadzieścia lat będą rządzić światem? Czy może podawać frytki?

Marla nie odpowiedziała, wstukała tylko kolejną wiadomość.

– Co o nim sądzisz? – spytał Leahy.

– O Cooperze?

– O Clayu. Jest prezydentem od dwóch miesięcy. Okres ochronny się skończył. Co o nim myślisz?

Odsunęła ręce od klawiszy. Sięgnęła po kawę i w zamyśleniu upiła długi łyk. W końcu odparła:

– Myślę, że byłby z niego wspaniały wykładowca historii.

Ich spojrzenia się spotkały.

Nie było potrzeby mówić nic więcej.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Był rześki, pogodny dzień, jeden z takich, gdy człowiek czuje się dumny, że posiada swój dom i że w roboczym ubraniu pracuje na własnym podwórku. Piwo na ganku, głosy z radia w tle. Ethan brał udział w tym największym kłamstwie białych kołnierzyków, że dziś „popracuje w domu”, i nie czuł się z tym ani trochę źle. W laboratorium spędził wiele godzin. Poza tym to, co nazywano w wiadomościach „kryzysem w Cleveland”, trwało już od trzech dni. Ludziom zaczęły się kończyć zapasy, będą głodni. Głodni ludzie potrafią robić głupie rzeczy, a on nie zamierzał zostawiać żony i dziecka samych w domu.

– ...ma dziś wieczorem wygłosić orędzie do narodu. W oczekiwaniu na tę konferencję prasową Biały Dom nieustannie powtarza, że Gwardia Narodowa jest w trakcie organizowania ośrodków pomocy w celu dystrybucji żywności i artykułów pierwszej potrzeby w każdym z dotkniętych kryzysem miast...

Gdy stał się właścicielem domu, odkrył jedną rzecz: te cholerne liście ciągle spadały. Ale odnalazł coś z zenu na pychaniu nimi worków, w chłonięciu najdrobniejszych szczegółów, zapachów, tego, jak przy ich nagarnianiu drobne pyłki wirowały w smugach złocistego jesiennego słońca.

– ...wskazują, że jest to jedynie niedogodność, z której nie wynikną żadne trwałe reperkusje. Proszą, by wszyscy zachowali spokój...

– Doktorze Park?

Ethan podniósł wzrok. Na chodniku stali mężczyzna i kobieta. Mieli ciemne ubrania i okulary przeciwsłoneczne. Mężczyzna wyciągnął portfel z odznaką.

– Jestem agent specjalny Bobby Quinn, a to agent specjalny Valerie West. Jesteśmy z Departamentu Analiz i Reagowania. Ma pan chwilę?

Ethan się wyprostował, zatrzeszczało mu w plecach.

– Eee... Jasne.

– Czy mamy przyjemność z doktorem Ethanem Parkiem z Instytutu Zaawansowanej Genomiki?

– Zgadza się.

Quinn kiwnął głową, przyglądając się podwórz, zniszczonemu ubraniu Ethana i jego brudnym rękom.

– Ma pan coś przeciwko temu, żebyśmy weszli do środka?

– O co chodzi?

– O doktora Abrahama Couzena. Możemy porozmawiać w domu?

– Abe? – Wzruszył ramionami i odparł: – Jasne. – Czuł się trochę surrealistycznie. Gdzie, z wyjątkiem filmów, na trawniku przed twoim domem zjawiali się rządowi agenci? Wszedł po schodach i wpuścił ich do środka. – Usiądźcie, proszę. Napijcie się kawy albo coś takiego?

– Nie, dziękujemy. – Agenci usiedli obok siebie na sofie.

– Miłe miejsce – stwierdził Quinn.

– Dziękuję.

– Ma pan małe dziecko? – Agent wskazał na bujany fotelik.

– Córeczkę. Ma dziesięć tygodni. Proszę posłuchać. Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale o co chodzi?

– Kiedy ostatni raz widział pan doktora Couzena?

– Kilka dni temu.

– Mógłby pan spróbować określić to dokładniej?

Ethan się zastanowił. Abe przychodził i wychodził, jak mu pasowało. *Tak właściwie to wszystko w ten sposób robił.*

– Przedwczoraj. W laboratorium.

– I od tego czasu się do pana nie odzywał?

– Nie. Coś się stało?

Quinn wyglądał, jakby go coś dręczyło.

– Przykro mi to panu mówić, ale wczoraj jego sąsiad zgłosił, że z domu doktora Couzena dochodziły odgłosy strzelaniny. Policja sprawdziła zgłoszenie i stwierdzono, że wyważono drzwi na tyłach jego domu. Splądrowano gabinet, a Couzen zniknął.

– C o t a k i e g o ? Nic mu się nie stało?

– Tego się właśnie próbujemy dowiedzieć.

– Doktorze Park – odezwała się West. – Czy wie pan o kimś, kto groziłby doktorowi Couzenowi?

– Nie.

– Czy z instytutu został ostatnio zwolniony ktoś, kto mógłby żywić do niego urazę?

Ethan niemal się roześmiał na te słowa.

– Zwolniony? Nie. Żywić urazę? Jasne. Abe nie jest typem faceta, z którym się łatwo pracuje.

– Co pan ma na myśli?

– Jest... – Wzruszył ramionami. – W dawnych czasach powiedzieliby, że jest uzdolniony, ale teraz oznacza to coś innego. Nie jest obdarzony, ale to geniusz, który nie mieści się na skalach. I nie należy też do cierpliwych.

- Co dokładnie chce pan przez to powiedzieć?
- Jest zgryźliwy. Trudny. Traktuje lekceważąco każdego, kto nie jest równie bystry jak on, co w praktyce oznacza właściwie wszystkich.
- W tym również pana?
- Czasami. Ale nie włamałem się do jego domu, jeśli o to pan pyta.
- Nic z tych rzeczy. – Quinn uniósł ręce. – Próbujemy po prostu ustalić, dlaczego ktoś mógł wybrać sobie Couzena za cel.
- Za cel? – Ethan spoglądał to na jednego, to na drugiego z agentów. – Przepraszam, ale chyba nadal nie nadążam.
- To nie był zwykły napad – odparł Quinn. – Przyszli, kiedy był w domu. Doszło do szarpaniny i doktor Couzen zniknął. Na tę chwilę zakładamy, że został porwany.
- Ethan oparł się na krzesle i siłował przetworzyć to, co właśnie usłyszał. Porwany? Kto mógłby porwać Abe'a?
- Doktorze Park?
- Po prostu Ethan.
- Ethan, możesz nam powiedzieć, nad czym pracował Couzen?
- Nad korzeniami epigenetycznymi zmiennej ekspresji genów.
- Agenci wymienili spojrzenia. Quinn rozłożył ręce, uniósł brwi.
- No tak.*
- Słyszeliście kiedyś o kohorcie kłęski głodu w Holandii? – spytał. Agenci wciąż mieli puste spojrzenia. – Pod koniec drugiej wojny światowej Niemcy głodziły Holandię. Nazywano to Zimą Głodu; umarło około dwudziestu tysięcy ludzi. Jak się możecie domyślać, kobiety, które były w tym okresie w ciąży, urodziły słabsze dzieci. To akurat wydaje się logiczne. Ale niespodzianka polega na tym, że te dzieci spłodziły potem dzieci wykazujące takie same problemy. I podobnie ich dzieci. Krótko mówiąc, to jest właśnie epigenetyka.
- O rany – zdziwiła się agentka West. – Poważnie?
- Niezle, nie?
- Tak. Czyli co, głodowanie zmieniło ich DNA?
- Ethan poczuł, że ją lubi. Jej partner miał w sobie coś z agenta FBI w starym stylu, ale wydawał się trochę głupi.
- Nie. Na tym właśnie polega cały trik. Nie samo ich DNA, ale ekspresję genów, to, w jaki sposób są regulowane. Epigenetyka jest sposobem natury, by radzić sobie ze zmianami środowiskowymi bez zmieniania samego DNA.
- Ale jak?
- Cóż, to jest właśnie problem, którym się zajmujemy. Tak jakby.

– W ostatnich miesiącach dokonaliście kilku przełomów – stwierdził Quinn.

*Nawet nie masz pojęcia.*

– Poczyniliśmy postępy.

– Możesz nam powiedzieć, czego się dowiedzieliście?

Ethan pokręcił głową.

– Wszyscy podpisujemy umowę z klauzulą poufności, gdy zaczynamy pracę w laboratorium. To, co robimy, może być warte dużo pieniędzy.

– Rozumiem to, ale nie jesteśmy genetykami...

– Przykro mi, ale naprawdę nie mogę. Nie wolno mi powiedzieć, nad czym pracujemy, nawet mojej żonie. Abe bardzo poważnie traktuje tę klauzulę poufności. – Ethan przerwał na chwilę. – Chwileczkę... Sugerujecie, że ktoś porwał go z powodu naszej pracy?

– Kłókolwiek to zrobił, chodziło mu o coś więcej niż tylko o doktora Couzena – odparła agentka West. – Zabrali z jego gabinetu wszystkie wartościowe rzeczy, nawet jego serwer i twardy dysk.

– Wasze laboratorium jest finansowane z prywatnych funduszy, zgadza się? – spytał Bobby Quinn.

– Tak.

– Przez kogo?

– Nie wiem.

Quinn przekrzywił głowę.

– Nie wiesz?

– Jak już mówiłem, Abe jest ekscentrykiem. Wcześniej się na czymś sparzył. Nie chciał ryzykować, że ktoś ukradnie nasze badania i sam je dokończy. – Ethan domyślał się co prawda tożsamości sponsora, ale nie wydawało mu się, by to był odpowiedni moment, aby o tym wspominać.

– Poczekaj. – Quinn podrapał się po podbródku. Wyglądało na to, że wyćwiczył sobie ten gest. – Mówisz, że wykonujecie badania, o których nie wolno wam wspominać, dla pracodawcy, którego nie znacie?

– Nie zajmujemy się oczyszczaniem plutonu. A fundusze to fundusze. – *Tyle tylko, że jeśli nasze wyniki okażą się precyzyjne, fundusze już nigdy nie będą problemem. Całe mnóstwo rzeczy już nigdy nie będzie problemem.* Odsunął od siebie te myśli i dodał: – Naprawdę nie rozumiem, co to ma wspólnego z tym, że Abe został porwany.

– Ethan – odezwała się West – wiem, że to wszystko stało się nagle. Ale analiza danych to moja praca, a tutaj dane wyglądają naprawdę paskudnie. Couzen jest w niebezpieczeństwie i wszystko, co możesz nam powiedzieć o tym, nad czym pracował, może mu ocalić życie.

*Co to może zaszkodzić? To, że poznają cele, nie znaczy, że będą w stanie zreplikować wyniki.*

*Cholera, nawet ty sam nie potrafiłbyś tego zrobić. Abe jest jedynym człowiekiem, który ma wszystkie kawałki tej układanki...*

Chwileczkę.

– Dlaczego DAR?

– Przepraszam?

– Skoro został porwany, dlaczego jest w to zaangażowany DAR? Czy takimi rzeczami nie zajmuje się zwykle FBI?

– Współpracujemy z nimi. Jest wybitnym naukowcem, a my robimy wszystko, co w naszej mocy, by się dowiedzieć, co się stało.

– Ale w czym miałyby pomóc jego badania? Teoria epigenezy nie powie wam, kto się włamał do jego domu. Nie powinniście przypadkiem szukać... no nie wiem... odcisków palców, śladów DNA?

– Robimy to – zapewnił Quinn. – Robimy wszystkie te rzeczy, które widziałeś na filmach. Ale jeśli chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć swojego przyjaciela, musimy wiedzieć to co ty.

Ethan gapił się na niego. Niedające mu spokoju podejrzenie teraz zmieniło się w pewność.

– W ogóle nie chodzi wam o Abe'a, zgadza się?

Agenci nawet nie drgnęli, nie wciągnęli gwałtownie powietrza. A jednak wydawało się, że temperatura w pokoju spadała.

– Agenci DAR... Ha! – Uśmiechnął się. – Chodzi wam o naszą pracę.

– Ethan...

– Doktorze Park – poprawił. – I pora, żebyście już sobie poszli.

Agenci wymienili spojrzenia.

– Wie pan, że możemy dostać nakaz – stwierdził Quinn. – A wtedy będzie pan miał prawny obowiązek podzielić się z nami wszystkim, co pan wie.

– I wtedy to robię. W obecności mojego prawnika. Ale teraz uważam tę rozmowę za skończoną.

– Wstał. Serce biło mu jak szalone. Jakaś część niego nie mogła uwierzyć, że to robił, ale inna była całkowicie przekonana, że miał rację. Ci agenci mieli w dupie Abe'a. *Wiedzą, nad czym pracujesz. Muszą to wiedzieć. Może nawet wiedzą, że uam się udało.*

*I to ich przeraża.*

Podszedł do drzwi i otworzył je. Po dłuższej chwili oboje agenci wstali.

– W porządku, doktorze Park.

Na ganku Quinn się odwrócił, jego życzliwa poza nagle zniknęła.

– Powiem ci coś, nad czym być może będziesz się chciał zastanowić, Ethan. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, twierdzą, że byłeś jego protegowanym. Że może i był geniuszem, ale niewiele udałooby mu się dokonać bez ciebie.

– No i?

– No i krew Abe’a rozprysnęła się po ścianach jego gabinetu. Była wszędzie. – Quinn przesunął dłoń po framudze drzwi i spojrzał na niego znacząco. – Może będziesz chciał się zastanowić, czy naprawdę chcesz, żeby ci sami ludzie przyszli po ciebie. – Uśmiechnął się chłodno i wyjął wizytówkę. – Zadzwoń do mnie, kiedy już do ciebie dotrze, że jesteś w niebezpieczeństwie.

# **NAJLEPSZĄ BRONIĄ PRZECIW TERRORYZMOWI? NIE JEST RZĄD.**

**Jesteś nią ty.**

Wypatrzyłeś podejrzanego pasażera w pociągu?

Powiadom ochronę.

Sąsiad zachowuje się dziwnie?

Zadzwoń.

Kolega twojego dziecka wie coś,  
czego nie powinien wiedzieć? Daj nam znać.

Razem możemy ochronić Amerykę\*.

**Jeśli coś  
WIDZISZ.  
POWIEDZ  
coś.**

**DEPARTAMENT ANALIZ I REAGOWANIA**

\* DAR jest organizacją stosującą zasadę równouprawnienia.  
Prosimy, pamiętaj, by szanować prawa i uczucia innych.  
Obdarzeni też są ludźmi.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

To był parszywy dzień, pełen frustracji i smaku mocno palonej kawy. Ale od razu się poprawił, gdy tylko Cooper wylądował na czternastym księżycu Saturna.

– Enceladus to najbardziej prawdopodobne miejsce w Układzie Słonecznym, gdzie może istnieć życie – stwierdził jego syn. – Jest tam mnóstwo wody, węgla i azotu.

– Wygląda na to, że to tam powinniśmy szukać małych zielonych ludzików.

– Tak – oświadczył Todd. – Ale najpierw musimy zabezpieczyć ściany stacji. Na zewnątrz jest minus trzysta stopni.

– O fuj! – Cooper sięgnął po koc i powiesił go na oparciu krzesła, po czym związał oba końce. – No to lepiej się nie guzdrajmy. Agentko specjalna K? – Podał córce drugi koniec koca, a ona rozłożyła go w salonie. Razem z Toddem dosunęli sofę, żeby tworzyła ścianę, potem położyli na niej drugi koc.

Jego syn przyglądał się tej fortecy z kpiną na ustach.

– Potrzebujemy lepszego sufitu.

– Pracuję nad tym – odparł Cooper. Wypełnił spod koca, poszedł do kuchni i zaczął grzebać w szufladzie, w której było prawie wszystko, w poszukiwaniu taśmy klejącej. Wspiął się na palce i założył pętlę wokół oprawy wentylatora pod sufitem. Potem chwycił koc na środku, podciągnął i owinał dookoła taśmą. – A jak teraz, kapitanie?

– Super!

Uśmiechnął się i wpełzł z powrotem pod koc. Światło docierało przez tkaninę i wyglądało to prawie jak gwiazdy. Namiot był na tyle wysoki, by Cooper mógł siedzieć po turecku i obserwować, jak dzieci budują swoją stację. Todd pracował energicznie, upychając poduszki tak, by stworzyły ścianę, i przyciągnął sofę, by wejście było węższe. Kate skupiła się na szczegółach. Zamykała wszystkie szczeliny i starannie wygładzała fałdy. Robiła porządek. Po swojemu.

*Oczywiście, że tak. Jest obdarzona. Dla niej cały świat składa się z wzorców.*

Mimowolnie wzdygnął się na tę myśl. Nie była po prostu nienormalna; posiadała talent poziomu pierwszego. Na cztery miliony dzieci rodzących się co roku w Ameryce tylko kilka tysięcy posiadało taką moc. Zgodnie z prawem mogły zostać odebrane rodzicom i wysłane do

specjalistycznych rządowych szkół. Akademie były tajemnicą poliszynela, wiadano, że istnieją, ale o nich nie rozmawiano. Bądź co bądź liczba dzieci z talentem poziomu pierwszego była na tyle niewielka, że ten temat nie dotyczył większości ludzi. Tak jak obozy koncentracyjne w Niemczech, obozy internowanych po Pearl Harbor albo więzienia CIA w Afryce – akademie stanowiły przejaw narodowego okrucieństwa, które łatwo było zignorować.

Ale Cooper był w jednej z nich. Widział, jak dzieci są tam izolowane i wykorzystywane, jak nauczyciele szczują je na siebie. Jak personel wprowadza ich sekrety w jakieś tabelki i wzbudza w nich największe lęki. Akademie były po prostu ośrodkami prania mózgu. Cooper słuchał, jak dyrektor Norridge spokojnie wyjaśniał mu cały proces: *„W gruncie rzeczy bierzemy negatywne, kształtujące doświadczenia, jakie przeżywają uszyskie dzieci, i fabrykujemy je zgodnie z profilami psychologicznymi w drastycznie przyspieszonym tempie. Uczymy je od młodości, że nie mogą sobie nauzajem ufać. Że inni odmieńcy są słabi, okrutni i małostkowci”*.

Bezsilności, jaką wtedy odczuwał, dorównywała tylko chęć, by walnąć głową dyrektora o biurko i robić to do czasu, póki jedno lub drugie nie pęknie. Udało mu się zapanować nad sobą, ale wtedy sobie coś poprzysiągł: jego córka nigdy nie skończy w akademii. Nigdy.

Zmierzył jej włosy. Spojrzała na niego przez ramię.

– Tatusiu?

– Tak, kochanie?

– Czy Marsjanie będą mili?

– Cóż, nie jesteśmy na Marsie, słoneczko, więc to nie będą Marsjanie.

– A kto to będzie?

– Todd?

– Enceladianie.

– Czy Enceladianie będą mili?

– Pewnie. Jest za zimno, żeby mogli być wredni. – Usłyszał jakiś dźwięk, wyrztał przez szczelinę spod koca. – Widzę już nawet jednego. Wygląda jak enceladianiska dziewczyna.

W otworze namiotu pojawiły się stopy Natalie, potem – gdy przykućnęła – jej kolana, a wreszcie głowa.

– Mogę wejść?

– Jak myślicie? Trochę współpracy międzygatunkowej? Święto Dziękczynienia na Enceladusie?

Dzieci przez chwilę spoglądały po sobie, potem Kate z powagą pokiwała głową.

– Rany! – uśmiechnęła się szeroko była żona Coopera. – Zawsze chciałam zobaczyć statek kosmiczny od środka. – Wcisnęła się obok niego.

– To jest stacja kosmiczna, mamó.

– Przepraszam. Jest tu wanna? Bo już najwyższa pora, żeby kosmiczna dziewczyna wzięła kąpiel.

– Nie!

– Tak. Chodź.

– Możemy zostawić stację rozstawioną?

– Oczywiście – odparła Natalie. – A co innego mielibyśmy robić z salonem?

Wspólnie zapędzili dzieci i przebrnęli przez wieczorny taniec z kolacją, kąpielą i myciem zębów. Cały ten rytuał przesycony był bolesną słodyczą, którą Cooper wchłaniał w siebie.

Jaskrawe światło w łazience odbijające się od białych kafelków. Głupawe piosenki. Piżama z superbohaterem. Kate z pastą do zębów ściekającą po podbródku. Improwizowane tańce w sypialni, wariująca Kate, Todd trochę skrzepowany, póki Cooper nie zaczął go gonić i laskotać. Czytanie książek. Dobijanie targów. Czytanie książek jeszcze raz.

Potem wyłączył światło przy łóżku córki i szczelnie otulił ją kołdrą. Todd, który miał prawie dziesięć lat i mógł jeszcze trochę poczytać, był już pogrążony w jakiejś powieści science fiction i burknął tylko „dobranoc”, gdy Cooper pocałował go w czoło. Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi, czując po trochu ulgę, ale też lekki żal, że wieczorny rytuał dobiegł końca.

Zszedł po schodach do kuchni. Natalie nie było. W pokoju zabaw też. W salonie dominował namiot, który zbudowali: przestawiona sofa, stół przysunięty pod ścianę, taśma klejąca podtrzymująca koc.

– Nat?

– Jestem w stacji kosmicznej.

Roześmiał się, wpelznął do środka. Jego była żona siedziała po turecku pośrodku namiotu. Cooper nie znał się za bardzo na damskiej modzie, ale był pewny, że spodnie do jogi były jednym z największych wynalazków ostatnich dwudziestu lat. Natalie miała otwartą butelkę wina i dwa kieliszki.

– Poszły spać?

– Todd czyta.

– Gdzie jesteście?

– Na Enceladusie – odparł. – Czternastym księżycu Saturna. Tak mnie przynajmniej zapewniał nasz syn.

– Ten dzieciak jest szalony.

– Absolutnie stuknięty – zgodził się Cooper. Odebrał od niej kieliszek, upił długi łyk.

– A co u ciebie?

To było coś, co zawsze uwielbiał w Natalie. Jej słowa i intencje były bardziej zbliżone do siebie niż w jakiegokolwiek innej osoby, którą w życiu spotkał. Czasem bywało to obcesowe, ale bez żadnej złej woli; nie próbowała być złośliwa, nie chciała niczego udowodniać. Po prostu mówiła to, co myślała. Dla kogoś obdarzonego jego zdolnościami była to prawdziwa ulga.

Odpowiedział szczerze na jej pytanie.

– Jak to się nazywa, kiedy albo jeszcze płyniesz, albo już się topisz, ale nie jesteś pewien?

– Miotanie się w wodzie.

– Chyba tak.

– Co cię martwi?

Zawahał się. Od rozvodu upłynęło trzy i pół roku. Byli przyjaciółmi i dobrze im szło wspólne wychowywanie dzieci, ale obarczanie jej tym, co się wydarzyło, nie było fair. Coś takiego było dla małżeństw.

– Jakoś sobie z tym poradzę.

– Nick – powiedziała, wskazując na ściany namiotu, na koce poruszające się lekko w przeciagu. – Jesteś bezpieczny. Jesteśmy na Enceladusie. Powiedz mi.

Zaczął się śmiać. A potem nie mógł już przestać. Chciał się podzielić z nią tym, co dobre, codziennym spacerem wzdłuż podjazdu do Zachodniego Skrzydła, tym uczuciem, gdy wchodził do Gabinetu Ovalnego, podekscytowaniem, jakie czuł, gdy jego słowa, myśli zmieniały się w coś, co pokazywano w wieczornych wiadomościach. Te rzeczy były jednak nierozłącznie związane z bitwami przy stole konferencyjnym, z których wynikała narastająca w nim frustracja.

– Keevers i cała reszta, nawet Clay, wciąż tkwią w myśleniu ze starego świata. Są tak skupieni na tym, by przetrwać kolejny dzień, że nie widzą szerszej perspektywy. – Zaśmiał się ponuro. – Oni naprawdę się martwią, jak będą wyglądać, gdy przyjdą wybory. A ja tam siedzę i im powtarzam: „Słuchajcie, my powinniśmy się raczej martwić, że może nie być już następnych wyborów?”.

– Aż tak źle?

Cooper milczał. Upił łyk wina. Kiwnął głową.

– W takim razie to napraw.

– Że co?

– Napraw to. – Wzruszyła ramionami. – Prezydent Stanów Zjednoczonych słucha twoich rad. Wykorzystaj to.

– To nie takie proste.

– A było prostsze, kiedy dla Służb Obywatelskich polowałeś na ludzi takich jak ty?

– Nie.

– Całe życie walczysz o świat, w którym nasze dzieci nie musiałyby się bać. Wiem, że ostatni rok był dla ciebie trudny. Ale jeśli jest aż tak źle, musisz się wziąć w garść, żołnierzu.

Spojrzał na nią, na tę wyjątkową kobietę, którą kochał przez ponad dziesięć lat, gdy razem przeżywali wloty i upadki. Kiedyś świata poza nią nie widział; potem, gdy jego zdolności i praca stały się pomiędzy nimi, kochał ją z szacunkiem, nawet wówczas, gdy postanowili się rozstać.

– Wziąć się w garść?

– Tak. I jeszcze jedno. – Odstawiła kieliszek. To był wykalkulowany gest, starannie przemyślany; widział to w drobnych ruchach jej mięśni, lekko rozchylonych ustach i w tym, jak pochylała się i przysunęła bliżej, by... – *Orany!* – ...by go pocałować.

Mocno i zdecydowanie, jej miękkie usta, język smakujący czerwonym winem, wsuwający się do jego ust. To uczucie było równocześnie znajome i nowe; elektryzujące otarcie się o niego ramieniem, gdy się pochylała, jej zapach.

Przeciagnęła ten pocałunek na tyle długo, by dać mu jasno do zrozumienia, że to nie przyjacielski gest dwojga ludzi, którzy kiedyś byli kochankami. Gdy odsunęła się od niego, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

– Jestem z ciebie dumna.

Potem sięgnęła po swój kieliszek i wypelzła z namiotu. Powiedziała jeszcze przez ramię:

– Napraw to.

*Ha.*

*Ha.*

*Ha.*

# KONFERENCJA PRASOWA SEKRETARZA HOLDENA ARCHERA

24.11.13, James S. Brady Press Briefing Room

**Sekretarz  
Archer:**

Dobry wieczór wszystkim. Jak państwo wiedzą, wciąż trwają problemy w Cleveland, Fresno i Tulsie. Prezydent Clay osobiście nadzoruje wysiłki, by sytuacja wróciła do normy. Prezydent prosi, by w tym trudnym okresie Amerykanie połączyli swoje siły, z determinacją, która definiuje charakter naszego narodu. Pokłada najgłębsze zaufanie w Gwardii Narodowej oraz w mieszkańcach Cleveland, Fresno i Tulsy.

A teraz odpowiem na kilka pytań. Jon?

**„New York  
Times”:**

*Od porwań upłynęły cztery dni. Macie jakieś nowe informacje na temat Dzieci Darwina? I czy prezydent bierze pod uwagę udział wojska w akcji przeciw nim?*

**Sekretarz  
Archer:**

Mamy najlepszy wywiad na świecie. Mogę pana zapewnić, że rząd bardzo wiele o nich wie i że nie będziemy szczeni żadnymi wysiłkami w poszukiwaniu ludzi, którzy w tak podły sposób zaatakowali nasz naród. Tak jak w wypadku wszystkich zamachów terrorystycznych, celem było wywołanie chaosu i uderzenie w zwyczajnych Amerykanów. W tym świetle można to ocenić jedynie jako porażkę; choć doprowadzili do chwilowych braków w sklepach, nasz naród jest silniejszy niż kiedykolwiek.

**„New York  
Times”:**

*A użycie wojska?*

**Sekretarz  
Archer:**

Sprawami bezpieczeństwa wewnętrznego zajmuje się policja, FBI i DAR. Nie mogę odnieść się do ich planów. Odsyłam pana do nich. Tak, Sally?

**„Washington  
Post”:**

*A co z przypuszczeniami, że...*

**„New York  
Times”:**

*Przepraszam, pytanie uzupełniające. Źródła z Departamentu Obrony potwierdzają, że sekretarz Owen Leahy popiera reakcję z użyciem wojska. Powtarzam, reakcję niepolicyjną. Czy sekretarz Leahy sugeruje użycie amerykańskiego wojska na amerykańskiej ziemi i czy prezydent bierze pod uwagę taką możliwość?*

<b>Sekretarz Archer:</b>	Nie zamierzam odpowiadać na ten pozbawiony kontekstu cytat. Twoje pytanie, Sally?
<b>„Washington Post”:</b>	<i>Co z przypuszczeniami, że Dzieci Darwina planują dalsze zamachy?</i>
<b>Sekretarz Archer:</b>	Nie mogę skomentować zamiarów organizacji terrorystycznej. Mogę natomiast zapewnić, że podejmowane są wszelkie wysiłki, by zapewnić bezpieczeństwo amerykańskim obywatelom.
<b>CBS:</b>	<i>Czy Dzieci Darwina są związane z Nowym Kanaan w Wyomingu? Czy mają powiązania z Erikiem Epsteinem?</i>
<b>Sekretarz Archer:</b>	Nie mamy żadnych dowodów, które by na to wskazywały. I pamiętajmy, że ludzie żyjący w Nowym Kanaan, w tym pan Epstein, są obywatelami Stanów Zjednoczonych. Rząd respektuje wszystkich praworządnych obywateli, zarówno normalnych, jak i obdarzonych.
<b>NBC:</b>	<i>Ludzie z Cleveland twierdzą, że Gwardia Narodowa nie ma żywności, by prowadzić dystrybucję.</i>
<b>Sekretarz Archer:</b>	Gwardia Narodowa zakłada ośrodki w parkach, kościołach i w salach gimnastycznych. Prosimy wszystkich, by kierowali się zdrowym rozsądkiem, gdy przychodzą do takiego ośrodka, i by rozumieli, że ich sąsiedzi też potrzebują teraz pomocy.
<b>NBC:</b>	<i>Przepraszam, ale nie odpowiedział pan na moje pytanie. Czy w Cleveland jest dostępna żywność?</i>
<b>Sekretarz Archer:</b>	Hm... trudno mi... jeśli chodzi o szczegóły operacyjne, odsyłam pana do Gwardii Narodowej.
<b>Associated Press:</b>	<i>Są też doniesienia, że członkowie Gwardii grozili gromadzącym się ludziom.</i>
<b>Sekretarz Archer:</b>	Gwardia Narodowa jest tam, żeby pomóc. Jeśli tłum stanowi zagrożenie dla siebie lub dla innych, możliwe, że stosują środki kontroli, nie używając przy tym ostrej amunicji.
<b>Associated Press:</b>	<i>Dotarły do mnie doniesienia, że członkowie Gwardii mierzą z broni do obywateli, a nawet oddają strzały ostrzegawcze. Czy jeśli sytuacja się pogorszy, prezydent upoważni Gwardię Narodową do zaatakowania cywilów?</i>
<b>Sekretarz Archer:</b>	Nie sądzę, żeby do tego doszło. Prezydent pokłada najgłębsze zaufanie w Gwardii Narodowej oraz w mieszkańcach Cleveland, Fresno i Tulsy.
<b>Associated Press:</b>	<i>Czyli Gwardia Narodowa nie zostanie upoważniona do otwarcia ognia?</i>

**Sekretarz  
Archer**

Nie będę spekulował na ten temat.

**CNN:**

Zacytuję zaufane źródło z Białego Domu, które twierdzi: „Nie mamy żadnej operacyjnej wiedzy na temat Dzieci Darwina. Zupełnie nic. Są dla nas jak uzbrojone duchy”.

**Sekretarz  
Archer**

Nie mogę komentować tajnych danych wywiadowczych. Pragnę jednak powtórzyć, że podejmowane są wszelkie wysiłki...



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Upłynęły dwa dni, odkąd przyszli do niego rządowi agenci i powiedzieli mu, że jego szef został porwany, a rodzina jest w niebezpieczeństwie. Od tego czasu Ethan nie był w stanie myśleć o niczym innym. Każdy nieznajomy zdawał się mieć złe zamiary. Z każdego zaparkowanego samochodu ktoś mógł obserwować ich dom. Przez cały ten czas był podenerwowany, wyglądał zza firanek i obracał w palcach wizytówkę, którą dał mu agent specjalny Quinn.

Sytuację dodatkowo pogarszał fakt, że nie mógł podzielić się tym ciężarem z Amy. Ethan opowiedział jej oczywiście o porwaniu Abe'a, ale zbagatelizował możliwość, że miało to jakiś związek z ich pracą. Po pierwsze, nie było na to żadnych dowodów. Po drugie, nie mógł jej tego powiedzieć, nie wyjaśniając, nad czym pracował. Naprawdę nie mógł tego zrobić, jeśli nie chciał stracić tej pracy. W takich sprawach Abe się nie patyczkował; Ethan nie miał żadnych wątpliwości, że szef bez zastanowienia by go zwolnił.

*A to nie ma prawa się stać. Nie teraz, kiedy mam dziesięcioletnią córeczkę. Nie, kiedy jestem tak blisko sukcesu.*

Zaczął jednak trzymać rewolwer w nocnym stoliku. Na wszelki wypadek.

Gdy więc zajął do niego sąsiad Jack i zaprosił go na spotkanie, Ethan chętnie się zgodził, by zająć myśli czymś innym. Sam pomysł był głupi. Straż sąsiedzka, żeby chronić ich domy? Grupa prawników i szefów marketingu byli mniej więcej tak groźni jak chórek ze szkoły średniej. Ale poszedł. I teraz, podobnie jak większość facetów z okolicy, siedział w zatłoczonym salonie Jacka, podjadał precelki i pił dietetyczną colę z czerwonego plastikowego kubka.

– No to co? – spytał Ethan. – Mówimy tu o widłach i pochodniach?

– Nie, oczywiście, że nie. – Jack wydawał się zawiedziony. – Chodzi o to, żeby sąsiedzi pomagali sobie nawzajem, to wszystko.

Ethan pomyślał o tej zgrzewce mleka, którą podarował mu sąsiad i poczuł wstyd.

– Nie chciałem się wymądrzać. Po prostu nie rozumiem.

– To proste. W tej chwili nie możemy liczyć na to, że rząd sprawi, by wszystko działało jak należy. Minęło pięć dni, odkąd sklepy zostały wyczyszczone z towarów, i wciąż nie ma żywności. Dochodzi do napadów, podpaleni i strzelanin, a nie ma wystarczającej liczby policjantów i strażaków,

żeby się tym wszystkim zająć. System się załamał, więc współpracujemy ze sobą, żeby to jakoś przetrwać.

– Chodzi ci o to, żebyśmy patrolowali okolicę?

Jakiś mężczyzna, którego Ethan nie znał, powiedział:

– A czemu nie? Wiem, że to, co powiem, nie będzie poprawne politycznie, ale jeśli jesteś ćpunem ze wschodnich dzielnic, to na kogo napadniesz? Na innego sąsiada ćpuna, który nie ma nic, czy na jednego z nas?

– Nie formujemy jakiegoś oddziału – odezwał się Jack. – Ale skoro rząd nie działa, sami musimy o siebie zadbać.

– Chętnie wam pomogę – zapewnił Ethan. Rozejrzał się po pokoju, szufladkując ich sobie w głowie. *Faceci, z którymi czasami gadasz. Faceci, którym machasz ręką i wydaje ci się, że znasz ich nazwiska. Faceci, którym machasz, ale na pewno nie znasz ich nazwisk. Zupełnie obcy ludzie.* Z kilkoma nawet się przyjaźnił, tak jak z Jackiem. Albo z Randžit Singhem, który, gdy ich spojrzenia się spotkały, uderzył się w pierś, naśladując King Konga. Ethan zaczął się śmiać i zamaskował to, udając atak kaszlu. – Po prostu nie rozumiem, dlaczego powinniśmy to robić formalnie.

– Bo musimy się zorganizować. Powiedzmy, że – uchowaj Boże – Violet się rozchoruje. Myślisz, że jeśli wezwiesz karetkę, będzie na miejscu dwie minuty później? – Jack pokręcił głową. – Ale Barry jest lekarzem. Albo załóżmy, że Lou ma rację – kiwnął w kierunku faceta, który wspominał o poprawności politycznej – i jacyś źli ludzie napadną twój dom. Jeśli będziemy zorganizowani, wszyscy z okolicy zjawią się, żeby ci pomóc.

– Źli ludzie? – Ethan uniósł brew.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Nie jestem pewny. Jak mam poznać, czy ktoś jest złym człowiekiem? Po tym, że go nie znam? Że wygląda na biednego? Że jest głodny?

– Co z tobą, człowieku? – Lou był niski, ale szeroki w barach i napakowany.

– Spokojnie, Lou. – Jack się uśmiechnął i rozłożył ręce. – Ma prawo pytać. A my powinniśmy być w stanie mu odpowiedzieć. Nie jesteśmy jakimś ulicznym gangiem.

Zgrabnie mu to wyszło, pomyślał Ethan. Jack rozładował napięcie, nikogo przy tym nie obrażając. A używając słowa „my”, łączył ich wszystkich na poziomie podświadomości. Określenie „samiec alfa” nabrało dość prymitywnego kontekstu, ale prawdę mówiąc, oznaczało coś subtelniejszego i potężniejszego niż fizyczna przewaga. Pragnienie, by się organizować, było zakodowane w DNA; grupom wiodło się lepiej niż jednostkom, a więc – *a priori* – jednostki, wokół których w naturalny sposób formowały się grupy, były z reguły bardzo atrakcyjne. Ewolucyjnie wzmocniona zdolność przetrwania.

*Rany, dzięki, profesorku.* Ethan napomniiał się w myślach i znów skupił się na tym, co mówił Jack.

– ...że się wiedzie. Chyba wszyscy to rozumiemy. Ale jeśli ktoś próbuje napaść jednego z was, to według mnie jest złym człowiekiem, a wy powinniście umieć się bronić. I ja wam będę w tym pomagał. – Jack odwrócił się, by spojrzeć na Ethana. – Czy z taką definicją możesz się zgodzić?

Ethan rozejrzał się po pokoju i stwierdził, że około dwudziestu mężczyzn, którzy teraz patrzyli na niego, połączyło się już w plemię. *Popuść wodze swojej fantazji. To w niczym nie zaszkodzi.*

– Pewnie.

– Mam pewien pomysł – odezwał się jakiś inżynier o imieniu Kurt. – Powinniśmy założyć grupę w komórkach, żebyśmy mogli wysyłać jednego esemesa, który trafi do nas wszystkich. Nasz własny lokalny telefon alarmowy.

– Dobrze myślisz.

– Ja też mam pomysł – odezwał się Lou. – Mamy sporo rzeczy do zorganizowania, co? Niech Randżit się tym zajmie. Jest nienormalny, lepiej mu to pójdzie.

Zapadło niezręczne milczenie. Ethan zerknął na Jacka, w nadziei, że ten uratuje sytuację, ale jego sąsiad się nie odezwał.

Po chwili Randżit powiedział:

– Jestem nienormalny, Lou, ale mój talent polega na zliczaniu wielocyfrowych zbiorów.

– Co to u diabła zna...

– To znaczy – wyjaśnił Ethan – że potrafi natychmiast policzyć elementy w wielocyfrowych zbiorach. Liście na drzewie, zapalki wysypane na podłogę, ludzi na stadionie.

– Psuję wszystkim zabawę na jarmarkach – odezwał się Randżit. – Ten słoik z żelkami, gdy musicie zgadnąć, ile ich jest w środku. Ha, ha! – Uśmiechnął się, jego białe zęby zaślniły w kontraście z ciemną skórą.

Jack parsknął śmiechem i rozładował napięcie.

Spędzili kolejną godzinę, dzieląc się obowiązkami. Ci, którzy coś potrafili, zgłaszali się na ochotników: ktoś nieźle radził sobie z robotami stolarskimi, ktoś przeszedł szkolenie w udzielaniu pierwszej pomocy. Wymienili się też numerami komórek. Potem, gdy za oknami zrobiło się ciemno, mężczyźni zaczęli wychodzić. Większość machała tylko na pożegnanie całej grupie; wszyscy jednak poświęcili chwilę, by uściskać dłoń Jacka. Ethan odczekał, aż Randżit zaczął wkładać płaszcz, a potem pożegnał się z gospodarzem.

– Dzięki, że wpadłeś – powiedział Jack.

– Nie ma sprawy.

Jack przytrzymał dłużej jego dłoń, spytał:

– Hej, a jak to mleko służy Violet?

*Próbujesz mi w ten sposób przypomnieć, że jestem ci winny przysługę?*

- Świetnie, dzięki.
- Daj mi znać, jeśli będziecie potrzebować więcej.
- Poradzimy sobie jakoś. Ale dziękuję.

Po duchocie zatłoczonego salonu powietrze na zewnątrz wydawało się świeże i rześkie. Ethan napęlił nim płuca. Zmierzch ustępował nocy, niebo miało głęboki odcień indygo, sunęły po nim grafitowe chmury. Przytrzymał drzwi Randžitowi, po czym pozwolił, by się za nimi głośno zatrzasnęły. Otoczył ich cichy szum miasta, słabe odgłosy ruchu ulicznego; z oddali dobiegał dźwięk syreny alarmowej.

- Wow! – westchnął Ethan.

Randžit pokivał głową, sięgnął do kieszeni po papierosy. Zapalił jednego żółtą zapalniczką, poczęstował Ethana. Ten pokręcił głową. Domy w okolicy wydawały się ciepłe i przytulne, w oknach salonów migotało światło trójwymiarowych telewizorów, lampy na gankach rzucały blask na zadbane trawniki.

- W tym pokoju brakowało kobiety – stwierdził Randžit.
- Bez jaj. Wystarczyłaby jedna śmiejąca się żona i cały ten klimat w stylu Johna Wayne’a natychmiast by wyparował. – Pokręcił głową. – A to, co mówił ten cały Lou, Jezu... Ten typ faceta, który, kiedy ma grać w koszykówkę, mówi, że chce mieć w swojej drużynie czarnego.
- Ach! – Randžit zamaszycie machnął papierosem. – Mniejsza z tym. I tak się zastanawiamy, czy nie wyjechać z miasta. Mamy do spółki ze znajomymi domek na Florydzie i moglibyśmy powiedzieć, że teraz nasza kolej, by tam pomieszkać.

– Ja i Amy też o tym myślimy. Moglibyśmy zatrzymać się u jej matki w Chicago. Nie wiem, dlaczego jeszcze tego nie zrobiliśmy.

– Z tego samego powodu co my. Kładziesz się spać zdecydowany, żeby to zrobić, ale kiedy się budzisz, świeci słońce i myślisz sobie, nie ma mowy, żeby to trwało jeszcze kolejny dzień.

- I jak długo zamierzacie tak żyć?

– Dopóki zamrażarka nie będzie pusta. – Randžit wzruszył ramionami. – Wiesz, chyba jutro wszystko się uspokoi. Nim nadejdzie lato, już o tym zapomnimy. Wielki Oddział Straży Sąsiedzkiej z dwa tysiące trzynastego będzie nam się wydawał jakimś żartem.

– Nie wątpię – przyznał Ethan. I miał właśnie dodać: „Wszystko będzie dobrze”, gdy we wszystkich domach nagle zgasły światła.

Równocześnie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Air Force One był godzinę lotu od Waszyngtonu, gdy agent z Secret Service powiedział Cooperowi, że ma się stawić w salce konferencyjnej.

Podczas służby w wojsku i w agencji Cooper latał zarówno najbardziej luksusowymi prywatnymi odrzutowcami, jak i niewygodnymi, trzeszczącymi wojskowymi samolotami transportowymi, unosił się w szybowcu nad pustynią w Wyomingu i wyskoczył z idealnie sprawnego C17 ze spadochronem na plecach. Jednak Air Force One nie przypominał żadnego samolotu, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć.

Specjalnie przerobiony 747 posiadał trzy pokłady, dwie kuchnie, luksusowe kabiny, w pełni wyposażoną salę operacyjną, sprzęt umożliwiający nadawanie transmisji na cały kraj, fotele pierwszej klasy dla towarzyszących dziennikarzy i dla Secret Service oraz możliwość lotu na dystansie równym jednej trzeciej równika bez tankowania, a to mógł robić w powietrzu.

Cooper odpiął pas i przeszedł na przód. Agenci przy drzwiach sali konferencyjnej kiwnęli mu głowami.

Pomieszczenie było mobilną wersją Gabinetu Dowodzenia, z szerokim stołem konferencyjnym i luksusowymi krzesłami. Holograficzny ekran konferencyjny pokazywał ostry, trójwymiarowy obraz Marli Keevers w jej gabinecie w Białym Domu. Prezydent siedział u szczytu stołu z Owenem Leahym po prawej i Holdenem Archerem po lewej stronie.

Archer zerknął na Coopera i stwierdził:

– Tulsa, Fresno i Cleveland straciły zasilanie.

– Marlo, jak bardzo jest źle? – spytał prezydent Clay.

– Na podstawie obrazów satelitarnych szacujemy, że całe obszary tych trzech miast nie mają prądu.

– Dlaczego na podstawie obrazów satelitarnych? – spytał Clay.

– Bo inżynierowie odpowiedzialni za sieć zasilania dla każdego z tych rejonów nie zgłaszają nic niezwykłego. Wygląda na to, że wszystkie podstacje są sprawne.

– Atak cybernetyczny – stwierdził Leahy. – Wirus nakazuje systemowi przysyłać ogromne ilości prądu do poszczególnych transformatorów, niszcząc je, i równocześnie podłącza się do systemów

bezpieczeństwa, by nie wyświetlały się wskazania ostrzegawcze.

– Tak – przyznała Keevers. – To właśnie działa na nerwy inżynierom. Ekipy twierdzą, że podstacje nie są uszkodzone, Transformatory działają. Nie dostarczają po prostu zasilania dla miast.

– Jak to możliwe?

– Dzieci Darwina – rzucił Cooper.

Marla kiwnęła głową.

– Wygląda na to, że nasze protokoły zostały napisane od nowa. Do tego potrzebni byli nienormalni programiści.

– A więc chcesz mi powiedzieć – odezwał się prezydent – że organizacja terrorystyczna wyłączyła trzy miasta, jakby zgasiła światło.

– Obawiam się, że tak, sir. Są jednak pewne anomalie. W każdym z miast kilka rejonów wciąż ma zasilanie. Dwa we Fresno, trzy w Tulsie i dwa w Cleveland.

Obraz Keevers zastąpił materiał z satelity na żywo. Widok był niepokojący. Zamiast rozświetlonych miast hologramy pokazywały głęboką czerń poznaczoną słabymi wstęgami światła tam, gdzie zapewne biegly autostrady. Jedynymi jasnymi punktami były odosobnione rejon, mniej więcej prostokątne, gdzie wszystko wyglądało normalnie.

– Czyli wirus nie był w stu procentach skuteczny – stwierdził Archer. – To niewielkie pocieszenie, ale zawsze coś.

Cooper pochylił się nad mapami. Istniał tu wzorzec, był tego...

*Dwa rejonu we Fresno, trzy w Tulsie, dwa w Cleveland.*

*Co je ze sobą łączy? Niektóre przylegają do największych autostrad, inne są od nich oddalone. Jedne są w śródmieściu, inne nie.*

*A jednak to ucale nie wygląda na przypadek. Wirus był zbyt skuteczny we wszystkich innych miejscach, by mógł zupełnie zawieść tutaj.*

*W tych rejonach celowo nie odcięto zasilania. Co oznacza, że jest w nich coś wartościowego.*

*A więc co łączy te siedem obszarów?*

...pewny.

– Szpitale – rzucił Cooper.

Archer zerknął na ekrany, potem znowu na niego.

– Co?

– We wszystkich tych rejonach są duże szpitale.

– Dlaczego terroryści mieliby wyłączyć zasilanie w trzech miastach, ale zostawić w spokoju szpitale?

– Bo ich potrzebują – odparł Leahy. Zwrócił się do prezydenta: – Sir, rozmawiałem

z dyrektorami FBI i DAR oraz z szefem Narodowych Instytutów Zdrowia. Wszyscy są przekonani, że to może być wstęp do ataku biologicznego, a ja się z tym zgadzam.

– To nie ma sensu – stwierdził Archer. – Po co pozostawiać działające szpitale, jeśli próbują zastosować broń biologiczną?

– Ponieważ szpitale są najlepszym sposobem, żeby ją rozprzestrzenić – odparł Leahy. – Ludzie zaczynają chorować i trafiają do szpitali. Kiedy tam są, zarażają innych. Lekarzy, pielęgniarki, recepcjonistów, salowe, pacjentów i ich rodziny. W przypadku bardzo zakaźnego czynnika biologicznego choroba może się bardzo szybko rozprzestrzeniać nawet w normalnych okolicznościach. Ale ponieważ w tych trzech miastach brakuje żywności, a teraz też prądu, sytuacja jest o wiele gorsza. Zamiast zamknąć się w domach, ludzie zaczną uciekać. Pojadą do rodzin albo do swojego drugiego domu. I w ten sposób szybko rozniosą chorobę po całym kraju. Panie prezydencie, jesteśmy przekonani, że Dzieci Darwina wywołały ten chaos, by zamaskować prawdziwy atak.

– To bardzo naciągane – zauważył Cooper. – Obdarzeni byłiby równie podatni na zakażenie. Co Dzieci Darwina miałyby zyskać na ataku biologicznym?

– Nie wiem – odparł Leahy, posyłając Cooperowi twarde spojrzenie. – Ale Dzieci Darwina to terroryści. Nie wiemy, co chcą osiągnąć.

– Oczywiście, że wiemy. Nie podoba im się to, jak są traktowani nienormalni, i pragną zmian.

– Na czym pan opiera to stwierdzenie, panie Cooper? Na nienormalnej intuicji? – Leahy uśmiechnął się chłodno. – Rozumiem, że im pan współczuje, ale nie możemy dopuścić, by to miało wpływ na naszą reakcję.

*Czy uznałbyś, że moja reakcja jest tendencyjna, gdybym nazwał cię ograniczonym fanatykiem, który utknął w myśleniu ze starego świata?* Na głos Cooper powiedział jednak:

– Reakcję na co? Marnuje pan czas na jakąś hipotetyczną sytuację, kiedy w tych miastach dzieje się zupełnie realna katastrofa. Ludzie są głodni. Teraz, gdy nie ma zasilania, będą też marznąć, stawać się zdesperowani i skłonni do przemocy. Zamiast zamartwiać się o jakieś wydumane zamachy, czemu nie zaczniemy im dostarczać cholemych koców i żywności?

Na ekranie Marla Keeverś zakaszła. Sekretarz prasowy Archer ostentacyjnie zerknął na zegarek. Leahy wbił w Nicka zimne spojrzenie.

– Panie Cooper, pańskie zaangażowanie jest doprawdy wzruszające, ale miesza się pan w sprawy, które trochę przekraczają pańskie kompetencje. I brakuje panu kwalifikacji, by się wypowiadać na temat tego, co jest hipotetyczne, a co nie.

– Może i tak – przyznał Cooper. – Ale mogę powiedzieć, co uważam za słuszne. – Rozejrzał się po pomieszczeniu. *Nie rozumiecie mnie, co? Wcale nie chcę tej roboty, a więc nie mam nic do stracenia, mówiąc uam prawdę.* – Ci ludzie potrzebują żywności. Potrzebują leków. Potrzebują prądu. Na tym

powinniśmy się skupić. To jest nasze zadanie.

– Naszym zadaniem jest również chronienie ich przed zamachem – odciął się Leahy. – Żywność i koce w Cleveland nie uchronią ludzi, którzy będą umierać w Los Angeles.

Nim Cooper zdążył odpowiedzieć, prezydent spytał:

– Owen, co dokładnie sugerujesz?

– Natychmiastową kwarantannę wszystkich trzech miast, sir. Gwardia Narodowa już jest na miejscu. Proszę przejąć dowodzenie, wesprzeć ich wojskiem i całkowicie odciąć te trzy miasta. Tak by nikt nie mógł tam wjechać ani stamtąd wyjechać.

Przez chwilę Cooperowi wydawało się, że samolot wpadł w gwałtowne turbulencje. Dotarło do niego, że dzieje się to tylko w jego głowie.

– Chyba pan żartuje?

– Ta sytuacja nie wydaje mi się ani trochę zabawna.

Cooper spojrzał na Claya, spodziewając się, że na jego twarzy zobaczy to samo zdumienie, to samo przekonanie, że ta propozycja jest po prostu absurdalna. Zobaczył jednak, że prezydent jest zdenerwowany.

Zdenerwowany.

– Sir, nie powinien pan nawet brać tego pod uwagę. To by było użycie wojska we własnym kraju. Zamienienie trzech miast w państwa policyjne, odebranie ludziom ich podstawowych praw. To by wywołało niewyobrażalny chaos. Te miasta już są na krawędzi. Zamiast im pomóc, chcemy je odciąć od świata.

– Nie – zaprotestował Leahy. – Tymczasowo zawieszamy swobodę poruszania się dla niecałego miliona ludzi. Żeby chronić trzysta milionów innych.

– Panika. Przestępczość. Zamieszki. Poza tym, jeśli żołnierze będą zajęci utrzymaniem kwarantanny, nie będą w stanie wydawać żywności. A wszystko to w oparciu o jakąś wydumaną teorię.

– W oparciu o wspólną analizę przeprowadzoną przez najlepsze umysły wywiadu i służby zdrowia – rzucił Leahy. – A w tej grupie jest wielu obdarzonych. Panie Cooper, wiem, że ma pan w zwyczaju działać po swojemu, ale to nie pańska osobista krucjata. Próbujemy uratować kraj, a nie bawić się w jakieś moralistyczne gierki.

Cooper zignorował przytyk.

– Panie prezydencie, gdy poprosił mnie pan, bym dla pana pracował, stwierdził pan, że znajdujemy się na skraju przepaści. – *Jesteś intelektualistą, historykiem. Wiesz, jak takie rzeczy się zaczynają. Kiedy jakiś radykał zabił jakiegoś nieistotnego arcyksięcia, rozpętała się pierwsza wojna światowa. I zginęło dziewięć milionów ludzi.* – Jeśli pan to zrobi, zbliżymy się do tej przepaści. Może nawet z niej spadniemy.



– A jeśli się pan myli? – spytał Leahy. – Twierdzi pan, że Dzieciom Darwina chodzi o prawa dla obdarzonych, ale do tej pory nie spróbowali nawet podjąć dialogu. Co, jeśli naprawdę chcą zabić tylu Amerykanów, ilu tylko zdołają? Istnieje około setki czynników biologicznych, na które nie mamy gotowej obrony z wyjątkiem kwarantanny.

Prezydent spoglądał to na jednego, to na drugiego. Ręce oparł o stół, splótł palce. Kostki dłoni zbieły.

*No dalej, Clay. Wiem, że się boisz. Wszyscy się boimy. Ale bądź takim przywódcą, jakiego potrzebujemy.*

Prezydent odchrząknął.

# **ŻYCIE NIE JEST ŁATWE**

## **Ale dla takich jak my jest jeszcze trudniejsze**

- Dla czytaczy, którzy znają najmroczniejsze tajemnice tatusia
- Dla ejdetyków, którzy przeżywają w nieskończoność każde upokorzenie
- Dla talentów pierwszego poziomu, spotykających się z pogardą dlatego, że są lepsi

Bez względu na to, co czujesz, nie jesteś sam. Wszyscy przez to przechodziliśmy. I to dosłownie – w naszej gorącej linii dla skłaniających się ku popełnieniu samobójstwa pracują wyłącznie obdarzeni ochotnicy.

Każdy czasem ma doła.

Ale jeśli zastanawiasz się, czy nie zrobić sobie krzywdy, zadzwoń najpierw do nas.

**1- 800-2BRIGHT**

*Tylko dlatego, że świecisz dwukrotnie jaśniej...*

*Nie musisz wypalić się dwukrotnie szybciej.*

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W Waszyngtonie, gdzie każdy piał się mozolnie po szczeblach kariery i było to nieodłączną częścią jego pracy, istniało wiele sposobów, by zmierzyć władzę. Najoczywistszymi z nich były budżet i personel, lecz Owen Leahy wolał patrzeć na otoczkę, na drugorzędne wyznaczniki. Rozmiary gabinetu i to, w którym budynku on się mieścił. Czy miał okno albo prywatną łazienkę. Jak blisko ten gabinet był położony gabinetu szefa – senatora lub prezydenta.

Albo możliwość, by wzywać innych na spotkanie o dziesiątej wieczorem.

Był sekretarzem obrony i istniało bardzo niewiele ludzi na tyle wysoko postawionych, by to on udawał się do ich gabinetu. I tylko jeden człowiek, który mógł go wezwać prosto z Air Force One w samym środku kryzysu.

Terence Mitchum przeniósł się z CIA do NSA, ale Leahy już zawsze miał go pamiętać jako zastępcę dyrektora, do którego zwrócił się dwadzieścia pięć lat temu. Za każdym razem, gdy go widział, przypominał sobie nerwowe czekanie pod gabinetem, posmak soli i ziemi, gdy zwilżał palce śliną, by wyczyścić buty. Mitchum był tym, który uczynił go kimś, i Mitchum mógł posłać go na dno. Obaj o tym wiedzieli.

Technicznie rzecz ujmując, był trzecim najważniejszym człowiekiem w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, ale diagramy przedstawiające strukturę organizacji nie mówiły prawdy. Gdyby Mitchum chciał tego najważniejszego stanowiska, dostałby je dwadzieścia lat temu. Zamiast tego jednak pozostawał przy władzy, ci zaś, którzy stali nad nim, przychodzili i odchodzili wraz z kadencjami kolejnych prezydentów. Ze swojej pozycji kierował biegiem kariery niezliczonych osób, starannie wybierając te, które były wobec niego lojalne, i niszcząc te, które mu się opierały. Miał za sobą czterdzieści lat pracy w wywiadzie, z tego drugą połowę w agencji tak tajnej, że utajniony był nie tylko jej budżet, ale nawet jej rozmiary. Czterdzieści lat szantażowania, zatajania informacji i zagrzebywania ciał.

*W tym tych tysiąc stu czterdziestu trzech z Manhattanu.* Wybuch na giełdzie dwunastego marca przypisywano Johnowi Smithowi, jednak choć to on podłożył ładunki wybuchowe, planował, że budynek będzie pusty w chwili ich detonacji. Smith poinformował nawet wcześniej media o swoich zamiarach. Leahy nie potrafił tego udowodnić, był jednak pewny, że to Mitchum nie dopuścił do

upublicznienia ostrzeżenia, zakładając knebel siedmiu organizacjom medialnym, i że to on wydał rozkaz zdetonowania ładunków wybuchowych, gdy stało się jasne, że Smith tego nie zrobi. Brutalne, wykalkulowane posunięcie, takie jak poświęcenie królowej w partii szachów. Zamach wstrząsnął krajem i doprowadził do przyjęcia ustawy, która mogła go ocalić.

– Dobry wieczór, sir. – Leahy rozejrzał się po gabinecie i bez zaskoczenia zauważył w pokoju trzecią osobę. – Panie senatorze.

– Mówiłem ci przecież, mów mi Richard. – Senator błysnął jednym z wyćwiczonych uśmiechów. – Przecież wszyscy tu jesteście przyjaciółmi.

Mitchum nacisnął kilka guzików na swoim biurku. Noc za oknami zamigotała i znikła, gdy szkło stało się czarne. W drzwiach zasunął się mechaniczny rygiel i dał się słyszeć słaby szum, jakaś technologia zapobiegająca podsłuchom, jak zakładał Leahy. Potem Mitchum splótł palce, spojrzał na biurko i powiedział:

– Tracimy kontrolę nad sytuacją.

– Sir, doradziłem prezydentowi dokładnie tak, jak omawialiśmy...

– A ja chciałbym się dowiedzieć – przerwał mu senator – jak w ogóle doszło do zamachów Dzieci Darwina.

Richard był sojusznikiem, i to przydatnym. Ale czasami Leahy miał ochotę go udusić.

– To skomplikowane.

– Doprawdy? Bo mnie wydaje się bardzo proste. – Senator pokręcił głową. – Zrobiłem wszystko, o co mnie prosiliście, chłopaki, gdy runęła giełda. Nie macie pojęcia, ilu ludzi musiałem prosić o przysługę, by nie tylko przepchnąć Inicjatywę Nadzoru i Monitoringu, ale też doprowadzić do tego, by przyjęto ją przytłaczającą większością. Walker to podpisał. Więc dlaczego się tak guzdrzecie?

– Od czasu przyjęcia Inicjatywy Nadzoru i Monitoringu wiele się zmieniło. – Leahy wysunął sobie krzesło. – Może pan to zauważył.

– Zauważyłem. Odkąd stworzyliśmy podstawy prawne, by wszczepić mikrochipy wszystkim obdarzonym obywatelom amerykańskim, nienormalni terroryści przejęli trzy miasta. Czy muszę wam przypominać, że gdybyśmy wdrożyli tę ustawę, zamiast tylko ją przyjmą, wiedzielibyśmy, kto za tym stoi?

– Nie musi mi pan wyjaśniać, jak przydatna byłaby Inicjatywa Nadzoru i Monitoringu. To ja ją zasugerowałem. Wszystko, co do tej pory zrobiliśmy, właśnie do tego zmierzało.

– Więc dlaczego tego nie wdrożycie?

– Clay to nie prezydent Walker. To trochę potrwa.

– Czas – stwierdził Mitchum. Niewiele mówił, ale te słowa, które wypowiadał, zawsze były starannie dobrane, ciche, lecz zawsze słyszalne.

– Tak, sir. Prezydent Walker od początku był jednym z nas. Rozumiał, że ochrona Ameryki będzie wymagać niekonwencjonalnych metod. Clay... jest profesorem. Jego doświadczenia są teoretyczne. Nie czuje się dobrze w takiej rzeczywistości.

– No to co? Zamierza schować Inicjatywę Nadzoru i Monitoringu do szuflady? – spytał senator.

– Tak by wolał. Wie, że nie ma dość głosów, by ją uchylić, ale może przeciągać sprawę w nieskończoność. Więc jak to przepchniemy?

– Przyjdzie nasza chwila. – Leahy zwrócił się do Mitchuma: – Sir, mogę pana o coś zapytać? – Dyrektor uniósł brew. – Dzieci Darwina. Czy to przypadkiem nie jest operacja pod fałszywym sztandarem?

Nim zapytany zdążył odpowiedzieć, wtrącił się senator.

– Pod fałszywym sztandarem? Co to takiego?

Leahy westchnął w myślach. *Richard, możesz się przekonać, że z tej wysokości będziesz długo spadał, jeśli nie zrozumiesz, czym jest sama góra.*

– Tajna operacja, zaplanowana tak, jakby przeprowadzał ją ktoś inny, aby w ten sposób przygotować pole działania.

– Tak jak zamach na giełd...

– Senatorze. – Mitchum mówił cicho, ale to słowo zabrzmiało jak uderzenie bata. Richard odwrócił głowę. Dyrektor znów spojrzał na Leahy'ego. – Nie.

– Jesteśmy pewni? – spytał Leahy.

– Tak. Dzieci Darwina są dokładnie tym, czym się wydają. Grupą nienormalnych terrorystów.

– To dobrze.

– Dobrze? – najeżył się senator. – Dobrze? Terrorysty przejęli trzy nasze miasta, ludzie głodują, i to ma być dobrze?

– Tak – potwierdził Leahy. – Może i ci terroryści są obdarzeni, ale nie jestem pewien, czy naprawdę są aż tak bystrzy. Mają klapki na oczach. Nie zdają sobie sprawy, że każde ich posunięcie służy naszym celom.

– Jak to?

Leahy zignorował senatora.

– Wiemy, jakie będzie ich następne posunięcie? – spytał Mitchum.

– Wiodąca teoria stawia na atak biologiczny. Ale to nie ma znaczenia. Nawet jeśli nie zaplanowali nic więcej, to, co rozpętali, wystarczy. Z każdym mijającym dniem opinia publiczna domaga się podjęcia działań. Rośnie presja na prezydenta.

– To jeszcze nie znaczy, że wszystko rozegra się tak, jak chcemy.

– Nawet taki intelektualista jak Clay w którymś momencie będzie musiał podjąć decyzję. – Leahy wruszył ramionami. – A kiedy już to zrobi, to będzie taka decyzja, jaką mu zasugeruję.

– A ty sprawisz, że Inicjatywa Nadzoru i Monitoringu będzie kamieniem węgielnym tej reakcji – wtrącił się senator. – Widzę, że w twoim szaleństwie jest metoda. Ale w twojej metodzie jest, jak na mój gust, za dużo szaleństwa. Powinniśmy działać utartymi kanałami. Poruszyć to na posiedzeniu senatu, zmusić Claya, by rozliczył się z tego w mediach.

*Chodź ci o to, byś to ty pojawiał się częściej w nagłówkach.*

– To zbyt ryzykowne. To by pozostawiało otwarte drzwi ludziom, którzy zaczęliby twierdzić, że Inicjatywa Nadzoru i Monitoringu usprawiedliwia działanie Dzieci Darwina.

– Kto by tak twierdził?

*Jezu! Poważnie?*

– Dzieci Darwina.

Richard parsknął.

– A co, myślisz, że wydadzą komunikat dla prasy?

– Jeśli oświadczą, że sprawią, by wszystko wróciło do normy, jeżeli wyrzucimy tę ustawę do kosza, to myślisz, że ludzie w Cleveland, Tulsie czy Fresno powiedzą: „Nie, dzięki, wolimy umrzeć z głodu w imię naszych zasad?” – Zwrócił się do Mitchuma: – Sir, jeśli dopuścimy do dyskusji nad Inicjatywą Nadzoru i Monitoringu, to będzie koniec. Będziemy negocjować z terrorystami, i to z gorszej pozycji.

Mitchum popukał palcami w biurko. Po chwili spytał:

– Jesteś tego pewny, Owen?

– Tak, sir. Mam to pod kontrolą. – Nim skończył wypowiadać te słowa, już ich pożałował. *Pod kontrolą? Stawiasz na nienormalnych terrorystów i prezydenta, który jest ciepłą kluchą.*

Mitchum zdawał się myśleć o tym samym.

– W porządku, Owen – stwierdził ze spojrzeniem lwa przyglądającego się gazeli, która oddala się od stada. – Jeżeli jesteś tego pewien.

Leahy kiwnął głową, zmusił się do uśmiechu. *Mitchum uczynił cię kimś i Mitchum może cię posłać na dno.*

*Lepiej nad tym zapamiętaj albo podadzą cię na kolację.*

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Były takie czasy, gdy Ethan potrafił się wybrać na tygodniową wycieczkę tylko z jedną torbą. Gdy miał dwadzieścia dwa lata, spędził trzy miesiące, przemierzając wzdłuż i wszerz Europę tylko z plecakiem.

Teraz nie mogli wyjechać z miasta, nie zapychając całej hondy aż po dach.

Z tego wszystkiego ich bagaż był najmniejszy. Walizka dziecka była największa i tak napakowana, że musiał na niej usiąść, by zasunąć zamek: pieluchy na dzień, pieluchy na noc, wilgotne chusteczki, kombinezoniki, śpioszki, skondensowane mleko, śliniaczki, kocyki, grający konik morski, książki z obrazkami, elektroniczna niania i tak dalej, i tak dalej. Do tego dochodziło jeszcze składane łóżeczko, bujany fotelik, jasnoróżowa wanienka i rozkładana mata do zabawy. Potem jeszcze pudło z rzeczami „na wszelki wypadek”, gdyby pobyt u matki Amy miał się przeciągnąć. Tablety i ładowarki, ulubiony nóż kuchenny i patelnia Amy, sprzęt do treningu, leki i przybory toaletowe, zimowe kurtki. Ethan chwycił latarkę w zęby, by mieć wolne ręce, i zrobił trochę miejsca na transporter dla kota. W środku Grzegorz Mendel miauczał żałośnie, jego oczy fosforyzowały zielenią.

– Już dobrze, przyjacielu.

Na transporterze wylądowało opakowanie żwirku dla kota i worek karmy Iams. Obok znalazła się kasetka zawierająca ich paszporty, trochę biżuterii, która kiedyś należała do babci Amy, oraz obligacje skarbu państwa.

Ethan pokręcił głową, zamknął tylne drzwi samochodu i dopchnął biodrem, by je zatrzasać. Cieszył się, że wyjeżdżają. To wszystko w Cleveland stawało się trochę zbyt realne. *A poza tym ktoś porwał Abe'a. Nie ma sposobu, by się dowiedzieć, czy ciebie też szukają, ale jeśli tak, to lepiej być na razie gdzieś indziej.*

W domu już było zimno. Mieli piec na gaz ziemny, ale potrzebny był prąd, by zasilać dmuchawę. Świeca na kuchennym blacie rzucała słabą poświatę na puste puszki po konserwach, które zjedli na kolację. Nie było kuchenki, nie było mikrofalówki, więc Amy otworzyła po prostu puszki i podgrzała zawartość nad świecą.

*Mądra kobieta. Może letnia zupa fasolowa to nie jakiś szczyt luksusu, ale bije na głowę zimną zupę*

*fasolouq.*

Amy zeszła po schodach, niosąc na rękach Violet.

– Sprawdzę jeszcze szybko, czy mamy wszystko, co potrzeba. Możesz jej zmienić pieluszkę?

– Pewnie.

Stół do przewijania był w salonie, ledwie widoczny, ale Ethan potrafił zmieniać pieluchę z zamkniętymi oczami. Violet ostatnio zaczęła się tak jakby uśmiechać, marszczyła się i wysuwała języczek. Gdy już ją otarł do czysta, przez minutę laskotał ją po brzuszku, aż uśmiechnęła się do niego głupiotko.

– Chyba mamy już wszystko – stwierdziła Amy.

– Jesteś pewna? Daj mi klucz francuski. Odłączę kuchenkę i przywiążę ją na dachu.

– Zabawny jesteś.

Amy podeszła do frontowych drzwi, przystanęła przy panelu alarmowym, zaczęła wciskać guziki. Dotarła do połowy kodu, nim roześmiała się i pokręciła głową.

– No tak... mniejsza z tym.

– Będzie dobrze.

Zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz. Ich okolica wyglądała upiornie. Żadnych świateł ulicznych czy lamp na gankach, żadnego migotania ekranów telewizyjnych, ledwie słyszalnej muzyki. Słabe, migotliwe światełka świec i latarek wydawały się małeńkie w przytłaczającej ciemności. Gdzieś z dala dobiegało zawrodo syreny.

Ethan zapiął córeczkę w foteliku, zajął miejsce za kierownicą i uruchomił silnik.

– Wygląda tak samotnie – powiedziała Amy.

– Dom?

– Miasto. – Oparła głowę o boczną szybę. – O cholera!

– Co?

– Widzę gwiazdy. – Wydawała się tym zdeprymowana. – Mnóstwo gwiazd. Kiedy ostatni raz widziałeś gwiazdy?

Ethan pokonywał krótki odcinek dzielący ich od autostrady chyba z tysiąc razy, o każdej porze. Ale nigdy nie widział, by miasto wyglądało tak jak teraz. Budynki pogrążone w mroku, okna jak puste oczodoły. Szarpane listopadowym wiatrem nagie drzewa majaczyły złowrogo w ciemnościach. W mieście było kompletnie ciemno; to była średniowieczna ciemność. Żadnych świateł na gankach, oświetlenia ulicznego, reflektorów rzucających blask na billboardy, żadnej poświaty odbijającej się od chmur. Jediną oznaką życia były inne samochody. Ich reflektory wydawały się wodniste i słabe. Poczuł ulgę, gdy włączyli się do ruchu na międzystanowej I-90; autostrada zdawała się niemal normalna, ruch na zachód posuwał się w niezłym tempie.

Amy obróciła się na siedzeniu, by spojrzeć na małą.



– Zasnęła.

– To dobrze.

– Na pewno nie masz nic przeciw temu?

– Nie zaszkodzi przeczekać tego u twojej mamy. Zrobić sobie małe wakacje, spalić trochę benzyny, udawać zainteresowanie, kiedy twoja mama będzie gadać o ogródku.

– Będzie naprawdę szczęśliwa.

– Będzie szczęśliwa, że zobaczy malpkę. Ale nie jestem taki pewien, czy będzie taka zadowolona, że śpiemy na jej rozkładanym łóżku.

– Możemy się zatrzymać w hotelu. A po drodze staniemy przy jakimś sklepie spożywczym i zaopatrzymy się w mleko dla niemowląt.

Ethan kiwnął głową. Przez kilka chwil jechali w milczeniu, słyszeli tylko szum opon na asfalcie. Mijali kompleksy biurowców i wielkie supermarkety, ogromny znak McDonald's. Złote łuki były czarne.

– Ethan? – Amy wskazała na coś podbródkiem.

Podążył za jej spojrzeniem. Horyzont był skąpany w świetle sięgającym chmur. Nie potrafił zlokalizować źródła, ale poświata była biała, wyglądała niczym oaza światła. Ethan poczuł, jak opuszcza go napięcie, z którego wcześniej nie zdawał sobie sprawy. Światło oznaczało prąd, a prąd oznaczał normalność. A teraz bardzo, ale to bardzo przydałoby im się trochę normalności.

– To wyjście z centrum handlowego, prawda? Ciekawe, dlaczego mają prąd.

– Wygląda na to, że światło dobiega z... – Amy urwała. – Coś jest nie tak.

Odległości między samochodami zaczęły się kurczyć, wszyscy zjeżdżali na prawo. Światło stawało się coraz jaśniejsze. Minutę później zobaczył dlaczego.

I-90 blokowały ciężkie betonowe bariery ustawione w dwóch rzędach pod różnymi kątami. Bateria lamp sodowych rozświetlała noc tak bardzo, że było jasno jak w dzień. Obok nich stały humvee, duże pojazdy, które wyglądały, jakby były załadowane sprzętem budowlanym, tyle tylko, że z tyłu zamontowano na nich karabiny maszynowe. Ethan dostrzegł przy nich żołnierzy, sylwetki na tle intensywnego światła. Nawet przez szybę słyszał pracujące generatory.

Drogę wskazywał znak świetlny ze strzałką – kierował cały ruch na zjazd z autostrady. Ethan zerknął w lusterko, zobaczył samochody zatrzymujące się za nim. Popatrzył na żonę; nic nie powiedziała, ale maleńkie zmarszczki wokół jej zaciśniętych ust mówiły same za siebie.

Minęło pięć minut, nim udało mu się włączyć do ruchu. Na końcu zjazdu droga na północ była zabarykadowana. Pośrodku skrzyżowania stał czołg. Stali przy nim żołnierze obserwujący przejeżdżające samochody.

Czołg. Na skrzyżowaniu.

Ruch posuwał się dalej na południe, przez wiadukt nad autostradą. Po drugiej stronie

znajdowało się wielkie centrum handlowe Crocker Park Mall. Przypominał sobie ten dzień, kiedy pierwszy raz poszedł tam z Amy; jak surrealistyczne było to doświadczenie dla dwójki mieszkańców: centrum handlowe pod gołym niebem, udające, że jest wioską, tematyczny park rozrywki w najwulgarniejszym komercyjnym stylu.

Teraz zdawało się jeszcze bardziej surrealistyczne.

Centrum handlowe zostało przejęte przez Gwardię Narodową, stały tu szeregi humvee i kilka czołgów. Żołnierze rozstawiali namioty pośrodku parkingu. Ryczały generatory zasilające reflektory skierowane w niebo.

– Zawracają nas – stwierdziła Amy. Wskazała na przeciwny pas autostrady wiodący z powrotem do Cleveland. Kolejne barykady i żołnierze, kolejna błyskająca strzałka. Te same samochody, za którymi podążali na zachód, posłusznie ustawiały się w kolejce, by wrócić do miasta.

– Myślisz, że był jakiś zamach?

– Albo spodziewają się, że będzie.

– I co teraz? Powinniśmy jechać do domu?

Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Pomyślał o ciemnym domu w ciemnej okolicy, o tym, że z każdą chwilą robiło się w nim zimniej. O zamrażarce, w której kończyło się mięso, o lodówce, w której nie było już owoców ani warzyw.

– Nie – powiedział i skrzył kierownicę.

– Ethan, co ty...

Zjechał z pasa prowadzącego na autostradę i skierował się w prawo, objeżdżając barykadę na drodze do centrum handlowego. Minął cztery samochody, pięć, potem humvee. Migotanie w pojeździe i wokół niego: żołnierze z cyfrowym kamuflażem, karabinami szturmowymi i w bojowych hełmach. Zawsze uważał, że Gwardia Narodowa to coś w stylu wojska w wersji light, ale ci ludzie bynajmniej nie wyglądali łagodnie.

– Nie chciałabym być jedną z tych żon, które mówią „uważaj”. Ale proszę, bądź ostrożny. Nasza córeczka jest z tyłu.

– Nie zamierzam robić nic głupiego. Ale muszą nas przepuścić.

Przy wjeździe na parking przed centrum handlowym, przy drewnianej barykadzie, stało dwóch żołnierzy z karabinami maszynowymi. Ethan podjechał do nich i opuścił szybę.

– Ma pan pozwolenie, by tu przebywać?

– Możecie mi powiedzieć, co się dzieje?

– Proszę zawrócić pojazd.

– Jest z nami córeczka – powiedział Ethan. – Kończy nam się jedzenie, nie mamy pokarmu dla niemowląt, a teraz nawet ogrzewania. Próbujemy tylko dotrzeć do Chicago, żeby zatrzymać się u mojej teściowej. Jest tu ktoś, z kim moglibyśmy porozmawiać?

Żołnierz się zawahał, potem wskazał ręką.

– Tam jest mój dowódca.

– Dziękuję.

Ethan podjechał w miejsce, które wskazał mu mężczyzna. Ujrzał kilka cywilnych pojazdów i ciężarówkę, stojące blisko siebie. Zaparkował przy nich i wyłączył silnik. Odwrócił się do Amy, zobaczył jej minę i powiedział:

– Nie zamierzam robić nic głupiego. Chcę tylko sprawdzić, czy pozwolą nam przejechać.

Wciągnęła powietrze i wypuściła je ze świsem.

– Dobrze. Przekonaj ich.

Uśmiechnął się, pochylił i szybko ją pocałował.

Noc była zimniejsza, niż się spodziewał. Oddech zamieniał się w mgiełkę.

Prowizoryczne centrum dowodzenia oświetlone było reflektorami rozstawionymi na słupach i światłami pojazdów. Usłyszał jakąś dyskusję i podążył za tymi dźwiękami. Zobaczył grupkę ludzi w cywilnych ubraniach rozmawiających z jakimś żołnierzem. Patrzył na nich nieubłaganym wzrokiem. Obok niego stał adiutant z karabinem w rękach. Za nimi stały kolejne pojazdy, humvee, czołg i – o rany! – parę helikopterów bojowych najeżonych uzbrojeniem. Ethan dołączył do grupki ludzi.

– ...nie rozumie pan. Moja żona potrzebuje insuliny, zużyliśmy ostatnią dawkę dziś rano, a bez niej ona...

– ...ciężarówka z ładunkiem ma być w Detroit jutro rano...

– ...nie ma ogrzewania, nie ma jedzenia, proszę, niech pan okaże trochę...

Żołnierz podniósł ręce, dając ludziom znak, żeby się uspokoiili. Gdy wszyscy umilkli, powiedział:

– Rozumiem państwa problemy. Ale moje rozkazy są jasne. Nikt nie ma prawa przekroczyć tego punktu kontrolnego. Dla tych z państwa, którzy wymagają pomocy medycznej, mamy tu podstawowe leki, a szpitale w Cleveland działają. Wszystkich pozostałych mogę jedynie zapewnić, że czynione są wszelkie wysiłki, by dostarczyć żywność i wznowić dostawę prądu.

– Może nam pan powiedzieć, co się dzieje? – spytał Ethan.

Oficer szybko otaksował go wzrokiem.

– DAR uważa, że w Cleveland znajduje się centrum dowodzenia Dzieci Darwina. Trwa operacja mająca na celu ich ujęcie. Nasze zadanie polega na tym, by nikt się nie wymknął. I obawiam się, że to oznacza, że nikt nie może opuścić miasta.

– To jakieś szaleństwo – rzucił młody mężczyzna z hiszpańską bródką, który stał przed Ethanem.

– Ocinacie od świata całe miasto, żeby złapać paru terrorystów? To przecież nie ma żadnego sensu.

– Posłuchaj, człowieku. – Na czoło wysunął się przysadzisty mężczyzna w czapce. – Jestem

kierowcą ciężarówki. Nie dość, że pałą nas żywcem, to jeśli nie dostarczę ładunku do Detroit na czas, obciążą mnie rachunkiem. Nie ma mowy, żebym do tego dopuścił. Może pozwolisz mi jednak przejechać?

– Nikt nie przejedzie.

– Posłuchaj mnie, ty...

– Proszę pana. – Żołnierze i policjanci potrafili mówić „proszę pana” w taki sposób, że brzmiało to jak „zaraz skopię ci tyłek”. – Niech pan natychmiast wróci do pojazdu.

*To strata czasu.* Ethan miał właśnie odejść, gdy kierowca ciężarówki chwycił oficera za ramię.

*O, nie rób tego. To bardzo kiepski...*

W oczach oficera odbijał się blask reflektorów. Adiutant postąpił o krok i walnął go w twarz kolbą karabinu. Zabrzmiało to, jakby jajko rozbijało się o beton. Mężczyzna osunął się na ziemię.

Ethan dostrzegł jakiś ruch za dwoma żołnierzami na humvee.

Karabin maszynowy kalibru .50 okręcił się i teraz był wycelowany w nich. Znajdował się jakieś sześć metrów dalej, ale nawet z tej odległości lufa wydawała się na tyle duża, by mógł do niej wypełznąć człowiek.

Ethan spojrzał na człowieka przy karabinie. Był przystojnym blondynem, pod hełmem widać było rumiane policzki, ręce w rękawiczkach spoczywały na broni, palec na spuście. Mógł mieć co najwyżej dziesięćnaście lat i wydawał się przerażony.

Co się tutaj działo? Kiedy i jak doszło do tej przedziwnej zmiany? Świat był teraz miejscem, gdzie w sklepach nie było żywności, gdzie nie było prądu, a terroryzm przestał być czymś, co przytrafia się komuś innemu. To był świat, w którym linia dzieląca tę chwilę od kompletnej katastrofy była tak cienka, że definiował ją lęk w sercu dziesiętnastoletniego chłopaka.

Pozostali cywile zamarli. Kierowca ciężarówki poruszył się na ziemi, jęknął.

Ethan powoli unióś ręce. Nie spuszczać wzroku z żołnierza przy karabinie, zaczął się wycofywać. Jeden krok, potem kolejny. Wreszcie odłączył się od grupki, odwrócił i ruszył z powrotem w stronę hondy, gdzie czekała jego żona z córeczką. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

– Udało ci się? – Amy spojrzała na niego, odczytała wyraz jego twarzy, zobaczył jej reakcję. – Co? Co się stało?

– Nic – odparł i uruchomił silnik. – Jedziemy do domu.

*Powiem wam coś o wolności: wolność to nie sofa.*

*Nie jest telewizorem, samochodem ani domem.*

*Nie jest jakąś rzeczą, którą możecie posiadać. Nie możecie unieść przedpłaty na wolność; nie możecie liczyć na odsetki od wolności.*

*Wolność to coś, o co musicie walczyć. Nie jeden raz, ale każdego dnia. Natura wolności jest płynna; tak jak woda w przeciekającym wiadrze, ma skłonność do tego, by szybko znikać.*

*Jeśli ją zaniedbacie, dziury, którymi ucieka, będą się poszerzać. Gdy politycy ograniczają nasze prawa, żeby „nas chronić”, tracimy wolność. Gdy wojsko odmawia ujawnienia podstawowych faktów, tracimy wolność. I co najgorsze, gdy strach staje się częścią naszego życia, dobrowolnie rezygnujemy z wolności w zamian za obietnicę bezpieczeństwa, jakby wolność nie stanowiła absolutnej podstawy bezpieczeństwa.*

*Istnieje pewien słynny wiersz na temat samozadowolenia narodu niemieckiego pod rządami nazistów; dzisiaj mógłby on brzmieć tak:*

*Kiedy przyszli po rewolucjonistów, milczałem,  
nie byłem rewolucjonistą.*

*Kiedy przyszli po intelektualistów, milczałem,  
nie byłem intelektualistą.*

*Kiedy przyszli po talenty pierwszego poziomu, milczałem,  
nie byłem talentem pierwszego poziomu.*

*Kiedy przyszli po obdarzonych, milczałem,  
nie byłem obdarzonym.*

*Kiedy przyszli po mnie,  
nie było już nikogo, kto mógłby zaprotestować.*

– ze wstępu do *Jestem John Smith*

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Z zewnątrz wyglądało zupełnie niepozornie. Jednak z doświadczenia Shannon wiedziała, że naprawdę przerażające miejsca zawsze tak wyglądają.

Najpierw zobaczyła niski granitowy mur ze słowami DEPARTAMENT ANALIZ I REAGOWANIA. Za nim wznosiła się gęsta linia drzew, zasłaniająca cały kompleks. Dała znak, że skręca, odczekała, aż między samochodami pojawi się luka, i podjechała sedanem do budki ochrony. Był piękny jesienny dzień, a dwaj mężczyźni w czarnych bojowych strojach wyglądali niemal jak kosmici na tle bezchmurnego błękitu. Poruszali się bardzo sprawnie. Jeden obszedł samochód, drugi zbliżył się od strony kierowcy. Obaj mieli pistolety maszynowe przerzucone przez ramię.

Shannon opuściła szybę i sięgnęła do torebki. Karta identyfikacyjna, porysowana i wyblakła, mówiła, że jest starszym analitykiem; zdjęcie wyglądało, jakby zrobiono je kilka lat temu.

– Dzień dobry – powiedziała uprzejmym, znudzonym tonem.

– Dzień dobry, proszę pani. – Strażnik wziął identyfikator, spoglądał to na niego, to na nią. Zbliżył go do urządzenia, które miał przy pasku. Rozległ się sygnał. Oddał jej przepustkę. – Piękny dzień, prawda?

– Jeden z ostatnich – odparła. – W przyszłym tygodniu ma już być zimniej.

Nie obejrzała się za siebie, nie zerknęła w lusterko, by zobaczyć, czy uzbrojony mężczyzna przygląda się jej samochodowi.

Strażnik zerknął ponad dachem wozu na partnera, potem kiwnął jej głową.

– Miłego dnia.

– Panu również. – Schowała identyfikator do torebki. Metalowa brama się rozsunęła; przejechała przez nią.

*Wchodzimy do jaskini lwa.*

Nie, tak naprawdę to nie było to. To było coś więcej niż wejście do jaskini lwa – zbliżenie się do bestii i wepchnięcie głowy do jej paszczy. Na tę myśl poczuła przypływ adrenaliny. Uśmiechnęła się, spokojnie jechała dalej. Tereny DAR były dość ładne, w śmiercionośny sposób. Droga wiała się, kilkakrotnie zakręcając. Mogło się to wydawać bez sensu, ale zamachowcowi w samochodzie nie

pozwoliliby nabrać szybkości. Mniej więcej co pięćdziesiąt metrów czuła, że opony przejeżdżają nad schowanymi kołcami. Wokół były zielone trawniki i starannie zadbane drzewa, lecz między nimi sterczały wysokie wieże. Nie miała wątpliwości, że jej przejazd śledzą snajperzy.

Sam budynek był nijaki, długi. Wyglądał raczej jak biurowiec jakiejś firmy z listy Fortune 100 niż jak siedziba największej agencji szpiegowskiej w kraju. Przy zachodnim skrzydle ekipa budowlana dobudowywała pięciopiętrowy segment, spawacze na belkach nośnych posyłali w dół deszcz iskier. Najwyraźniej biznes w DAR dobrze się kręcił.

Shannon znalazła puste miejsce parkingowe mniej więcej w połowie podjazdu, zgasiła silnik i opuściła osłonę przeciwsłoneczną, by spojrzeć w lusterko. Nie mogła się przyzwyczaić do siebie jako blondynki. Dziwne, ile kobiet farbowało sobie włosy na ten kolor. Z doświadczenia wiedziała, że brunetki wcale nie zrażają mężczyzn.

To była dobra peruka, z profesjonalnie nałożonymi pasemkami i leciutkim śladem odrostów. Makijaż był mocniejszy, niż lubiła, ale o to właśnie chodziło. Włożyła designerskie okulary w plastikowej oprawce. W epoce łatwych operacji okulistycznych było to pretensjonalne, ale to właśnie sprawiało, że były modne.

No dobra, stwierdziła, zarzuciła torebkę na ramię i wysiadła.

To był naprawdę piękny dzień; w chłodnym powietrzu unosił się zapach opadłych liści. Uwielbiała to wyostrenie zmysłów, jakie towarzyszyło każdej misji. Każdy smak wydawał się słodszy, każdy dotyk elektryzował. Zbliżając się do budynku, ledwie dostrzegała baterie przeciwlotnicze zamontowane na dachu.

W holu były marmurowe posadzki, wysoki strop i uzbrojeni strażnicy. Kolejka rozdzielała się na kilka mniejszych; każda z nich prowadziła przez wykrywacz metali. Ze wszystkich stron wpatrywały się w nią kamery. Ustawiła się w kolejce, spoglądała na pazołki i pomyślała o Johnie.

Gdy zaproponował jej tę małą przysługę, jej reakcja brzmiała:

– Chcesz, żebym dokąd poszła?

– Wiem. – John Smith miał na sobie szary garnitur, był starannie ogolony i zdawał się wyższy, niż zapamiętała. Wyglądał zdrowiej. Przypuszczała, że to dlatego, że już nie uciekał, że nie musiał już żyć przez dwadzieścia cztery godziny na dobę w tej paranoi. – To brzmi jak jakieś szaleństwo.

– Nie mam nic przeciwko szaleństwu. To brzmi jak samobójstwo. Poza tym mam już co robić. Skupiłam całą uwagę na Wirginii Zachodniej. Stare grzeszki, które muszę naprawić.

– Rozumiem – odparł z tym specyficznym uśmiechem. Miał ładny uśmiech i był przystojnym facetem, ale nie w jej typie. Zbyt zwyczajny, jak agent z biura nieruchomości. – Ale nie prosiłbym cię, gdyby to nie było tego warte.

– Dlaczego?

Powiedział jej, i im dłużej mówił, tym bardziej wydawało jej się to niewiarygodne. Gdyby

usłyszała to od kogokolwiek innego, nie uwierzyłaby. Jednak jeśli John miał rację – a spokojnie mogła tak założyć – to mogło zmienić wszystko. Zmienić całą równowagę władzy. Przekalibrować świat.

Oczywiście najpierw musieli to znaleźć. A to oznaczało obrabowanie DAR. Po co szukać igły w stogu siana, skoro ktoś posiadał już jej dokładne współrzędne.

– Chodzi o to, że nie możemy po prostu włamać się do ich komputerów. W DAR wiedzą, że wszystkie dane dostępne w Internecie mogą zostać zhakowane. Najcenniejsze sekrety przechowują w odrębnych sieciach, wewnątrz kompleksu. Komputery są połączone ze sobą, ale nie z zewnętrznym światem, a więc jedynym sposobem, by dotrzeć do tych danych...

– ...jest wejście do kompleksu.

Kiwnął głową.

– Jak mam w ogóle przedostać się choćby przez bramkę?

– Ja się tym zajmę. Ten identyfikator nie tylko sprawi, że cię wpuszczą. Będzie potwierdzał całe twoje życie. Wprowadzimy do ich systemu nawet nieistotne szczegóły na twój temat. Dane o zarobkach, opinie z pracy, historię zatrudnienia, wszystko. Pracują nad tym najlepsi ludzie. To powinno być proste.

– Skoro jest takie proste, to do czego potrzebujesz mnie?

– Na wypadek, gdyby się okazało, że jednak jest inaczej. Słuchaj, Shannon, nie zamierzam cię okłamywać. Jeśli cię złapią, nie będzie rozprawy w sądzie. Pewnie nawet nie przyznają się, że cię mają. Skończysz w celi, w jakimś ośrodku z maksymalnymi zabezpieczeniami, gdzie spędzisz resztę życia na tym, że będą próbowali cię złamać, a ja nie będę mógł nic na to poradzić.

– Naprawdę wiesz, jak zachęcić dziewczynę.

– Ale do tego nie dojdzie. Możesz to zrobić, wiem, że możesz. – Oparł brodę na dłoni, przed nim stał nietknięty napój. – Poza tym jest coś jeszcze. Kiedy już tam wejdiesz, będziesz mogła dowiedzieć się wszystkiego o Wirginii Zachodniej. Cały pakiet bezpieczeństwa. Będziesz w stanie wyczyścić swój życiorys, nie ryzykując niczyjego życia.

Zastanowiła się nad tym.

– A jeśli odmówię?

– Jeśli odmówisz, to odmówisz. To zawsze zależy od ciebie, wiesz o tym.

Kolejka przesuwiała się szybko i po minucie Shannon podeszła do wykrywacza metali. Zdjęła delikatny srebrny naszyjnik w kształcie trzech sopli lodu, zwinęła go na dłoni i położyła obok torebki w pojemniku na przesuwającej się taśmie.

W tym momencie ogarnął ją strach. Po obu jej stronach stali uzbrojeni strażnicy, obok niej i za plecami byli agenci DAR. Gwałtowne bicie serca, jak bęben wybijający podwójny rytm, fala związków chemicznych uwolniona do krwioobiegu. To nie było nic nowego, to się zdarzało za każdym



razem; przyzwyczaiła się. Ale tym razem lęk był intensywniejszy, wyraźniejszy.

Tym więcej zabawy.

Shannon uśmiechnęła się do strażnika i przeszła przez wykrywacz metali. Machnął ręką, by przeszła dalej. Odczekała, aż na taśmie podjedzie jej torebka, zapięła naszyjnik i ruszyła w głąb agencji, która od lat miała rozkaz ją zabić. John nie żartował; ten obdarzony, który zakodował jej identyfikator, był naprawdę dobry.

*Cholera, lepiej, żeby tak było.*

Jakby w odpowiedzi na jej myśli szkła okularów zamigotały. Wnętrze soczewek było wyścielane monofilamentowymi ekranami; to, co się na nich wyświetlało, widoczne było wyłącznie pod tym kątem. Na lewym szkłe pojawiła się trójwymiarowa mapa z lokalizacją jej pozycji w budynku; na prawym słowa: POMYŚLNYCH ŁOWÓW. Słuch miała uśmiech.

Ruszyła korytarzem, obcasy stuknęły o marmur. Gdy już minęło się ochronę, Departament Analiz i Reagowania przypominał wielką korporację: biura i boksy, windy i toalety dla pracowników. To miało sens. Departament był podzielony na dwie części, a to była część analiz. Zdecydowanie większa, zatrudniała dziesiątki tysięcy naukowców, decydentów, doradców, psychoanalityków i statystyków.

Drugą była sekcja reagowania, zupełnie inne stworzenie. Stworzenie, które planowało porwania, aresztowania i zabójstwa. Miało rządowy mandat na zabijanie. Dawny departament Nicka.

Ten budynek był kiedyś miejscem jego pracy, źródłem jego władzy. Był jednym z najlepszych agentów w jego najtajniejszej sekcji. Ile razy wędrował tymi korytarzami? Co wtedy myślał? W tych czasach, gdy pił Kool-Aid i wierzył we wszystko, co reprezentowało sobą DAR. Wyobrażała go sobie, ten jego niemal zuchwały spokój, który nosił niczym szyty na miarę garnitur.

To było bardziej w jej typie.

Nienawidziła go od pierwszej chwili, gdy się spotkali. Nick zabił jej przyjaciela, obdarzonego, który zaczął napadać na banki. Smutny, skrzywdzony chłopak, złamany przez akademię, zagubiony. To nie była jego wina, że zszedł na niewłaściwą drogę, i choć Shannon zgadzała się z tym, że należało go powstrzymać – zginęli niewinni ludzie – to wcale nie znaczyło, że godziła się na jego zabicie albo że była gotowa wybaczyć bezdusznemu zabójcy, który go zamordował.

Tyle tylko, że Nick wcale się taki nie okazał. Był bystry, pełen ciepła i gorąco wierzył w to, co robił. Był też oddany swoim dzieciom i gotów zrobić dla nich wszystko. W rzeczywistości byli do siebie podobni, oboje walczyli o lepszy świat. Mieli tylko inne pomysły na temat tego, jak to osiągnąć.

Shannon żałowała, że nie mogła mu powiedzieć, co będzie dzisiaj robiła. W pierwszej chwili zareagowałby wściekłością, ale wiedziała, że gdyby mu wszystko wyjaśniła, stanąłby po jej stronie.

*Zapomnij o tym. Powiedzenie mu wiązałoby się ze zbyt dużym ryzykiem, a to miejsce jest zbyt*

*niebezpieczne, byś myślała o czymkolwiek innym prócz twojego zadania.*

Przeszła długim korytarzem, wsiadła do windy, przejechała trzy piętra i wysiadła na szerokim atrium. Mijali ją ludzie wpatrzeni w swoje tablety, rozmawiający o zebraniach. Shannon miała trzydzieści lat, ale nigdy nie była na żadnym zebraniu. Nie miała ochoty tego zmieniać. Z przeszklonego po obu stronach przejścia nad atrium mogła widzieć cały kompleks. Był ogromny, wyglądał jak labirynt, czuć było w nim nieustanną ekspansję. Dotarła do końca pasaży i skręciła w lewo.

Dwadzieścia metrów dalej otworzyły się jakieś drzwi. Wyszli z nich mężczyzna i kobieta. Była niska, miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, ale biła od niej energia, która mówiła „pieprzcie się”. Mężczyzna był wysportowany, średniego wzrostu, z pasem na broń na ramieniu. Rozpoznała go. Razem obalili prezydenta. Bobby Quinn, dawny partner Nicka, strateg ze swoistym poczuciem humoru. Zabawny facet, dobry w tym, co robi. Lubila go.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że gdyby ją poznał, zdjąłby ją.

*Nie tuż się, kochana. Nie ma żadnego „gdyby”. Myślisz, że blond peruka, buty na wysokim obcasie i okulary uchronią cię przed Bobbym Quinnem?*

Idąc, rozmawiał z towarzyszącą mu kobietą, gestykulował. Mógłby dotrzeć do Shannon w ciągu sekundy, a gdyby ją zauważył, nigdy nie zobaczyłaby kolejnego jesiennego popołudnia.

Nie musiała się zastanawiać. Nie musiała się rozglądać. Sztuczka, którą Nick nazywał „przechodzeniem przez ściany”, a ona sama „przemienianiem”, nie polegała na obserwacji otaczającego świata, a następnie podejmowaniu decyzji. Jedynym sposobem, by być niewidzialną, było przez cały czas wiedzieć, gdzie wszyscy są, na co patrzą i dokąd idą. W każdym pomieszczeniu, w każdej chwili. W kiepskie dni miewała paskudne migreny od tego natłoku danych, jakby siedziała zbyt blisko trójwymiarowego telewizora.

Danych. Takich jak:

Analitik z kiepskim krawatem grzebie w szafce na akta w jakichś wydrukowanych dokumentach, poważnie – rząd naprawdę został z tyłu.

Kurier z FedExu popycha wózek, pogwizduje, przystanki na jego trasie są dla niej tak oczywiste, jakby były wyrysowane na diagramie.

Asystentka administracyjna wychodzi z pomieszczenia socjalnego z kawą w prawej ręce, zapatrzona w tablet, który trzyma w lewej.

Flirtująca para, prawie się dotykają, on wyciąga właśnie rękę, by dotknąć jej ramienia.

Quinn odwraca się od tej kobiety, w jego ruchach widać zaufanie; są partnerami.

Włącza się jakaś pompa wodna.

Shannon się przemieniła.

Wśliznęła się na ścieżkę kuriera, przystanąła, otworzyła torebkę, jakby czegoś w niej szukała,

przecięła korytarz, mijając asystentkę z kawą, wysunęła but do przodu na tyle, by nadeprnąć kobiecie na obcas. Asystentka się potknęła, nie upadła, ale wykonała gwałtowny ruch, utrzymała tablet, ale już nie kawę. Shannon weszła do pomieszczenia socjalnego, otworzyła jakąś szafkę, zwrócona plecami do korytarza, kubek z kawą zatoczył łuk, uderzył w bok wózka kuriera z FedExu dokładnie w chwili, gdy Quinn i ta kobieta dotarli do tego punktu.

– O Boże, strasznie przepraszam – powiedziała asystentka. Shannon wpatrywała się w głęb szafki i liczyła sekundy. Na trzy zamknęła drzwiczki i wyszła z pomieszczenia socjalnego, nie patrząc na asystentkę i kuriera, zapewniających się nawzajem, że „nic się nie stało”, nie patrząc na Bobby’ego Quinna i jego partnerkę. Minęła ich już, oboje oglądali się za siebie, ale nie na to, co trzeba.

*Zawsze nie na to, co trzeba.*

Trzy minuty później i pięć pięter niżej znajdowała się w podziemnym korytarzu oświetlonym jarzeniówkami. Było tu chłodno i spokojnie. W lewej soczewce okularów na mapie zaczął mrugać punkt. Stawał się coraz większy, aż do chwili, gdy Shannon stanęła przed metalowymi drzwiami. Na suficie powyżej zamontowana była kamera, a na ścianie obok znajdował się czytnik kart wejściowych i duży czerwony przycisk.

W prawej soczewce jej okularów pojawiła się wiadomość: LOGI NIE WYKAZUJĄ ŻADNYCH WEJŚĆ OD OSTATNIEGO WYJŚCIA. POWINNO BYĆ CZYSTO.

*Powinno? Bardzo pocieszające.*

Przez dłuższą chwilę maszyna skanowała jej identyfikator. To był prawdziwy test. Prawdopodobnie zaledwie kilka osób miało upoważnienie do otwierania tych drzwi.

Rozległo się kliknięcie i zamek ustąpił. W pomieszczeniu było bardzo zimno, około pięciu stopni. Stały tu w równych rzędach metalowe regały, a na każdym z nich ustawiono szeregi serwerów, komputerów grubości jednego centymetra, z których każdy przetwarzał terabajty danych. Za nimi biegly pęki kabli grube jak jej ramię. Powietrze wypełniał szum niewidocznych wentylatorów.

Bijące serce DAR. Fakty i akta na temat każdej tajnej operacji, każdego tajnego ośrodka, profile wszystkich celów. Ona też gdzieś tu była; szczegóły o jej życiu, dzieciństwie, wykształceniu, rzeczach, które zrobiła, i ludziach, których знаła. Shannon szła wzdłuż regałów, podążając za wskazaniami na mapie. Drobne włoski na jej ramionach unosiły się w naelektryzowanym powietrzu.

Pięć rzędów dalej i cztery w bok przystanęła przed regałem, który wyglądał jak wszystkie inne.

Sięgnęła do naszyjnika i przekręciła środkowy sople. Otworzył się, ukazując ukryty w środku pendrive. Przesunęła palcem po panelu wejścia/wyjścia, odszukała gniazdo i wsunęła w nie pendrive. Pozornie nic się nie stało, ale wiedziała, że program się rozwija, przesuwając się w głąb ścieżkami dalej, szuka plików, których potrzebowali. W prawym szkłe okularów pojawił się pasek postępu. Przesuwał się powoli. Jeden procent, dwa procent, trzy procent.

Pozostawało tylko czekać.

To zawsze była najdziwniejsza chwila w jej robocie. Natura jej umiejętności sprawiała, że Shannon często musiała zająć pozycję i czekać. Było to pełne napięcia, ale równocześnie kryło się w tym coś smakowitego, jak pierwsze zaciągnięcie się naprawdę dobrym towarem, jak latanie szybowcem na prądach wznoszących nad pustynią, jak napięcie przed orgazmem. W jej głowie pojawiło się wspomnienie z Waszyngtonu: skrzyżowanie, dzień, gdy pierwszy raz zobaczyła Nicka. Zdała sobie sprawę, że to było niemal rok temu. Agentom z DAR udało się przeciągnąć na swoją stronę dostawcę sprzętu i usług dla wojska o nazwisku Bryan Vasquez i Nick wysłał go na spotkanie z kontaktem, w nadziei, że zgarnie ich obu.

John oczywiście przewidział to posunięcie i stworzył plan awaryjny – automat z gazetami napakowany materiałami wybuchowymi. To Shannon je zdetonowała, przemieniając się i wyprowadzając w pole cały zespół Nicka. Stojąc tuż obok najlepszego agenta Służb Obywatelskich, wysadziła w powietrze automat i całą jego operację.

Oczywiście wtedy nie przyszło jej do głowy, że kiedyś będzie z nim sypiać.

*Sypiac? To właśnie robimy.*

Pasek postępu przesunął się boleśnie powoli. Sześćdziesiąt trzy procent.

To było zuchwałe z jej strony, angażować się w związek z nim. Odszedł z DAR, ale teraz pracował dla prezydenta, co było w najlepszym razie ruchem w bok, jeśli chodzi o prawdopodobieństwo, że to wszystko dobrze się dla nich skończy. Shannon nie była jakąś nastolatką pograżoną w namiętnych fantazjach. Dwa miesiące temu, gdy Cooper polował na Johna Smitha, mierzyła do niego z naładowanej śrutówki i choć ten pomysł jej się nie podobał, była gotowa pociągnąć za spust.

*Oczywiście była też ta chwila, gdy oboje siedzieliście w barze w Nowym Kanaan, stykając się udami, a on cytował Hemingwaya. I ta chwila, kiedy ci zaufała, że uratujesz życie jego dzieciom.*

Dziewięćdziesiąt sześć procent, ale pasek zamarł, do końca pozostał tylko maleńki fragmencik. Westchnęła, przestąpiła z nogi na nogę, stłumiła chęć, by zakląć. Bez względu na postęp technologii, niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały.

*No dalej, dalej.*

Dziewięćdziesiąt siedem procent. Dziewięćdziesiąt osiem procent. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Sto procent.

Pasek na wyświetlaczu zniknął. Shannon odłączyła pendrive'a, ukryła go w naszyjniku. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, program ściągnął wszystkie szczegóły, których potrzebowali, mnóstwo informacji o prywatnych laboratoriach, tajnych grupach specjalistów i tajnych ośrodkach zajmujących się przełomowymi badaniami. Miejscach tego typu, które nie miały udziałowców i nie zwracały szczególnej uwagi na rządowe przepisy. Miejscach tego rodzaju, gdzie mogło zostać opracowane niemal wszystko.

Nawet magiczny eliksir, który mógłby zmienić świat.

Odwrociła się i ruszyła w stronę wyjścia. Jej buty stukwały o podłogę. Koturny na dwa i pół centymetra, ośmiocentymetrowe obcasy, absurdalne obuwie, zwłaszcza na misję, ale był w tym pewien cel. Przy drzwiach wzięła głęboki oddech, wypuściła powietrze, odgarnęła z twarzy blond włosy i wyszła na korytarz. Skręciła w prawo i ruszyła tą samą drogą, którą przyszła.

– Hej! Ty!

Głos dobiegł z tyłu. Shannon przemknęło przez głowę, by rzucić się do ucieczki, zamiast tego odwróciła się, przywołała na twarz zdumiony wyraz – „Ja?”.

Mężczyzna był wysoki i blady, ubrany w dżinsy, T-shirt z logo i rozciągnięty, rozpinany sweter. Trzymał w ręce identyfikator, zbliżał go już do drzwi. Technik albo programista. Rozważała różne kłamstwa, wszystkie tak cienkie, że w oczywisty sposób przejrzyste.

Jak się okazało, nie miała nawet szansy się odezwać. Jako jeden z kilkorga ludzi, którzy mieli uprawnienia, by wchodzić do tego pomieszczenia, wiedział, że ona ich nie posiada. Jego oczy się rozszerzyły i wcisnął wielki czerwony przycisk w ścianie.

Z pozoru nic się nie stało, ale wiedziała, że alarm rozległ się w całym budynku, w każdym pomieszczeniu ochrony. Zmobilizowani zostaną wszyscy strażnicy z DAR, setki uzbrojonych po zęby żołnierzy.

Nie było wyjących syren, migających świateł i w jakiś sposób to sprawiało, że wszystko wydawało się jeszcze bardziej przerażające.

Shannon rzuciła się do ucieczki. Korytarz zdawał się teraz dłuższy i węższy, kamery liczniejsze. W ustach czuła metaliczny posmak, serce tłukło jej się w piersi. Skręciła za róg, rzuciła się w stronę schodów. Odległość dzieląca ją od bezpieczeństwa nie była mierzona w metrach, ale w niemożliwościach. Znajdowała się w samym sercu zmilitaryzowanego kompleksu, ścigali ją wrogowie. I nie tylko to. Biegła pustym korytarzem, stanowiła łatwy cel.

Dobra. Zaczynamy tam.

Zwolniła na tyle, by wyciągnąć rękę i włączyć alarm przeciwpożarowy.

Teraz rozległy się syreny, głośnie wycie uprzedzające o niebezpieczeństwie. Za jej plecami zaczęły się otwierać drzwi. Dotarła do klatki schodowej, wbiegła po stopniach. Przystanęła, wyszła na korytarz. Był pełen ludzi. Mogłaby pocałować każdego z nich. Bez ludzi stawała się obnażona. Ale w zdezorientowanym, kłębiącym się tłumie?

Shannon się przemieniła.

Prześlizgiwała się między nimi i za ich plecami, przystawała, odwracała się, robiła uniki. Uśmiechała się i pochylała, jakby musiała zapiąć but. Wchodziła do otwartych pomieszczeń biurowych niezauważana przez wychodzących z nich ludzi. *Poruszasz się jak płynąca woda, dziewczynko.* Głos taty, z dawnych czasów, gdy mówił o tym, jak poruszała się po boisku do piłki

nożnej. *Woda zawsze znajduje drogę.*

Znajdź drogę.

Wsunęła się za plecy dwóch przysadzistych typów, pewnie jakichś kierowników, i wykonała sekwencję mrugnięć, by zmienić obraz na wyświetlaczu okularów. Pojawiło się zbliżenie mapy, które zmieniło się w trójwymiarowy obraz. Korytarze wyglądały teraz tak, jakby jednym okiem patrzyła na grę komputerową. Żałowała, że nie może się skontaktować z przewodnikiem, który ją prowadził, poprosić go – albo ją – by załadował to, czego potrzebowała. Połączenie biegło jednak tylko w jedną stronę; sygnał wychodzący z siedziby DAR uruchomiłby wszelkie możliwe alarmy.

Jakby ktoś czytał jej w myślach, alarm przeciwpożarowy nagle się wyłączył. To nie było żadne zaskoczenie; ochrona musiała go zinterpretować jako próbę odwrócenia uwagi. Ale to nie miało już znaczenia. Korytarz był zatłoczony, ludzie zaczęli ze sobą rozmawiać. To dało jej czas, którego potrzebowała. Szła zgodnie ze wskazaniami na mapie wyświetlonej w okularach, przemieniała się przez tłum. Wychwycą ją kamery, nic nie mogła na to poradzić, ale przy tej liczbie kamer i ludzi, jeśli nie będzie zwracać na siebie uwagi, ktoś musiałby mieć dużo szczęścia, by spojrzeć akurat na właściwy monitor.

Tam. Damska toaleta, dokładnie w miejscu, gdzie była oznaczona na mapie. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Jedno lustro, dwie umywalki, pięć kabin i słaba woń gówna. Weszła do środkowej kabiny i zamknęła za sobą drzwi.

Shannon usiadła na muszli, zdjęła szpilki i odstawiła je. Potem sukienkę. Z torebki wyjęła jasne dzinsy i wsunęła na biodra. Bluźka była jedwabna i trochę się pogniotła upchnięta tak ciasno w torebce, ale wyglądała w porządku. Najlepsze z tego wszystkiego były srebrne buty na płaskim obcasie – po tym absurdalnym obuwiu, które przed chwilą zdjęła, wydawały się wręcz cudowne. Shannon sięgnęła do włosów, rozpięła plastikowe klipsy i zdjęła perukę. Upchnęła ją razem z sukienką i okularami do butów; wyrzuci wszystko do śmieci, idąc do wyjścia.

Teraz pora na najzabawniejszą część. Odczepiła jeden z mniejszych sopli naszyjnika. W świetle podsufitowej lampy zaśnił czubek igły. Z pomocą małego lusterka z torebki przysunęła ją ostrożnie do brwi. Nie przepadała za igłami, ale zacisnęła zęby i zabrała się do roboty. Poczula ukłucie, gdy igła wbiła się w ciało. Ścisnęła lekko, potem wyciągnęła igłę, przesunęła i powtórzyła wszystko jeszcze raz. Z każdym zastrzykiem wprowadzała sobie w czoło roztwór soli fizjologicznej. Ponieważ po drugiej stronie były kości, płyn wypychał skórę na zewnątrz. Większa ilość wyglądałaby komicznie, ale te niewielkie zastrzyki po prostu zmieniały linię jej czoła.

Gdy skończyła prawą brew, zabrała się do kości policzkowej. Bolało.

Kończyła właśnie lewą stronę za pomocą drugiego sopla, gdy usłyszała, że drzwi do łazienki się uchylają. Niech to będzie jakaś analityczka, która musi się wysikać, pomyślała Shannon. Niech to będą dwie plotkujące asystentki.

– Proszę pani! – Głos był kobiecy, szorstki. – Musi pani stąd wyjść.

Cholera.

Dobre było to, że pojawiła się tylko jedna strażniczka, co oznaczało, że nie wiedzieli, że Shannon tu jest. To miała być rutynowa kontrola, ochrona przeczyszczająca i oczyszczająca budynek.

Kiepska wiadomość była taka, że strażniczka była uzbrojona i czujna. Shannon umiała sobie poradzić, ale takie starcie z komandoską z DAR nie było czymś, za czym tęskniła.

*Znajdź drogę, dziewczynko. Poruszaj się jak płynąca woda.*

– Co proszę? – spytała Shannon. – Korzystam z toalety.

Najciszej jak potrafiła, odwróciła się na muszli toaletowej, przez dzinsy czuła zimną porcelanę.

– Rozumiem, proszę pani, ale musi pani natychmiast wyjść.

– Żartuje pani sobie? – Postawiła jedną stopę na muszli, potem drugą. – Mam przerwać w połowie?

Strażniczka zbliżyła się do drzwi, Shannon widziała czubki jej wojskowych butów. Załomotała do drzwi, mocno.

– N a t y c h m i a s t , proszę pani.

– Dobrze, już dobrze. Jezul! Mogę się podetrzeć?

Kucnęła obok toalety, próbując nie myśleć o tym, jak często myto podłogę, potem zaszeleściła papierem z podajnika.

– Proszę pani, jeśli nie wyjdzie pani za pięć sekund, wyważę drzwi. – Głos dobiegał z odległości kilkudziesięciu centymetrów i Shannon wyobraziła ją sobie, gotową, z bronią w ręku, ale nieuniesioną. Pod tym kątem strażniczka nie będzie w stanie nic zobaczyć.

– Pięć.

Shannon położyła się płasko na podłodze, wzdłuż ścianki oddzielającej tę kabinę od następnej. Uniosła nogę i pchnęła spłuczkę.

– Cztery.

Woda spłynęła natychmiast, potężny strumień, jak zwykle w publicznej toalecie. Wykorzystała ten szum i przycisnęła się pod ścianką do sąsiedniej kabiny. Dłońmi i twarzą otarła się o kafelki.

– Trzy.

*Cóż, to było dość obrzydliwe.*

Cicho wstała.

– Dwa.

Shannon wyszła z kabiny.

Kobieta była mocno zbudowana, silne mięśnie pod kamizelką kuloodporną. Włosy miała związane w kucyk i widać było, że jest wkurzona. Przez ramię miała przerzucony pistolet maszynowy, prawa ręka spoczywała na kolbie, lewą sięgała do drzwi. Wyglądała na bardzo

kompetentną. I Shannon wiedziała już, że się nie pomyliła, nie było mowy, by poradziła sobie z tą kobietą w otwartej walce.

Ale z boku, z zaskoczenia, to już było coś zupełnie innego.

Bez wahania Shannon rzuciła się naprzód i wbiła igłę z sopla w szyję kobiety.

Igła miała zaledwie trzy i pół centymetra i utknęła w mięśniu, ale nie chodziło o to, by zabić strażniczkę, ale by odwrócić jej uwagę. Zadziałało. Kobieta krzyknęła cicho i odwróciła się, jej lewa ręka powędrowała do szyi zamiast do broni. Odsłoniła się na tyle, by Shannon mogła z obrotu kopnąć ją w nos.

Strażniczka upadła na podłogę. Shannon osunęła się razem z nią, owinęła pasek od broni wokół jej szyi. Kobieta próbowała ją uderzyć, ale Shannon była tuż przy niej i coraz mocniej zaciskała pasek.

Gdy skończyła, zawlekła kobietę do sąsiedniej kabiny i oparła ją o muszlę klozetową. Poszukała pulsu, wyczuła go. Był mocny. Gdy się obudzi, cholernie będzie ją bolała głowa, ale ocknie się na pewno.

Shannon zamknęła drzwi kabiny, jeszcze raz prześliznęła się pod boczną ścianką i poświęciła chwilę, by przyjrzeć się sobie w lustrze. Strażnicy będą szukać blondynki, około metra siedemdziesiąt pięć, inaczej ubranej i o innej twarzy. Przebranie nie było może idealne, ale powinno wystarczyć.

Umyła ręce i wyszła na korytarz.

Szanse na to, że się wydostanie, nie były już nieskończenie małe. Ale ryzyko nadal istniało – ochrona będzie wszystkich dokładnie sprawdzać.

Szereg zegarów na ścianie pokazywał czas w Londynie, Chicago, Los Angeles, Singapurze i oczywiście tu, w Waszyngtonie, gdzie była szesnasta czterdzieści pięć.

Shannon się uśmiechnęła. Może i DAR był największą agencją wywiadowczą w USA, ale to wciąż był rządowy biurowiec. Co oznaczało, że dla większości z tych tysięcy ludzi, którzy tu pracowali, za piętnaście minut nadejdzie pora wyjścia z pracy. Piętnaście minut, a potem zaleją wyjścia.

Ruszyła w stronę bufetu. Czekać, równie dobrze mogła się napić kawy.



# INDEKS NIEPOKOJÓW SPOŁECZNYCH SKALA TREFFERTA-DOWNA BEZTWARZOWI MONOCLE 12 MARCA

Przytłacza cię współczesne życie? Nie jesteś sam.

Nasi dziadkowie mieli rację. Życie jest lepsze bez tabletek i nowych informacji dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jest lepsze, kiedy nie musisz się martwić o poprawność polityczną. Jest lepsze, gdy twoja żona przygotowuje indyka w piekarniku, a pies leży zwinięty w kłębek u twoich stóp.

I samo to, że twoja żona nie potrafi gotować i że nie masz psa, nie oznacza, że powinieneś być pozbawiony tych przyjemności.

W Programie „Zwolnij” chodzi o zmniejszenie tempa życia. Cofnięcie zegarów do czasów, gdy wszystko było prostsze, i doświadczanie życia takim, jakie powinno być. Nasze seminaria to weekend z dala od świata – dzięki któremu będziesz znów gotów stawić mu czoło.

**Zapomnij o rzeczywistości. Zwolnij™.**

\* Pakiety „Zwolnij” w cenie od 1999\$ za trzy dni z noclegiem, w tym zakwaterowanie, nieintymne towarzystwo małżonka\*\*, wypożyczenie kota/psa, materiały programowe i osobiste doradztwo. Lokalizacja pozostaje w tajemnicy, wymagane dane kontaktowe w razie nagłych wypadków. Prosimy, żadnych obdarzonych.

\*\* Dostępne są również pakiety z intymnym towarzystwem małżonka.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– A niech mnie. Jesteś sławny, co? Najlepszy kumpel prezydenta? – Bobby Quinn stał w drzwiach jego mieszkania z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Zgadza się. Okaż trochę szacunku. – Cooper wypiął pierś. – Właściwie to powinieneś przykleknąć, ale jako że jesteś moim dawnym partnerem, wystarczy głęboki ukłon.

– To może się odwrócić przy tym ukłonie, żebyś mógł mnie pocałować w...

– Tak, tak – Cooper wziął przyjaciela w ramiona, uściśnął go jak niedźwiedź. – Dobrze cię widzieć. Chodźmy na piwo.

– Stary, chciałbym, ale przyjechałem prosto z lotniska, wracam z Cleveland. Jestem wykończony.

– Wspominałem, że ja stawiam?

– Z drugiej strony, alkohol jest częścią zrównoważonej diety...

Szyld na zewnątrz głosił, że bar nazywa się Jack Chittle's, wewnątrz były podniszczone boksy, a świąteczne lampki paliły się przez okrągły rok. Wiedza Coopera na temat piwa kończyła się na tym, że je lubił, więc pozwolił Quinnowi wybrać dla nich obu: dzban ciemnego mlecznego stouta. Piwo było mocne i pyszne, z nutką czekolady i kawy, i smakowało jeszcze lepiej, gdy wypili po kilka kieliszków irlandzkiej whiskey.

– Czyli wracasz z Cleveland, co? – Cooper odstawił szklaneczkę. – Dzieci Darwina?

– Nie uwierzysz, ale nie. Pracowałem tam nad celem, naukowcem. Facet postanowił zwać, więc musiałem złożyć wizytę jego protegowanemu, potrząsnąć jego klatką.

– Wie coś?

– Za wcześniej, żeby tak powiedzieć.

Nadrabiali zaległości. Przez jakiś czas rozmawiali o niczym, Cooper nie chciał Bobby'ego do niczego ponaglać. Quinn opowiadał mu o sytuacji w agencji.

– To totalny, dziki bajzel. Wszyscy się chowają i robią uniki, potykają się o siebie, dystansują się na wyścigi. „Co takiego? Namierzamy i zabijamy złych ludzi? O rany! Jakie to nieuprzejme”. – Roześmiał się. – A równocześnie wciąż mamy wszystkie te potencjalne cele, więc te same prostaki z góry, które załamują ręce w CNN, przychodzą do nas i gadając półgębkiem, każą nam dalej

pracować. Zapewniają, że niedługo wszystko się ułoży.

– A ułoży się?

– Służby Obywatelskie są skończone. Ale tak, pewnie. Jeszcze jakiś rok, żeby wszyscy zapomnieli, i zaczniemy od początku pod nową nazwą. Wszyscy wiedzą, że ktoś musi dalej wykonywać tę robotę. A tymczasem najlepsi i najinteligentniejsi agenci DAR są zawieszeni w próżni. Wiesz, co jeszcze kazali mi robić? Jestem szefem wewnętrznego zespołu do zbierania informacji do jakiegoś śledztwa w Kongresie. Jeśli chcesz dobrze się bawić w sobotę wieczorem, spróbuj napisać raport o wyeliminowaniu znanego terrorysty, nie używając słowa „zabić”.

– Unieszkodliwić?

– Zneutralizować. Dzięki temu to brzmi tak, jakbyśmy mu powiedzieli, że zszedł na złą drogę, i zaproponowali, żeby się przekwalifikował. – Quinn pokręcił głową. – A co u ciebie? Jesteś jedynym znanym mi facetem, który może zamordować swojego szefa i zostać doradcą prezydenta. Nieźle sobie radzisz.

– Nie planowałem tego.

– Czyli miałaś jakiś plan?

Cooper się roześmiał, pokazał ręką, żeby przynieśli im następną kolejkę whiskey.

– Ale mówię poważnie, Coop, jesteś żołnierzem, nie garniturkiem. Co ty wyprawiasz, pracując dla Claya?

– To samo co zawsze. Próbuję powstrzymać wojnę.

– I jak ci idzie?

– Tak samo jak zawsze.

Quinn wyciągnął z płaszcza paczkę papierosów. Wyjął jednego i obrócił w palcach. Zjawił się barman, by dolać im whiskey, i powiedział:

– Tu nie wolno palić.

– Naprawdę? To jakieś nowe publiczne zarządzenie czy tylko wasza polityka?

– Mniejsza z tym. – Mężczyzna odstawił butelkę na półkę, odszedł.

– Tak, mniejsza z tym. – Dawny partner Coopera pukał papierosem w blat, bawił się nim. – Zabawny jest ten świat. John Smith zbiera grubą kasę za przemówienia na kampusach, ale faceta, który chce zapalić papierosa, można zabić i zjeść.

– Ty nawet nie lubisz ich palić. Lubisz myśleć o tym, że zapalisz.

– To prawda. Opóźniona gratyfikacja, tak jak tantryczny seks.

Cooper wybuchnął śmiechem. Dobrze było być tutaj, rozmawiać z kimś, kto żył w tym samym świecie. Ale ta myśl przypominała mu o tym, dlaczego tutaj był, o dręczącym go lęku.

– No dobra. Odkrywam kartę. To nie jest do końca towarzyskie spotkanie.

– Co ci gryzie?

– Co macie o Dzieciach Darwina?

Quinn wzruszył ramionami.

– Jeszcze sześć tygodni temu nie było o nich zupełnie nic. A potem nagle, bach, i już są, i kichają wszystkim na kanapki.

– Wiecie coś o tym, jak są dowodzeni?

– Zakładamy, że mają odrębne komórki, płynną strukturę dowodzenia. Terrorystyczne standardowe procedury operacyjne. Ale Służby Obywatelskie miały związane ręce i nikt nie mógł wziąć ich na muszkę.

– Jak to możliwe? Jak możemy nic nie wiedzieć?

Quinn oparł się wygodnie.

– Pyta Biały Dom?

– Nie – odparł Cooper. – Nie zbieram informacji. Próbuje to jakoś rozpracować i potrzebuję twojej pomocy. Jesteś moim planistą.

– Pochlebstwo zawsze działa. – Quinn upił piwa. – Dobra. Między nami? Cały ten pomysł, że po prostu pojawili się znikąd, nie trzyma się kupy. Nikt się w takim stopniu nie organizuje tak szybko, nawet obdarzeni.

– Czyli chcesz powiedzieć, że istnieją już od jakiegoś czasu.

– Cóż, dokładnie wiedzą, jak nam zaszkodzić, zgadza się? Wcześniej większość terrorystów podkładała bomby na pocztach, organizowała zamachy na jakichś nieważnych urzędników, wykolejała pociągi. To było kiepskie, ale w sumie tylko uciążliwe. Ale ci kolesie mają nieźle poukładane. Zamiast urządzać zamachy na budynki, porywają parę ciężarówek i mordują kierowców, bo wiedzą, że firmy ubezpieczeniowe wycofają polisy. I bach! Już głodzą miasta.

– To samo z prądem – zauważył Cooper. – Myślę, że sparaliżowali zasilanie w nadziei, że zareagujemy wprowadzeniem kwarantanny.

– Tak, to było straszne zagranie. – Quinn pokręcił głową. – Tylko nasiliło chaos. Po prostu oddaliśmy im te miasta. Jak mogłeś do tego dopuścić, stary?

– Nie ja o tym decydowałem.

– I ta oficjalna historyjka, że odcinamy miasto od świata, żeby złapać terrorystów! Kto jest na tyle głupi, żeby w to uwierzyć? Dziesięć lat, który uderzył się w głowę?

– Wiem, wiem. Wydaje mi się, że Leahy wierzy, że dacie mu współrzędne celu, żeby mógł odpalić rakietę.

Quinn pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Zakładam, że Dzieci Darwina mają nie więcej niż dziesięciu, piętnastu agentów operacyjnych w każdym mieście. Dyskretne, niescentralizowane dowodzenie. A sieć zasilania została pewnie zhakowana przez jakiegoś nienormalnego nastolatka, który siedział w piwnicy.

– Dlaczego tak niewielu ludzi?

– Więcej nie potrzeba, żeby porwać ciężarówkę albo zniszczyć składy żywności. Dzięki temu, że są tak mali, znalezienie ich jest prawie niemożliwe. Zwłaszcza teraz.

– Jeśli to prawda, to wszystko to zostało zaplanowane z góry. – Cooper starannie dobierał słowa. Wydawało mu się, że ma rację, ale chciał sprawdzić, czy Quinn dojdzie do tego samego wniosku. – Nie parę tygodni temu. Parę lat temu. Ktoś to zorganizował, poustawiał ludzi we właściwych miejscach, sfinansował i zostawił jako śpiochów na czas, kiedy DAR będzie pogrążony w chaosie.

Quinn rzucił mu zaciekawione spojrzenie.

– Chcesz powiedzieć, że to był John Smith?

– Plan taki jak ten wymagałby niesamowitego stratega.

– Kiedyś mi powiedziałeś, że John Smith to strategiczny odpowiednik Einsteina. – Quinn upił łyk. – Ale... czekaj chwilę.

– Plan, który jest przygotowywany latami. Mała, oddana grupka, która wykorzystuje nasze systemy przeciwko nam. I co więcej, operacja przeprowadzona dokładnie w najgorszym momencie, gdy silny, ale niemoralny prezydent zostaje postawiony w stan oskarżenia i czeka na rozprawę, a organizacja, która normalnie chroniłaby kraj, jest pogrążona w chaosie.

– Jeśli to prawda, to znaczy... Chcesz powiedzieć... – Quinn gapił się na niego. – Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?

– To mi właśnie nie daje spać po nocach, Bobby. Ciągłe to walnięcie i wciąż dochodzę do tego samego.

Cooper nigdy nie byłby w stanie sobie wyobrazić, że znajdzie się w takiej sytuacji. Gdy polował na Johna Smitha, nie miał żadnych wątpliwości, że ten człowiek jest winny. Jednak gdy próbował do niego dotrzeć, otworzono mu oczy na pewne fakty, których nie mógł zignorować. Na przykład obdarzona przyjaciółką Shannon, Samantha, której zdolność empatii mogła uczynić z niej uzdrowicielkę albo nauczycielkę, ale którą zmuszono do stania się prostytutką. Fakty takie jak to, że oddział DAR aresztował rodzinę, która mu pomogła, wtrącił rodziców do więzienia, a ich ośmioletnią córeczkę umieścił w akademii. Fakty takie, jak subtelne piękno Nowego Kanaan w Wyomingu, gdzie pokolenie optymistycznych marzycieli budowało coś nowego i lepszego.

Nim wreszcie Cooper dotarł do Smitha, jego wiara się zachwiała. A gdy poznał prawdę o masakrze w restauracji Monocle, coś w nim pękło.

W pewnym sensie to on pękł.

Cooper pamiętał, jak siedział na szczycie góry w Wyomingu, na wąskiej skalnej iglicy wznoszącej się na pięćdziesiąt metrów, i patrzył na świt. On i Smith wspięli się tam razem. Gdy krwistoczerwone słońce wznosiło się nad malowniczym krajobrazem, rozmawiali. Więcej niż

rozmawiali; wymieniali się prawdami. To było prawdziwie surrealistyczne doświadczenie, rozmowa z najgorszym wrogiem. To tamtego ranka Smith powiedział mu o istnieniu nagrania, na którym widać było, jak Drew Peters i prezydent Walker planują masakrę w Monocle. Smith twierdził, że to oni pragnęli wojny, że tylko ludzie u władzy mogli na niej skorzystać.

Choć Cooper nie kupił wszystkiego, co próbował mu sprzedać Smith, uwierzył w to na tyle, by pójść dalej. By znaleźć nagranie, zabić Drew Petersa i doprowadzić do upadku prezydenta.

A teraz się zastanawiał, czy nie było to od początku celem Smitha.

– Bobby – powiedział – musisz mi powiedzieć prawdę. Jestem szalony? A może to jednak możliwe?

Jego przyjaciel odstawił półlitrowy kufel. Sięgnął po papierosa, wsunął go do ust, zabębnił palcami o bar, spuścił wzrok. Cooper pozwalał mu myśleć. Wbrew wszystkiemu miał nadzieję, że Quinn powie mu, iż to jakaś paranoidalna fantazja. Zdolność Coopera do rozpoznawania wzorców dawała mu ogromną przewagę, ale była ona raczej taktyczna niż strategiczna, dotyczyła bardziej kolejnej chwili niż dziesięciu następnych ruchów. Quinn był planistą.

– To możliwe. – W głosie przyjaciela nie było słycać choćby cienia żartobliwego tonu. – Tak.

Cooper odchylił się na stołku. Poczuł, że skręca mu się żołądek. W gardle miał palący posmak żółci. Możliwość była równie dobra jak pewność, jeśli czynnikiem X był John Smith.

– Rozgrywa nas.

– Ale zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? Wszystko to, co zrobiliśmy, było częścią jego planu. Gdy Smith powiedział ci o tym nagraniu, nasał nas na Petersa, to nie miało nic wspólnego z jego niewinnością ani z prawdą. Zrobił to, ponieważ...

– ...ponieważ wiedział, że jeśli znajdzie to nagranie, to je opublikuje. A to doprowadzi do obalenia prezydenta i sparaliżuje DAR. Wiedział, że zrobię to, co słuszne, i wykorzystał to, żeby pogorszyć sytuację. – Cooper zawahał się, próbował przełknąć następne słowa, czuł, że tną mu gardło jak żyłki. – To znaczy, że to moja wina, Bobby.

– Pieprzenie. Nie możesz brać tego na siebie.

– Muszę. Jasne, starałem się jak mogłem, ale rozegrałem to dokładnie tak, jak chciał. Wszyscy tak to rozegraliśmy. Myślałem, że mnie wykorzystuje, żeby oczyścić się z zarzutów i przestać się ukrywać. Ale to były tylko mało istotne dodatki. Prawdziwym celem było sparaliżowanie naszej reakcji na Dzieci Darwina.

– Ale dlaczego? To znaczy, jeśli zrobił to wszystko, by cię wplątać i wystawić, i to był tylko pierwszy krok, a on myślał już o dziesiątym, to jaki jest w tym cel?

– Wojna – odparł Cooper. – Ostatecznym celem jest wojna. Myślę, że Johna Smitha nie interesują już równe prawa dla nienormalnych. Myślę, że chce rozpętać wojnę domową.

– I co zrobić? Zabić wszystkich normalnych?

Cooper nie odpowiedział.

– Jezu. – Quinn potarł oczy. – Czekał. Jak to ma mu dać to, czego chce? W tej chwili sytuacja nienormalnych jest gorsza niż kiedykolwiek dotąd. Wszczepianie mikrochipów, przestępstwa na tle nienawiści. Do diabła, co trzeci kongresmen organizuje sobie konferencję prasową, żeby powiedzieć, że musimy was wszystkich pozamykać.

– Dokładnie. Pamiętaj, że obdarzeni nie są przecież zjednoczeni. Nie może nam wysłać e-maila. Większość ludzi, normalnych czy nienormalnych, nie chciałaby mieć z nim nic wspólnego. Próbuja po prostu spokojnie żyć. Jeśli Smith chce przejąć władzę, potrzebuje armii. A ponieważ nie może zacząć rekrutacji...

Oczy Quinna się rozszerzyły, gdy dotarło do niego, jaką to przybrało skalę.

– Sprawi, że rząd zrobi to za niego. Pchnie ich ku represjom. Ludzie zamiast martwić się o nienormalnych, zaczną się ich bać. A stąd jest już tylko krok do tego, by ich zaatakowali. Lincze, zamieszki. Sformuje się jego armia. Bądź co bądź, jeśli wszyscy próbują zabijać takich jak ty, lepiej połączyć siły i się bronić.

– A do tego będzie potrzebny przywódca. Człowiek o śmiałej wizji, ktoś, kto obieca ci świat, w którym nie tylko będziesz bezpieczny, ale to ty będziesz rządził. Żadnych równych praw. Przewaga dla lepszych.

Drzwi do baru się otworzyły i do środka weszła grupa młodych ludzi, śmiejąc się i żartując. Razem z nimi wpadł lodowaty podmuch i Cooper zadrżał. Quinn odsunął swój kufel.

– Nagle odechciało mi się pić.

– No.

– DAR obserwuje Smitha najlepiej jak może. Nie widzieliśmy żadnych oznak, że pozostaje w kontakcie z Dziećmi Darwina.

– Nie musi mieć z nimi kontaktu. Mógł stworzyć ten plan dwa lata temu, sporządzić bardzo dokładne instrukcje. Zróbcie to, potem to, potem to. Tak jak mówiłeś, mała grupka, która dokładnie wie, jak nam zaszkodzić.

– A tymczasem on podróżuje sobie po kraju, wygłasza przemówienia, rozdaje autografy, występuje w telewizji i gada o tym, że to on jest ofiarą. Zbiera sobie poparcie, udając, że jest głosem rozsądku.

„Napraw to”, powiedziała Natalie. Na tę myśl niemal się roześmiał. Naprawić to? To on to popsuł. Co prawda miał czyste intencje i dokonywał takich wyborów, jakie pochwalalby jego ojciec, ale mimo to wszystko posłużyło celom Johna Smitha. To co słuszne, zostało wypaczone, by wyrządzić tyle złego.

– Wiesz – odezwał się Quinn – są takie dni, kiedy wszystkich nienawidzę. – Pokręcił głową. – Robi się kiepsko, co? To znaczy zawsze byliśmy na linii frontu i zawsze wszystko wygląda tak, jakby

zaraz miało pójść w diabły. Tak już jest. Ale to co innego. – Podniósł wzrok, spojrzał Cooperowi w oczy. – Naprawdę możemy stanąć na krawędzi. Koniec wszystkiego.

*Koniec wszystkiego.* To były takie melodramatyczne słowa, wielkie i jakieś głupawe. Koniec wszystkiego? Oczywiście, że nie. Kataklizmy nigdy się tak naprawdę nie zdarzały. Czaiły się tylko gdzieś tam. Huragany tak naprawdę nie niszczyły miast. Zarazy tak naprawdę nie dziesiątkowały populacji. Ludzie nie popełniali ludobójstwa.

Tyle że... tak jednak się działo.

– Rozmawiałeś z prezydentem?

Cooper pokręcił głową.

– Nikt nie chce tego słuchać. Są przekonani, że wszystko będzie dobrze.

– Możesz się mylić co do Smitha.

– Nic by mnie bardziej nie ucieszyło. Ale nie sądzę, żebym się mylił. A ty?

– Ja też.

– No to co z tym zrobimy?

Quinn wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

– W obecnej sytuacji nie ma mowy, żeby DAR podjął jakiekolwiek działania przeciwko Smithowi. W oczach opinii publicznej stał się teraz „swoim człowiekiem”. Ofiarą represyjnego rządu. Nie moglibyśmy go aresztować, nawet gdyby jedną ręką strzelał do przechodniów, a drugą zwał konia na amerykańską flagę.

– Piękny obrazek.

– Dzięki. A co z prezydentem Clayem?

– Nie, nie ma szans. John Smith jest nietykalny.

– Kompletnie poza zasięgiem.

– W stu procentach. – Cooper sięgnął po serwetkę, oderwał od niej równy pasek. I kolejny, i jeszcze kolejny. Spojrzał na przyjaciela. – Chcesz go i tak dorwać?

Quinn się uśmiechnął.

– Do diabła, jeszcze jak.



DEMOBIL U RINGO

★★

MAMY TO, CZEGO  
CI TRZEBA

★★



NASZ ZESTAW PRZETRWANIA  
OBEJMUJE:

- ★ KUCHENKĘ NA BUTLĘ GAZOWĄ
- ★ SKŁADANY GARNEK
- ★ TABLETKI DO UZDATNIANIA  
WODY
- ★ NIEPRZEMAKALNY KOC
- ★ LATARKĘ NA KORBE
- ★ NARZĘDZIE UNIWERSALNE

TYLKO 999,99 \$!

(ZAPASY SĄ OGRANICZONE I  
SZYBKO TOPNIEJĄ)

PAMIĘTAJ, TYLKO  
TY

MOZESZ OCHRONIĆ SWOJĄ RODZINĘ!!

SIADKY CI BATERIE DO TABLETA? MOZESZ PODŁADOWAĆ  
Z NASZEGO GENERATORA! (50,00 \$ / GODZ.)

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Oddech zamieniał się w parę. Ethan sortował puszeki.

W ich kuchni była spiżarnia, i to go wciąż rozwalalo. Pomieszczenie przeznaczone na to, żeby przechowywać w nim jedzenie? Cóż za nowość! Co za luksus! Na Manhattanie spiżarnia zostałaby wynajęta jako kawalerka. Wydawało mu się nawet, że kiedyś w czymś takim mieszkał.

Prądu nie było od dwudziestu godzin i w domu było zimno. Miał na sobie dwie bluzy od dresu i rękawiczki bez palców. Zabawne, jak niewiele puszek ma naprawdę jakąś wartość jako jedzenie: przecier pomidorowy, plasterki ananasa, owoce w zalewie i rosół. Wszystko, czego tylko mógłby potrzebować kucharz, a nic z tego nie nadawało się na posiłek. Przeglądał je i te najbardziej przydatne odstawiał na osobną półkę. Czarna fasola, fasola cannellini, fasola limerńska. Zupy, zwłaszcza te solidniejsze. Kilka puszek mleczka kokosowego; może to niezbyt wykwintne, ale każda zawierała prawie tysiąc kalorii, a wysoka zawartość tłuszczu pomoże im utrzymać ciepłotę ciała. Poniżej odstawiał gruszki, koktajle owocowe, fasolkę szparagową. Miały mniej witamin niż świeże warzywa i owoce, ale to lepsze niż nic. Makaron i ryż. A wreszcie produkty do pieczenia: mąka, cukier, mąka kukurydziana. Bez prądu nie mogli piec, ale mogli przyrządzić z nich kleik na zimno, gdyby zrobiło się naprawdę kiepsko.

– Zasnęła – odezwała się Amy za jego plecami. – Zacznę od wody.

Ethan przestępował z nogi na nogę, żeby pobudzić krążenie.

– Dobra. Napełnij wszystko, co mamy. Szklanki, wazon, wiadra, puste puszeki...

– Wannę. Zajmę się tym.

– Dzięki.

Ethan wypatrzył paczkę świeczek do tortu i położył je na stosie na kuchennym blacie. Pudełko cienkich świec, trzy grube, do połowy wypalone z sypialni, i jedenaście, nie – dwanaście – urodzinowych. Trzy latarki i garść baterii. Lepiej ich nie marnować; muszą zacząć funkcjonować w czasie, gdy świeci słońce. Żadnego czytania przed snem.

Rozpalili w kominku i przyklepnął, by ogrzać dłonie, rozprostować zeszywniałe palce. Zastanowił się, czy nie dorzucić jeszcze kilka polan, i postanowił tego nie robić. Miel niewiele drewna.

*Zawsze są jeszcze meble.*

Następna sprawa, lodówka. Oboje lubili dobre jedzenie i zwykle była dobrze zaopatrzona. Upłynęło jednak sześć dni, odkąd towary zniknęły ze sklepów, i zjedli już większość świeżych produktów. W pojemniku na owoce było kilka jabłek, grapefruit i pół opakowania rukoli. Liście na spodzie były już ośliże. Normalnie wyrzuciłby całe opakowanie, teraz zaczął je przeglądać, zachowując wszystko, prócz najbardziej zgnitych liści. Była też resztką pad thai, trochę soku pomarańczowego i sporo przypraw.

Zamrażarka prawie się już rozmroziła, lód pływał na tackach, opakowania z hamburgerami i kurczakiem zaczynały być miękkie na brzegach. Kilka już rozmrożonych pizz. Ethan westchnął, zaczął wszystko wyciągać.

Amy napełniała szklanki przy zlewie.

– Moglibyśmy wynieść jedzenie na zewnątrz – powiedziała.

– Jak myślisz, ile jest stopni?

– Coś około siedmiu?

Hmm. Taka była pewnie temperatura w działającej lodówce. Wyniesienie mięsa na zewnątrz dałoby im co najwyżej dwa dni.

– Utrzyma się dłużej, jeśli je ugotujemy.

– Mówiłam ci, że powinniśmy się zdecydować na kuchenkę na gaz. – Uśmiechnęła się i dodała: – Hej, poczekaj! Mamy grilla.

Ethan roześmiał się, przyciągnął ją do siebie.

– Dobrze myślisz.

Jeśli chodzi o grillowanie, był purystą. Węgiel drzewny albo nic. Łatwo się było przy tym upierać, gdy życie było normalne, ale teraz naprawdę żałował, że nie zdecydował się na propan. Zaczął grzebać w garażu, znalazł pół torby węgla drzewnego. Wsypał wszystko do grilla, podłożył gazetę i podpalił. Z zachodu powiał chłodny wiatr, posyłając mu w twarz biały dym, ale węgielki się zajęły.

Wrócił do kuchni i porozcinał opakowania z mięsem. Kilogram steków, cztery piersi z kurczaka, pół kilograma hamburgerów. Uformował mieloną wołowinę w kotlety, potem zaczął kroić stek na półcentymetrowe paski.

– Chcesz podsmażyć po chińsku?

– Ususzyć – odparł. – Zagotuję wodę na makaron, potem ugotuję kurczaka i burgery, a na koniec zrobię pizzę. Na więcej nie starczy mi węgla, ale jeśli powiesimy te paski, za jakiś czas wyschną. A suszone mięso można przechowywać przez kilka tygodni.

– Nieźle. – Amy wyprostowała się, oparła ręce na biodrach i pochyliła do przodu. Kręgosłup zatrzeszczał. – Rany, nie masz pojęcia, co bym dała za gorący prysznic.

– Nawet nie zaczynaj – powiedział.

Za oknem zmierzchało. Przytłaczające chmury wisiały nisko, a wiatr szarpał drzewami.

Po przesortowaniu jedzenia wydawało się, że mają go dość, by jakiś czas przetrwać. Wiedział jednak, że gdyby jedli normalnie, nawet by się nie obejrżeli, nim wszystko by zniknęło. Pomyślał o wyprawach do sklepów spożywczych, o tym, jak napełniali wózek aż po brzegi, kilkanaście reklamówek do rozpakowania, a mimo to kupowali jedzenie niemal co tydzień.

*Będziemy musieli zacząć wydzielać jedzenie. Przeciwną to jak się da, pić dużo wody. Panie i panowie, amerykański styl życia został tymczasowo zawieszony.*

To było w porządku. Jedną z zalet życia w najbogatszym kraju na świecie był szeroki margines dzielący normalność od głodowania. Ale co będzie, gdy mimo to skończą im się zapasy? Czy to może trwać tak długo?

I co z ludźmi, którzy nie mają nawet tyle? Jakoś mu się nie wydawało, że zechcą po cichu umrzeć z głodu.

– Nie wierzę im – stwierdziła Amy.

– Co? Komu?

– Tym żołnierzom. Mówiłeś, że odcięli miasto, żeby terroryści nie mogli się wydostać. To nie ma żadnego sensu.

– Nie ma.

– Jest coś, o czym nam nie mówią.

Nim zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Ten dźwięk sprawił, że oboje aż podskoczyli. Nie zdawał sobie sprawy, jak głośna jest cisza, póki wszystkie gadzety nie przestały działać.

– Zostań tutaj – powiedział i podszedł do frontowych drzwi. Położył rękę na klamce, przyłapał się na tym. *To nowy świat.* Wyjrzał przez wizjer.

Na ganku stał Jack Ford z dwoma facetami ze spotkania straży sąsiedzkiej, z tym inżynierem, Kurtem, i Lou, facetem, który pytał, z czym Ethan ma problem.

Otworzył drzwi.

– Cześć.

– Cześć, Ethan. – Jack uśmiechnął się, podał mu rękę. – Co u ciebie?

– Och, robiliśmy właśnie mały bilans.

Miało się w tym kryć drugie dno, ale Jack rozumiał to dosłownie.

– Mądrze. To ważne, by wiedzieć, na ile wystarczy wam zapasy. Słuchaj, zdawało mi się, czy wczoraj wieczorem pakowałeś samochód?

– Tak. – W głowie Ethana pojawił się obraz: Jack chodzący od okna do okna ze śrutówką w ręce i wyglądający przez szczeliny w zasłonach. Mający się na baczności przed złymi ludźmi. – Chcieliśmy jechać do Chicago i zatrzymać się u mamy Amy. Gwardia Narodowa nas zawróciła.

– Słyszałem. Mam generator, uruchamiam go co jakiś czas, żeby naładować naszą elektronikę i oglądać wiadomości. Mówią, że miasto jest zamknięte, bo rząd ściga Dzieci Darwina.

Ethan kiwnął głową. Czekał. Trzej mężczyźni popatrzyli po sobie.

Jack otworzył usta, ale Lou go ubiegł.

– Dobrze znasz tego całego Randzita?

– Jasne. Parę razy jedliśmy razem kolację. Miły gość.

– Zastanawialiśmy się, czy z nim nie pogadać.

– O czym?

– Rząd mówi, że szukają nienormalnych terrorystów. Pomyśleliśmy, że może pomożemy.

– Dajcie spokój. Randzit jest grafikiem.

– Nie, nie! Żle zrozumiałeś – odezwał się Jack. – Wiemy, że nie jest terrorystą. Ale jest nienormalny.

– Więc pewnie zna terrorystów?

– Może zna kogoś, kto zachowywał się dziwnie.

– Nienormalni trzymają się razem – powiedział Kurt. – Jestem inżynierem. Możesz mi wierzyć, znam wielu z nich.

Jack go zignorował. Powiedział:

– Rząd ma gorącą linię dla ludzi, którzy dzwonią i zgłaszają różne podejrzone rzeczy. A ponieważ teraz naprawdę nie mamy nic innego do roboty, pomyśleliśmy, że co to może zaszkodzić.

*Jasne. Co to może zaszkodzić, że w mieście pełnym głodnych, przerażonych ludzi ktoś postanawia polować na terrorystów?*

– Ja tak nie uważam.

– Zapomnij – stwierdził Lou. – Mówiłem ci, że on nie będzie zainteresowany. – Odchrząknął, odwrócił się i splunął w krzaki. – Chodźmy.

Jack się nie poruszył, wciąż stał na progu. Ethan wyczuwał, że próbuje coś powiedzieć, dać mu coś do zrozumienia. W tej chwili Jack był de facto przywódcą w tej okolicy, człowiekiem, do którego wszyscy się zwracali z problemami. Czy prosił Ethana, by się przyłączył? Niejasno mu groził? A może sugerował, że jeśli ludzie tacy jak Ethan się nie przyłączą, ludzie tacy jak Lou staną się o wiele silniejsi?

– Czemu z nimi nie pójdziesz, kochanie? – Amy była poza zasięgiem wzroku mężczyzn na ganku, a jej zatroskany wyraz twarzy zadawał kłam lekkości tonu. Mówiła na tyle głośno, by ją słyszeli. – No idź, poradzę sobie z grillem. Tylko przytul mnie jeszcze. – Wyciągnęła ręce.

Ethan zerknął na Jacka, potem na nią, po czym ją objął.

Szepnęła mu do ucha:

– Randzit ma dwie córki.

Oczywiście. Odszepnął:

– Kocham cię.

– Ja ciebie też. Bądź ostrożny.

Kiwnął głową, cofnął się.

– Chodźmy.

Dom Singhów był pomalowany na wesoły żółty kolor, z przodu były rabaty, na których teraz, w listopadzie, nic nie rosło. Przejście tam zajęło im tylko minutę, ale ten czas wydawał się dłuższy, za sprawą niewidocznych napięć w grupie. Lou szedł przodem, stanowczym krokiem, który wydawał się niemal marszowy. Jack i Ethan szli tuż za nim. W pewnej chwili sąsiad spojrzał na niego. Kolejne nieprzeniknione spojrzenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale tego nie zrobił. Kurt towarzyszył im jak napalony szczeniak.

Przystanęli na chodniku przed domem. Lou przestąpił z nogi na nogę. Ethan wyobraził sobie tę scenę z perspektywy Randzita: grupa czterech mężczyzn czekających złowrogo przed domem, wymieniających spojrzenia. Wyobraził sobie, jak on by się poczuł. Nagle powróciła ta podświadoma pewność ze szkolnych czasów, że każda grupa patrzy właśnie na niego, że śmieją się właśnie z jego słabości. To kiepski pomysł.

Zmusił się do lekkiego tonu i powiedział:

– Na co czekamy, chłopaki?

Ruszył ścieżką. Nacisnął dzwonek – nic, no tak – potem zapukał. Po chwili do jego uszu dobiegł odgłos kroków i przesunął się rygiel w drzwiach.

Randzit zobaczył najpierw jego i uśmiechnął się. Potem zauważył pozostałych mężczyzn i uśmiech zamarł na jego ustach.

– Cześć – powiedział. – Straż sąsiedzka. Złapaliście jakichś złych ludzi.

Lou się najeżył, ale Ethan odparł:

– Nie, wszędzie spokój. Co u ciebie?

– Żałuję, że nie wyjechaliśmy na Florydę.

– Wiem, jak się czujesz. My próbowaliśmy wyjechać do Chicago, ale nas zawrócili.

– Dziwne dni. – Randzit rzucił szybkie spojrzenie pozostałym mężczyznom, potem znów skupił się na Ethanie. – Co się dzieje?

– Możemy wejść? – spytał Lou.

Randzit się zawahał, jego dłoń wciąż wciążyła na klamce.

– Tak, pewnie. – Odsunął się i pokazał im gestem, żeby weszli.

Krótki przedpokój przechodził w salon, stylowo umeblowane pomieszczenie pomalowane na białą. Na żółtym dywanie stały dwie modernistyczne sofy, a na delikatnym szklanym stoliku leżała otwarta książka. Na dywanie porzucane były zabawki, jakby spadły z nieba: pluszowe maskotki,

plastikowe foremki i cymbalki. Na ten widok przez głowę przemknęła mu przez głowę wizja ich przyszłości. Violet chwiejnym krokiem chodząca po domu i zostawiająca po sobie porozrzucane zabawki. Rozpromienił się.

– Gdzie są dziewczynki?

– Na górze. Eva próbuje je przekonać, że pora na drzemkę.

Randžit nie zaproponował im, żeby usiedli, wsunął tylko ręce do kieszeni i czekał. Cała czwórka stała przed nim niepewnie. W domu było równie zimno jak na zewnątrz, ich oddech zamieniał się w parę.

Ethan dostrzegł, że Jack na niego patrzy. Wzruszył ramionami. *To był twój pomysł, człowieku.*

– Masz naprawdę ładny dom – stwierdził trochę niezręcznie Jack. – Elegancki.

– Dzięki. O co chodzi?

– Nie wiem, czy słyszałeś ostatnie wiadomości, zasilanie...

– Mamy radio i baterie.

– Czyli wiesz, że rząd prosi nas wszystkich o pomoc. Jest gorąca linia, gdzie można wszystko zgłaszać.

– Na przykład co?

– No wiesz. – Jack wzruszył ramionami. – O Dzieciach Darwina.

Randžit wydał dźwięk, który nie był śmiechem.

– Żartujesz sobie?

Jack rozłożył ręce w pojednawczym geście.

– Nic takiego nie sugerujemy. Zastanawialiśmy się tylko, czy może ty...

– ...zadaje się z terrorystami?

– Nie, po prostu... czy macie jakichś przyjaciół, którzy dziwnie się zachowują.

– Tak – odparł Randžit, patrząc na Ethana. – Was czterech.

– Słuchaj, wiem, jak to brzmi – powiedział Jack, siląc się na pojednawczy uśmiech. –

Przepraszam, że cię pytamy, ale wszyscy się martwimy. Sytuacja robi się kiepska.

– Naprawdę, geniuszu? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Naprawdę, bez urazy...

– Bez urazy? Przychodzisz do mojego domu z oddziałem straży i pytasz, czy znam terrorystów, a potem mówisz „bez urazy”?

– Randžit... – zaczął Ethan, ale przyjaciel nie dał mu dojść do słowa.

– Nie, w porządku. Przylapaliście mnie. Jestem geniuszem zbrodni. To tylko moja przykrywka, że projektuję korporacyjne logo, ale tak naprawdę spędzam wieczory na porywaniu ciężarówek. Jest mi łatwiej, no wiecie, mam ciemną skórę. W nocy mnie prawie nie widać.

– Wyluzujmy trochę – powiedział Ethan. Randžit zdawał się nie zauważać, jacy wszyscy są spięci,

zmęczeni i przerażeni. Robienie dobrej miny do złej gry, gdy półki w supermarketach są puste, to jedno, ale gdy tydzień później wciąż nie ma jedzenia, prądu, wojsko zarządza w mieście kwarantannę, robi się coraz zimniej, a kolacja w Święto Dziękczynienia ma się składać z fasoli z puszki, to już inna sprawa. Napięcia społeczne zaczynały się nasilać i choć gniew Randžita był słuszny, w tej chwili ta reakcja nie była właściwa. – Nikt nikogo o nic nie oskarża. Wszyscy jesteśmy...

– Dlaczego to masz? – Lou podszedł do stolika i wziął do ręki książkę, którą Ethan zauważył wcześniej. Odwrócił ją tak, żeby wszyscy widzieli okładkę. *Jestem John Smith*.

O cholera.

– Że co proszę?

– Dlaczego to masz?

– A co, chcesz pożyczyć?

– Pytam ostatni raz. Dlaczego to masz?

Singh uśmiechnął się słabo.

– Mówiłem wam. Jestem terrorystą.

– Lou, to wolny kraj – odezwał się Jack. – To tylko książka.

– Tak, napisana przez mordercę.

– Wrobili go – powiedział Randžit. – Gdybyś czasem słuchał wiadomości, wiedziałbyś o tym. Rząd wycofał wszelkie zarzuty wobec niego.

Lou zaczął czytać w miejscu, gdzie Randžit musiał przerwać.

– „Oto prosta, ale brzydka prawda. Nasi politycy postrzegają nas jako niewiele więcej niż środek do utrzymania władzy. Jesteśmy benzyną dla silnika korupcji i egoizmu. Ludzie kierujący tym narodem nie dbają o nas bardziej niż wy o benzynę, którą wlewacie do samochodu. Benzynę, która jest spalana bez zastanowienia, dopóki pozwala prowadzącemu samochód dotrzeć tam, gdzie chce”.

– Zamknął książkę. – I to ma być amerykańskie?

– Tak – powiedział Randžit. – Trafił w samo sedno.

Lou, zde gustowany, pokręcił głową.

– Służyłem w piechocie morskiej. Mój ojciec służył w piechocie morskiej. Walczył w Wietnamie, żeby takie gówno nie miało miejsca w tym kraju.

Randžit się roześmiał.

– Wydaje ci się, że dlatego byliśmy w Wietnamie?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Lou zbliżył się do niego.

– Chłopaki. – Ethan spojrzał na Jacka. Sąsiad się nie poruszył. – To jakiś absurd...

– Mówisz, że jestem głupi? Że mój ojciec był głupi? – Lou przybrał bojową postawę, wypiął piersi i wpatrywał się twardo w Singha. Był o dziesięć centymetrów niższy od obdarzonego, miał jednak



potężny tors i ramiona grube jak sztangista. – To chcesz powiedzieć?

Spojrzenie Randžita było rozbiegane, ale panował nad sobą.

– Dość tego. Pora, żebyście wyszli.

– Wy, ludzie. – Lou wciągnął powietrze przez zęby. – Wszystkim wam się wydaje, że jesteście tacy cholernie bystrzy. O wiele lepsi od nas.

Ethan podszedł do niego.

– No chodź już. – Położył dłoń na ramieniu Lou. Ten ją strącił.

– Jacy ludzie? – spytał Randžit. W jego głosie zabrzmiała wściekłość. – Obdarzeni? Amerykanie hinduskiego pochodzenia? Projektanci?

– Co za przemądrzały dupek! – Lou postukał Randžita książką w pierś. – Ale jesteś twardy. – Postukał jeszcze raz.

– Nie żartuję. Wynoście się z mojego domu.

– Albo co? – Znów postukał książką.

– Lou... – zaczął Jack.

Singh wyrwał mu książkę z ręki.

– Powiedziałem, wynoście się z mojego domu! – Zbliżył się o krok i pchnął Lou w pierś.

Lou, zaskoczony, zatoczył się do tyłu. Nastąpił na samochodzik zabawkę, stracił równowagę, odchylił się do tyłu, zamachał rękami i upadł. Ethan przyglądał się temu jak sparaliżowany. Widział, że pomiędzy Lou a podłogą jest szklany stolik, i przemknęło mu przez głowę, że powinien spróbować go złapać, ale zdążył to tylko pomyśleć.

Mężczyzna uderzył o stolik plecami, fragmenty szkła poleciały w powietrze. Przeleciał przez blat, zmiażdżył półkę poniżej i z głuchym odgłosem wałnął o dywan.

Randžit zrobił krok do przodu, powiedział:

– O cholera, przepraszam...

Lou gwałtownie wciągnął powietrze. Zakaszał, przetoczył się na bok. Szkło zazgrzytało pod nim, gdy sięgnął do paska...

I wyjął broń.

Pistolet był duży, chromowany, a trzymająca go dłoń zakrwawiona, pokryta skaleczeniami. Lufa się trzęsła, ale mierzyła w pierś Randžita. Świat zmienił się w dziwną i straszną scenę: Kurt z otwartymi ustami, Jack trzymający się za głowę, Randžit zamarył, z wyciągniętą ręką, i Lou na podłodze, skulony, jakby robił brzuski, z pistoletem w prawej ręce.

– Ty sukinsynu! – rzucił Lou.

Często się zdarzało, że Ethan zdawał sobie sprawę, iż obserwuje świat oczami intelektualisty, przygląda się klasycznej walce o dominację w plemienu, dominację, która eskalowała od gróźb do przemocy. Jedną z pięknych rzeczy w ewolucji było to, że była równocześnie chaotyczna

i uporządkowana. Chaotyczna w tym, że polegała na przypadkowości mutacji, milion fałstartów i ślepych uliczek niewytoczonych ręką architekta. Uporządkowana pod tym względem, że zasady były stosowane z absolutną pewnością i brutalną prostotą, a geny i gatunki przechodziły próby, mierząc się ze sobą nie na jakiejś tablicy Boga, lecz na krwawym polu bitwy, jakim było życie. W sytuacjach takich jak ta...

Nagle zdał sobie sprawę, że palec Lou zaciska się na spuście. Zamierza zastrzelić człowieka z powodu sprzeczki i napadu złości, zamordować go w jego salonie, gdy jego dzieci są na górze.

Nie dając sobie czasu na zastanowienie, Ethan stanął przed Randżitem.

Fizycznie przesunął się tylko o jakiś metr. Zmiana perspektywy była jednak ogromna. Ethan zorientował się, że patrzy w lufę pistoletu. Widział coś takiego na plakatach filmowych i na okładkach thrillerów, ale rzeczywistość była zupełnie inna.

Lou wpatrywał się w niego, jego powieki były zmrużone, a nozdrza rozdęte.

– Zejdź z drogi.

Chciał, naprawdę chciał, ale pokręcił tylko głową. Bał się, że zbyt gwałtowny lub zbyt stanowczy ruch pogorszy tylko sytuację. Sprawi, że ten napalony wariat zrobi coś naprawdę głupiego.

– Tatusiu!

Krzyk dobiegł z korytarza. Ładna dziewczynka w spodniach w kropeczki i w sweterku z delfinem wpatrywała się w nich z przerażeniem w rozszerzonych oczach.

– Kochanie, wracaj na górę – powiedział Randżit. – Wszystko w porządku. Tylko rozmawialiśmy i pan Lou się potknął.

– Nic mu nie jest?

– Nie, kochanie. Wszystko w porządku.

Ethan wpatrywał się w idealny ciemny krąg lufy i dalej, w twarz mężczyzny, wściekłą, przerażoną i zawstydzoną równocześnie.

Lou opuścił broń. Jack i Kurt podbiegli do niego, pochyliли się, by pomóc mu wstać. Poruszył się ostrożnie i jęknął. Odlamki szkła z brzękiem spadły na dywan.

Ethan otworzył usta, jakby chciał przeprosić, powiedzieć, że to wszystko to nieporozumienie, wypadek, ale jego przyjaciel odezwał się pierwszy:

– Wnoście się z mojego domu. – Randżit przebiegł wzrokiem po ich twarzach, utkwił spojrzenie w Ethanie. Jeśli był wdzięczny, nie było tego widać w jego oczach. – Wszyscy. I już nigdy nie wracajcie.

*Liberałowie, inteligencja i media są przekonani, że zwyciężyli. Razem obalili prezydenta. I żeby to zrobić, musieli tylko odtworzyć nagranie. No cóż, brawo.*

*Czy zaprzeczam, że autoryzowałem zamach w Monocle? Nie. Ale obrona narodu liczącego trzysta milionów ludzi wymaga twardych decyzji.*

*Zamordowanie tych ludzi było moralnie naganne... ale rozkazałbym to zrobić jeszcze raz. Stoję przed wami jako Amerykanin, jako patriota, jako prezydent i mówię wam, że działania przeprowadzone tamtej nocy ocaliły życie wielu ludziom.*

*Zgrzeszyłem. Robiłem straszne rzeczy i rozkazywałem innym robić je w moim imieniu. Przelewałem krew również niewinnych ludzi.*

*Jednak gdy stanę przed Bogiem Wszechmogącym, wiem, że spojrzy na moje czyny i oceni je sprawiedliwie. Na każde życie, które trzeba było odebrać, przypadają tysiące uratowanych.*

*Chronienie Ameryki to nie robota dla uciążliwych.*

*Postąpiłem źle i zrobiłbym to raz jeszcze. Dla was i dla waszych dzieci.*

*Niech Bóg was wszystkich błogosławi. Boże, błogosław Amerykę.*

*– Były prezydent Henry Walker*

*Na bankiecie Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego Ameryki*

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Dobrze wyglądasz – stwierdził Cooper. – Jeśli dalsza kariera rządowego agenta nie wypali, myślę, że masz przyszłość jako ochroniarz.

– Pieprz się. – Quinn poprawił marynarkę, którą zwędzili z pomieszczenia ochrony uniwersytetu pół godziny wcześniej. – Poliestrowy krawat? Poważnie?

– Ten odblaskowy pasek na boku spodni naprawdę świetnie do tego pasuje.

– Powiem ci jeszcze raz, pieprz się.

Winda zatrzymała się gwałtownie i drzwi głośno się otworzyły. Weszli do betonowej poczekalni. Ulotka przyklejona taśmą na ścianie ukazywała zdjęcie Johna Smitha, z uniesionym podbródkiem, zapatrzonego w przyszłość. Posteryzowana ikona, styl, który sprawiał, że Smith wyglądał trochę jak polityk, a trochę jak gwiazda rocka. Tekst brzmiał: Uniwersytet Jerzego Waszyngtona wita aktywistę i pisarza Johna Smitha, autora bestsellera „New York Timesa” *Jestem John Smith*.

Cooper i Quinn wymienili uśmiechy i przeszli na podziemny parking. Wszystkie miejsca były zajęte, zastawione tanimi samochodami z zardzewiałymi nadkolami i nalepkami na zderzakach przedstawiającymi zespoły, o których nigdy nie słyszeli. Na kilku volvo i buickach widniały nalepki uniwersytetu. Ruszyli rampą w górę. Quinn wyciągnął z kieszeni czarne pudełko i wyjął z niego dwie słuchawki. Cooper wsunął jedną do ucha. Rozległy się dwa sygnały przy synchronizowaniu urządzenia.

– Moje panie?

– Słyszę cię, szefie – usłyszał w uchu głos Valerie West.

– Wyraźnie jak chuj na twarzy – powiedziała Luisa Abrahams.

Quinn parsknął śmiechem.

– Delikatny z ciebie kwiatuszek, jak zawsze. – Jego głos dobiegał z dwóch kierunków: ten prawdziwy i drugi w uchu Coopera.

– Hej, jak masz ochotę na delikatne, to na pewno te studentki ci pomogą.

– Chyba sobie daruję. Coś niezwykłego?

– Monitoruję aktywność całego jego zespołu – powiedziała Valerie. – Tylko standardowe procedury.

– Dobrze – stwierdził Cooper.

Gdy skręcili za róg, rozdzielili się. Jego partner ruszył centralnym pasem, a Cooper przesuwiał się wzdłuż samochodów. To było dobre uczucie, znów być w akcji, polegać na ludziach, którym mógł ufać. Ich czwórka była kiedyś najlepszą ekipą w Służbach Obywatelskich. Luisa była agentką terenową, takie małe nic, które potrafiło stawić czoło dwukrotnie większym mężczyznom i posługiwało się tak poetycko-plugawą mową, jakiej w życiu jeszcze nie spotkał. Valerie grzebała w danych i manipulowała przesyłanymi kodami, które tworzyły współczesne życie. Teraz, gdy Służby Obywatelskie były w zawieszeniu, przydzielono im różne stanowiska w DAR, ale obie były zbyt doświadczone i zbyt ambitne, by poddać się mikrozarządzaniu; mały nieoficjalny skok powinien przejść bez echa.

– Jeszcze raz dzięki za pomoc – powiedział Cooper.

– Kiedy tylko zechcesz, szefie. Żadna z nas nigdy w ciebie nie wątpiła, bez względu na to, co mówili o zamachu na giełdzie.

Poczuł ciepło w sercu.

– Dzięki. To wiele dla mnie znaczy.

– Hej, miło znów być w komplecie – dodała Luisa. – Bez odbioru. Mówcie, jeśli będziecie czegoś potrzebować.

– Przyjąłem.

Cooper wspiął się na wąski krawężnik i skulił, przesuwając wzdłuż samochodów. Pięćdziesiąt metrów przed nimi czarny SUV zaparkowany był maską w stronę wyjazdu. Silnik pracował, spaliny unosiły się w zimnym powietrzu. Szyby były przyciemniane, ale wcześniej widzieli przyjazd Smitha i to, że drugi ochroniarz wysiadł razem z nim. W wozie będzie tylko szofer. Bez wątpienia uzbrojony i zapewne naprawdę dobry.

Cooperowi było go niemal żal.

Quinn szedł rampą pod górę, ze znudzoną swobodą ochroniarza z kampusu. Cooper poruszał się równolegle do niego, ale o sześć samochodów dalej, pochylony. Skradanie się nie było jego mocną stroną, ale ochroniarz będzie skupiony na Quinnie.

*Szkoda, że nie mogłeś poprosić Shannon o pomoc; ona potrafiłaby się zakraść do Fort Knox.*

Na samą myśl o niej przeszył go przyjemny dreszcz. Pojawiło się wspomnienie jej ciała, nagiego i gibkiego na tle światła padającego z lodówki, gdy wczoraj w nocy odkapslowała piwo i upiła długi łyk. Jak zwykle pojawiała się bez ostrzeżenia i po seksie – za każdym razem, gdy się dotykali, wydawało mu się, że pożąda jej jeszcze bardziej, to było jak odurzenie, coś, co, jak mu się zdawało, minęło, gdy przestał być nastolatkiem – zaczęli rozmawiać. Mówiła powściągliwie, ale Cooper wyczuwał, że wróciła z akcji. Zabolalo go, gdy zdał sobie sprawę, że nie zamierzała mu powiedzieć, co robiła.

*Oczywiście, ty robisz teraz dokładnie to samo. Ta operacja niemal na pewno namieszałaby uam w zuiązku.*

Prawie jej powiedział. Wczoraj w nocy, gdy głaskał ją po włosach i oboje odpływali w sen, Cooper niemal jej powiedział, że według niego John Smith usiłuje doprowadzić do wojny. Bądź co bądź, ufał jej na tyle, że powierzył jej swoje życie, życie swoich dzieci. Jednak czy mógł liczyć na to, że Shannon opowie się po jego stronie, a nie po stronie dawnego przyjaciela i przywódcy? Tego nie był pewien.

*Na tym polega problem w sypianiu z terrorystką, Cop. Tyle drażliwych tematów do rozmowy przy śniadaniu.*

Odsunął myśli o niej. Nie miał teraz na to czasu. Cokolwiek ich łączyło, na cokolwiek miał nadzieję, teraz miał robotę do wykonania.

„Napraw to”, powiedziała Natalie.

Quinn dotarł do SUV-a od strony kierowcy, zapukał. Szyba się odsunęła, a Quinn spytał:

– Przepraszam, pan jest kierowcą pana Smitha, zgadza się?

Cooper opadł na czworaka, szybko minął trzy kolejne samochody i podpełznął do SUV-a. Byłby widoczny w bocznym lusterku, ale zadaniem Quinna było zająć kierowcę. Cooper wysunął pilota z kieszeni i wcisnął przycisk. To była nowa technologia, którą przyniósł Quinn, dekodery RFID, który szybko skanował miliony kodów. Zabawne, w czasach, gdy samochody miały kluczyki, były o wiele bezpieczniejsze. Teraz, gdy wszystko działało po naciśnięciu guzika, wystarczył uniwersalny guzik.

– Rozumiem, sir, ale nie może pan tu parkować – powiedział Quinn, istne wcielenie znudzonej nadgorliwości.

Rozległo się kliknięcie i drzwi SUV-a się odblokowały. Cooper szarpnął klamkę i jednym szybkim ruchem wsunął się na siedzenie pasażera. Ochroniarz był niezły, miał już na kolanach pistolet. Odwrócił się, zaczął go unosić, Cooper z łatwością odczytał ten ruch z gry mięśni ramion i klatki piersiowej. Nie marnował czasu na szamotanie się o broń, wbił po prostu trzy palce w szyję mężczyzny, trafiając w tętnicę szyjną w miejscu, gdzie się rozgałęziała. Ochroniarz natychmiast zwiotczał, broń upadła na podłogę. W oknie pojawił się Quinn ze strzykawką, wbił ją w ramię mężczyzny i nacisnął tłok. Nokauty po uciśnięciu właściwego punktu nie trwały długo, ale środek odurzający to załatwi.

Razem wyciągnęli ochroniarza zza kierownicy. Quinn otworzył bagażnik, wsadzili mężczyznę do środka i zrzucili go na siedzenie. Cooper pociągnął za mankiet na jego prawej ręce, znalazł ciasną bransoletkę na przedramieniu.

– Valery – powiedział – on ma alarm biometryczny.

– Tak. – Jej głos w słuchawce był cichy. – Tak jak myśleliśmy. Już go przechwyciłam; nadaje sygnał, że wszystko z nim w porządku.

– Jesteś wspaniała.

Quinn obszedł SUV-a i wskoczył na siedzenie kierowcy. Podniósł pistolet ochroniarza, sprawnie go rozebrał i wrzucił poszczególne elementy do schowka na rękawiczki.

– Teraz twoja kolej, Coop.

– Ruszam. – Kierował się do schodów. – Luisa, co tam w środku?

– Zwijają się. Cel skromnie przyjmuje owacje na stojąco.

– Jego ochroniarz?

– Na scenie po prawej. Spokojny.

– Przyjąłem.

Pobiegł tylnymi schodami prowadzącymi z podziemnego parkingu i wyszedł na tyłach audytorium. Nawet z zewnątrz słyszał stłumione oklaski. Ściany w przejściu były z popękanego betonu, na podłodze wały się niedopałki papierosów, a tylne drzwi były zardzewiałe. Przyklejono do nich kolejną z tych ulotek. Cooper się uśmiechnął, zajął pozycję przy ścianie, za drzwiami. W jego uchu rozległ się głos Louisy.

– Dobra, skończyliśmy tutaj. Elvis zszedł ze sceny.

– Jesteś pewien, że wyjdzie tylnym wyjściem? – spytał Quinn. – Cieszy się jak dziwka, gdy się na niego zwraca uwagę. Czemu nie miałby wyjść od frontu, zebrać więcej pochlebstw?

– Spokojnie – odparł Cooper. – Przymiłał się do nich przez godzinę, podpisał parę książek, potem przez godzinę przemawiał.

– No i?

– No i jest nałogowym palaczem. W tej chwili bardziej pragnie nikotyny niż tego, by poświęcano mu uwagę. Stawiam dziesięć dolców, że będzie już odpalał papierosa, wychodząc przez te drzwi.

– Cienko to widzę.

– Czekaj.

Metalowe drzwi zaczęły się uchylać. Cooper poruszał się razem z nimi, wykorzystując je jako...

*Ochroniarz wyszedł pieruszy, sprawdził przejście i zasygnalizował, że uszyszko w porządku.*

*Zdejmij go szybko.*

*Quinn się wokół drzwi, złap Smitha, wyciągnij go, odepchnij.*

*...osłone.*

Cios w tchawicę, nie za mocny, by nie zabić, sprawił, że przysadzisty ochroniarz się zatoczył, chwycił rękami za gardło i usiłował złapać powietrze. Cooper go zignorował, wśliznął się na platformę za sceną i stanął twarzą w twarz z przystojnym mężczyzną trzymającym papierosa w ustach. W ręce trzymał zapalniczkę i właśnie ją unosił.

– Cześć, John – powiedział Cooper. Uderzył go prawym hakiem, głowa Johna Smitha odskoczyła w bok, a papieros zatoczył łuk. Chwycił go za kłapy drogiego garnituru, odwrócił i cisnął

w ochroniarza, tak że obaj potoczyli się na ziemię. Schylił się, podniósł papierosa, potem wyszedł i pozwolił, by drzwi zamknęły się za nim. – Cel przejęty. Przyjeżdżcie po nas.

Pomieszczenie było obrazem miejskiego upadku, luszczące się ściany pokryte graffiti, powietrze gęste od stęchlizny i woni moczu. Cooper wziął składane metalowe krzesło spod ściany i postawił je pośrodku pokoju. Zdjęli Smithowi kajdanki, potem podprowadzili go do krzesła i zmusili, żeby usiadł. Quinn ściągnął mu worek z głowy.

John Smith zamrugnął. Rozejrzał się po pomieszczeniu, spojrzał na nich obu.

– To nie ośrodek rządowy.

Cooper popatrzył mu w oczy, uśmiechnął się lekko, pokręcił głową.

Strach na twarzy mężczyzny zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Nie aresztujecie mnie.

– Nie. – Cooper widział, jak Smith przetwarza nowe dane, analizuje je. Zastanawiał się, co się dzieje. Widział też, że to był moment, jaki zdarzał mu się wyjątkowo rzadko – taki, którego nie zaplanował.

– Powinieneś wiedzieć – odezwał się Smith – że moi ochroniarze będą tu za kilka sekund. Jestem nieustannie monitorowany przez alarm biometryczny.

– Taki jak ten? – Cooper uniósł bransoletkę zdjętą drugiemu ochroniarzowi, który teraz, odurzony, leżał na swoim koledze w bagażniku SUV-a. – Dobry system. Gdybyś podróżował z ekipą dwudziestu ludzi, wyglądałbyś jak jakiś dyktator z trzeciego świata. A tak może się wydawać, że bratasz się z ludem.

– Problem polega na tym – wtrącił Quinn – że ten system uzależniony jest od tego, czy twój alarm wysyła prawdziwe dane.

Smith kiwnął głową.

– Czyli przechwyciliście sygnał. Dobre posunięcie. Ale obawiam się, że to przewidziałem. Mój zespół musi potwierdzać, że wszystko w porządku, co...

– Co dwadzieścia minut. Wiemy.

Na twarzy mężczyzny pojawiło się napięcie.

– I ten kod jest za każdym razem inny.

– Tak, pięciocyfrowa liczba, ewoluująca algorytmicznie. To ma sens. Nie możesz się spodziewać, że twój zespół zapamięta kody na cały dzień i nigdy się nie pomyli. Więc zamiast tego podajesz im jeden kod na każdy dzień i wzór do zastosowania. Wysyłamy im właśnie... – Cooper zerknął na zegarek – że wszystko w porządku. Twoja bransoletka informuje ochroniarzy, że wciąż jesteś na sali. W kiblu.

– A kiedy nie wyjdę z toalety? Nie sądzisz, że to uruchomi...

– Za parę minut wyjdiesz i twoje bransoletki będą się poruszać po budynku. Dla twojej ekipy



wygląda to tak, jakbyś postanowił zostać jeszcze trochę i pocałować kilkoro dzieci. – Cooper pochylił się i spojrział Smithowi w twarz. – Nikt nie przybędzie ci na ratunek.

Znów przebłysk lęku, a potem szybki powrót do panowania nad sobą. Może i był terrorystą, ale nie był tchórzem.

Smith kiwnął głową.

– Dobrze znów cię widzieć, Cooper. Kupa czasu.

– Trzy miesiące. Byłeś zajęty, co? Czytałem twoją książkę.

– I co o niej sądzisz?

– Pokrętne megalomaniackie brednie ubrane w pompadurę prozę. Powiedz, miałeś ją już napisaną, gdy siedzieliśmy na tej iglicy w Wyomingu i podziwialiśmy wschód słońca?

– Oczywiście.

– Ale z wyjątkiem ostatnich rozdziałów. Tych, w których piszesz o nagraniu z Monocle i zaangażowaniu prezydenta.

– Nie – odparł John Smith. – Te też już miałem napisane.

Cooper się roześmiał.

– Doceniam, że pominąłeś tę część, gdzie udajesz, że jesteś skonsternowany, i twierdzisz, że nie wysłałeś mnie po to, żebym służył twoim planom.

– Byłem z tobą całkowicie szczerzy. Wiedziałeś, że miałem swoje powody.

– Racja. Chciałeś zamienić pionka w królową.

– I zrobiłem to. – Smith potarł nadgarstki, delikatnie obmacał policzek. Był paskudnie napuchnięty i zaczynał się już robić fioletowy. – No więc? To twoje spotkanie. Czego chcesz?

Quinn parsknął, przesunął się za Smitha. Standardowa technika przesłuchania. Niech facet, którego nie widzi, nie daje mu spokoju.

– Chcę, żebyś wiedział, że mogę cię dorwać – powiedział Cooper. – Kiedy zechcę. Nie ma takiego miejsca, gdzie cię nie znajdę, takiej ochrony, za którą mógłbyś się schować. Nie ma takiej retoryki, która cię ochroni. Teraz jesteś mój. Należysz do mnie.

– Hmm. – Smith sięgnął powoli do kieszeni marynarki, wyciągnął papierosy. Wsunął jednego do ust i zapalił drżącymi rękami. – Zabawne.

Cooper wyciągnął rękę i wyjął papierosa z jego ust. Upuścił go, przydepnął butem.

– Co takiego?

– Spodziewałem się po tobie czegoś więcej niż rutynowych metod Gestapo. Jesteś tylko kolejnym prześladowcą w garniturze.

– To nie ja jestem terrorystą.

Smith wzruszył ramionami, obejrzał się przez ramię, potem znów popatrzył na Coopera.

– Nie wiem, o czym mówisz. Jestem pisarzem. Nauczycielem.

– Daruj sobie. – Cooper pochylił się tak blisko, że czuł zapach jego potu. – Wiem lepiej. Odlóżmy na bok wszystkie twoje dawne grzechy, zamachy i zabójstwa. Wiem, że to ty stoisz za Dziećmi Darwina. – Mówił spokojnie, skupiał się na szczegółach. Chłonał wszelkie najdrobniejsze sygnały, każde drgnięcie mięśni, przyspieszony puls. – Wiem, że to ty kazałeś porwać te ciężarówki. Wiem, że kazałeś swoim żołnierzom złapać niewinnych ludzi, skuć ich na poboczu drogi, oblać benzyną i podpalić.

Jak na dany sygnał Quinn pochylił się i podsunął Smithowi pod nos tablet. Od tej strony Cooper nie widział obrazu, ale wiedział, co na nim jest. Wpatrywał się w niego godzinami. Spalone zwłoki trzydziestodwuletniego kierowcy ciężarówki o nazwisku Kevin Temple. Zwęglona głowa, spalona twarz zastygła w krzyku, resztki rąk wciąż związanych z plecami.

Cooper nie odrywał wzroku od twarzy Smitha. Zobaczył, jak źrenice się rozszerzają, mięsień okrężny oka napina, krew napływa gwałtownie, gdy mózg zalewa cały organizm adrenaliną. Wyobraził sobie inne doznania, jakie musiał odczuwać Smith, ucisk w pęcherzu, pot pod pachami, mrowienie palców. Zobaczył to wszystko i w tej chwili wiedział, że ma rację. Smith zaplanował te ataki, kazał spalić żywcem tych ludzi. Sparalizował trzy miasta i pogrążył miliony ludzi w zimnie i w głodzie. Dążył do wojny.

John Smith powiedział:

– Masz dowody?

Cooper się uśmiechnął.

Potem rąbnął Smitha pod drugie oko tak mocno, że zrzucił go z krzesła. Nim terrorysta uderzył o podłogę, Cooper sięgnął do przodu i wysunął broń z kabury Bobby'ego Quinna. Poczł się lepiej z bronią w rękę. Odbezpieczył ją kciukiem.

Smith jęknął, przetoczył się na bok, zamknął oczy.

– Bo będziesz ich teraz potrzebował.

Cooper wyciągnął rękę, wycelował mu w środek czoła.

– Nie jesteś już tajnym gliną, Nick. Nie pracujesz dla DAR. Nie możesz po prostu zamordować każdego, kogo zechcesz. – Zamrugnął, znowu jęknął. – Zastrzel mnie, a spędzisz resztę życia w więzieniu. Raz na miesiąc będziesz oglądał swoje dzieci przez pleksi. – Mimo bólu Smith się uśmiechnął. – Pociągnij za spust, a udowodnisz prawdę wszystkiego, co mówiłem, wszystkiego, o co walczyłem.

*On ma rację. Ale jaki jest wybór. Ktoś musi go powstrzymać.*

*Może nie masz prawnego upoważnienia. Ale istnieje coś takiego jak upoważnienie moralne.*

– Szeffie... – powiedział Quinn.

Cooper pociągnął za spust.

Poczł odrzut pistoletu w rękę; stary dobry kop. Strzał w niewielkim pomieszczeniu był

ogłuszający, odbijał się echem od łuszczących się ścian i wyblakłych graffiti. John Smith leżał na popękanej betonowej podłodze. Kula starła uśmiech z jego twarzy.

Cooper przykucnął. Milczał przez dłuższą chwilę. A potem powiedział:

– To było coś, prawda? Kula chybiająca twoją głowę o dwa centymetry; nigdy tego nie zapomnisz. Będiesz czuł ten podmuch w swoich snach. – Wstał, oddał pistolet Quinnowi. – Masz rację. Nie jestem już pracownikiem rządowym średniego szczebla. Jestem specjalnym doradcą prezydenta pieprzonych Stanów Zjednoczonych. Wiem, co próbujesz zrobić, i nie dopuszczę do tego. – Odwrócił się i ruszył do drzwi. Rzucił przez ramię: – Przyjdę po ciebie, John.

Quinn uśmiechnął się krzywo, dodał:

– Miłego spacerku do domu, dupku.

Na zewnątrz świeciło słońce, popołudnie było zimne i pogodne. Pod ich butami chrzęściło potłuczone szkło. Quinn wrzucił kluczyki od SUV-a do kratki ściekowej i ruszyli w stronę czekającego na nich sedana. Bobby uruchomił silnik i odjechali przez podupadłą Anacostię, południowo-zachodnią dzielnicę Waszyngtonu.

– No cóż. To było odświeżające.

– Tak. – Cooper spoglądał przez okno, patrzył na zrujnowane domy i porzucone firmy. – Wiesz, prawie go nie upubliczniłem.

– Czego nie upubliczniłeś?

– Tego nagrania z Monocle. Po tym, jak zdjęliśmy Petersa, siedziałem na ławce przy pomniku Lincolna. Miałem nagranie z tym, jak Peters i prezydent Walker planują zamach w Monocle. Przywódcy wolnego świata zgadzają się zamordować siedemdziesięciu trzech Amerykanów. Miałem ten materiał załadowany na tablet, gotowy do wysłania, ale po prostu... siedziałem tak. Próbowałem się zdecydować.

Quinn zerknął na niego, nic nie powiedział.

– Wiedziałem, co jest słuszne – ciągnął Cooper. – To znaczy słuszne jak w bajkach, tak jak uczył mnie mój ojciec. Że prawda jest nagrodą sama w sobie, a uczciwość jest zawsze najlepszą polityką. Ale wciąż myślałem: A co, jeśli się mylę? Co, jeśli upubliczniając to, jeszcze wszystko pogorszę? – Pokręcił głową. – Nie wiem, Bobby. Coraz trudniej stwierdzić, w którą stronę jest północ. Na papierze zrobiłem to, co trzeba. Ale ponieważ to zrobiłem, trzy miasta są w rękach terrorystów. Ponieważ to zrobiłem, dwudziestu ludzi zginęło, krzycząc, gdy płonęli żywcem.

– Nie możesz tego brać na siebie, stary.

– Może nie. Ale może powinno było mnie to czegoś nauczyć.

Stanęli na światłach i Quinn skorzystał z okazji, by wyjąć papierosa. Popukał nim, okręcił go w palcach, po czym wsunął do ust, ale nie zapalił.

– Nie będę cię okłamywać. Cieszę się, że go tam nie zastrzeliliś. Nie przepadam za więzieniem.

– Światło zmieniło się na zielone i wcisnął pedał gazu. – Ale nie widzę żadnych przeciwwskazań, byśmy nie mogli znaleźć sposobu i zrobić to tak, żeby nas nie złapali.

– Nie. Pod tym względem trzyma nas w szachu. Nawet gdyby się nam upiekło, stałby się bohaterem, męczennikiem. To by tylko pogorszyło sytuację. Nie, musimy go zdemaskować. Pokonać go, nie zabijając go przy tym.

– Genialne. A jak?

Cooper wzruszył ramionami.

– Wciąż nad tym pracuję.

*Ale znajdę sposób, John.*

*Wiem, co próbujesz zrobić. Jestem tego pewien.*

*I nie dopuszczę do tego.*

## **MATERIAŁ NA ŻYWO Z ULIC CLEVELAND!!**

### **13.13, Święto Dziękczynienia**

Tu Susan Skibba, wasza ulubiona nieustraszona reporterka, zawsze na czasie tam, gdzie jest najgoręcej.

Piszę z samego serca miasta rock and rolla, gdzie ekipy zwykłych stacji boją się zapuszczać. Wędruję tymi wrednymi ulicami, byście byli na bieżąco.

I, moi drodzy czytelnicy, muszę wam powiedzieć, że robi się paskudnie.

Może i dziś jest Święto Dziękczynienia, ale to nie parada. Minął tydzień, odkąd Dzieci Dupków zamknęły supermarkety. A sądząc po tym, jak wygląda ten tłum, nikomu nie przyszło do głowy, żeby na zapas kupić sobie indyka. Prądu nie ma od dwóch dni i tysiące ludzi włóczy się po ulicach, wszyscy zziębnięci, głodni i wkurzeni.

Idę do ratusza, żeby porozmawiać z burmistrzem. Życzcie mi szczęścia, dzieciaki!

### **13.48**

Wicie, na czym polega różnica między żołnierzami z Gwardii Narodowej a nazistami?

Ja też nie wiem, drodzy czytelnicy, ja też nie.

Minęło dwadzieścia minut, nim dotarłam do trzeciego skrzyżowania, a przecież wicie, że Mama Sue potrafi się rozpychać łokciami. Gdy dotarłam do City Small, byłam w szoku, widząc, że cały budynek jest otoczony uzbrojonymi żołnierzami. I to nie są tacy żołnierze, którzy powtarzają „tak, proszę pani”, „nie, proszę pani”. Sue lubi się za takimi chować – albo pod nimi, jeśli okoliczności są sprzyjające. To są żołnierze z oddziału szturmowego z bronią automatyczną, zupełnie pozbawieni poczucia humoru.

Upzejmie poprosiłam o wywiad z burmistrzem McCheese'em i usłyszałam, że mam spadać. Spadać! Jakby jakiś przyszczaty smarkacz z karabinem maszynowym mógł powstrzymać prasę.

Wygląda tutaj ponuro. Ocean głodnych ludzi otoczył budynek, wykrzykują hasła i domagają się jedzenia. Rozejrzyjmy się trochę po ulicach, co wy na to? Pogadajmy z ludźmi.

### **14.11**

SUSAN SKIBBA, Nieustraszona Reporterka: Przepraszam, proszę pana, niech mi pan powie, od dawna pan tutaj jest?

Trochę zapuszczony przystojniak: Od rana.

SSNR: I słyszał pan coś z ratusza?

TZP: Żołnierze wciąż próbują nas rozpędzić. Ale ja się nigdzie nie wybieram. Jeśli chcą, żebyśmy odeszli, to niech lepiej odpowiedzą na nasze pytania.

SSNR: Jak to, „was rozpędzić”?

TZP: Popychają nas, machają bronią. Słyszałem, że użyli gazu łzawiącego, ale tego nie widziałem.

SSNR: Jest coś, co chciałby pan powiedzieć swojemu rządowi?

TZP: Tak. Mojej rodzinie skończyło się jedzenie. Moim sąsiadom skończyło się jedzenie. Jest zimno. Potrzebujemy pomocy. Natychmiast.

### **14.43**

Powietrze jest zimne, ale ciepło bijące od tego tłumu musi chyba zmieniać pogodę. Są tu tysiące ludzi, ale żadnych wyraźnych przywódców. Wszyscy się rozpychają, napierają na siebie i na ścianę żołnierzy. Wciąż ani słowa z...

Czekajcie!

Drzwi ratusza się otwierają i ktoś wychodzi. Wygląda na to... to chyba kolejni żołnierze, tylko inaczej ubrani. Mają ciężkie tarcze i noszą... o cholera! Maski przeciwgazowe! Kilku z nich celuje z jakichś urządzeń w tłum. Czy to broń?

Strzelają...

### **14.49**

Jak się okazuje, gaz łzawiący jest bolesny. Na szczęście bystra Mama Sue stała z tyłu i nawdychała się tylko troszeczkę.

Wspięłam się na kwietnik przed jakimś biurowcem i z tej niezbyt pełnej godności grzędy widzę gaz kłębiący się na ulicy. Ludzie uciekają na wszystkie strony, a ci, którzy się przewracają, są tratowani.

Grupka jakichś twardzieli w kominiarkach, z kijami bejsbolowymi i łomami napiera z powrotem w stronę budynku. Żołnierze utworzyli mur z tarcz i przygotowują się, by ich odeprzeć.

O... o Boże!

### **14.53**

To, co zaczęło się jako pokojowa demonstracja, zmienia się w krwawą jatkę. Zakrwawieni ludzie ślaniają się po ulicach. Dochodzi do bijatyk, ludzie kradną sobie kurtki. Kobieta leży w rynsztoku, nie rusza się.

Mała dziewczynka obok niej krzyczy: Mamusi!

### **14.57**

Tłum otoczył wóz policyjny. Policjanci wrzeszczą przez megafon, każą wszystkim się wycofać.

Teraz grupa mężczyzn zaczęła kołysać samochodem, coraz mocniej i mocniej.

Wóz właśnie się przewrócił. Jeden z policjantów otworzył drzwi i próbuje z niego wypelznąć.

O cholera, tłum przewrócił samochód na dach. Ten policjant, który próbował się wydostać... O Boże, wygląda na to, że noga zaklinowała mu się pod samochodem. Krzyczy.

Otaczają go ludzie, uwolnią go. Albo...

JEZU!

### **15.02**

Chaos. Widać dym, nie wiem skąd. Ludzie wyją. Zmienili się w motłoch, to jakieś szaleństwo, nie zachowują się jak ludzie, stali się zwierzętami, rzucają butelki i kamienie. Nie ma w tym żadnego sensu ani celu, tylko ludzie, którym odbiło, złość, która zamieni się w furję

ojciec trzyma synka i ucika, chłopiec płacze przerażony.

Kobieta w podartej bluzce ma krw na twarzy.

Kamieńtłucze okno rtusza.

Co to za dźwięk?

To nie gaz. Brzmiało jak

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Strzały. Nie wiem skąd. Ale więcej niż jeden.  
Boję się.  
spróbuje się stąd wydostać. Tylu Idzi, cała ta nienawiść.  
Jak to możliwe, że to się dzieje?  
Jeśli mi się nie uda, powiedzcie mojej mamie, że ją kocham.  
Powiedzcie Idziom o tym. Nie pozwólcie tego zatszować. nie pozwólcie im

Tablet Ethana zgasił.

Wzdrygnął się, zamrugał. Wpatrywał się w wyświetlacz z takim natężeniem, że oczy stały się suche.

Wcisnął przycisk, by go ponownie włączyć – nic. Rozładowany. Zabawne, nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio całkowicie go rozładował. To się wydawało dziwnie ograniczające: jego połączenie ze światem zredukowane do bezużytecznego kawałka kompozytów.

Rozległ się huk, niczym odległy grzmot. A potem przebrzmiał.

Reporterska twierdziła, że wszystko dzieje się przy ratuszu. To było tylko dwa kilometry stąd. Ethan złożył tablet i wsunął go do kieszeni. W domu było zimno, drętwiały mu ręce i nogi. Ruszył do frontowych drzwi, wyszedł na ganek. Ponure, szare niebo. Typowa pogoda jak na Święto Dziękczynienia. Idealna, gdy palił się ogień na kominku, w domu była rodzina i unosiły się zapachy jedzenia.

Mniej idealna, gdy miało się na sobie trzy swetry, a pod nimi pusty brzuch. Mniej idealna, gdy na wschodzie unosiły się ciemne słupy dymu. Mniej idealna, gdy wojskowe helikoptery wisiały jak kolibry nad śródmieściem.

Dziwne. Był w sieci, czytał o rzeczach, które działy się zaledwie kawałek od miejsca, w którym się znajdował. Taki nowoczesny świat.

- Co to był za dźwięk? – Amy dołączyła do niego na ganku, z Violet na rękach.
- Chyba wybuchł samochód. W centrum są zamieszki.
- Z powodu jedzenia?
- Z powodu wszystkiego.



Amy pokiwała głową. To była jedna z rzeczy, które uwielbiał w swoje żonie. Nie panikowała, nie odbijało jej z powodu złych wieści. Po prostu pracowała nad problemem. Widział, że w tej chwili też to robi, intensywnie się zastanawia.

– Minął tydzień. Gdyby zamierzali sprowadzić żywność, już by tutaj była.

Kiwnął głową. Stali i patrzyli na wznoszący się dym. Rozległ się kolejny huk. Violet poruszyła się, jęknęła cicho i znowu zapadła w sen.

– Pamiętasz, jak jechaliśmy do Kalifornii? – spytała Amy. – Przejeżdżaliśmy przez jeden z tych nudnych stanów, gdzie wszystko wyglądało tak samo, mieliśmy już dość i graliśmy w tę grę.

– Pewnie. Apokalipsa zombie.

Amy spojrzała wtedy na niego i powiedziała: „To co zrobimy, kiedy umarli zaczną ożywać?”. Spędzili wiele godzin na rozmowie o tym, co spakować, dokąd pójść. Że chcieliby zajrzeć do sklepu ze sprzętem turystycznym, zrobić zapasy: tabletki do uzdatniania wody, artykuły pierwszej pomocy, zapalki, dobre noże, namiot, śrutówka i amunicja, jeśli się da. Czy lepsze byłoby położone na uboczu gospodarstwo, czy należałoby raczej ukraść jacht. O tym, że kluczową sprawą byłoby działać szybko, zrozumieć, że wszystko się zmieniło. To była uniwersalna fantazja, gra, w którą grał chyba każdy, by zabić nudę.

– No cóż, to nie zombie. Ale pora zacząć myśleć w ten sposób.

Przyjrzał się żonie, córeczce, którą trzymała na rękach, gankowi ich pięknego domu, pierwszego, jaki razem posiadali. Kupili to miejsce dla Violet, jeszcze zanim przyszła na świat. Wyobrażali sobie, że będzie się bawić w ogródku na tyłach, chodzić do szkoły. Ich mały kawałek amerykańskiego tortu.

– Cleveland to nie Manhattan – powiedział powoli. – Nie można obsadzić paru mostów i tuneli i odciąć wszystkich.

– Zgadza się. Przedtem próbowaliśmy autostradą. Zamknęli ją pewnie jako pierwszą. Ale nie są w stanie non stop pilnować wszystkiego.

– Mogą obserwować ulice.

– W takim razie nie będziemy szli ulicami. Nie mogą ustawić kordonu wokół całego miasta i przednieść.

– Widziałem śmigłowce – powiedział. – Teraz pewnie mają ich więcej. Będą ich używać, by wypatrywać ludzi, którzy chcą uciec.

– To duża przestrzeń. A śmigłowce hałasują. Weźmiemy niewiele rzeczy, pojedziemy tak daleko, jak starczy nam odwagi, a potem pójdziemy pieszo.

– Wiesz o czym mówimy, prawda? O porzuceniu wszystkiego. Staniemy się uchodźcami.

– Lepsze to niż czekanie, aż osiągną nas zamieszki. Normalność odeszła, kochanie. Jesteśmy zdani na siebie.

Pomyślał o wczorajszym dniu, o tym szaleństwie. Rozmowa przerodziła się w przemoc z powodu paru słów i książki. A przede wszystkim myślał o Lou leżącym w aureoli stłuczonego szkła, z pistoletem w ręce.

– Spakujmy się.

Roześmiałby się, ale nie było mu do śmiechu.

Gdy przed kilkoma dniami próbowali wyjechać, zapakowali hondę aż po dach. Dwie walizki pełne ubrań i luksusów, bujany fotelik Violet, kasetka z dokumentami i tak dalej, i tak dalej. Wszystkie te rzeczy wydawały się niezbędne.

Zabawne, jak elastyczne okazywało się pojęcie „niezbędne”.

Szybko odrzucili wszystkie oczywiste rzeczy. Jeśli będą mieli jakąkolwiek szansę się wydostać, to tylko pieszo, a to oznaczało, że nie mogli zabrać żadnego plastikowego szmelcu, akcesoriów dla dziecka, które opanowały ich dom. Żadnej maty do zabaw, żadnej wanienki. Żadnych książek z obrazkami, elektronicznej niani, grających koników morskich.

Jedzenie. Woda. Jego namiot, zatęchły od nieużywania. Ciepłe kurtki, dobre buty do wędrówki i trochę ubrań na zmianę. Zapalki, latarka i baterie. Apteczka. Pieluchy, wilgotne chusteczki i maść na wysypkę. Śpiwory.

W piwnicy znalazł swój stary plecak, ten sam, z którym dwadzieścia lat temu wędrował po Europie. Upłynęły trzy minuty, nim zdał sobie sprawę, że jest za mały.

No dobra. Żadnych ubrań na zmianę, tylko skarpetki. Potem poszły pieluchy. Były lekkie, ale zajmowały mnóstwo miejsca. Zostawił w plecaku dwadzieścia, co powinno wystarczyć na jakieś trzy dni. Z bateriami problem był odwrotny. Zajmowały mało miejsca, ale dużo ważyły, zamienił więc wielką latarkę na małą maglite i baterie paluszki.

Konserwy się nie psuły, ale ważyły chyba z tonę. Zredukował je do resztki skondensowanego mleka dla Violet, suszonego mięsa, kilku puszek zupy i słoika z masłem orzechowym. Otwieracz do konserw.

Jeden śpiwór; będą się musieli nim dzielić, używać zimowych kurtek jak koców.

Amy dołączyła do niego, gdy Ethan zarzucał plecak i regulował paski. Jakieś dwadzieścia kilogramów? Solidne obciążenie, ale dało się z nim iść. Byłoby lepiej, gdyby oboje mogli nieść pełne plecaki, ale jedno z nich musiało nieść dziecko.

– Co z Grzegorzem?

– Cholera. – Ethan spojrzał na kota wylegującego się na krześle. Jego towarzysz od lat, który przesiadywał mu na kolanach i niemal nie odstępował go na krok. – Nie możemy go zabrać.

– Moglibyśmy spróbować – powiedziała bez przekonania.

Przez chwilę się nad tym zastanawiał. Zabrałoby tego małego przyjaciela ze sobą, nieśliby go na rękach. Zapakowałoby dla niego jedzenie.

*Kluczem do przetrwania apokalipsy jest zdanie sobie sprawy, że świat się zmienił.*

Ethan przykucnął przy kocie, podrapał go pod brodą.

– Przykro mi, przyjacielu. Obawiam się, że przez jakiś czas będziesz musiał sam o siebie dbać. – Zawsze gdy Grzegorz widział ptaki i wiewiórki, odbijało mu. Wreszcie będzie miał szansę na nie zapolować. Ethan wstał, zanim uczucia zdążyły nim zawiadnąć, otworzył tylne drzwi i zostawił je uchylone.

– To wszystko?

– Prawie. – Amy uniosła rewolwer.

Spojrzał na nią, potem na broń. Kiwnął głową.

– Chodźmy.

Wrzucili bagaż na tył hondy, przypięli Violet do fotelika i wsiedli. Ethan spojrzał z miejsca kierowcy na swój dom. *Normalność naprawdę odeszła.*

– Ethan. – Amy wskazała ręką.

Zbliżał się do nich Jack Ford. Lou siedł dwa kroki za nim.

Ethan poczuł zimny ucisk w brzuchu. Przez chwilę tylko patrzył. Potem sięgnął do schowka i wyjął rewolwer. Położył go sobie na kolanach i opuścił szybę.

Sąsiad wpatrywał się w niego udęczonymi oczami.

– Wyjeżdżacie?

– Nie. Chcemy się tylko przejechać. – Kłamstwo zabrzmiało niezręcznie. – Zobaczyć, czy znajdziemy jakieś jedzenie.

Spojrzenie Jacka powędrowało na tył samochodu. Musiał widzieć, jak pakowali plecak. Lou poruszał się wzdłuż wozu, cały spięty. Ethan poczuł, że dłoń, w której ścisnął rewolwer, się poci.

– Słuchajcie – odezwał się Jack. – Jeśli chodzi o wczoraj...

– Musimy jechać. – Wrzucił wsteczny bieg.

– Poczekaj. – Jack położył rękę na drzwiach. Drugą trzymał za plecami.

Ethan zeszytywniał. Jakies głosy niemo krzyczały w jego głowie.

– Masz. – Jack podniósł drugą rękę, w której trzymał małe kartonowe pudełko. – Na wszelki wypadek.

Ethan spojrzał na niego, potem na Lou. Twarz tego ostatniego była pozbawiona wyrazu. Ta sama twarz, którą widział po drugiej stronie lufy.

Wyciągnął rękę i przyjął pudełko z amunicją.

– Dzięki.

– Dziękuję – odezwał się Lou. – Prawie to zrobiłem. Wczoraj.

Violet na tylnym siedzeniu nagle krzyknęła wystraszona i cała czwórka podskoczyła. Ethan stwierdził:

– Musimy jechać.

– Powodzenia – odparł Jack. – Będziemy pilnować waszego domu.

– Zaopiekuj się moim kotem, dobrze?

– Pewnie.

Ethan zasunął okno i odjechał. W tylnym lusterku widział dwóch stojących mężczyzn, a za nimi wznoszące się słupy dymu i przemykające między nimi helikoptery.

*Czy przed chwilą byłem gotów zastrzelić mojego sąsiada?*

Tak. Był gotów to zrobić.

*Normalność się skończyła.*

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Na monitorze Cleveland płonęło.

Cooper obserwował patrzącego na to prezydenta. Twarz Lionela Claya była ściągnięta, ramiona pod frakową koszulą napięte. Stał jak człowiek, na którego nagle padło światło reflektorów.

– Sytuacja się pogarsza. – Owen Leahy wcisnął przycisk i obraz się zmienił, pojawił się widok z góry na rządowy budynek. Zimne mury i kolumny, szara wysepka otoczona morzem ludzi. Były ich tysiące, masa chaotycznych prądów nietworzących żadnego wzorca. Sekretarz obrony ciągnął: – Ratusz jest otoczony. Członkowie Gwardii Narodowej, którzy byli na miejscu, zabezpieczyli budynek, ale mają problemy ze ściągnięciem posiłków. Oddział miejscowej policji do zwalczania zamieszek jest już w drodze, ale motłoch bardzo to spowalnia.

– Gdzie się zaczął pożar? – spytał prezydent, nie odwracając wzroku od ekranu.

– We wschodniej części miasta, Pięćdziesiąta Piąta i Scoville. Jakaś kamienica czynszowa, ale ogień szybko się rozprzestrzenił. Płonie dwanaście kwartałów. Kolejne dwadzieścia będzie zagrożone w ciągu następnej godziny.

– Straż pożarna?

– Musieli się bardzo rozprościć i są zmęczeni. W ciągu ostatnich dwóch tygodni codziennie było wiele pożarów. To pierwszy, który wymknął się spod kontroli. Ekipy skupiają się na powstrzymaniu ognia, z każdego posterunku wysłano ludzi, ale tłum...

– Spowalnia to.

– Tak, sir.

– Daj mi do telefonu burmistrza.

– Próbowaliśmy... – Leahy nie dopowiedział reszty.

– Dzieci Darwina za tym stoją?

– Na pewno mają w tym swój udział. Ale w zamieszkach biorą udział tysiące ludzi. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. – Leahy wcisnął kolejny przycisk i zmienił się kąt, pojawiło się zbliżenie.

Dron z kamerą, domyślił się Cooper. Bezałogowy, krąży jakieś tysiąc sześćset metrów nad miejscem wydarzeń. Film pokazywał linię frontu zażartej bitwy. Mężczyźni i kobiety wrzeszczeli na

siebie, tłum wirował, kłębił się. Jakiś mężczyzna w skórzanej kurtce zamachnął się kijem bejsbolowym. Nastoletnia dziewczyna z potwornie zakrwawioną twarzą wepchnęła się między dwóch ludzi, usiłując wydostać się z miejsca najgorszych walk. Jakiś biały mężczyzna stał nad czarnym i wściekle go kopał. Grupa ludzi kołysała samochodem, popychając go i napierając, aż przechylił się na bok, zawisł na chwilę i się przewrócił.

– Tak jest w całym mieście?

– Wielu ludzi pilnuje swoich domów; inni tylko obserwują. Ale wszystko w promieniu sześciuset metrów od Public Square zamieniło się w chaos. Wywiad szacuje, że w śródmieściu jest aż dziesięć tysięcy ludzi biorących udział w zamieszkach. I wciąż nie ma prądu. Gdy zapadnie noc, sytuacja jeszcze się pogorszy.

– Dlaczego burmistrz od razu nie ściągnął więcej policji?

– Nie wiemy, sir. Ale w tej chwili, nawet jeśli oddziały do zwalczania zamieszek dotrą do ratusza, nie będą w stanie zrobić wiele więcej niż bronić personelu. Ludzi jest po prostu za dużo.

– Demokraci nieźle sobie na tym użyją – stwierdziła Marla Keevers. Szefowa sztabu potrafiła tak wypowiadać to słowo, że brzmiało jak przekleństwo. – Czekaj, pana ogromna...

– Nie myślę w tej chwili o polityce, Marlo. Jedno z moich miast płonie. Czy to część większego zamachu?

– Nie wiemy, sir.

– Dlaczego nie wiecie?

– Tam panuje chaos, panie prezydencie... – Sekretarz stanu urwał. Potem dodał: – Sir, przyszła pora na działania z użyciem siły. Powinniśmy zakładać, że to pierwszy krok ataku, być może o ogólnokrajowym zasięgu.

Prezydent się nie odezwał.

– Sir, musimy działać.

Clay wpatrywał się w ekran.

– Panie prezydencie?

Gdy Nick Cooper stał przy świecącej choince w Gabinetce Owalnym w Białym Domu i patrzył, jak świat zaczyna się rozpadać, uświadomił sobie, że myśli o czymś, co powiedział mu jego były szef na chwilę przed tym, nim Nick zepchnął go z dachu dwunastopiętrowego budynku.

– Sir, co mamy robić?

Jego dawny mentor powiedział: „Jeśli to zrobisz, świat spłonie”.

– Panie prezydencie?

Na monitorze znów pojawił się panoramiczny widok z lotu ptaka. Pożar się rozprzestrzenił, gęsty dym zasłaniał pół miasta.

– Sir?

Prezydent Clay po prostu gapił się w monitor. Cooper wyczuwał jego napięcie, jego strach. Patrzył na ten obraz, jakby to wszystko było snem; gdyby udało mu się dostatecznie mocno skoncentrować, mógłby się obudzić.

– No dobra. – Owen Leahy zwrócił się do Marli Keevers. – Gwardia Narodowa nie wystarczy. Rozkazuję postawić wszystkie siły wojskowe w stan najwyższej gotowości i ściągam z zagranicy stacjonujące tam oddziały, by wsparły siły na terenie kraju. Musimy być gotowi na użycie znacznych sił.

Keevers pokiwała głową.

– Powinniśmy natychmiast aresztować Johna Smitha, Erika Epsteina i innych znanych przywódców. Poza tym aresztować nienormalnych poziomu pierwszego, którzy są monitorowani przez DAR...

– Jak najbardziej popieram aresztowanie Smitha – wtrącił Cooper. – Ale mówi pani o tysiącach ludzi.

– Istnieją protokoły utworzenia regionalnych obozów dla internowanych. – Leahy odwrócił się do Keevers. – A poza tym, ze skutkiem natychmiastowym, uruchamiamy Inicjatywę Nadzoru i Monitoringu. Nie możemy czekać do następnego lata. Gdybyśmy to zrobili, gdy przyjęto ustawę, być może nie doszłoby do tych ataków. Zaczniemy od tych ze zdolnościami pierwszego poziomu i będziemy się posuwać w dół drabiny. Do świąt chcę mieć urządzenie namierzające w szyi każdego nienormalnego.

Cooper nie wierzył własnym uszom. Nie chodziło tylko o treść, lecz o fakt, że Leahy sam podejmuje te decyzje.

– Nie może pan tego zrobić.

– Ustawa już istnieje, panie Cooper. Przyspieszamy po prostu harmonogram.

– Mam na myśli, że pan nie może tego zrobić. – Cooper podszedł do niego, umyślnie za bardzo się zbliżając. – Chyba że przeprowadza pan zamach stanu.

Sekretarz się najeżył.

– Niech pan uważa, co pan mówi!

– Nie, to pan niech uważa. – Cooper spojrzał na niego z góry. Wiedział, że jest niesubordynowany i zachowuje się ordynarnie, ale miał to gdzieś. Istniały takie chwile, kiedy człowiek musi się postawić. – Nie słyszałem, żeby prezydent wydał którykolwiek z tych rozkazów.

– W tej chwili ten naród potrzebuje silnego przywódcy. Jeśli będziemy dalej zwlekać, będzie jeszcze gorzej.

– Zgadza się. Ale nie jest pan prezydentem. – Zwrócił się do Claya: – Sir, jeśli uważa pan, że teraz jest źle, to wystarczy poczekać. Będzie jeszcze gorzej. Osaczanie własnych obywateli i wdrożenie Inicjatywy Nadzoru i Monitoringu oznacza wypowiedzenie wojny własnemu narodowi.

– Już mamy wojnę. – Leahy wskazał na ekran.

– To są zamieszki, nie wojna. I nie uratuje pan Ameryki, wtrącając do więzień wszystkich Amerykanów. – Cooper miał ochotę wrzeszczeć, wałnąć w biurko, złapać ich za kołnierze i potrząsnąć, żeby się wreszcie obudzili. – To zachęci do działania terrorystów. Wszyscy zwrócą się przeciw sobie. I właśnie to doprowadzi do wojny.

– Dość już tego – rzucił Leahy. – Doceniamy pańskie usługi, panie Cooper, ale nie są nam już potrzebne. Może pan odejść.

– Nie pracuję dla ciebie.

Jak na zawołanie Clay zakaszał i się poruszył. Oderwał wzrok od monitora. Spoglądał rozbieranymi oczami to na jednego, to na drugiego.

– Nick..

Cooper mu przerwał.

– Sir, to zły pomysł, myślę, że pan to wie i że właśnie dlatego mnie pan zatrudnił. Wiedział pan, że ktoś tu będzie namawiał pana do rozpoczęcia wojny domowej. A pan nie był pewny, czy będzie pan na tyle silny, by powiedzieć „nie”.

– Hola! – Głos Keevers trzasnął jak bicz. – Dość tego!

– W porządku – odezwał się słabo Clay. – Mów dalej, Nick. Powiedz, co myślisz.

– Sir, wszyscy jesteśmy zgodni, że trzeba coś zrobić. Ale nie to. Nie jestem idealistą, jestem po prostu praktyczny. Przegramy. Stracimy wszystko.

– I co sugerujesz?

– Skupmy się na czymś innym. Zamiast negocjować z terrorystami, będziemy negocjować z obdarzonymi. – Zmagał się z tym problemem, odkąd razem z Quinnem zostawili Smitha w zrujnowanym budynku. Jeśli nie mógł po prostu zabić Smitha, a zaczynał żałować, że tego nie zrobił, potrzebowali sposobu, żeby pozbawić go wpływów. Tak zmienić tę grę, by to już nie był Smith przeciw represyjnemu rządowi, lecz Smith przeciw Amerykanom. To oznaczało wprowadzenie innego gracza. Kogoś, kto posiadał ogromne wpływy i pieniądze. – Zwrócimy się do Erika Epsteina.

Marla Keevers parsknęła, a Leahy rzucił:

– Mówisz poważnie? Ten człowiek nawet nie istnieje. To tylko aktor. Równie dobrze za te sznurki mogą pociągać John Smith i Dzieci Darwina. Erika Epsteina nie ma.

– Jest. Poznałem go.

Nagle w pokoju zaległa absolutna cisza. Clay, Leahy i Keevers gapili się na niego.

– Spotkałem się z nim w Nowym Kanaan w Wyomingu trzy miesiące temu – ciągnął Cooper. – Erik Epstein jest bardzo realny i ma nad wszystkim świetną kontrolę. Woli po prostu prywatność. Człowiek, którego nazwał pan aktorem, to w rzeczywistości jego brat Jakob. Obaj ukartowali śmierć Jakoba dziesięć lat temu, by mógł się stać publiczną twarzą Erika.



Prezydent Clay usiadł na krawędzi biurka. Potarł podbródek.

– No cóż, Nick, potrafisz zaskoczyć.

– On mi ufa. – To było kłamstwo na epicką skalę; Cooper zdradził Epsteina. Zgodził się zabić Johna Smitha, lecz nie tylko go oszczędził, ale nieświadomie stał się narzędziem służącym realizacji jego planów. Z powodu decyzji podjętych przez Coopera Nowe Kanaan było bardziej zagrożone niż kiedykolwiek dotąd, a nie było na świecie nic, na czym Epsteinowi zależałoby bardziej niż na jego małym królestwie na pustyni.

*Mimo uszyśćko niewiele osiągniesz, jeśli się dowiedzą, że najbogatszy człowiek świata jest na ciebie ukurzony.*

– Zwróćmy się do niego. Poprośmy, żeby pomógł nam uspokoić naród.

– Co dobrego miałyby z tego... – zaczął Leahy.

– To by nadało dyskusji nowe ramy. W latach sześćdziesiątych rząd zalegalizował ruch Martina Luthera Kinga, włączając go do dyskusji. Dzięki temu radykałowie tacy jak Malcolm X i Huey Newton zostali wykluczeni. Nagle nie chodziło już o czarnych przeciw białym, tylko o pacyfizm przeciw przemocy. Był pan profesorem historii, sir, wie pan, że musimy wybrać taką drogę.

Clay gapił się na choinkę, wiktoriański bajzel z kokardek i bombek.

– Z tego wynikłoby coś jeszcze – odezwała się Marla Keever. Zwróciła się do prezydenta. – To nam daje cel.

– Co takiego? – spytał Cooper.

– Nie mamy sposobu, by dotrzeć do Dzieci Darwina. Ale gdybyśmy mieli współpracować z Epsteinem i Nowym Kanaan, zaofiarować im wsparcie, pod warunkiem że ustanie terroryzm... – Wzruszyła ramionami. – To sytuacja, w której obie strony wygrywają. Albo zapanują nad tym, co się dzieje, albo będziemy mieli usprawiedliwiony powód, by uderzyć w tę fortecę władzy nienormalnych.

– Chwileczkę, nie o tym...

Clay wstał.

– No dobra, Nick, pakuj się. Jedziesz do Nowego Kanaan jako nasz ambasador. Przekonaj Epsteina, żeby do nas dołączył, pomógł nam powstrzymać te zamachy i zwrócić nam nasze miasta.

– Sir, nie jestem dyplomatą. Nie mam pojęcia o...

– Znasz Erika Epsteina. On ci ufa.

– Ja... Tak, sir. – Cooperowi zakręciło się w głowie.

Clay przeszedł na drugą stronę biurka.

– A tymczasem, Owen, poprzemieszczaj oddziały. Te, które nie mają kluczowego znaczenia, sprowadź do domu i umocnij wszystkie bazy w kraju. I na wszelki wypadek przygotuj plan zdecydowanych działań wojskowych przeciwko Nowemu Kanaan.

– Sir, a co z Inicjatywą Nadzoru i Monitoringu? I tak powinniśmy to popchnąć...

– Najpierw spróbujemy tego, co mówiłem.

Leahy otworzył usta, by zaprotestować, przyłapał się na tym i z wyraźnym wysiłkiem przełknął niewypowiedziane słowa. Posłał Cooperowi spojrzenie, w którym była najczystsza trucizna.

– Tak, sir.

Clay zwrócił się do Coopera:

– Teraz wszystko zależy od ciebie, Nick. Lepiej, żeby ci się udało.

Prezydent był zbyt łagodnym człowiekiem, by wypowiedzieć na głos następne zdanie, ale w głowie Coopera dokończył je głos Drew Petersa.

*Bo jeśli ci się nie uda, świat spłonie.*

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Czyli teraz to ty masz wszystkich ratować?

Natalie potrafiła nazywać rzeczy po imieniu w sposób pozbawiony sarkazmu, tak że samo stwierdzenie faktów brzmiało absurdalnie. Zwykle Cooper to lubił, ale po tym, jak stał w Gabinetie Ovalnym i patrzył na płonące miasto i siedzącego beczynnie prezydenta, rozdrażniło go to.

– To nie tak. Nie chodzi o to, że ja przeciw wszystkim. Tyle tylko, że ja...

– Bierzesz płaszcz i szpadę i wylatujesz? – Ustawiła stos brudnych talerzy, zaczęła układać na nich sztuce. Zapach indyka, nadzienia i sosu żurawinowego sprawił, że zaburczało mu w brzuchu.

– Próbuję zrobić to, co mówiłaś. Próbuję to naprawić.

Odwrociła się i ruszyła w stronę kuchni. Poszedł za nią.

– Och, Nick – rzuciła przez ramię. – Bez ciśnienia, co?

– Słuchaj, o nic cię nie proszę. Poradzę sobie sam.

– Tak jakby udowadniasz moją tezę, kochanie.

– Natalie...

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro. Wpadnę rano, żeby pożegnać się z dziećmi. Pomyślałem, że...

Natalie głośno odstawiała talerze.

– Tak. Pomyślałem, że zrobiłbym naleśniki... Dokąd idziesz?

Nie odpowiedziała, wyszła po prostu z kuchni, minęła jadalnię i otworzyła szafę w przedpokoju. Wspięła się na palce i z górnej półki ściągnęła walizkę.

– Natalie?

Zignorowała go i zaczęła wchodzić po schodach. Zdezorientowany ruszył za nią.

Kiedys to była ich sypialnia, miejsce, gdzie czytali książki, kochali się i rozmawiali o dzieciach. Od czasu rozwodu był tu tylko raz, by pomóc jej przestawić komodę. Pozmieniała i przemeblowała pokój, ustawiła łóżko pod oknami i pomalowała ściany na inny kolor. Była żona Coopera położyła otwartą walizkę na łóżku i zaczęła układać obok niej ubrania.

– Co robisz?

– Pakuję się.

– Słuchaj, to słodkie z twojej strony, ale jadę sam.

– Niech mnie diabli, jeśli puszcze cię samego – powiedziała to łagodnie, ale ponieważ bardzo rzadko przeklinała, jej słowa niosły w sobie siłę.

– Natalie...

– Bądź cicho, Nick. – Odwróciła się i spojrzała na niego. Widział, że miała ochotę skrzyżować ręce, że postanowiła tego nie robić. – Dzisiaj była kolacja z okazji Święta Dziękczynienia.

– Hej, posłuchaj, przykro mi, że się spóźniłem, ale przecież nie było tak, że piłem w barze. Moja praca...

– Wiem – odparła. – Nie jestem zła. Właściwie to jestem z ciebie dumna. Mówię tylko, że dziś było Święto Dziękczynienia, a ty nie mogłeś tu być. To o jedno Święto Dziękczynienia mniej, jakie Todd i Kate z tobą spędzą.

Nie pomyślał o tym w takich kategoriach. Oparł się o ścianę.

– Ostatnim razem, kiedy wyjechałeś, nie było cię przez sześć miesięcy – ciągnęła Natalie. – Wiem, że miałeś ku temu bardzo ważne powody, ale dzieci dopiero się przyzwyczajają, że znów wróciłeś do ich życia. Nie zasługują na to, żeby tata znowu zniknął. A ty zasługujesz na to, by móc być ojcem.

– Wiesz, że tego chcę.

– Wiem – potwierdziła. – Dlatego jedziemy z tobą. To coś, co możemy zrobić. Nie będziesz się ukrywał ani próbował nikogo zabić. Jesteś ambasadorem prezydenta Stanów Zjednoczonych. A to znaczy, że będziesz miał ochronę. W tej chwili będziemy równie bezpieczni jak gdziekolwiek indziej. A poza tym to dobrze zrobi dzieciom. Kate będzie mogła przebywać w miejscu, gdzie nie będzie się czuła inna od wszystkich. A Todd zobaczy to wszystko z innej strony, przekona się, że świat jest większy niż szkolne podwórko. Jedziemy z tobą.

Cooper znał swoją byłą żonę. Była dobra, bystra i łagodna, a jej słowa bardziej odzwierciedlały jej zamiary niż u większości ludzi, jakich w życiu poznał. Poza tym, gdy już się raz na coś zdecydowała, była równie niewzruszona jak Skala Gibraltarska. Żadne argumenty, żadna burza uczuć ani przypływy lub odpływy nie potrafiły nią wstrząsnąć. Jeśli nie miał zamiaru jej znokautować, nie był w stanie sprawić, by została.

– Ludzie o zbyt wiele cię proszą. Twój ojciec, wojsko, Drew Peters, teraz prezydent. Nawet ja. Nie musisz zawsze być samotnikiem. To będzie dobre dla dzieci, jeśli zobaczą, jak ich tata próbuje uratować świat. To będzie dobre dla nas jako rodziny.

Ostatnie słowa wypowiedziała z lekkim naciskiem, drobną zmianą tonu, która umknęłaby większości ludzi. Kryło się za tym bardzo wiele. Przypominał sobie, jak siedzieli w forcie zbudowanym w salonie i Natalie go pocałowała. To nie był przyjacielski całus. To była... no cóż, może nie deklaracja, ale na pewno stwierdzenie pewnej możliwości.

Gdy dobrze się układało, ich małżeństwo było naprawdę bardzo udane. I zawsze był dumny z tego, że kiedy przestało funkcjonować jak należy, oboje to zauważyli. Byli w stanie przyznać, że choć się kochają, nie pasują już do siebie, i potrafili się rozstać bez urazy. Kochał ją i wiedział, że zawsze będzie kochać. Ale istniało coś takiego jak miłość i coś takiego jak bycie zakochanym.

*Czy dla niej coś się zmieniło?*

Diwnie było myśleć, że to, co robił w ciągu ostatniego roku, w rzeczywistości mogło ją do niego zbliżyć. Większość czasu spędzili daleko od siebie i była też ta przerażająca noc, gdy Drew Peters porwał ją i dzieci. Teoretycznie powinno ją to od niego odsunąć.

W rzeczywistości jednak wszystko, co zrobił, zrobił po to, by chronić swoje dzieci. Poza tym dokonał takich wyborów, jakich od niego oczekiwala, aż po wyjawienie prawdy, mimo ceny, jaką trzeba było za to zapłacić.

Cooper miał swoją teorię na temat osobowości. Większość ludzi uważała osobowość za coś pojedynczego. Co prawda plastycznego, lecz zasadniczo spójnego. On jednak z reguły postrzegał ludzi jako chór. Każdy etap w życiu dodawał do tego chóru jeden głos. Różne jego wersje – samotny dzieciak wojskowego, zadziorny nastolatek, wierny żołnierz, młody mąż, oddany ojciec, bezlitosny łowca – istniały w nim przez cały czas. Kiedy widział dziesięcioletnią dziewczynkę, był w nim dziesięcioletni chłopiec, który uważał, że jest ładna. To był tylko jeden głos w chorze kilkudziesięciu, co stanowiło różnicę między ludźmi zdrowymi a chorymi psychicznie; u chorych psychicznie niewłaściwe głosy zajmowały niewłaściwą ilość miejsca.

Mężczyzna, który kochał Natalie, dodał do jego osobowości wiele głosów. W chwilach takich jak ta ta część chóru śpiewała bardzo głośno.

Uświadomił sobie, że patrzy jej w oczy, a ona odwzajemnia jego spojrzenie. Pomyślał o tym wieczorze, gdy siedzieli w stacji kosmicznej, o tym, jak czuł jej usta na swoich, o słodkim od wina posmaku jej języka...

BUM, BUM, BUM.

Oboje podskoczyli.

– Spodziewasz się...

– Nie.

Ruszył do przedpokoju. Znowu BUM, BUM, BUM we frontowe drzwi. Jego broń została w skrytce w samochodzie. Kiępsko. Zszedł cicho po schodach, słyszał, że Natalie idzie za nim. Co to było? Ktoś z Białego Domu? Coś gorszego?

– Cooper! Wiem, że tam jesteś! – Głos był stłumiony, ale natychmiast go rozpoznał.

*No tak. Coś gorszego.*

Odsunął zamek, otworzył drzwi. Do środka wparowała Shannon i natychmiast wbiła mu palec w pierś. Była ubrana w skórzaną kurtkę i otaczała ją aura wściekłości. Mięśnie szyi miała napięte

jak postronki.

– Jesteś skończonym futem, wiesz o tym?

– Co się stało?

– Co się stało? Rozmawiałam z Johnem! To się stało, ty faszystowski... – Urwała, zerknęła nad jego ramieniem w stronę stołu, na którym wciąż było widać resztki po kolacji. Zesztywniała. Cholera.

– Shannon – odezwała się spokojnie Natalie. – Wszystko w porządku?

– Tak, tylko... Przepraszam, zapomniałam, że jest Święto Dziękczynienia. Nie chciałam się narzucać.

– Zawsze jesteś tu mile widziana. Wejdz.

– Nie chciałabym...

– W porządku. Naprawdę. – Natalie zwróciła się do Coopera: – Może porozmawiacie w salonie? Zostawię was samych. Mam dużo do zrobienia, jeśli mamy jutro wyjechać. – Jej uśmiech był tak idealny i chłodny, jakby wyryto go w marmurze. Odwróciła się i poszła na piętro.

– Cholera – powtórzyła Shannon.

– No chodź. – Puścił drzwi, przeszedł do pokoju. – Zjesz trochę indyka?

– Nie. Nie wiem, co mi wpadło do głowy, żeby tak walić do drzwi. – Pokręciła głową. – Kompletnie zapominałam, że jest Święto Dziękczynienia.

– W porządku – odparł. – Ja też. – Zabawne, w jaki sposób życie, jakie prowadzili, pozwalało zapominać o rzeczach, które dla innych ludzi miały kluczowe znaczenie. To był jeden z tych powodów, dla których jego i Shannon coś łączyło. Oboje żyli z boku.

Przeszła za nim do salonu.

– Gdzie oni jadą?

– Co?

– Natalie mówiła, że ma dużo do zrobienia, jeśli mają wyjechać.

Właściwie, to powiedziała: „jeśli mamy wyjechać”, co było drobną szpilą. Zawsze zdumiewała go brutalność, z jaką kobiety toczyły swoje wojny.

– Jutro wyjeżdżam do Nowego Kanaan, żeby porozmawiać z Erikiem Epsteinem. Natalie i dzieci jadą ze mną.

– Och – westchnęła Shannon.

– No więc? – Cooper opadł na fotel. – Nazwałaś mnie faszystą.

Jej oczy błysnęły i znikło całe zakłopotanie, jakie być może czuła.

– Porwałeś go? Przystawiłeś mu broń do głowy? Pobiliś go?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– No.

– I tylko tyle? No? – spytała z wściekłością w głosie. – Tylko tyle masz mi do powiedzenia, kochanie?

– Nie, moja droga. Powiedzieć ci coś zabawnego? Wczoraj byłem na spotkaniu w sprawie potężnego naruszenia bezpieczeństwa. Jakaś terrorystka zakradła się do DAR i ukradła mnóstwo danych. Głównie dotyczących ośrodków badań genetycznych i laboratoriów biologicznych, tych prywatnie finansowanych, półlegalnych miejsc, gdzie opracowuje się broń chemiczną i modyfikowane wirusy. – Pochylił się do przodu. – I wiesz co, siedzę tak na tym spotkaniu i myślę sobie: „Ha, ta terrorystka na nagraniach z kamer wygląda zupełnie jak moja dziewczyna”.

– O Jezu, Nick. Nie chodziło mi o broń biologiczną.

– A o co ci chodziło?

– O magiczny eliksir.

Pokręcił głową.

– Słodkie.

– Pracowałam. Wiesz, jaką mam pracę.

– Dla terrorystów.

– Dla mojej sprawy.

– Niech to szlag, nie możesz mnie stawiać w takiej sytuacji!

Przyjrzała mu się chłodno.

– To, że parę razy przespał się ze sobą, nie znaczy, że jestem ci coś winna.

– I nie znaczy, że nie mogę cię zaprowadzić do DAR w kajdankach.

– No i świetnie. Czyli kiedy potrzebujesz mojej pomocy, kochamy się i sobie ufamy. A gdy tylko przestaję ci być potrzebna, jesteś gotów mnie aresztować? – Skrzyżowała ręce na piersi. – Uratowałam życie twoim dzieciom, Cooper. Nigdy o tym nie zapominaj.

Już otwierał usta, żeby coś palnąć, ale się powstrzymał. Wciągnął powietrze.

– Masz rację. Przepraszam za to ostatnie.

– Wiedziałam, że spotkanie się z tobą to kiepski pomysł. Ale wmawiałam sobie, że chociaż jesteśmy po przeciwnych stronach, mogę ufać, że zrobisz to, co słuszne. – Pokręciła głową. – Tak naprawdę to w głębi serca wciąż jesteś ich zabójcą, co?

– Nie. – Czuł się głupio, siedząc w fotelu, i miał ochotę wstać, ale pomyślał, że to by wyglądało jeszcze głupiej. – Nie, jestem po prostu facetem, który próbuje powstrzymać wojnę.

– Nick Cooper, jednoosobowa armia. Sędzia i ława przysięgłych w jednym.

– I to mówi kobieta, która wykradła rządowe tajemnice. Powiedz mi, Shannon, co dziś wysadzasz. Ilu niewinnych ludzi zginie podczas twojej następnej przygody?

Wpatrywała się w niego, szalała w niej burza. Widział ten ogień i tę wściekłość, rozbłyśki błyskawic i wyjący wichur.

– Jadę do Wirginii Zachodniej. Zamierzam zrobić najlepszą rzecz, jaką w życiu zrobiłam. I wiesz, co w tym jest najzabawniejsze? Gdybyś zapytał mnie o to dziś rano, powiedziałabym ci wszystko.

– Co jest w Wirginii Zachodniej?

– Oglądam wiadomości. – Odwróciła się na pięcie i wyszła z salonu. – I pierdol się!

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, usłyszał, że frontowe drzwi się otwierają, a potem głośno zatrzaskują. *Cholera*. Nie chciał, żeby to zaszło aż tak daleko; choć był zły z powodu tego, co zrobiła, ona miała równie dobre powody, by być zła na niego. Oboje mieli przed sobą tajemnice i spodziewał się, że z tego powodu dojdzie do kłótni. Ale nie teraz, nie tutaj. Potarł oczy. *Cholera, cholera, cholera*.

Chwilę później usłyszał, że do pokoju wchodzi Natalie. Oparła się o ścianę, z papierowym ręcznikiem w rękach, a na jej ustach igrał leciutki uśmiech.

– Och, Nick.

– Co?

Pokręciła głową.

– Czyżbyś stracił wyczucie, jak traktować kobiety?



# **KSZTAŁCENIE OBDARZONEGO DZIECKA:**

## **PODRĘCZNIK NAUCZYCIELA**

### **DLA INSTRUKTORÓW AKADEMII**

#### **Podpunkt 9.3: O litości**

Bycie instruktorem w akademii kształcącej talenty pierwszego poziomu to przywilej dla nielicznych, którzy posiadają wystarczające kwalifikacje. Wymaga to nie tylko najwyższych umiejętności pedagogicznych, lecz również poczucia misji i niewzruszonej wewnętrznej dyscypliny.

Ludzie są tak uwarunkowani, by kochać dzieci. Trudno patrzeć na cierpienie dziecka, bez względu na to, czy krzywda jest fizyczna, emocjonalna czy psychiczna. Jest to naturalne i właściwe. Jednak dziecko, które w przeszłości się sparzyło, nie spróbuje więcej bawić się ogniem. Drobne oparzenie przeciwdziała czemuś znacznie poważniejszemu.

Innymi słowy, ból jest narzędziem pedagogicznym.

Litość podkopuje proces kształcenia. Jest krótkowzroczna i destrukcyjna. Dostarcza chwilowych korzyści, które wiążą się z długoterminową szkodą. Gdy widzimy, że dziecko bawi się ogniem, litość podpowiada nam, by je powstrzymać. By je chronić.

Zamiast tego musimy podsycić ogień. Musimy zachęcić dziecko, by się sparzyło. I jeśli okaże się to konieczne, musimy tak nim manipulować, by do tego doszło. Jak inaczej dziecko miałoby się nauczyć, że ogień jest nie dla niego?

Dla dobra akademii, dla dobra świata i dla dobra samych dzieci, twoim obowiązkiem jest pozbyć się litości.

**SPRZEDAŻ LUB UDOSTĘPNIANIE NINIEJSZYCH TREŚCI SĄ ZABRONIONE I WIĄŻĄ SIĘ Z MINIMALNĄ KARĄ PIĘTNASTU LAT WĘZIENIA I GRZYWNĄ W WYSOKOŚCI 250 000 \$.**

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Słońce zachodziło i nie robiło to zupełnie żadnej różnicy.

Ciężkie chmury przysłaniały świat, gdy Ethan wyłączył silnik hondy. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, słysząc tylko stygnący silnik i cichy oddech Violet na tylnym siedzeniu. Parking był w połowie wypełniony; Ethan nie przypuszczałby, że Święto Dziękczynienia to wielki dzień dla Kościoła, ale wyglądało na to, że dobrzy ludzie z Independence uważali inaczej. A może to nie miało nic wspólnego ze świętem. Może bardziej wynikało z tego, co się działo ze światem.

Zerknął na Amy.

– Apokalipsa zombie?

Kiwnęła głową.

– No dobra – stwierdził i otworzył drzwi samochodu.

Kościół prezbiteriański w Independence miał kształt namiotu, ze spadzistym, krytym brązowym gontem dachem. Z jednej strony wznosiła się staromodna iglica. Był położony przy placu na spokojnym przedmieściu – Independence nazywało się miastem, ale poważnie, dajcie spokój – i Ethanowi się wydawało, że to dobre miejsce, by zostawić samochód. Kto dobiera się do samochodów na parkingu przy kościele?

Ethan wynioskował, że jeśli rząd chciał wprowadzić kwarantannę w Cleveland, autostrady zostaną potraktowane jako przybliżone granice. Międzystanowa I-80 znajdowała się szesnaście kilometrów na południe, ale ponieważ nie wiedział dokładnie, gdzie zacznie się kordon, zamierzali ruszyć stąd pieszo. Trzydzieści pięć kilometrów, sporo z tego przez tereny parku narodowego z Cuyahoga Falls jako ziemią obiecaną.

*No cóż, jest takie określenie, które być może nigdy nie zostało wypowiedziane.*

Ethan zarzucił plecak na ramię i zapiał pasek, by ciężar dobrze się rozłożył. Jego ciało pamiętało to doznanie i przez głowę przemknęły mu obrazy, jak przechadzał się po Amsterdamie, rowery i bruk na ulicach, promienie słońca lśniące w kanałach, sześć i pół tysiąca kilometrów i milion lat temu. Wsunął za pasek rewolwer.

Violet już nie spała, pasy samochodowego fotelika napinały się na jej pulchnym ciałku.

– Dzień dobry, kochanie. Chcesz przeżyć przygodę?

Jeśli miała jakieś odczucia na ten temat, to zachowała je dla siebie. Ethan wyjął ją z fotelika. Przez chwilę przytulał ją do piersi, czuł jej słodki ciężar, regularny oddech i zapach mleka, a gdy wsunął ją do nosidełka Amy, od razu zrobiło mu się zimniej.

On i żona popatrzyli po sobie. W jej uśmiechu widać było napięcie, jakby usiłowała przekonać samą siebie. Ethan podszedł krok w jej stronę, objął ją, obie swoje dziewczyny, Violet w środku tej kanapki i przez chwilę stali tak i oddychali.

Wkrótce zapadnie zmrok.

– Chodźmy.

Ramię w ramię, ruszili.

Dwadzieścia minut później zeszedł z drogi.

Za rzędem jednopiętrowych domów zaczynał się gęsty sosnowy las, zadbane trawniki stopniowo przechodziły w leśne runo i miękkie igliwie. Przeprowadził rodzinę przez tę graniczną linię, przemyskając skrajem podwórek na tyłach. Na tle poświaty widać było sylwetki domów. W niektórych z nich widział światło świec, wyobrażał sobie rodziny skulone wokół kominków. Temperatura spadała, ale ciężar plecaka sprawiał, że rozgrzał się od wysiłku.

– Trzydzieści pięć kilometrów – stwierdził.

– Nic takiego – odparła.

– Mały spacer.

– Nawet nie maraton.

Wysoki plot na jednej z posiadłości zmusił ich, by skrócić głębiej w las. Ethan szedł przodem. Drzewa były ciemnymi sylwetkami w słabnącym świetle dnia. Do jego kurtki przyczepiało się igliwie, czuł w nozdrzach zapach żywicy. Szli w milczeniu; słyszał tylko odgłosy ich kroków i szum gałęzi kołyszących się na wietrze.

Gdy zrobiło się zbyt ciemno, by cokolwiek widzieć, wyjął latarkę. Mocny blask padł na drzewa. Przysłonił ją dłonią, by stłumić strumień światła, palce żarzyły się w kolorze halloweenowej czerwieni.

Wiatr się zmienił i wraz z nim gdzieś z oddali dotarło do nich wycie syren. To logiczne, że zamieszki nałaziły się po zmierzchu. Wyobraził sobie samochody płonące na Lakeside Avenue, woń palonych opon, trzask pękających szyb i krzyki rannych.

Las stał się gęstszy. Ethan przecierał szlak wśród sosnowych gałęzi, przytrzymując je, by Amy mogła przejść. Od czasu do czasu zerkał na kompas, upewniając się, że zmiierzają na południe. Łatwiej byłoby iść wzdłuż linii domów, ale sytuacja była zbyt napięta. Bał się, że ktoś może strzelać do ludzi skradających się na tyłach jego domu.

Violet krzyknęła i przebudziła się. Dźwięk nie był głośny, ale oboje się wzdrygnęli. Amy

pogłaskała ją po plecach przez nosidełko, szepnęła:

– Szsz... Wszystko w porządku, śpij.

Córeczka nabrała jednak powietrza w płuca i rozdarła się na cały głos.

– Trzeba ją przewinąć – stwierdziła Amy.

Ethan zrzucił plecak i rozłożył kurtkę, by mogli położyć na niej dziecko.

– No chodź, malutka.

Amy przyświecała mu latarką, kiedy zmieniał pieluchy. Kupa miała kolor i konsystencję musztardy, a po skondensowanym mleku bardziej śmierdziała. Dziecko gaworzyło, gdy je przewijał.

Gdy skończył, wyprostował się i przez chwilę pozwolił córeczce leżeć na plecach i kopać nóżkami. Zabawne, wiedział wszystko o ewolucji i cyklu życiowym, a rzeczywistość wciąż go zaskakiwała. Akademicka wiedza o tym, że trzeba lat, by mózg i ciało się rozwinęły, to było jedno. Jednak być świadkiem tego wolnego procesu, obserwować, jak jej oczy coraz lepiej potrafią się skupić i zyskuje coraz większą kontrolę nad mięśniami, to było coś zupełnie innego. Czasem czuł się jak wuefista, który w zastępstwie prowadzi lekcje biologii; czytał tę samą książkę co jego uczniowie i wyprzedzał ich tylko o tydzień.

Amy oparła ręce na biodrach i przeciągnęła się. Gdy się poruszyła, promień latarki się zakołysał, maleńki krążek światła otoczony przez przytłaczającą ciemność.

– Jak myślisz, ile przeszliśmy?

– Dwa i pół kilometra, może trzy. Jesteś zmęczona?

– Nie. Ale idziemy tak wolno.

– Lepiej stawiać na bezpieczeństwo.

– Chyba tak. – Wzruszyła ramionami, potem uśmiechnęła się do niego. – Hej, jest coś, co chciałam ci powiedzieć wcześniej.

– Co takiego?

– Wesołego Święta Dziękczynienia.

Godzinę później, gdy oglądał się przez ramię, by sprawdzić, co z dziewczynami, zahaczył o coś stopą. Potknął się, szarpnął, spróbował w porę wysunąć do przodu drugą nogę, ale plecak go przygniótł. Upadł i uderzył kolanem o jakiś kamień. Latarka potoczyła się między drzewa.

– Ethan!

– Nic mi nie jest – wycedził przez zaciśnięte zęby. Zaklął, wciągnął powietrze, zaklął jeszcze raz. Obmacywał palcami kolano. Przy każdym dotyku przeszywał go ból, ale ten najgorszy już ustąpił. Wydawało mu się, że dzinsy nie są rozdarte, ale w ciemnościach nie mógł być tego pewien. O cholera.

Latarka. Gdzie się podziała?

O cholera. Amy była tylko ciemnym kształtem w ciemnościach, gdy przesuwiała nogami po ziemi,

kopała igliwie. Po chwili usłyszał dźwięk metalu odbijającego się od jej buta. Pochyliła się, westchnęła.

– Zepsuta?

– Na to wygląda. A co z tobą?

– Tylko się potłukłem. – Podparł się na rękę i powoli podźwignął.

– Możesz iść? – Kiwnął głową, ale zdał sobie sprawę, że żona go nie widzi.

– Tak. – Rozejrzał się. Nie widział nic, prócz różnych odcieni czerni. Niebo było tylko trochę jaśniejsze, grube chmury skrywały księżyc i gwiazdy. – Ale chyba nie możemy tak dalek iść.

– Moglibyśmy rozbić tutaj namiot i ruszyć dalej rano.

– Po ciemku będzie łatwiej przedrzeć się przez kordon.

– No więc?

– No cóż.

Kompleks biurowców był niski i wyglądał nijako. Po cichej izolacji w lesie wydawał się obcy i surrealistyczny, jakby świat został opuszczony. Cała ta metafora z apokalipsą zombie zaczynała coraz bardziej do niego przemawiać.

Była tu jednak szeroka droga, którą z łatwością mogli się poruszać, i choć trochę rwało go w kolanie, dobrze było móc iść w normalnym tempie. Podrzucił lekko plecak, by przenieść jego ciężar, i ruszył przodem.

Znaleźli się na ulicy prowadzącej ze wschodu na zachód. Trzy pasma i żadnych samochodów. Zapalił zapalniczkę i przysunął ją jak najbliżej do staromodnej papierowej mapy.

– Myślę, że jesteśmy tutaj – powiedział. – Pleasant Valley Road. – Przyjemna droga doliną. Nie było tu żadnej doliny i wcale nie było jakoś strasznie przyjemnie. Przyłapał się na tym, że chce zrobić zbliżenie mapy i przełączyć się na tryb satelitarny. Kiedy był mały, znał na pamięć numery telefonów swoich kumpli; teraz dzięki tabletom i komórkom ledwie pamiętał własny numer i od jakichś dziesięciu lat nie nawigował na niczym innym prócz interaktywnego wyświetlacza GPS. Technologia tak bardzo upraszczała życie.

*No tak. Powiedz to mieszkańcom Cleveland.*

– Wygląda na to, że na zachód teren jest gęściej zaludniony – stwierdziła Amy.

– Racja. Czyli wschód. Możemy wybrać... o tę, Riverview.

Ulica była oznaczona najcieńszą możliwą linią i wila się przez tereny parku narodowego. Po drodze kilka razy zmieniała nazwy, ale prowadziła mniej więcej do Cuyahoga Falls.

Ruszyli środkiem pustej ulicy.

Dochodziła dziewiąta, gdy po raz pierwszy zobaczyli innych ludzi.

Plecy miał przesiąknięte potem, a biodra zaczynały palić z wysiłku. Trzydzieści pięć kilometrów

to był dystans dziennego marszu dla żołnierza, rozsądna wędrówka dla doświadczonego turysty. Jednak pracując jako naukowiec, nie miał zbyt wielu okazji do wysiłku fizycznego. On i Amy chodzili czasami na siłownię, ale odkąd pojawiła się Violet, oznaczało to pół godziny – i to od czasu do czasu.

Przynajmniej zaczęli poruszać się szybciej. Riverview Road okazała się dwupasmową popękaną drogą, z polami po jednej stronie i lasem po drugiej. Od zachodu biegła linia elektryczna na wielkich, ażurowych słupach. Od czasu do czasu mijali podjazd do jakiejś wiejskiej posesji, tylko skrzynka na listy i bita droga.

Ethan patrzył właśnie na swoje stopy – nie tyle liczył kroki, ile wczuwał się w rytm jakby wybijany bębniem – gdy Amy położyła mu rękę na ramieniu.

Przed nimi kołysało się coś białego i zanim dotarło do niego, że to latarka, padł na nich snop światła. Jego źródło znajdowało się jakieś czterdzieści metrów przed nimi; nie widział nic więcej prócz jasnego punktu. Nagle poczuł się przytłoczony.

– Ethan...

– Żadnych gwałtownych ruchów – powiedział. Powoli wyciągnął ręce i unosił je otwartymi dłońmi do przodu, przypominając sobie podenerwowanego nastolatka przy karabinie na humvee. *Kiepsko, że nas złapali, ale jeśli ktoś upadnie w panikę, będzie jeszcze gorzej.*

Światło znikło równie nagle, jak się pojawiło. Zatoczyło łuk, między drzewami zatańczyły dziwne cienie. Skierowało się na pierś mężczyzny. Znad ramienia sterczała lufa strzelby, był ubrany w strój myśliwski, obok niego zaś dostrzegli dwie inne postacie: kobietę i mniej więcej ośmioletniego chłopca.

Światło znieruchomiało na chwilę, po czym znów padło naprzód i zaczęło się kołysać, oddalając od nich. Ethan wypuścił powietrze. Nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymywał je w płucach.

– Tacy jak my – stwierdziła Amy. – Próbują się wydostać.

Ethan kiwnął głową. Znów ruszyli, podążając za migoczącym błędnym ognikiem latarki.

– Ciekawe, ilu ludzi wpadło na ten sam pomysł.

Godzinę później były ich już dziesiątki. Grupki szły w pewnej odległości od siebie, nanizane na drogę jak paciorki naszyjnika. Większość miała latarki i nie starała się ich ukryć. Niektórzy rozmawiali. Gdzieś z przodu ktoś śpiewał *Auld Lang Syne*.

– Uwielbiam tę piosenkę – stwierdziła Amy.

– Wiem.

– Nawet pasuje, co? – Zaczęła cicho nucić: – „Ogniska już dogasa blask, braterski splećmy krąg/W wieczornej ciszy, w świetle gwiazd ostatni uścisk rąk”.

– Bola mnie nogi – przyznał.

Mijali położone na uboczu osiedle, jedno z tych dziwnych miejsc pośrodku niczego. Kilkanaście domów było w trakcie budowy. Belki dachów rysowały się na tle ciemnego nieba. Przy wjeździe

ledwie dojrzał znak z napisem: WSPANIAŁA PRZYRODA, Z NAJNOWOCZEŚNIEJSZYMI WYGODAMI. WYMARZONE DOMY W CENACH OD 300 DOLARÓW! Obok stał wykończony modelowy dom; na ganku Ethan dojrzał mężczyznę obserwującego powolny pochód uciekinierów. Kiwnął mu głową, ale nie doczekał się odpowiedzi. W lesie krzyknął jakiś ptak. Taki dźwięk mógł wydać tylko jakiś drapieżnik i Ethan zastanawiał się, co właśnie umarło. Może jakaś mysz schwycona w szpony przez sowę.

– *Auld lang syne* znaczy „za stare dobre czasy”. – głos Amy był cichy. – Zastanawiam się, czy to o naszym życiu. Stare dobre czasy.

Ethan odwrócił wzrok, wzruszył go smutek w głosie żony. Nie była jedną z tych nachalnie wesołych kobiet, ale w sumie postrzegала istnienie samej szklanki jako coś niesamowitego, bez względu na to, czy ta szklanka była do połowy pełna czy do połowy pusta. Ten ton w głosie żony przytłoczył go o wiele bardziej niż to, co się stało z ich miastem, o wiele bardziej niż terroryzm i zamieszki, niż to, że stali się uchodźcami. Nie chodziło tylko o to, co działo się z nimi, ale głównie o to, co się działo ze światem.

Przypomniało mu się coś, co słyszał w radiu tego wieczoru, gdy sklepy zostały ogołocone z towarów. Ktoś mówił o tym, w jaki sposób zaopatrywane są sklepy, jak wszystko dzieje się w czasie rzeczywistym. Ethan potrafił sobie wyobrazić, jakiego systemu to wymaga, aby coś takiego działało. Skanery, komputery, zarządzanie inwentarzem, logistyka i transporty. Zaledwie jeden z milionów planów, które sprawiały, że świat się kręcił, system tak wydajny i skuteczny jak układ krwionośny zaopatrujący człowieka w krew.

Jednak bez względu na wydajność układu krwionośnego, wystarczyło przeciąć tętnicę i organizm umierał.

Czy to właśnie zrobiły Dzieci Darwina? Czy to możliwe, że szaleństwo, w którym pogrążyło się Cleveland, rozprzestrzeni się? Że w innych miejscach też nie będzie prądu, żywność nie będzie trafiać z farm do sklepów, że policja nie będzie chronić ludzi, a szpitale nie będą ich leczyć?

Czy życie mogło być aż tak delikatne?

Wiesz, że może. Świat działał, bo ludzie zgodzili się wierzyć, że działa. Mógł dać sprzedawcy kawałek papieru i wyjść z ubraniem, bo zgodzili się przypisywać wartość temu papierowi. Mógł wchodzić w interakcję z ludźmi znajdującymi się tysiące kilometrów dalej i nazywać to czatem. Tablet w jego kieszeni miał dostęp do całej skumulowanej ludzkiej wiedzy, od budowy kości aż po konstrukcję bomby atomowej. I żadna z tych rzeczy nie była rzeczywista. To było wspólne i korzystne dla wszystkich złudzenie.

*Co się stanie, gdy nie będziemy już w stanie w nie wierzyć?*

– Wszystko się jakoś ułoży.

– Nie musisz tego powtarzać ze względu na mnie – odparła ostro. – Nie potrzebuję, by mnie

ktoś niańczył.

Otworzył usta, by zaprotestować, przyłapał się na tym.

– Masz rację. Przepraszam.

Złagodniała, odparła:

– Ja też. Po prostu jestem zmęczona.

– Tak. Składana kanapa twojej mamy nigdy nie wydawała się tak... – Urwał i stanął jak wryty.

– Co się dzieje?

– Słyszysz...

Silniki. Dźwięk, z początku słaby, szybko stawał się coraz głośniejszy. Noc była cicha; powinni usłyszeć samochód z odległości wielu kilometrów. Ale było tak, jakby...

Jakby do tej pory stały zaparkowane i czekały.

– Uciekaj! – Ethan chwycił Amy za rękę i ściągnął ją z drogi. Inni też usłyszeli ten dźwięk, ich latarki zawirowały, gdy się rozpraszali – punkty światła i zamazane kolory. Ciężki plecak podskakiwał na ramionach, ogniste szpony wbijały się w kolano, gdy biegli do wejścia kompleksu.

Humvee ukazały się zza zakrętu drogi, zamontowane na nich reflektory zmieniły noc w dzień. Z głośnika rozległ się głos, słowa ginęły we wrzaskach i ryku silników. Ethan nie marnował czasu na słuchanie, dopadł do osłony, jaką dawał modelowy dom, Amy pół kroku za nim. Serce łomotało o żebra, gdy biegli zwirowym podjazdem i przypadłszy do ściany, ukryli się w cieniu.

Vilet się obudziła i zaczęła płakać. Twarz Amy ściągnęła się, wyszeptała:

– Szsz... nie teraz... proszę...

*I co teraz?*

Wyrzał zza węgła budynku i zobaczył, że pojazdy się podzieliły. Jeden został na drodze, dwa inne pojechały w różne strony, by otoczyć uchodźców. Obrotowe reflektory oślepiały, ludzie zamierali, gdy padał na nich strumień światła.

– Proszę nie uciekać. Będziemy strzelać. Uklękniecie i połóżcie ręce na głowie.

Naprawdę by strzelali? Nie wiedział. Jeśli rząd wierzył, że wśród nich mogli być terroryści albo zakazani... to było możliwe.

Na drodze ludzie posłusznie zdejmowali plecaki i okrycia, klękali na asfalcie. Przesuwające się strumienie reflektorów oświetlały skulone postacie rzucające powykrzywane cienie.

– Doktorze Ethanie Park, dron zidentyfikował pana na tej drodze.

Opadła mu szczęka. W brzuchu poczuł lodowaty ucisk paniki. Dłonie mrowiły i swędziały.

*Dron?! Dlaczego, na wszystkie świętości, miałby go szukać dron? Dlaczego ktokolwiek miałby go szukać?*

– Proszę położyć ręce na głowie i powoli podejść w stronę pojazdów, doktorze Park.

– Co? – Czy Amy wydawały się białe od odbijającego się w nich światła. – Czego od nas chcą?



Przez jego głowę przemknęło wspomnienie agentów DAR, którzy przyszedli się z nim zobaczyć – Bobby’ego Quinna i Valery West. Pytali o jego badania. *To niemożliwe. To jakiś absurd.*

– Naprawdę nie wiem.

– Powinniśmy się oddać w ich ręce?

Znów wyrzwał zza węgła. Żołnierze zeszli z ciężarówek, przekształcając radosną kolumnę ludzi w skulone, przerażone ofiary.

Mniej więcej pośrodku wciąż stał jakiś mężczyzna. To był ten, którego widzieli wcześniej, w myśliwskim ubraniu, ze strzelbą. Po jednej stronie klęczał jego syn, po drugiej żona, uczeplona jego nogawki. Schylił się i podniósł ją na nogi.

– Proszę położyć ręce na głowie, doktorze Park.

– To nie ja! To nie my! – odwrzasnął mężczyzna.

– Proszę uklęknąć.

– Jestem amerykańskim obywatelem. I nie wracam do Cleveland. – Ruszył naprzód, ignorując żonę, która usiłowała go powstrzymać.

– Proszę pana! Proszę natychmiast uklęknąć!

– Nie jesteśmy tymi, których szukacie.

– Proszę upuścić broń i, kurwa, uklęknąć!

– Mam swoje prawa – krzyknął mężczyzna. – Nie jestem terrorystą. Nie możecie tego zrobić!

– Zatrzymaj się, ty idioto – szepnęła Ethan. – Uklękniij.

Mężczyzna zrobił krok, potem kolejny.

Krótką serią wybuchów, jaskrawych rozbłysków światła i huk, który odbił się rykoszetem w brzuchu Ethana. Jak fajerwerki, tylko że to nie mogły być fajerwerki, fajerwerki są na niebie, nie na drodze. A potem plecy myśliwego eksplodowały.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem było echo wystrzałów odbijających się między drzewami. Potem rozległy się wrzaski.

– Obożeobżeobże – powiedziała Amy. – O Boże.

Ludzie wstawali, rzucali się do ucieczki. Znów ryknął głośnik, nakazywano wszystkim się zatrzymać, ale teraz miejsce przerażenia zajęła histeria. Przed oczami Ethana pojawił się straszliwy obraz karabinów otwierających ogień, koszących tłum, ale były tylko reflektory, żołnierze zeskakiwali z pojazdów i coś krzyczeli.

Ethan chwycił Amy za ramię, mocno ścisnął. Las był...

Nagle pukanie sprawiło, że aż podskoczył. W pierwszej chwili pomyślał, że został postrzelony, ale nie było bólu, a dźwięk był zbyt cichy. Dobiegał z okna modelowego domu, za którym się ukryli. Kobieta w jednej ręce trzymała latarkę, drugą otwierała okno.

– Szybko – szepnęła, pokazując gestem „chodźcie tu”.

Spojrzał na nią, obca kobieta w beżrękawniku, z twarzą wykrzywioną ze strachu. Ethan złapał Violet, wcisnął ją w ramiona kobiety, a potem trochę wrzucił, a trochę wepchnął Amy przez okno. Chwycił krawędź parapetu i podciągnął się, z plecakiem poruszał się niezręcznie.

Na drodze znów rozległy się strzały.

Okazało się, że kobieta ma na imię Margaret i jest żoną mężczyzny, którego Ethan widział na ganku, a który teraz wyciągnął do niego rękę.

– Jeremy.

W piątkę siedzieli w piwnicy modelowego domu, w wykończonym pomieszczeniu, które miało być pokojem rekreacyjnym, choć w tej chwili było tu tylko kilka składanych krzeseł i stół konferencyjny. Na zewnątrz z głośników płynęły komendy. Wyobrażał sobie sceny na zewnątrz: ludzie otaczani i krępowani, ładowani na samochody. Żołnierze będą wszystkich legitymować, szukać go.

*Ale dlaczego?*

Nie wiedział. Może to był DAR; może ci, którzy porwali Abe'a; może to była jakaś pomyłka. Ale bez względu na wszystko wydawało się, że lepiej nie mieć nazwiska, które wywoływali przez głośniki. Z nadzieją, że jego żona zorientuje się, dlaczego to robi, Ethan przedstawił się.

– Jestem Will. – To było jego drugie imię. – Moja żona Amy. A to jest Violet.

Amy zorientowała się natychmiast.

– Dziękujemy, że nas wpuściliście – powiedziała.

– Oczywiście, że was wpuściliśmy, kochana. – Margaret pokręciła głową. – Nie wiem, co wyprawiają te chłopaki, strzelają do ludzi, ale nie mogłam pozwolić, żebyście tak tam stali. Nie z tym malarstwem. – Zagrychała pieszczotliwie do Violet, którą Amy znów trzymała na rękach. – Mój Boże, jaka ona słiczna.

– Myślicie, że żołnierze przeszukają dom?

Jeremy pokręcił głową.

– Nie sędzę. Drzwi i okna były zamknięte, więc nie mają powodu myśleć, że są tu ludzie.

– Jesteśmy kimś w rodzaju dozorców – wyjaśniła Margaret. – Pilnujemy osiedla, patrzymy, żeby dzieciaki tu nie imprezowały, tego typu rzeczy.

– Nie zostaniemy długo – zapewnił Ethan. – Tylko dopóki nie odjadą.

– Nonsens. Mamy mnóstwo miejsca. Jest za późno, żeby się włóczyć, zwłaszcza kiedy biegają tam ci nakręceni żołnierze.

– Zacie człowieka, którego szukali? – spytał Jeremy.

– Nie. Nie znamy nikogo z tych ludzi. Próbuje tylko wydostać się z miasta, zatrzymać się u matki Amy w Chicago.

Jeremy wyjął wykałaczkę z jednego kącika ust i wsunął ją znów z drugiej strony. Wyglądało na

to, że skończyły im się tematy do rozmowy. W ciszy słychać było tylko silniki wojskowych pojazdów. Nasłuchiwali, przekrzywając głowy. Dźwięk stawał się coraz cichszy.

– Mamy trochę jedzenia – powiedział Ethan. – Niewiele tego, ale może jesteście głodni?

To było najdziwniejsze Święto Dziękczynienia w jego życiu, choć było w nim też coś wspaniałego. Margaret i Amy wspólnie podgrzewały konserwy na turystycznej kuchence, a on i Jeremy nakryli do stołu. Papierowe talerze i plastikowe sztućce, lampa naftowa pośrodku stołu. Mężczyzna był małowówny, ale Ethan dowiedział się, że na piętrze jest dwoje ich dzieci – chłopcy przepaliby dzień Sądu Ostatecznego – i że Jeremy dorabia też jako elektryk, kładąc instalacje na budowanym osiedlu.

Na kolację była dziwna mieszanka: zupa z puszki, czarna fasola, suszone mięso, kanapki z masłem orzechowym. Wszyscy trzymali się za ręce, gdy Jeremy odmówił modlitwę, a potem zabrali się do jedzenia. Margaret nieustannie coś mówiła, ale nie za bardzo z sensem. Było to nawet miłe. Jedzenie smakowało lepiej, niż powinno, i były takie chwile, gdy Ethan zapominał, że siedzą skuleni w piwnicy na obrzeżach sparaliżowanego miasta podczas zamachu terrorystycznego i że polują na nich drony.

Potem, gdy Amy zajmowała się Violet, a Margaret sprzątała po jedzeniu, Jeremy kiwnął głową na Ethana, jakby chciał powiedzieć: „chodź ze mną”. Wyszli na ganek. Droga była pusta, nie było ani śladu po tym chaosie, który miał tu miejsce zaledwie przed kilkoma godzinami. Prawie ani śladu: Ethanowi zdawało się, że dostrzega ciemną plamę na betonie.

*Amy miała rację. Życie, które znaliśmy, to stare dobre czasy.*

– Słuchaj, chciałbym ci jeszcze raz podziękować – odezwał się Ethan. – Uratowaliście nas.

Jeremy kiwnął głową.

– Żona ma wielkie serce.

– Ty też. Dziękuję.

Mężczyzna zszedł z ganku i sięgnął za rynnę. Wyciągnął półlitrową butelkę whiskey, odkręcił korek i pociągnął długi łyk. Westchnął.

– Margaret się to nie podoba, ale facet czasem musi się napić.

– Amen. – Ethan przyjął butelkę z jego rąk.

– To twoja pierwsza?

– Violet? Tak.

– Zmienia człowieka, no nie?

– Zmienia wszystko.

Przez chwilę stali, słuchając odgłosów nocy, szelestu liści i westchnień wiatru. Ethan pociągnął kolejny łyk i oddał butelkę.

– To dobra rzecz – stwierdził Jeremy. – Bycie ojcem. Kiedyś robiłem na dachach, smołowałem je

przy najgorszych upałach, bez żadnego cienia. W czerwcu pękała mi skóra, łuszczyła się, znów paliło ją słońce. Miałem osiemnaście lat i myślałem, że to jest ciężkie. A potem urodziły mi się dzieci.

– Szalenstwo, nie? Człowiekowi się wydaje, że wie, w co się pakuje, ale tak naprawdę nie ma pojęcia. Wszyscy tylko gadają o nieskończonej miłości, i to prawda, ale tak właściwie to nie to. To nieskończone wszystko. Sama myśl, że przez każdą sekundę następnych osiemnastu lat to ty jesteś odpowiedzialny.

Jeremy pociągnął z butelki, podsunął ją Ethanowi. Ethan pokręcił głową. Mężczyzna zakręcił whiskey i schował ją tam, gdzie wcześniej. Wrócił na ganek, wsunął ręce do kieszeni, spojrzał w niebo.

– To dziwne dni, Will. Może ostatnie. – Odwrócił się. – Opiekuj się tą dziewczynką, słyszysz?

– Tak zrobię. Zrobię wszystko, co będzie trzeba.

– Tak trzymaj.

Gdy wrócili do środka, Jeremy zostawił im lampę naftową i powiedzieli sobie dobranoc.

Gdy tylko Jeremy i Margaret zniknęli z zasięgu wzroku, żona dopadła do niego.

– Dobra, co się tu, u diabła, dzieje?

– Amy, przysięgam na Boga, nie mam pojęcia.

– Znali twoje nazwisko. Wiedzieli, że masz doktorat. Mówili, że szuka cię d r o n .

– Tak. – Pochylił się, by rozłożyć śpiwór. Amy przygotowała już posłanie dla Violet. Córeczka leżała na plecach, z rozrzuconymi rękami i nogami i przekrzywioną główką. – Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że ma to coś wspólnego z zaginięciem Abe'a.

– Czyli to był DAR? – Zmarszczyła brwi. – Ale jeśli chcieli z tobą porozmawiać, to dlaczego po prostu nie zapukali do drzwi?

– Zastanawiam się, czy nie obserwowali domu, licząc na to, że ten, kto porwał Abe'a, przyjdzie też po mnie. – Usiadł, rozwiązał sznurówki. – Tyle tylko, że odeszliśmy, i to ich zaskoczyło.

Amy się zastanawiała.

– Ale dron? Musi im naprawdę zależeć, żeby z tobą porozmawiać.

– Chyba tak – stwierdził.

– Myślisz, że chodzi im o twoją pracę?

– Tak.

Usiadła na śpiworze.

– Wiem, ile to dla ciebie znaczy, kotku. I wiem, jak rygorystyczne podejście ma Abe do zasad poufności. Ale to jest rząd. DAR. Może powinieśś...

– W tej chwili zależy mi tylko na tym, żebyśmy dotarli w jakieś bezpieczne miejsce. Z DAR poradzimy sobie później – odparł.

Powoli pokiwała głową, lecz nie wydawała się do końca przekonana. Nie miał jej tego za złe.

Sam nie był do końca przekonany.

Ethan zgasił lampę naftową, podłożył ręce pod głowę i zapatrzył się w sufit. Myślał o płonących samochodach i o kolumnie uchodźców. Myślał o fajerwerkach i rozpryskującej się krwi. Myślał o tym, jak blisko celu byli on i Abe, i zastanawiał się, czy własny rząd postanowił ukraść im owoce ich pracy.

Rewolwer za paskiem był ciężki, ale dziwnie pocieszający.

*Za stare dobre czasy.*

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Strażnik był młody i pełen buty, jakby całym sobą mówił: „Pieprzcie się”. Co było imponujące, biorąc pod uwagę, że klęczał na podłodze z bronią przystawioną do głowy.

– Obie jesteście już martwe. – Mężczyzna mówił z wyraźnym akcentem z Wirginii Zachodniej. – To placówka DAR. Dowiemy się, kim jesteście, gdzie mieszkacie. Równie dobrze możecie się od razu poddać.

– Kochany – odezwała się Shannon – zapewniam cię, DAR już wie, kim jesteśmy.

Dała znak głową Kathy Baskoff, a komandoska mocniej szturchnęła strażnika lufą w szyję. Jego zuchwałość zniknęła. Bądź co bądź widział, jak Kathy bez wahania zabiła jego partnera.

*I nie masz nawet pojęcia, jak bardzo chciałaby to samo zrobić z tobą.*

Shannon wyciągnęła z podręcznej torby rolkę srebrnej taśmy klejącej i naderwała jeden koniec. Owinęła nią kilkanaście razy jego nadgarstki, potem kolejne kilkanaście razy wokół torsu, przymocowując go do krzesła.

– Gotowy – rzuciła, przestąpiła nad ciałem drugiego strażnika i odeszła w chłodny świt.

Słychać było dźwięki silnika i pojawiły się reflektory czterech ciężarówek jadących w górę po zboczach. Światło padło na ciężki znak z napisem: AKADEMIA DAVISA. Litery wyryte były w granicie, wyglądało to niemal tak, jakby napis powinien głosić: YALE.

– To była moja akademia – stwierdziła Kathy. – Byłam tu od jedenastego do osiemnastego roku życia.

– Wiem – odparła Shannon. – Dlatego cię wybrałam.

W ciemności uśmiech na cienkich wargach komandoski wyglądał drapieżnie.

Jeep i trzy ciężkie ciężarówki podjechały do nich. Shannon odczekała, aż się zatrzymają.

– Słuchajcie wszyscy. – Miała ochotę wrzeszczeć jak William Wallace zagrzewający Szkotów do bitwy, ale wiedziała, że świetnie ją słychać przez słuchawki. – Wszyscy wiecie, dlaczego tu jesteśmy. Bez względu na to, jak nazywają to miejsce, bez względu na to, co sobie wmawiają, żeby móc spać w nocy, każda akademia jest więzieniem. Niektórzy z was, tak jak Kathy, spędzili w nich kawał życia. Niektórzy z was nie. Teraz to nie ma znaczenia. Tej nocy liczy się jedynie to, że pierwsza z nich upadnie. Przestaliśmy się cackać. – Usłyszała okrzyki z samochodów. – Każdy dorosły jest

tutaj współwinny. Ochroniarz czy dozorca, wszyscy siedzieli z założonymi rękami i patrzyli, jak te dzieci są torturowane i poddawane praniu mózgu. Jeśli się poddadzą, świetnie. Jeśli nie – wzruszyła ramionami – jeszcze lepiej. – Teraz okrzyki zastąpił śmiech. – Ale pamiętajcie, naszym głównym celem jest wydostać stąd dzieci. A więc uważajcie, do kogo strzelacie. Nie naciskajcie spustu, dopóki nie będziecie pewni. – Podeszła do jeepa od strony pasażera, wsiadła do wozu. – Jedziemy.

– Dokąd?

– Do administracji. Jest tam ktoś, z kim mam ochotę pogadać.

Shannon planowała atak na Akademię Davisa od dwóch miesięcy. To była jej pokuta, jej zadośćuczynienie za grzechy. Ślęczała nad zdjęciami satelitarnymi, uczyła się na pamięć raportów pisanych przez dawnych „uczniów”, analizowała listę przebywających tam dzieciaków. Spędziła nawet tydzień, biwakując w lesie na obrzeżach ośrodka, patrzyła na wjeżdżające i wyjeżdżające pojazdy. A nie była dziewczyną, która przepada za spaniem w namiocie. I po tym wszystkim doszła do nieuniknionego wniosku, że po prostu nie da się tego zrobić, nie narażając przy tym oddziału – i dzieci, które usiłowali uratować – na poważne niebezpieczeństwo.

Przez jakiś czas zmagala się nawet z myślą, czy nie wtajemniczyć w to Coopera. Jego wiedza o zabezpieczeniach DAR byłaby nieoceniona i gdyby działali razem, nikt nie byłby w stanie ich powstrzymać. Poza tym to były też jego grzechy.

Wtedy wydawało się, że to takie proste. Trzy miesiące temu, gdy dostarczała Nicka Johnowi Smithowi, oboje byli ścigani. Znaleźli się w Chicago, polowali na nich agenci DAR, więc gdy potrzebowali miejsca na nocleg, Shannon zaproponowała mieszkanie przyjaciela.

Po prostu sobie tego nie przemyślała, to wszystko. Nie zdawała sobie sprawy, jakie siły zmobilizowano, by ich schwytąć. Jak daleko był gotów posunąć się rząd, by ich ująć, i co się stanie z każdym, kto stanie im na drodze.

*Dziś zmyjesz te grzechy.*

Cóż za ironia, że to John i jego szalona misja to umożliwiły. Zgodziła się okraść dla niego DAR, ale w zamian jego programista musiał zadbać, by ściągnęli też wszystkie rzeczy, których potrzebowała Shannon.

Tak jak kod pozwalający obejść system alarmowy.

Tak jak grafik strażników i rozmieszczenie posterunków ochrony.

Tak jak szczegółowe mapy budynku administracyjnego, w tym pomieszczeń mieszkalnych.

*Informacja jest zazwyczaj niebezpieczniejsza niż kule.*

Najtrudniejszą częścią akcji było podkraść się do posterunku przy wjeździe. Nie mogła się rzucać w oczy, włożyła więc czarny taktyczny strój i noktowizor, podobnie jak Kathy, i zakradły się tam same. Nie śpieszyły się, poruszały się powoli, ich ubrania zahaczały o gałęzie. Do ich uszu dobiegały odgłosy zwierząt.

Gdy dotarli do budki, Shannon podkraǳła się do drzwi i zapukała. Potem wszystko potoczyło się szybko. Kathy miała mocne wejście, Shannon przemieniła się do budki, zablokowała przycisk uruchamiający alarm.

Jeden ze strażników sięgnął po broń. Pistolet maszynowy Kathy, wyposażony w tłumik, wydał jeden zgłuszony ǳwięk i mężczyzna osunął się z dziurą w czole, która zaskakująco mało krwawiła.

Drugi zdecydował się za to na ostrą gadkę. Miała nadzieję, że spodoba mu się ten pokaz na monitorach.

Teraz, jadąc przez noc otwartym jeepem, w chłodnym powietrzu czuła krystaliczną przejrzystość. Gdy była w akcji, przez większość czasu surfowała na fali adrenaliny. Nakręcała się każdym absurdalnym numerem, który zamierzała wyciąć. Tym razem było jednak inaczej. Po pierwsze, tej nocy nie pracowała sama. Nie była ǳis szpiegiem ani zwiadowcą, była żołnierzem i wiedziała, że niektórzy z jej oddziału mogą zginąć.

Jednak to uczucie było bardziej związane z lękiem przed tym, co mogła zastać. Z obawą, że to wszystko może nie dać jej rozgrzeszenia, którego szukała. Że to nie naprawi jej straszliwej pomyłki.

*Nie mogłaś wiedzieć. Nie było sposobu, by przewidzieć, że przenocowanie u przyjaciela będzie oznaczało, iż jego córka zostanie wysłana do akademii. A poza tym to zadziała. Za piętnaście minut wyprowadzisz z więzienia trzysta pięćdziesięcioro czworo ǳieci.*

*W tym również ją.*

W oddali usłyszała słabe, głuche ǳwięki, odgłosy stłumionych strzałów. Tłumiki w prawdziwym życiu nie ǳiałały tak dobrze jak na filmach; kule były napędzane eksplozją, której nie dało się całkowicie wyciszyć.

Do tej pory ochroniarze akademii na pewno już wiedzą, że nastąpił atak. Będą ǳiałać zgodnie z protokołem, wycofywać się na posterunki, uruchamiać alarmy, które miały tu sprowadzić wojskową potęgę Stanów Zjednoczonych. W normalnych okolicznościach oddziały komandosów w bojowych helikopterach mogłyby tu wylądować w ciągu siedmiu minut od pierwszego alarmu.

*Ale nie ǳis w nocy. ǳis w nocy to wy jesteście bezbronni.*

Coś go obudziło.

W miarę jak się starzał, z przygnębieniem zaczynał zdawać sobie sprawę, że nieprzerwany nocny sen to coś, co dane jest tylko ǳeciom. Rzadko zdarzały się takie noce, by nie musiał wstawać trzy razy, by pójść do toalety.

Jednak tym razem to nie ucisk w pęcherzu obudził dyrektora Charlesa Norridge'a. To był ǳwięk, głośny trzask, który przebił się przez jego sny. Fajerwerki? Może wykradły się jakieś starsze ǳeciaki, znów bawiły się w domorosłych terrorystów. Jeśli tak, to o ǳiewiątej rano w karcerze będą chłopcy. Ostra metoda, ale skuteczna. Wstyd był o wiele przydatniejszy niż fizyczne uczucie dyskomfortu; w tym wieku nie istniało skuteczniejsze narzędzie pedagogiczne niż



upokorzenie.

– Witaj, Chuck.

Usłyszał kliknięcie i zapaliła się lampka przy jego łóżku. Zobaczył szczupłą kobietę o ciemnych włosach. Za nią stała druga, mocniej zbudowana; wpatrywała się w niego z wyraźną nienawiścią i trzymała w rękach duży pistolet maszynowy.

– Kim jesteście? – Jego głos zabrzmiał cienie, niż Norridge by chciał. Odchrząknął, przybrał władczy ton: – Nie wydaje mi się, by to było zabawne.

– Naprawdę? – Szczupła kobieta się uśmiechnęła. – Ja się naprawdę świetnie bawię.

Kolejne odgłosy w oddali. Uświadomił sobie, że to strzały, nie fajerwerki.

– Co to ma znaczyć?

– Co to ma znaczyć? – Wsunęła za ucho kosmyk włosów. – Co za podchwytliwe pytanie. Politycznie? Ideologicznie? Moralnie?

*Jak ona śmie!*

– To jest szkoła. Jestem pedagogiem.

– To jest więzienie. A ty jesteś jego naczelnikiem.

– Nigdy nikogo nie skrzywdziłem – odparł. – Kocham moich uczniów.

– Ciekawe, czy oni powiedzieliby to samo o tobie.

Zaczął zsuwać się z łóżka, lecz zamarł, gdy powiedziała:

– Ho, ho! – Przysiadła na skraju materaca. – Zamierzam dać ci prezent, Chuck.

– Znam cię?

– Mam na imię Shannon. Poznałeś wielu moich przyjaciół. – Wskazała na uzbrojoną kobietę przy drzwiach. – Na przykład Kathy.

Norridge spojrzał na drugą kobietę. Była w niej jakaś niespokojna energia; nawet gdy stała bez ruchu, wydawała się wiercić.

– Nigdy cię nie widziałem. Kim jesteś?

– Nazywam się Kathy Baskoff.

– Nie znam żadnej Kathy Baskoff.

– Jasne, że znasz. Tyle tylko, że nazywałeś mnie Linda. – Kobieta uśmiechnęła się zimno. – Linda Jones.

Do tej pory, choć był przerażony, to wszystko w jakiś sposób wydawało mu się odległe. Efekty jakiegoś koszmaru, nic, co należałoby traktować poważnie. Teraz poczuł parcie w pęcherzu, nagły, lodowaty ucisk.

– Nigdy cię nie skrzywdziłem.

– Ty mnie nawet nie pamiętasz. Ile Lind Jones miałeś w tej szkole? Setkę? Tysiąc?

– Kathy, co było najgorsze w przebywaniu tutaj? – spytała Shannon.

Kobieta milczała przez chwilę.

– Nie chodziło tylko o to, że zabraliście nas od rodzin. Że zmieniliście nam nazwiska. Że naszczuliście nas przeciwko sobie i zatruliście nasze umysły. – Uniosła broń, patrząc na niego wzdłuż lufy. – Najgorsze było życie w lęku. Każda minuta w strachu i świadomość, że jesteśmy w pułapce. Że nic nie możemy na to poradzić.

Nagle ta, która nazywała się Shannon, chwyciła go za rękę. Charles spróbował się wyrwać, ale była zaskakująco silna. Zatrzasnęła coś na jego nadgarstku, coś zimnego i metalowego, a potem szarpnęła w górę jego ręką i przymocowała drugi koniec do słupka łóżka. Norridge szarpnął się, kajdanki wbiły się w skórę.

– Słuchaj – powiedziała Shannon.

Czekał, myśląc, że znów się odezwie. Gdy milczała przez dłuższą chwilę, zadał sobie sprawę, że nie o to jej chodziło.

– Nic nie słyszę.

– Zgadza się. Żadnych strzałów. – Przerwała na chwilę. – Wszyscy twoi strażnicy nie żyją. Nikt nie przybędzie ci na ratunek.

Poczuł wilgoć na udach i zdał sobie sprawę, że stracił kontrolę nad pęcherzem. Zalała go fala wstydu.

– W tej chwili nasi ludzie podkładają ładunki wybuchowe. W klasach, w dormitorium... w kwaterach administracji. – Uśmiechnęła się. – Za pięć minut to miejsce będzie dymiącą dziurą w ziemi.

– Mój Boże. Nie możecie!

– To już się dzieje. Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość. Masz szansę przeżyć.

Gwałtownie wciągnął powietrze, szarpnął kajdankami. Czuł się słaby i stary.

– Nie możecie tego zrobić – powtórzył.

– Chuck, nie słuchasz mnie uważnie – powiedziała. – Masz jedną szansę na przetrwanie. Tylko jedną. Musisz tylko odpowiedzieć na pytanie.

Usiłował zebrać myśli, które rozpieierzchły się jak przerażone króliki.

– Jakie?

– Masz tu uczennicę o nazwisku Alice Chen. – Pochyliła się nad nim, jej twarz znalazła się kilka centymetrów od jego twarzy. – Ile ona ma lat?

Norridge gapił się na nią. Miał mokre nogi, zaspane oczy, był przykuty kajdankami do łóżka, w którym sypiał od dwudziestu lat.

– Ja... – Próbował z całych sił myśleć, wyczarować z pamięci listę uczniów. Ta kobieta się myliła. Znał swoich uczniów, wszystkich ich znał. Potrafił spojrzeć na jakieś dziecko i pamiętał numer jego nadajnika, każdy szczegół z jego akt, wszystkie jego sekrety. Tyle tylko, że...

*Nie znał ich nazwisk.*

Kobieta wzruszyła ramionami, zupełnie jakby potrafiła czytać mu w myślach.

– No to kiepsko. – Wstała i obie ruszyły do drzwi.

– Czekajcie! – Jego głos brzmiał płacliwie, jak głos dziecka. Słysząc w nim było przerażenie. –

Nie możecie tego zrobić.

Kathy Baskoff przystanęła przy drzwiach.

– Za pięć minut będziesz martwy. I nic nie możesz na to poradzić. – Uśmiechnęła się. – Pogódź się z tym.

Drzwi sypialni zamknęły się cicho.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Soren się uśmiechnął.

Uwielbiał książki. Trójwymiarowe filmy, sztuki teatralne, taniec, komedie, sport i muzyka, wszystko to było dla niego torturą. Bez względu na to, jak inteligentny był scenariusz, jak elegancki dowcip, w jego skali postrzegania czasu ciągnęły się bez końca. Każda nuta koncertu Bacha przeciągała się w nieskończoność, tracąc całe znaczenie i ładunek emocjonalny.

Ale z książkami było inaczej. Dawno temu nauczył się, jak patrzeć w ten sposób, by postrzegać całą stronę, skupiać się na poszczególnych słowach, używając do tego umysłu, a nie źrenic. Dobra książka była czymś zbliżonym do osobistej nicości, miejscem, w którym można było zgubić ego. Często między wstaniem z łóżka a położeniem się spać czytał pięć czy sześć książek.

John Smith okazał się troskliwy, przygotowując dla niego mieszkanie w Nowym Kanaan. Było ciche, gustownie oświetlone, a od podłogi do sufitu ściany zastawione były regałami pełnymi książek. Soren odebrał to jako wzruszający gest, przypomnienie, że przyjaciel zna go lepiej niż inni.

– Niedługobędziesz mi potrzebny – powiedział John.

– Żeby?

– Zabić. Zabijesz dlanie?

– Tak.

– Moje plany są gotowe. Ale wszystko jest płynne.

*Wszystko jest płynne.* Tak, to była z pewnością prawda.

– No i?

– Jesteś wieżą. Nie zauważają twój młody mrządzie.

Nawiązywał do ich dzieciństwa w Akademii Hawkesdown, do tego, jak grywali w szachy w kafeterii. Soren zawsze przegrywał, ale to nie miało znaczenia. Te partie były chwilami prostej przyjemności i zaangażowania, przeżywanymi w towarzystwie przyjaciela. Być może po raz pierwszy w jego życiu czas mijał wtedy aż za szybko.

Teraz jego rola była jasna. Smith z pewnością spędził wiele lat, przygotowując się na tę chwilę, ale strategie zawsze się zmieniały w chwili ich wdrażania. Zawsze. Tak więc Soren będzie asem w rękawie swojego przyjaciela, atutem, o którym nie wiedzą jego wrogowie. Rozwiązaniem

problemów, na które Smith się jeszcze nie natknął.

– Rozumiem.

– Mam dla ciebie niespodziankę.

Soren ruszył za przyjacielem. Przeszli przez mieszkanie i dotarli do zamkniętych drzwi. John wskazał na nie, uśmiechnął się i wyszedł.

Soren otworzył drzwi i zobaczył ją. Czekala na niego.

Jedyna taka kobieta na świecie. Drobną, jasnowłosa i doskonałą. Ta, która rozumiała, czego potrzebował. I nie tylko to rozumiała. Stawała się tym. To było jej naturą, jej zdolnością i jej przekleństwem; potrafiła przekształcić się w to, czego potrzebowali inni. Umiała wyczuwać i ucieleśniać pragnienia, o których ludzie nie śmieli mówić na głos.

Samantha była naga; różowe tulipany i świeża śmietanka. Rozchyliła ramiona.

– Mój kochany – powiedziała. – Tęskniłam za tobą.

Błogość. Nie jedna błoga chwila, tak jak doświadczali tego normalni ludzie, ale kompletna, nieskończona błogość. Jak ciepła woda, w której leniwie się unosił.

Jego przekleństwo mogło być też darem. Gdy był z nią.

Odnaleźli się w Hawkesdown, on i idealna Samantha. Gdy mieli po czternaście lat, przychodziła do niego, dotykała jego policzka i bez słowa zaczynali się kochać, a każdy dotyk trwał wiele minut. Pieszczota jej języka, jej miękkie włosy przesuwające się po jego ciele, ich kurczowo splecione palce, wszystko to zdawało się zalewać go uczuciem pełni szczęścia. Gdy wreszcie dochodził, orgazm był długim, powolnym, swobodnym opadaniem po łuku nieba.

Potem zniknęła z akademii, wykradziona przez swojego mentora, i już nigdy jej nie widział.

Soren próbował z innymi, ale okazało się to żalostną porażką. Kobiety chciały się przekomarzać, opowiadać mu różne rzeczy i być oczarowywane. Chciały go poznawać i czuć się poznawane. Rozumiał to, ale rytuał tańca godowego był dla niego nie do zniesienia. Dowcipy były pozbawione jakiegokolwiek smaku, gadanie o niczym ciągnęło się przez całe dni.

Kiedyś, raz, była jedna prostytutka. Droga dziwka, której zapłacił z góry. Wydał jej wyraźne instrukcje w e-mailu: miała się nie odzywać, niczego nie przeciągać. Chciał tylko czuć jej wyprężone, pachnące perfumami ciało.

Zrobiła tak, jak ją poprosił. Była jednak taka chwila, gdy poruszyła się na nim i zmienił się wyraz jej twarzy, opadła maska. Dla niej to był tylko moment, lecz Soren zmuszony był przez długie sekundy patrzeć na jej nudość, nienawiść i pogardę, kiedy w niej był. Nie był w stanie się odwrócić, zamknąć oczu. Na wspomnienie tej chwili wciąż płonął w nim wstyd.

On i jego ukochana połączyli się, potem rozstali, a teraz znów byli razem. Była jego pragnieniem. A on wiedział, że dla niej jest najbezpieczniejszym rozwiązaniem. Najczystsza rzecz, jakiej kiedykolwiek doświadczy. Była uzależniona od samej siebie, a on pozwalał jej taką być

z najszczerzą wdzięcznością.

Gdy wreszcie skończyli, wtuliła się w jego ramię i położyła głowę na jego piersi. Spoczywał w błogim wspomnieniu ich namiętności, pogrążony w doskonałym spokoju.

*Dziękuję, John. To naprawdę była uspaniała niespodzianka.*

*I kolejny dług wobec ciebie.*

*Czy dla ciebie zabiję?*

*Nawet samego Boga.*

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

– Wstawaj.

Ethan otworzył oczy.

I zobaczył wylot lufy śrutówki.

Wyrwany ze snu nie był w stanie zebrać myśli i przyszło mu do głowy tylko: *Jezu, tylko nie znowu wycelowana we mnie broń.*

Bez namysłu się poruszył, zaczął siadać.

Jeremy przeładował broń.

To był przerażający dźwięk, którego nigdy dotąd nie słyszał w prawdziwym życiu. Poczul mrowienie w palcach, zimno w brzuchu. Obok niego Amy gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Cicho! – Jeremy przesunął broń i wycelował w nią. Na jego twarzy malowało się napięcie, zaciśnięte wargi były białe.

– O co chodzi? Co ty robisz?

– Wstawajcie.

– Jeremy? – spytała Amy. – Co się dzieje?

– Powiedziałem, wstawajcie! Nie chcę was zastrzelić, ale zrobię to, jeśli będę musiał.

Ethan powoli przesunął dłoń do paska, dotknął kolby rewolweru. Była ciepła od jego ciała.

Pomyślał: *Wysuń go delikatnie, wyceluj w górę przez śpiwór i...*

I co? Strzelić jak jakiś gangster? Nigdy w życiu nie strzelał z broni. Ma zastrzelić człowieka, który, jak się wydawało, całkiem dobrze czuje się z tym, że mierzy ze śrutówki do Amy?

*A co, jeśli chybisz?*

Odsunął rękę od rewolweru. Kiwnął głową.

– Dobra. Spokojnie. – Ethan powoli wstał, pilnując, by podkoszulek zakrywał broń. Wyciągnął rękę i pomógł żonie podźwignąć się na nogi.

Violet sapnęła cicho przez sen i wszyscy drgnęli.

*Jeśli chociaż zerknie w jej stronę, wyciągnij ten rewolwer i strzelaj.*

– Co teraz?

– Biercie dziewczynkę i idźcie.

Na chwilę ogarnęło go uczucie ulgi.

– Dobra. Daj nam chwilę na spakowanie rzeczy i zaraz na zawsze znikniemy z twojego życia.

– Nie.

– Co?

– Zostawcie wszystko. Po prostu stąd wyjdźcie.

– Ty... Chcesz nas obrabować?

– Mówiłem wam, świat się kończy. Rozpada się wokół nas. Pieniądze, spiwory, namiot, wszystko, co jeszcze tam macie, może uratować życie mojej rodzinie.

– Chyba nie mówisz poważnie? – odezwała się Amy. – Gdzie jest Margaret?

– Rano powiem jej, że próbowaliście ukraść rzeczy z naszych szafek i że was przepędziłem.

– A co jej powiesz, jeśli nas zastrzelisz?

Wyraz twarzy Jeremy'ego stał się twardy. Odwrócił się i wypłuł wykałaczkę.

– To samo.

– Jesteś kupą gówna, Jeremy. – Oczy Amy płonęły. – Tchórzem. To przez takich jak ty świat schodzi na psy.

– Jestem mężczyzną, który dba o swoją rodzinę, to wszystko.

– Nie – powiedziała Amy. – Mój mąż jest mężczyzną. Ty jesteś...

– Kochanie – rzucił łagodnie Ethan. – Chodźmy.

Spojrzała na niego z furią w oczach. Ethan wskazał oczami miejsce, gdzie spała Violet. Amy dostrzegła to i przełknęła słowa, które cisnęły jej się na usta.

– Możemy włożyć buty?

– Mogliście. Zanim zaczęłaś pyskować. Teraz bierzcie dziecko i spadajcie.

Amy pokręciła głową, pochyliła się i podniosła córeczkę. Dziewczynka poruszyła się i zaczęła płakać. Ethan czuł mrowienie w prawej ręce, rewolwer wydawał się ją przyciągać.

*Nie jesteś przestępcą. On chce tylko waszych rzeczy. Jeśli możesz stąd wyjść bez przemocy, zrób to.*

Jeremy ruszył za nimi po schodach, wciąż mierząc do nich ze śrutówki.

Przy frontowych drzwiach Amy odwróciła się do niego:

– Wczoraj wieczorem odmówiłeś modlitwę.

– No i?

– Niech cię Bóg pokarze. – Odwróciła się i wyszła za próg.

Ethan nie wiedział, czy kiedykolwiek bardziej ją kochał niż w tej chwili. Zapragnął wyszarpnąć rewolwer i strzelać, dopóki nie skończą mu się naboje, a potem stanąć nad zwłokami Jeremy'ego i dalej naciskać spust.

Zamiast tego ruszył za Amy na noc. Myślał: *Nie chodzi o ciebie, nie chodzi o to, byś poczuł się jak mężczyzna. Chodzi o to, żebyś nim był.*



*A to oznacza, że musisz zrobić wszystko, żeby je chronić. Wszystko.*

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Nie był to co prawda Air Force One, ale Cooper musiał przyznać, że samolotem dla dyplomatów leciało się dość miło.

Poranek był przyjemny, rozświetlony prostą słodyczą. Naleśniki z jabłkami na patelni, Stonesi na stereo, roześmiane dzieci nakręcone słodkim śniadaniem i podekscytowane. Poszły do łóżka, spodziewając się, że kolejny dzień będzie jak każdy inny, a zamiast tego parę godzin później leciały po niebie. Odrzutowiec miał skórzane siedzenia z wbudowanymi trójwymiarowymi telewizorami, eskortę myśliwców, i była stewardesa gotowa przynieść im tyle coli, ile tylko pozwolą im rodzice.

– Hej, Todd – zawołał Cooper. – Chodź tutaj.

Syn podbiegł przejściem między fotelami, spocony i uśmiechnięty. Cooper popukał w szybę.

– Zobacz tylko.

Todd grzecznie przycisnął nos do szyby. Zaczynali schodzić do lądowania i z tej wysokości Wyoming wyglądało jak tort, który ktoś za długo zostawił w piekarniku. Na horyzoncie, niemal poza zasięgiem wzroku, lśniło coś srebrzystobiałego.

– Co to jest?

– To Tesla, stolica Nowego Kanaan. Nie jest tutaj jedynym miastem, ale jest największa. To tam mieszka Erik Epstein.

– Naprawdę jest taki bogaty?

– No.

– Wszystko wygląda, jakby było zrobione z luster.

– To szkło solarne. Wychwytuje energię, dzięki czemu w środku jest chłodno.

– Och! – Todd spojrział na niego i wyszczerzył zęby. – Szkoda. Miasto z luster byłoby fajne.

To była jedna z tych dziwnych chwil, które wydawały się niespójne; jakby niosły w sobie jakieś głębsze znaczenie. Cooper zorientował się, że wpatruje się w synka, mimo woli w jego głowie pojawiła się pewna myśl.

*Miasto luster. Nie jest daleki od prawdy. Jeśli kiedyś istniało miejsce, które uszyszko oduraca, to właśnie tutaj.*

To, jak przyjęto ich w Tesli, było zdecydowanie innym doświadczeniem, niż gdy przybył tu trzy miesiące temu. Wtedy on i Shannon wkradli się do miasta z fałszywymi papierami, cały czas martwiąc się, że ich złapią.

Tym razem czekała na nich kawalkada samochodów strzeżonych przez zespół ochroniarzy. Zamiast ciężkich limuzyn, preferowanych wszędzie indziej na świecie, kawalkadę tworzyły pojazdy elektryczne w kształcie łyż i lśniące terenówki. Benzyna była jedną z wielu rzeczy, które Nowe Kanaan musiało importować, i była też odpowiednio droga.

Jeśli chodzi o ochroniarzy, byli młodzi nawet jak na wojskowe standardy, od szesnastu do jakichś dwudziestu dwóch lat. Ich lekkie pustynne mundury polowe miały aktywny kamuflaż, wzory na tkaninie zmieniały się i przekształcały, gdy się poruszali. Choć byli tak młodzi, widział, że są dobrzy; poruszali się jak jeden organizm, osłaniając ich ze wszystkich stron, i nie musieli się przy tym porozumiewać. Nie poznawał karabinów szturmowych, które nosili. To była jakaś nowoczesna technologia z Nowego Kanaan, o zaokrąglonych kształtach i z plastikowymi kolbami.

*Kiedy zacząłeś produkować broń, Erik?*

– Ambasadorze Cooper! – Kobieta, która wyszła im na spotkanie, miała urodę gibkiej modelki, ale była kompletnie aseksualna. – Jestem Patricia Ariel, dyrektor do spraw komunikacji pana Epsteina. W imieniu Epstein Industries witam państwa w Nowym Kanaan.

*Ambasadorze. Minie trochę czasu, nim się do tego przyzwyczają.*

– Dziękuję – odparł. – To jest Natalie, a to nasze dzieci, Todd i Kate.

– Witamy. Jeśli zechcą państwo pójść za mną, pokażę państwu rezydencję, w której zamieszkacie w mieście.

– Pan Epstein nie mógł przybyć? – spytał Cooper.

– Uznał, że najpierw będziecie państwo chcieli się zadowolić. Ruszamy?

*Hmm.* Cooper nie spodziewał się zobaczyć prawdziwego Erika Epsteina – on pewnie nigdy nie opuszczał swej jaskini – ale jego brat, Jakob, powinien tu być. To był afront i kiepski znak.

Samochód nie był tak ciężki jak limuzyna prezydenta Claya, ale jechało się nim wygodnie, fotele były skórzane, a okna duże. Od kierowcy odgradzała ich przegroda. Kawalkada wozów natychmiast ruszyła, silniki szumiały cicho.

– Panie ambasadorze, to nie pierwsza pańska wizyta w Nowym Kanaan, prawda?

Cooper pokręcił głową.

– Ale moja rodzina jeszcze tu nie była.

– Cóż, jak pan wie, nasz kraj jest korporacyjną własnością, specjalnie zaprojektowaną od podstaw...

Ariel mówiła dalej, a on wychwytywał jej wzorce, podczas gdy jego rodzina cieszyła się tą przejażdżką. Była bystra i pełna głady, ale od czasu do czasu wymykała jej się jakaś

charakterystyczna spółgłoska i wywnioskował, że musiała pochodzić z okolic Bostonu. Prawdopodobnie miała talent drugiego poziomu i podejrzewał po jej wzorcach językowych, że jest memetyczką. Z całą pewnością nie wychowała się też w akademii. Wyobrażał sobie, że jej rodzice się kochali i wciąż byli ze sobą, dumni ze swojej córki, ale nie przenieśli się do Nowego Kanaan. Telefony w niedzielę i e-maile o tym, że widzieli ją w wiadomościach. Uprzejmie zbywane pytania o jej życie towarzyskie.

Gdy już ją rozpracował, skupił uwagę na widoku. Lotnisko było niewielkie, dwa pasy dla odrzutowców i kilka mniejszych dla szybowców. Todd westchnął z zachwytu, gdy jeden z nich wystartował; położona półtora kilometra dalej hydrauliczna wyciągarka wyrzuciła w niebo szybowiec z włókien węglowych. Cooper przypominał sobie, jak leciał takim z Shannon, i przewróciło mu się w żołądku. Nie miał lęku wysokości, ale latanie bez silników to było coś innego.

Za granicami lotniska minęli wielkie stanowiska baterii słonecznych, dziesiątki tysięcy czarnych paneli, jak okiem sięgnąć, wszystkie idealnie zsynchronizowane i skapane w promieniach słońca. Na drodze ruch był niewielki i choć kawalkada poruszała się bez syren, rzadko musieli zwalniać. To była jedna z korzyści budowania nowego świata od zera. Można było przewidzieć wzorce ruchu pojazdów, zbudować drogi na tyle szerokie, by uniknąć korków. Zastanawiał się, czy Ariel myśli czasem o Bostonie, który był antytezą tego miejsca: miasto stare jak na amerykańskie standardy, pogmatwane i tłoczne, trasy dla koni zamienione w ulice, wijące się labirynty zamiast schludnej siatki.

– Co to? – spytał Todd, wskazując na kompleks konstrukcji z kopułami na grzbiecie wzgórza. Srebrne ściany ustawione były do wiatru.

– To kondensatory wilgoci – odparła Ariel. – Pozyskujemy wodę z wiatru. To pustynia, więc bądź co bądź woda zawsze stanowi problem. Pysznice mogą ci się wydać nieco dziwne...

Cooper się wyłączył, jego umysł powrócił do Gabinetu Owalego. Ostatniego wieczoru było blisko. Cleveland płonęło, a prezydent patrzył na to otępiały, podczas gdy jego sekretarz obrony niemal dokonał zamachu stanu. Gdyby Clay się nie ocknął, tego ranka obdarzeni z całego kraju byłiby wysyłani do obozów dla internowanych, a na Nowe Kanaan uderzyłoby wojsko.

Pomysł, który przyszedł Cooperowi do głowy w ostatniej chwili, kupił im trochę czasu, ale tylko trochę. Teraz musiał w jakiś sposób przekonać Erika Epsteina, by zrezygnował z neutralnej postawy i w pełni poparł rząd Stanów Zjednoczonych, rząd, który w tej chwili przygotowywał plany ataku.

*Może to zadziała. Kij i marcheuka w jednym.*

Podparł głowę na rękę i patrzył na Teslę, która była coraz bliżej. Niskie budynki z kamienia i szkła solarnego, przed nimi szerokie chodniki, stacje ładowania dla pojazdów elektrycznych. Szklane restauracje i barów, holograficzne pasáže i kawiarnie reklamujące różne marki marihuany.

Ludzie chodzący po ulicach mieli na sobie praktyczne, swobodne ubrania, dżinsy, wysokie buty i kowbojskie kapelusze. Panowała tu sympatyczna atmosfera, ludzie uśmiechali się do siebie, przystawali w małych grupkach, żeby porozmawiać.

Wyobraził sobie serafiny, drony armii amerykańskiej krążące w górze i zrzucające deszcz pocisków. Wybuchające pojazdy, pękające, walące się ściany. Albo jeszcze gorzej, bomby zapalające z bombowców; w tym suchym klimacie temperatura wzrosłaby tak bardzo, że pękałyby kamienie, a szkło solarne zagotowałoby się.

– Wszyscy są tacy młodzi – stwierdziła Natalie.

– Młodość to siła – rzuciła bez wahania Ariel.

Na sto procent była memetyczką. Profesjonalna komunikacja zawsze kręciła się wokół prób generowania memów, stworzenia wiralnych wiadomości; obdarzeni wynosili to tylko na wyższy poziom. W czasach, gdy był jeszcze agentem DAR, Cooper czytał pewne opracowanie, w którym twierdzono, że memetyka jest najniebezpieczniejszym z talentów. Jak od dawna wiedzieli politycy, ludzi woleli krótkie, wpadające w ucho odpowiedzi, zamiast długich i złożonych, nawet jeśli te pierwsze były tak nadmiernym uproszczeniem, że stawały się absurdalne. Określenie takie jak „myślenie ze starego świata” potrafiło być równie niszczące jak bomby i miało o wiele dalszy zasięg.

*Przypomnij sobie choćby, ile razy widziałeś „Jestem John Smith” nabazgrane na murach.*

*A teraz on jest bohaterem, a to jest tytuł jego bestsellera.*

– Młodość to bycie młodym – odparł Cooper. – Siła to co innego.

Ariel uśmiechnęła się uprzejmie i kontynuowali wycieczkę.

– Średni wiek w Nowym Kanaan wynosi dwadzieścia sześć i czterdzieści jeden setnych roku, choć to może wprowadzać w błąd. Liczby są zawyżone z powodu rodziców i dziadków, którzy sprowadzają się tutaj z obdarzonymi dziećmi. Mediana jest bardziej zbliżona do szesnastu.

– Miasto dzieci – powiedziała Natalie.

– Nie miasto. Nowa społeczność, zjednoczona wspólnym celem. Gdy ludzie są zaangażowani w to, co robią, biologiczny wiek jest mniej ważny niż energia i skupienie. Proszę tylko spojrzeć na rozwój Izraela po drugiej wojnie światowej. Pokolenie pełnej pasji żydowskiej młodzieży zamieniło fragment pustyni w światową potęgę. – Kawalkada samochodów zatrzymała się przed pełnym wdzięku budynkiem z cegły. – I oto jesteśmy.

Cooper spodziewał się tradycyjnego lokum dla dyplomatów – luksusowego hotelu z wydzielonym dla nich całym piętrem, wszędzie rozmieszczeni agenci. Zamiast tego Ariel zaprowadziła ich do ślicznego, dwupiętrowego, gustownie urządzonego domu; podłogi były wyłożone kafelkami, w oknach wisiały delikatne firanki. Z tylnej części domu wychodziło się na publiczny skwer, na którym rosło wysokie drzewo o grubych mięsistych liściach, bez wątpienia jakiś wariant genetyczny wymagający minimalnych ilości wody. Mimo chłodu mężczyźni i kobiety rozmawiali, siedząc na

ławkach, czytali coś z tabletów. Grupa chłopców grała w piłkę. Todd przylgnął do szyby, na której pojawiła się mgielka od jego oddechu.

– Pańska ochrona jest zakwaterowana na pierwszym piętrze. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę tylko sięgnąć po telefon.

– Mogę iść się pobawić? – spytał Todd.

Cooper się zawahał. Chciał, by jego dzieci doświadczyły tego świata – to był jeden z powodów, dla których zgodził się je zabrać – ale były bardziej narażone na atak, niż przypuszczał. Jakby czytając mu w myślach, Ariel powiedziała:

– Jeśli pan chce, mogą towarzyszyć mu ochroniarze, ale to nie jest konieczne.

– A to dlaczego?

Ariel się uśmiechnęła.

– Jesteście państwo w Nowym Kanaan. Około piętnastu procent naszych policjantów to czytacz; poruszają się po miastach w poszukiwaniu niebezpiecznych niespójności w osobowościach ludzi. Pedofile nie są wpuszczani do Nowego Kanaan, podobnie jak ci, którzy mają skłonności do przemocy.

– Czytacz pierwszego poziomu chodzą u was po ulicach?

– Oczywiście, że nie. W Nowym Kanaan mieszkają czytacz pierwszego poziomu, najczęściej żyją jednak w specjalnych ośrodkach, gdzie ich potrzeby są zaspokajane w zautomatyzowany sposób, by nie musieli spotykać innych ludzkich istot. Oszałeliby, gdyby mieli wędrować po ulicach. Czytacz z policji mają z reguły zdolności trzeciego poziomu. Mogą wyczuwać zachwiania równowagi, socjopatię, psychopatię, ale wciąż są w stanie funkcjonować w ludzkim społeczeństwie. Ten system okazuje się wyjątkowo skuteczny. Od lat się nie zdarzyło, by w Nowym Kanaan jakiś dorosły skrzywdził dziecko.

– A co z terrorystami?

– Nie stanowią zagrożenia. To kwatery dla dyplomatów i ten protokół został poszerzony o politycznych buntowników. Pańskie dzieci są tu bezpieczniejsze niż na waszym podwórku przed domem w Waszyngtonie.

*Myslenie z nowego świata. Jak tu go nie kochać?* Zorientował się, że Natalie na niego patrzy, wzruszył ramionami.

– Pewnie – powiedziała. – Tylko wróć do domu na kolację.

Todd krzyknął radośnie i pomknął do drzwi.

– Jeśli twoi rodzice nie mają nic przeciwko temu – Ariel zwróciła się do Kate – jest tu piaskownica i huśtawki, i inne dzieci w twoim wieku.

Dziewczynka objęła się ramionami.

– Właściwie to nie lubię się bawić z innymi dziećmi.

– To dlatego, że jesteś obdarzona. – Ariel się uśmiechnęła. – Wiem, jak się czujesz. Kiedyś czułam się tak samo. Normalne dzieci potrafią być takie wredne. Możesz mi wierzyć, tu jest lepiej.

Kate spojrzała pytająco na Coopera. Uświadomił sobie, że to nadzieja, i przypomniał sobie własne dzieciństwo. Pochodził z rodziny wojskowego, więc zawsze był wyrzutkiem. Ale jego zdolności sprawiały, że było o wiele gorzej. Wydawało się, że każdego dnia od nowa musi walczyć o swoje miejsce.

Wyobraził sobie, że jego śliczna córeczka tak właśnie się czuje, i ścisnęło mu się serce.

Kucnął przy niej.

– Mama z tobą pójdzie, kochanie. Nie musisz się bawić z innymi dziećmi, jeśli nie chcesz. – Położył rękę na jej ramieniu. – To zależy od ciebie.

Kate zagryzła wargę. Kiwnęła głową.

– Dobrze. – Natalie wyciągnęła rękę, którą Kate ujęła.

– Ambasadorze Cooper, mamy na dziś wieczór zaplanowaną kolację. Samochód wróci i odbierze pana o siódmej, jeśli to panu odpowiada.

– Nie odpowiada. – Wstał i spojrzał na dyrektora do spraw komunikacji. – Chcę rozmawiać z Epsteinem.

– Pan Epstein w tej chwili jest zajęty...

– Natychmiast.

Zachowanie Ariel było znacznie chłodniejsze, gdy odjeżdżali. Gdy już uświadomiła sobie, że nie żartował, ścisłym głosem przeprowadziła rozmowę przez telefon. Często powtarzała „tak, sir” i zerkając ukradkiem na boki. Jak każda urzędniczka nie lubiła, gdy podkładano jej nogę.

Cooper miał to gdzieś. Jeśli Epstein liczył na to, że przyjechał tu, by bawić się w uprzejmego dyplomatę, to stracił kontakt z rzeczywistością.

Choć oficjalna siedziba Epstein Industries mieściła się na Manhattanie, prawdziwy ośrodek władzy znajdował się tutaj, w kompleksie srebrzystych sześcianów, które połyskiwały, odbijając niebo. Najwyższym z nich był sześciopiętrowy budynek, którego dach najeżony był różnego rodzaju sprzętem. Anteny satelitarne, czujniki meteorologiczne i aparatura naukowa – wiedział o tym – ale również laserowe tarcze, baterie przeciwlotnicze i pociski ziemia–powietrze. Sprzęt, na który nigdy nie wydano by pozwolenia prywatnej korporacji. Jednak mając trzysta miliardów, można było nagiąć wiele zasad. Dowodem tego było całe Nowe Kanaan, sita furtek prawnych zmieniały tę ziemię w coś w rodzaju prywatnego państwa.

W otoczeniu czterech ochroniarzy on i Ariel weszli do budynku. Cooper wyobraził sobie, jak zbliża się do niego pocisk Avenger, niesamowicie niska trajektoria, zdalnie sterowany, konstrukcja niewidoczna dla radarów, elektroniczne sterowanie pracy silnika, naddźwiękowy. Gdyby trzeba było powstrzymać avengera, ten sprzęt na dachu okazałby się równie skuteczny jak dziecięca

proca. Cooper zobaczył w wyobraźni, jak budynek wyparowuje, jak rozchodzą się fale uderzeniowe, szkło i kamień ukształtowane w śmiercionośną kulę.

Atrium było szerokie, słoneczne. Tło stanowił obraz Cleveland, kolumny dymu wznosiły się z centrum miasta, na pasku u dołu przewijały się informacje. Potężny trójwymiarowy ekran o spektakularnej rozdzielczości. Wyglądało na to, że prezydent Clay oficjalnie wprowadził w mieście stan wojenny. Po Ontario Street toczyły się czołgi.

Ariel poprowadziła go do windy – gdy do niej podeszli, drzwi się rozsunęły. Zrobiła krok, by wejść do niej.

– Nie – powiedział Cooper.

– Przepraszam?

– Idę sam.

– Przykro mi, sir, ale pan Epstein prosił, bym brała udział w tym spotkaniu.

– Wyjaśnię, dlaczego nie jest pani obecna.

Zawahała się i po chwili odparła:

– Ale mimo wszystko ochrona...

– Może zaczekać tu, na dole. – Uśmiechnął się obojętnie. – To wciąż amerykańska ziemia, pani Ariel, i jestem tu na osobistą prośbę prezydenta. Proszę mi wierzyć, to nie jest odpowiednia chwila, by zaczynać wojnę o wpływy.

Wydawało się, że słowo „wojna” zawisło w powietrzu. Po chwili Ariel odparła:

– Jak pan sobie życzy.

Cooper uśmiechnął się i wszedł do windy. Nie było w niej żadnych przycisków, ale nie był zaskoczony, gdy natychmiast ruszyła.

I nie powinien też być zaskoczony tym, kto czekał na niego po drugiej stronie. Ale był. Dziesięcioletnia dziewczynka o elektryzująco fioletowych włosach i napiętych ramionach, oczach, które nie chciały spojrzeć w jego oczy.

– Cześć – powiedziała. A potem: – O Boże! Naprawdę? Chcą nas zaatakować?

Cooper westchnął.

– Cześć, Milicent. Ufarbuj sobie włosy na inny kolor, co?

– Nick Cooper. Witamy ponownie w Nowym Kanaan. – Mężczyzna miał na sobie garnitur za pięć tysięcy dolarów i zachowywał się ze swobodnym wdziękiem człowieka, który jada kolacje z prezydentami, gra w golf z baronami naftowymi, dowcipkuje w CNN i przemawia w Senacie. Świat znał go jako Erika Epsteina.

Świat się mylił.

– Witaj, Jakob. Miło wreszcie uścisnąć ci dłoń. – Ostatnim razem, gdy Cooper tu był, Jakob Epstein pojawił się jako hologram naturalnych rozmiarów. Było to przyprawiające o zawrót głowy



przypomnienie, jak bardzo zaawansowana jest technologia w Nowym Kanaan. To stanowiło jego prawdziwą obronę w ostatnich latach; nie spory prawne ani zgromadzone miliardy, ale prosty fakt, że było tu więcej obdarzonych niż gdziekolwiek indziej, że współpracowali ze sobą i rezultaty tej pracy były oszałamiające. *Najlepszym sposobem, by ochronić swój kraj, pomyślał Cooper, jest tworzyć rzeczy, których ludzie pragną bardziej, niż boją się tego, że jesteś w stanie je tworzyć.*

– Nasza umowa. Nie dotrzymałeś jej. Statystycznie rzecz biorąc, to było bardzo mało prawdopodobne, dwanaście przecinek dwa procent. – Prawdziwy Erik Epstein opadł ciężko na sofę, mrugając jak zwierzę wypędzone ze swojej jaskini. Było to nawet w pewnym sensie zgodne z prawdą. Ostatnim razem, gdy Cooper tu był, widział wewnętrzne sanktuarium Erika, cyfrowe Xanadu pod budynkiem. Jaskinia cudów, myślał wtedy, pełna powagi, pogrążona w półmroku przestrzeń oświetlana jedynie przez projektowane dane. To tam Erik używał swojej zdolności, odnajdywał wzorce w pozornie niepowiązanych rzeczach i wykorzystywał je, by poszerzać swoje imperium. To właśnie tam Erik przewidział, że John Smith stanowi największe zagrożenie dla Nowego Kanaan; Epstein wierzył, że jego działania sprowokują rząd Stanów Zjednoczonych do coraz ostrzejszych represji przeciw wszystkim obdarzonym, a zwłaszcza przeciw Nowemu Kanaan.

*I miał rację.*

– Nasz umowa – ciągnął Erik – polegała na tym, że zabijesz Johna Smitha. Nie zrobiłeś tego.

– Nie powiedziałeś mi o nim prawdy – odparł Cooper.

Nieszczerość nie miała sensu, dopóki w pomieszczeniu była Millie. Dziewczynka była jedną z najpotężniejszych czytaczek, jakie kiedykolwiek spotkał. Zdolność ta w praktyce okazywała się strasliwym przekleństwem. Czytacz nie posiadali żadnych filtrów. Nie mogli zamknąć oczu na to, co podsuwał im ich talent. Czytacz pierwszego poziomu widzieli wszystko, każdy mroczny zakamarek w duszy człowieka, każdą choćby najdrobniejszą cząstkę okrucieństwa i zła. Począwszy od mamy i taty.

Biedna Millie nigdy nie zaznała spokoju, nigdy nie ufała, nikomu nie wierzyła. Nie uwierzyłaby w miłość, ponieważ wyraźnie widziała w ludziach to, czego nigdy nie pokazywali tym, których kochali. Było niemal pewne, że popełniłaby samobójstwo przed dwudziestym rokiem życia.

– W porządku – powiedziała. – Niech ci nie będzie przykro.

– Nic nie mogę na to poradzić.

– Zamiast tego powinieneś się bać.

Poczuł zimny dreszcz na plecach. Spojrzał na nią, potem na Erika i Jakoba.

– Boję się.

– To straszne czasy – stwierdził Jakob, siadając na krawędzi biurka. – A ty nas zdradziłeś.

– Wcześniejsza szansa na to, że amerykańskie siły zbrojne zaatakują Nowe Kanaan: pięćdziesiąt trzy i dwie dziesiąte procent. – Erik przemówił z zamkniętymi oczami, przeczesując dłońią rzadkie

włosy. – Obecna szansa, uwzględniając usunięcie z urzędu prezydenta Walkera, zawieszenie działań Służb Obywatelskich i pojawienie się Dzieci Darwina: dziewięćdziesiąt trzy i dwie dziesiąte procent w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Nawiasem mówiąc, wszystko to twoja wina, Cooper. – Jakob uśmiechnął się chłodno. – Mniej lub bardziej.

– Nie powiedziałeś mi prawdy – powtórzył Cooper. – Manipulowałeś mną tak samo jak Smith.

– Prawda jest względna. Dane są absolutne.

– No cóż, dobra. W takim razie nie podałeś mi wszystkich danych, prawda? – Cooper nie wiedział wcześniej, czego się spodziewać po tym spotkaniu, ale na pewno nie spodziewał się tego. – Nie powiedziałeś mi, że Smith nie był odpowiedzialny za masakrę w Monocle. Nie powiedziałeś mi, że stali za tym prezydent Walker i Drew Peters. Nie powiedziałeś mi, że są na to dowody.

Erik machnął ręką.

– To nieistotne. Przybyłeś do Nowego Kanaan, żeby zabić Johna Smitha. Na tym polegała twoja misja. Jego śmierć ustabilizowałaby trendy. Pomogłaby chronić nasze dzieło. Zawarliśmy umowę. Ty ją złamałeś.

– A potem jeszcze tylko wszystko pogorszyłeś – wtrącił Jakob – kiedy upubliczniłeś to nagranie.

Cooper usiłował znaleźć słowa. Żadna z tych rzeczy nie była zaskoczeniem. To dlatego w ogóle zgodził się zostać doradcą Claya, dlatego porwał Johna Smitha, dlatego był teraz tutaj. *Bo w głębi serca wiesz, że to, co zrobiłeś, choć moralnie słuszne, było błędem. Świat miałby się dziś lepiej, gdybyś wykorzystał nagranie z Monocle do szantażowania prezydenta Walkera. Dzieci Darwina nigdy nie odniosłyby takich sukcesów, gdyby DAR wciąż był silny, a prezydent Walker nadal u steru. Miałeś być w takiej pozycji, która umożliwiałaby ci kształtowanie polityki i poprawę warunków życia.*

Zgadza się, sam musiałby stać się skorumpowany. Ale czy jego osobiste wartości liczyły się bardziej niż ludzkie życie?

*Jakoś tak wyszło, że zrobienie tego, co słuszne, okazało się złe. Tata nigdy nie wspominał o takiej możliwości, co Coop?*

– On rozumie – odezwała się Millie.

– Na pewno rozumie – odparł Jakob. – Ale to niczego nie naprawi, prawda?

– Może i nie. Ale dlatego jestem tutaj. Chcesz wiedzieć, co by się stało, gdyby mnie tu nie było?

– Cooper miał mówić dalej, ale zamiast tego zwrócił się do Millie. Wyraził oczami i postawą wszystkie wydarzenia ostatnich dni. Przypomniawszy sobie, jak ubiegłego wieczoru stał w Gabinetce Ovalnym i patrzył na płonące Cleveland. – Powiedz im.

Skuliła się, przycisnęła głowę do kolan, chowając się za tarczą fioletowych włosów. Erik i Jakob patrzyli na nią. Cooper znów poczuł, że współczuje dziewczynce. Miała dziesięć lat, a dorośli mężczyźni wpatrywali się w nią, czekając na informacje, które zadecydują o losach kraju.

W końcu powiedziała:

– Chcą zaatakować. Nie tylko Nowe Kanaan. Obdarzonych.

– Ona ma na myśli najpotężniejszych ludzi na tej planecie – odezwał się Cooper. – Wczoraj wieczorem sekretarz obrony Leahy wydał rozkaz aresztowania wszystkich obdarzonych poziomu pierwszego, rozpoczęcia programu wszczepiania mikrochipów i przesunięcia wojsk pod wasze granice w ramach przygotowania inwazji. Nic z tego się nie wydarzyło, bo ja to powstrzymałem. Więc może przestaniecie odgrywać twardzieli i razem rozwiążemy ten problem?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Jakob zapatrzył się w sięgające od podłogi do sufitu okna. Wokół nich rozciągała się Tesla. Schludne i uporządkowane miasto, nowy świat, który wyrósł na pustyni. Cooper musiał przyznać, że nawet lubił ten świat. I co więcej, podziwiał go. Odkąd ponad trzydzieści lat temu pojawili się pierwsi obdarzeni, większość świata zamykała się w sobie, stawiała się destrukcyjna. Jego własny rząd skupił się na prewencji i kontroli, na miażdżeniu wszystkiego, co uznano za niebezpieczne.

Zabawne, był taki czas, kiedy Ameryka budowała. Wszystko – od ogromnych tam po strzelające w niebo drapacze chmur, od zmechanizowanych fabryk aż po rakiety kosmiczne, cały naród uważał to za część swojej narodowej tożsamości. Bycie inżynierem lub architektem naprawdę kiedyś coś znaczyło.

Teraz wszyscy chcieli być muzykami i bejsbolistami, a Ameryka nic nie budowała.

Ale tutaj, w najmniej gościnnym miejscu, zrobił to Epstein. Nowe Kanaan było urzeczywistnionym marzeniem. Piękne miejsce, którego zniszczenia nie chciałby widzieć, zarówno ze względu na nie same, jak i na to, co by się później stało z całym krajem.

– Chcesz naszego poparcia. – Erik założył nogę na nogę. Najbogatszy człowiek świata nosił wytarte trampki. – Chcesz, żeby Nowe Kanaan połączyło siły z twoim rządem. Przeciw Dzieciom Darwina.

– Przeciw wszystkim terrorystom. Przeciw Johnowi Smithowi. To on stoi za Dziećmi Darwina, prawda?

– Dane nie pozwalają jednoznacznie stwierdzić...

– Kłamiesz – odezwała się Millie. – Nienawidzę, kiedy kłamiesz.

Erik Epstein skrzywił się. Cooper zdał sobie sprawę, że nie dlatego, że nazwała go kłamcą, tylko dlatego, że kłamiąc, sprawił jej przykrość. Najwyraźniej zależało mu na Millie. Rozumiał ją.

– Tak – powiedział Jakob. – Smith stoi za Dziećmi Darwina. Założył tę organizację wiele lat temu jako uśpione komórki z bardzo konkretnym zestawem wytycznych. Mieli się uaktywnić, gdy on zostanie oczyszczony z zarzutów.

Cooper gapił się na nich. Poczuł, że uginają się pod nim kolana. Przytrzymał się krzesła. Na jakimś poziomie wiedział o tym, odkąd razem z Bobbym Quinnem przycisnął Smitha do muru. Ale gdy usłyszał potwierdzenie, to było coś zupełnie innego. Pojął, że to jego działania doprowadziły do

tego wszystkiego.

*Wszyscy ci ludzie, cały ten chaos.*

*Wszystko to twoja uina.*

Nabrał powietrza, wypuścił je.

– Dobra. Powiedziałeś, że jest dziewięćdziesięctrzyprocentowe ryzyko ataku militarnego w ciągu następnych dwóch tygodni.

– Dziewięćdziesiąt trzy i dwie dziesiąte procent. Za mało czasu. Za mało czasu.

– Na co? Nie ma magicznego eliksiru, który by to naprawił.

Nagle Millie wybuchnęła śmiechem. To był dziwny dźwięk, jakby w życiu słyszała jedynie opis śmiechu. Cooper gapił się na nią, ciarki przeszły mu po plecach. Po chwili umilkła, równie nagle jak zaczęła się śmiać.

Wytrącony z równowagi, powiedział:

– Jeśli chcecie wiedzieć, czy teraz dokonałbym tych samych wyborów, to naprawdę nie wiem. I powiem wam szczerze, jeśli wasza kryształowa kula jest taka cholernie dobra, to powinniście byli inaczej to zaplanować. Nie powinniście byli stawiać wszystkiego na jedną kartę.

Pół sekundy wahania, nim Jakob...

*Coś ci umyka.*

*To są bardzo inteligentni ludzie, z gigantycznymi środkami.*

*Jakie są szanse, że postawili całe swoje przetrwanie na ciebie? Na agenta renegata, działającego jako zabójca w sytuacji, której nie był w stanie w pełni zrozumieć?*

*Oni mają inne plany. Jest coś jeszcze.*

*I dlatego Millie akurat teraz zaczęła się śmiać?*

...odparł:

– Masz rację. Erik?

– Płynna sytuacja. Zbyt wiele zmiennych. Nie da się określić wzorców.

– Dlatego musimy działać – powiedział Cooper. – Rozumiem, jakie to dla was niezręczne. Ale jeśli teraz nie opowiecie się po stronie rządu, jeśli nie potępicie Dzieci Darwina i nie wykorzystacie w pełni środków Nowego Kanaan, by położyć kres terroryzmowi, sami poderżnicie sobie gardło. I nie blefuję. – Zerknął na Millie, która się nie odezwała, tylko dalej grała w jakąś grę na tablecie. – Tak właśnie myślę. Wierzę w to tak bardzo, że przyjechałem tu osobiście, z moją rodziną. Jeśli teraz zaczniemy współpracować, mamy szansę wszystko ocalić.

Jakob odchrząknął.

– Widzimy, jakie to przyniesie korzyści prezydentowi Clayowi. I twojemu krajowi.

– M o j e m u krajowi?

– Ale, jak powiedział Erik, sytuacja jest płynna.

– Co to znaczy?

– Chcesz, żebym powiedział ci to wprost? – Jakob wzruszył ramionami. – Nie jesteśmy już tacy pewni, czy Stany Zjednoczone przetrwają.

– Że Stany... O czym ty mówisz?! Chcesz powiedzieć, że...

– Nie chcemy się opowiedzieć za przegrywającymi.

Cooper mimowolnie parsknął. To był ponury śmiech.

– Bierzecie pod uwagę opowiedzenie się po stronie terrorystów?

– To tylko określenie – rzucił Erik, patrząc na swoje kolano. – Nazwa nadana wektorowi. Dane nie mają moralności.

– Mój brat chce powiedzieć, że John Smith nazwałby samego siebie bojownikiem o wolność. I w przeciwieństwie do twojego rządu ma plan. Sprzymierzenie się z nim może okazać się lepsze dla Nowego Kanaan.

Cooper nie mógł w to uwierzyć. Nie mógł, kurwa, uwierzyć w to, co słyszał. Jak to możliwe, że to działo się wszędzie? Oni wszyscy: prezydent Clay i jego sztab bawiący się w wyborczą matematykę; John Smith usiłujący rozpętać wojnę, Epsteinowie dbający tylko o własne interesy. Czy to naprawdę możliwe, że wszyscy przy władzy, po każdej ze stron, byli na tyle ślepi, by nie widzieć wszystkiego w szerszym kontekście?

Wojna secesyjna była najkrwawszym konfliktem w historii Ameryki. Siedemset pięćdziesiąt tysięcy zabitych, spalone miasta, zniszczona infrastruktura, szerzące się choroby – a to wszystko było w czasach przed dronami Serafin i pociskami Avenger.

Czy to możliwe, by stanowiska były tak nieustępliwe, tak nieuleczalnie osobiste, że ludzie, którzy się ich trzymali, byli gotowi zaryzykować przyszłość całego świata?

– Tak – stwierdziła Millie.

Erik spojrzał na nią.

– Co tak?

Pokręciła głową.

*No dobra. Jeśli nie posłuchają głosu rozsądku, jeśli nie zadziałają lęk przed konsekwencjami, to może sprawdzi się coś innego.*

– Mówiłeś, że dane są niejasne.

– Płynne.

– Musi istnieć coś, co pomogłoby je ustabilizować. – Cooper przerwał na chwilę. – Coś, co moglibyśmy wam zaoferować.

Erik i Jakob spojrzeli po sobie. Normalny człowiek mógłby odnieść wrażenie, że zastanawiają się nad jego słowami. Jednak dla Coopera było jasne, o co chodzi. Już wcześniej ustalili, czego potrzebują. Ich pomoc będzie miała swoją cenę.

I rozgryzienie tego zajęło mu tylko trzy sekundy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Soren czytał:

- Cooper: Suwerenność. Chcą suwerenności dla Nowego Kanaan.
- Clay: Co ty nie powiesz.
- Cooper: W zamian za to potępią Dzieci Darwina i wszystkie inne organizacje terrorystyczne i w pełni zaangażują środki Nowego Kanaan, by je wyeliminować.
- Clay: Nie przejdę do historii jako ten prezydent, który dopuścił do secesji połowy Wyomingu.
- Cooper: Sir, musimy się nad tym zastanowić. Erik i Jakob potwierdzają, że John Smith stoi za Dziećmi Darwina. Nie możemy działać w oparciu o tę informację bez dowodów. Ale z ich pomocą moglibyśmy za jednym zamachem schwytać Dzieci Darwina i najniebezpieczniejszego człowieka na świecie.
- Clay: I w zamian za to będziemy musieli stworzyć nowe państwo w naszych własnych granicach i przyznać im dyplomatyczne prawa i przywileje. I to nie wszystko. To będzie pierwsze państwo obdarzonych na świecie. To pakt z diabłem, Nick.
- Cooper: Kiedy diabeł jest jedynym sprzedawcą, sir, trzeba spojrzeć, co ma do zaoferowania.
- Clay: Wiem, że nie zgadzasz się z podejściem sekretarza Leahy'ego, ale Inicjatywa Nadzoru i Monitoringu w połączeniu z selektywnymi aresztowaniami może stanowić szansę...
- Cooper: Przepraszam, sir, ale to nie takie proste. Jeśli nie pozwolimy na secesję Nowego Kanaan, sądzę, że połączą siły z terrorystami.
- Clay: Nie ośmieliliby się. Epstein wie, że możemy zrównać Nowe Kanaan z ziemią.

< 2,9 sekundy milczenia

Cooper:                      Naprawdę tego pan chce?

< 4,2 sekundy milczenia

Clay:        Zacznij rozmowy. Ale będziemy potrzebować ich pełnego i jednoznacznego wsparcia. Nie tylko w kwestii Dzieci Darwina, lecz także w przyszłości. Nowych, szczególnych relacji.

Gdy plik pojawił się na jego tablecie, Soren był w połowie powieści. To była powieść historyczna z okresu baroku, pełna terminów architektonicznych. Nie była jakoś szczególnie dobra, ale przebywając tutaj, nie był w stanie być nicością. Zbyt wiele dźwięków od zbyt wielu ludzi docierało do niego przez ścianę. Czuł zbyt wielki ciężar otaczającej go ludzkości. Nawet kiepska rozrywka była od tego lepsza.

Rozległo się pukanie do drzwi mieszkania, równocześnie ktoś nacisnął kłamkę. John wiedział, że większą uprzejmością jest szanowanie jego czasu niż jego prywatności.

– Czytałeśplik? – spytał John Smith.

– Tak.

– Rozumiesz.

To nie było skomplikowane. Jeśli Nowe Kanaan sprzymierzy się z amerykańskim rządem, zanim zatrzśnie się pułapka Johna, rewolucja skończy się, zanim się na dobre zacznie.

– Tak.

– Jestpotężny.

Soren przeczytał pliki na temat nowego ambasadora, oglądał materiał z jego przyjazdu.

– Tak.

– Możeszzrobić?

– Tak.

– Zrobiszto?

Gdy John wyciągnął go z kryjówki, wprowadził w świat pełen napięcie i presji, wyjaśnił mu dlaczego. Wszystko zawisło, było nierozstrzygnięte. Prawdopodobna była wojna. Mogły zginąć miliony ludzi. Ale wszystko na zawsze się zmieni. Obdarzeni przejmą stery w Stanach Zjednoczonych, a stąd na cały świat.

Soren nie dbał o to. Bariery, które oddzialały go od świata, nigdy nie upadną. Przemiany społeczne były nieistotne; nigdy nie miał problemów z uprzedzeniami. Rewolucja nic dla niego nie



znaczyła.

Ale dla Johna i dla Samantha oznaczała wszystko. A to byli jedyni ludzie na świecie, na których mu zależało.

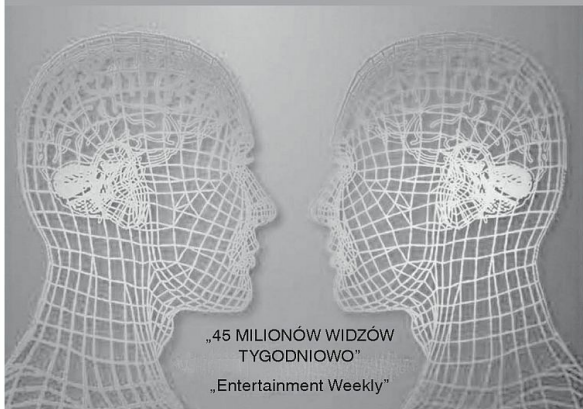
– Tak – Odłożył na bok książkę i spojrzał przyjacielowi w oczy. – Zabiję dla ciebie Nicka Coopera.

# (NIE)NORMALNI

## PROGRAM MAXA VIVIDA

Pierwszy i jedyny show, w którym obdarzeni  
i normalni startują przeciw sobie  
w niebezpiecznych konkurencjach.

„Rozrywka to krwawy sport, mała”  
Max Vivid



„45 MILIONÓW WIDZÓW  
TYGODNIOWO”

„Entertainment Weekly”

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

– Idź za pieniędzmi – stwierdził ze śmiertelną powagą Quinn. – Po prostu... idź za pieniędzmi.

Cooper przewrócił oczami.

– Poważnie?

– Hej, ten film dostał Oscara.

– Chyba dostał je wszystkie. Masz te pliki czy nie?

– Wysyłam – powiedział Quinn. Projekcja stała się półprzeźroczysta, gdy pochylił się zbyt blisko kamery.

Cooper siedział w gabinecie, który zapewnił mu Epstein, po drugiej stronie placu, naprzeciw domu, w którym zatrzymała się jego rodzina. Gabinet był stylowy, nowoczesny i bez wątplenia na podsłuchu – od podłogi do sufitu. Nawet jeśli można było zachować coś w sekrecie przed Erikiem Epsteinem, nie wyobrażał sobie, by było to możliwe w Nowym Kanaan.

To nie miało znaczenia. Niech sobie obserwuje.

Cooper zerknął na swój tablet.

– Odbieram.

– Jeżeli ci to w czymkolwiek pomoże.

– Epstein ma jakieś asa w rękawie. Coś, o czym nie wiemy.

– Przyjacielu, ma ich dziesiątki. Ekipy prawników i biegłych pracowały dla nas przez całe lata na pełen etat, by rozszyfrować finanse Epsteina. Jedna trzecia trylionu dolarów rozproszona na setkach spółek widm w kilkudziesięciu krajach. Gdybyś chciał wydrukować wszystkie te dane, które ci właśnie przesyłam, wiesz, jak wysoki powstałby z tego stos.

– Nie. Jak wysoki?

– Naprawdę wysoki.

Cooper się roześmiał.

– Jak zawsze czuję się bezpieczniej, kiedy wiem, że mi pomagasz, Bobby.

– Nie pomagam ci. Specjalny doradca prezydenta poprosił o przysługę i DAR z radością mu pomógł.

- To dobrze, bo potrzebuję kolejnej. Chcę, żebyś połączył mój tablet z Darią.
- Nie ma mowy. Ona jest źródłem agencji.
- A ja pracuję dla Białego Domu.
- Cooper...
- Bobby, proszę. Naprawdę ładnie, z wisienką na torcie. I autoryzacją od prezydenta.

Quinn westchnął.

– Dobra.

– Dzięki. – Cooper wcisnął przycisk i projekcja przyjaciela zniknęła. Tablet pokazywał, że ściągnęło się niecałe dwadzieścia pięć procent pliku. Biorąc pod uwagę jakość łączy w Nowym Kanaan, to wiele mówiło. Może Quinn miał rację. Na ile mógł liczyć w obliczu wszystkich tych informacji?

Cooper westchnął, usiadł wygodniej. Na ścianie zamontowane były trzy trójwymiarowe telewizory. Wszystkie pokazywały wiadomości i wszystkie były wyciszone. Zdecydowanie najciekawsza była piracka stacja nadająca spoza Nowego Kanaan, z której włamywano się na portale informacyjne, by transmitować bardzo stronniczy obraz wydarzeń na świecie. W tej chwili pokazywali byłego prezydenta Henry'ego Walkera; prowadzący program coś mówił, widać było, że ktoś manipulował nagraniem, dorobił Walkerowi rogi i wąsiki Hitlera. Nie było to zbyt wyrafinowane, ale nawet zabawne.

*No dobra. Co zrobisz?*

Z jednej strony, odpowiedź była prosta. Chciał wykorzystać swoją zdolność rozpoznawania wzorców, by przyjrzeć się finansom Epstein Industries, poszukać anomalii, które mogłyby mu coś powiedzieć o zamiarach Erika.

Z drugiej strony, to był jakiś absurd. Trzysta miliardów dolarów to była niepojęcie gigantyczna suma pieniędzy. Gdyby Coca-Cola połączyła się z McDonald's, ich wspólna wartość rynkowa wciąż byłaby o dwadzieścia miliardów mniejsza niż osobista fortuna Epsteina. Cooper mógł przez rok gapić się na arkusze kalkulacyjne i nigdy nie natrafić dwukrotnie na ten sam. A nie miał roku.

*A więc zrób to po swojemu. Zapomnij o podejściu polegającym na brutalnej sile. Zaufaj swojej zdolności. Szukaj ostrych krawędzi i nieprzyjemnych kantów, czegoś, czego będziesz się mógł uczyć.*

Gdy kilka miesięcy temu poznał Erika Epsteina, obdarzony poprosił go, by zabił Johna Smitha. To nie było nic osobistego; Epstein pragnął śmierci Smitha, ponieważ wierzył, że przywódca terrorystów stanowi zagrożenie dla Nowego Kanaan. Ostatnie wydarzenia potwierdziły te przekonania.

No dobra. Ale Cooper nie mógł być jedynym planem Epsteina, mającym na celu ochronę Nowego Kanaan. Po wcześniejszej rozmowie z Erikiem i Jakobem stało się dla niego jasne, że choć liczyli, iż mu się powiedzie, nie postawili wszystkiego na tę jedną kartę. Dlaczego mieliby tak

postąpić? Byli inteligentnymi ludźmi rządzącymi złożonym imperium. Ten pomysł pewnie od początku był naciągany.

No właśnie. To była pierwsza wskazówka. Skoro ten pomysł był naciągany, to oznaczało, że wdrażają też inne plany. Plan, które poprzedzały jego przyjazd tutaj i które będą kontynuowane po jego wyjeździe.

*Teraz musisz się tylko dowiedzieć, co to za plany.*

Tablet wydał cichy sygnał, informując o nawiązaniu połączenia. Cooper przełączył się na kontrolę głosową, powiedział:

– Daria?

– Witaj, Nick. Departament Analiz i Reagowania. Instrument Analityczny gotów do użytku. – Głos był kobiecy, ale nie należał do człowieka. DARIA była narzędziem wyszukiwania, matrycą osobowości, używaną do przesiewania danych.

– Posortuj największe wydatki, według kategorii, w Epstein Industries i wszystkich filiach. Dwa tysiące dziesięć do dwa tysiące trzynastie.

– Ukończone.

– Odejmij codzienne koszty prowadzenia działalności.

– Nick, musisz się wyrazić precyzyjniej.

– Odejmij takie wydatki, jak utrzymanie i opłaty, ale zostaw takie, jak... no nie wiem... rozwój produktu.

– Ukończone.

– Wyświetl.

Zaczęła się przewijać lista. Przewijała się i przewijała. Jak to powiedział Bobby? Jedna trzecia trylionu dolarów rozproszona w setkach spółek.

– Przefiltruj pod kątem anomalii.

– Nick, jakich anomalii?

– W porównaniu z... – Kątem oka wychwycił jakiś ruch. Coś się działo na trójwymiarowych ekranach. Wszystkie stacje telewizyjne pokazywały ten sam materiał. – ...w porównaniu z innymi międzynarodowymi spółkami.

– Nick, to trochę potrwa.

– Co? W porządku.

Wcisnął przyciski na biurku, znów włączając dźwięk – popłynął z trzech źródeł równocześnie. A nagranie pokazywało...

Shannon?

Tylko przebłyski. Poruszała się szybko, miała na sobie czarny taktyczny strój i nosła pistolet maszynowy. Biegła jakimś korytarzem, za nią około dziesięciu ludzi ubranych podobnie jak ona.

Korytarz był pomalowany na smutny odcień zieleni, a okna były wąskie. Wyglądało znajomo.

Prezenterzy mówili jeden przez drugiego, wyciszył dwa ekrany, zostawił tylko CNN.

– ...zamach terrorystyczny w Akademii Davisa, instytucji zaawansowanych studiów położonej w Wirginii Zachodniej. Akademia jest elitarną placówką dla najpotężniejszych obdarzonych...

Davis. Nic dziwnego, że to wyglądało znajomo. To była akademia, którą odwiedził w ubiegłym roku. To tam widział, jak manipulowano dziećmi, prowokując je do brutalnych bójek. Dowiedział się, że wszystkie dzieci mają podsłuchy, by można było wykorzystywać przeciw nim ich najgłębiej skrywane sekrety. Odbierano im nazwisko, niszczo tożsamość, a osobowość zmieniano w bardziej uległą, potulniejszą i skłonniejszą do współpracy.

To tam trafiłaby Kate, jego córka.

Niech to szlag. Shan. Powinienem być ci ufać.

– ...terroryści sforsowali bramy i obezwładnili personel, zabijając przy tym nieujawnioną liczbę strażników i nauczycieli, w tym również Charlesa Norridge'a, dyrektora placówki. Miejsce pobytu ponad trzystu uczniów szkoły jest w tej chwili nieznane.

Ręka Coopera powędrowała do ust, wybuchnął głośnym śmiechem. Pamiętał tę wściekłość, gdy słuchał słów Norridge'a, swoje fantazje o tym, że wyrzuci dyrektora przez okno. To tamtego dnia zaczęły mu się otwierać oczy i zdał sobie sprawę, że DAR nie jest wszystkim tym, na co liczył.

Wyłączył głos w CNN i przerzucił się na piracką stację.

– ...uwolnili ponad trzysta porwanych dzieci, po czym podłożyli ładunki wybuchowe i wyjechali w kosmos ten symbol straszliwego ucisku, jakim była Akademia Davisa. Główny oprawca, Charles Norridge, zginął podczas ataku i wszystkim nam jest z tego powodu bardzo smutno. Brawa dla dzielnych wojowników o wolność, którzy tego dokonali. Już nigdy więcej nie będziecie musieli płacić za drinka. Mamó! Tato! Wasze dzieci są wolne!

Wiedział, że jako przedstawiciel rządu powinien być przerażony. Wiedział, że to był atak na status quo. Zamach terrorystyczny, który jeszcze bardziej zaburzy rozchwianą równowagę w kraju.

I po prostu miał to gdzieś. Piracka stacja z Tesli miała rację: bravo! I zrobiła to Shannon. Co takiego powiedziała wczoraj w nocy, kiedy się pokłócili? „Jadę do Wirginii Zachodniej. Zamierzam zrobić najlepszą rzecz, jaką w życiu zrobiłam”.

Boże, co za kobieta.

Racja, Coop. Ale pamiętasz, co powiedziała potem: „Oglądaj wiadomości. I pierdol się!”.

W pierwszej chwili poczuł w ustach posmak żółci i pomyślał: *Ocholera*. Czuł, że nawalił. Ale już w następnej...

*Przedtem. Oskarżyłeś ją, że próbowała ukraść broń biologiczną – choć wiesz, że Shannon nigdy by tego nie zrobiła – a ona powiedziała ci, że chodziło o coś innego.*

*O magiczny eliksir.*

*To określenie musiało utkwić ci w pamięci, bo użyłeś go dzisiaj po południu.*

*I właśnie to rozśmieszyło Millie.*

...skojarzył coś ważniejszego. Wyciszył wiadomości.

– Daria, zmieniam zadanie. Masz dostęp do informacji skradzionych z DAR wcześniej w tym tygodniu?

– Nick, mam listę poszczególnych tematów, ale bez szczegółów. Te informacje zostały wyodrębnione...

– Tak, wiem. To były głównie informacje o placówkach badawczych, zgadza się?

– Nick, potwierdzam.

– Przeprowadź korelację ze wszystkimi wydatkami Epstein Industries. Chcę wiedzieć, czy Epstein fundował jakieś laboratoria, o których Shann... o których terrorystka wykradła informacje.

– Nick, mam jedno trafienie. To Instytut Zaawansowanej Genomiki.

Odchylił się do tyłu. Miał to dziwne przeczucie, że jego talent jest bliski znalezienia wzorca.

– Powiedz mi więcej.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Ostatnim razem, gdy był w Nowym Kanaan, był środek lata i nawet wtedy wieczorami było chłodno. Teraz, o północy, pod koniec listopada, było minus pięć stopni. Nawet gdy stał wśród ludzi, wiatr na lotnisku wdierał się pod skórzaną kurtkę. Przeszępował z nogi na nogę i zacierał ręce.

*Szkoda, że odprawiliś ochroniarzy. Pewnie mogliby ci pożyczyć porządny płaszcz.*

To chyba nie było zbyt dyplomatyczne posunięcie: wysłiznął się przez okno swojego gabinetu na piętrze i przywołał elektryczną taksówkę. Nie był jednak na lotnisku jako ambasador.

737 z rykiem zatrzymał się na pasie. Gdy obroty silników spadły, obsługa naziemna dostawiła do samolotu trap, tłum wokół niego zafalował, ludzie ledwie mogli się powstrzymać, by nie ruszyć w stronę samolotu.

– Możesz w to uwierzyć?

Mężczyzna, który się do niego odezwał, był po pięćdziesiątce i miał szczupłą, ogorzałą twarz. W Wyomingu nie było ludzi z nadwagą, ale to było coś więcej. Ten człowiek wyglądał jak ktoś, kto zasnął i od dawna codziennie się budził z nędnym samopoczuciem.

– Syn czy córka? – spytał Cooper.

– Syn – odparł mężczyzna. – Peter. Będzie miał teraz piętnaście lat.

Im dłużej Cooper mu się przyglądał, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że pomylił się, gdy określał jego wiek. Biologicznie mężczyzna miał zapewne około czterdziestki. Nietrudno sobie wyobrazić, dlaczego wydawał się taki wyniszczony. Test Tefferta-Downa, na podstawie którego identyfikowano obdarzonych, był przeprowadzany w wieku ośmiu lat. Ten mężczyzna od siedmiu lat nie widział swojego syna.

– Nigdy się nie poddaliśmy. Co rok w jego urodziny w domu był tort, próbowaliśmy śpiewać. W zeszłym roku umarła moja Gloria. – głos mężczyzny był cichy. – Potem trudniej mi już było wierzyć.

*Trudniej było wierzyć. Prawdziwe słowa.* Siedem lat temu Cooper właśnie awansował na agenta Służb Obywatelskich. Wtedy wierzył w to, co robił, z zapalem polował na cele, które wytyczał mu Drew Peters. Choć nigdy nie miał żadnego związku z akademiami – pierwszą zobaczył dopiero



w zeszłym roku – musiałby oszukiwać samego siebie, by się przekonać, że jego praca nie prowadziła do tego, że trafiały do nich kolejne dzieci.

Z tego, co Cooper wiedział, mógł się przyczynić do odebrania syna temu mężczyźnie.

Ta myśl była przytłaczająca, pełna poczucia winy. Na chwilę opadły wszelkie obronne blokady i Cooper w pełni zdał sobie sprawę, o jaką stawkę w tej grze chodziło. Choć codziennie dążył, by robić to, co słuszne, starał się stworzyć lepszy świat dla swoich dzieci, popełnił niewybaczalne błędy i wywołał niewyobrażalne cierpienia. A tymczasem, mimo jego wysiłków, cały świat stawał się coraz bardziej skomplikowany, a rozwiązanie było coraz bardziej poza jego zasięgiem. Rzeczywiście coraz trudniej było wierzyć.

Drzwi 737 otworzyły się głośno. Tłum ucichł, słychać było tylko dźwięki stygnących silników i wycie wiatru.

Na schodach pojawiła się postać. Shannon miała na sobie ten sam czarny taktyczny strój, w jakim widział ją w wiadomościach, i trzymała w ramionach jakąś dziewczynkę. Nawet z tej odległości wyglądała jakoś inaczej. Gdy Cooper zobaczył twarz tej dziewczynki, zrozumiał.

Może i coraz trudniej było wierzyć, ale Shannon znalazła sposób.

Cała ta scena była szczęśliwym chaosem. Choć Cooper desperacko pragnął porozmawiać z Shannon, czekał. Z samolotu wysypywały się dzieci, najpierw te najmłodsze. Wszystkie reagowały podobnie; w drzwiach stawały bez ruchu, z nadzieją kogoś wypatrywały, wyteżały wzrok. Niektóre dostrzegały w tłumie rodziców i zbiegały po trapie prosto w ich ramiona. Matki i ojcowie otwarcie płakali, przytulali odzyskane pociechy, przysięgali, że już nigdy ich nie oddadzą.

Inne dzieci chodziły w tę i z powrotem, nadzieja w ich oczach powoli gasła. Oczywiście – nie wszyscy rodzice tu byli. A przynajmniej jeszcze nie. Cooper miał wrażenie, że kilkaset rodzin całkowicie zmieni swoje życie i nie bacząc na konsekwencje, zamieszka w Nowym Kanaan.

To starszych dzieci było mu naprawdę żal. Nastolatkowie spędzili połowę swojego życia w tej akademii. To się stało ich rzeczywistością; mieli rozbiegane spojrzenie i zachowywali się nerwowo, jak zbrodniarze wypuszczeni z więzienia.

*Tyle tylko, że zbrodniarzom wolno zachowywać swoje nazwiska.*

Cooper kątem oka dostrzegł mężczyznę, z którym wcześniej rozmawiał. Trzymał w ramionach chudego chłopaka i przytulał go tak mocno, jakby już nigdy nie miał go wypuścić.

Każdy z uzbrojonych komandosów stał się w tym tłumie miniaturowym okiem cyklonu. Ludzie tłoczyli się wokół nich, by poklepać po plecach lub uściskać im rękę, kobiety ich całowały, oferowano im pieniądze, miłość, zaufanie. Shannon czekała u szczytu trapu, aż ostatnie dziecko wysiądzie z samolotu.

A potem, trzymając się z dala od całej tej pompy, zeszła powoli na lotnisko, przemknęła się po obrzeżach tłumu i zaczęła się oddalać, niosąc w ramionach małą dziewczynkę. Wyglądało na to, że

nikt nie zwrócił na nie uwagi.

Cooper wyciągnął komórkę i wybrał numer.

Dziewczynka zaczęła się wiercić w jej ramionach.

– Możesz mnie już postawić, ciociu Shannon.

– Wiem, kochanie – odparła, ale nie wypuściła jej. Choć czuła się wykończona, to był słodki ciężar.

Rany, naprawdę była ledwie żywa.

*Już wcześniej bywałaś wykończona, słonko. Tym razem to coś innego.*

To było uczucie zmęczenia przenikające aż do szpiku kości. Nie, nie tylko – aż do samej duszy. I nie było to zwykłe wyczerpanie, choć je również czuła. Shannon nie spała od czterdziestu godzin, przez część tego czasu musiała działać na najwyższych obrotach, i teraz świat zaczął się zamazywać; bolały ją mięśnie i głowa, zdawało jej się, że ma piasek pod powiekami.

Wszystkiego tego się spodziewała. Tyle tylko, że spodziewała się też, że będzie się czuć...

*No jak? Zbauiona? Oczyszczona z grzechów?*

Cóż, coś w tym stylu.

*Zabijanie ludzi to dziwny sposób, by osiągnąć taki stan ducha.*

Mniejsza z tym. To byli źli ludzie, a Charles Norridge nie był pierwszym, którego zabiła. Jeśli istnieje jakieś życie po śmierci, gdzie czekają na nią ludzie, których zamordowała, będzie musiała stoczyć niezłą bitwę, żeby przedostać się przez wrota.

Nie, to nie zabijanie nie dawało jej spokoju. To było coś bardziej abstrakcyjnego. Poczucie...

*Bezsensu?*

No właśnie. Przez cały czas, gdy planowała tę operację, wyobrażała sobie chwilę triumfalnego powrotu. I wtedy znajdowała się w samym centrum, wśród szczęśliwych ludzi, lał się szampan i wszyscy się śmiali. Jednak gdy ta chwila wreszcie nadeszła, Shannon stała tylko u szczytu trapu i przyglądała się.

To nie miało znaczenia. Wydostań się z tego lotniska, złap taksówkę, znajdź jakiś hotel. Prześpij cały tydzień. A potem zacznij rozwiązywać problem znalezienia...

– Hej!

Ten głos sprawił, że zamarła. Postawiła dziewczynkę na ziemi i odwróciła się powoli.

Nick stał kilka metrów od niej. Był trochę wymizеровany, ale i tak świetnie wyglądał. Przez chwilę miała takie uczucie, jakby wróciła do domu... Dziwne, że pomyślała tak o facecie, którego ledwie знаła. Shannon przez chwilę nie wiedziała, co zrobić. Chciała powiedzieć tyle rzeczy, ale bała się otworzyć usta. Był zatrudniony przez rząd, a ona właśnie przeprowadziła atak na rządowy budynek. Wiedziała, że to było słuszne, ale czuła się taka zmęczona. Gdyby Nick zaczął teraz kłótnię, mogłaby po prostu położyć się na asfalcie i rozplakać.

– Przepraszam – powiedział. – Już nigdy w ciebie nie zwątpię.

To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. Poczuła, jak ściska jej się gardło, i tylko kiwnęła głową.

– Witaj, Alice – powiedział Nick. – Nie wiem, czy mnie pamiętasz. Jestem Cooper. Spotkaliśmy się w domu twoich rodziców kilka miesięcy temu.

*Oh, nie mów tego. Oddział żołnierzy wziął ten budynek szturmem, bo tam byliśmy. Alice przez ostatnie miesiące była nazywana „Mary” i codziennie płakała przed snem tylko dlatego, że byliśmy w domu jej rodziców...*

– Wiem, że masz za sobą długi dzień – ciągnął Cooper – ale ktoś chciałby z tobą porozmawiać. – Podsunął dziewczynce komórkę. Alice Chen gapiała się na nią pustym wzrokiem. – No, dalej. Wszystko w porządku. – Wsunął telefon do jej dłoni. Powoli uniosła go do ucha.

– Halo? – A potem – Mama? – i – Tatusi!

Coś w dziewczynce pękło, zaczęła płakać i niewyraźnie mamrotać, trochę po chińsku, trochę po angielsku. Shannon rozumiała nawet te słowa, których nie rozumiała. I przez chwilę, tylko przez krótką chwilę, poczuła to, co sobie wyobrażała: czystą radość. To był ten sens, którego nie mogła znaleźć, i Cooper był z tym nierozzerwalnie związany.

– Kiedy obejrzałem wiadomości – zaczął wyjaśniać Nick – obudziłem Bobby’ego i wydałem mu bezpośredni rozkaz w imieniu prezydenta, żeby odnalazł i uwolnił jej rodziców. Lee i Lisa przechodzą teraz formalności. Przylecą tu rano, pierwszym lotem.

– Możesz robić takie rzeczy?

– Już zrobiłem.

– Nie będziesz miał kłopotów?

– Robię się małym draniem. – Wzruszył ramionami. – Z tobą wszystko dobrze?

– W porządku. Jestem zmęczona.

Nick podszedł do niej. Był niegolony i miał zaczerwienione oczy, w jego spojrzeniu było coś obsesyjnego. Zerknął szybko na Alice. Siedziała na zimnym asfalcie, ściskając telefon w obu rękach, i zapłakana rozmawiała z rodzicami.

– Muszę ci coś wyjaśnić – powiedział.

– Tak?

– Wczoraj wieczorem byłem nakręcony. Mówiłem rzeczy, których tak naprawdę nie myślałem. Może ja i ty nie widzimy różnych spraw w taki sam sposób, ale wiem, że nie chciałabyś użycia broni biologicznej. Byłem głupi. – Sięgnął po jej dłoń, a ona jej nie cofnęła. Jej palce były ciepłe. – Wiem, czego byś nie zrobiła.

Nie ufała swojemu głosowi, więc tylko kiwnęła głową.

– Posłuchaj – mówił dalej Nick – w tej chwili bardziej niż cegokolwiek innego na świecie

chciałbym, żebyśmy wynajęli pokój w naprawdę drogim hotelu i spędzili tam tydzień na rozmowie.

– Uśmiechnął się. – I nie tylko.

– Ale?

– Ale teraz to niemożliwe. I muszę cię o coś zapytać.

Westchnęła, cofnęła rękę.

– Daj spokój, przecież wiesz, że nie zamierzam...

– Poczekaj – poprosił. – Poczekaj chwilę. Powiem ci, co wiem. A potem powiesz mi albo nie, decyzja należy do ciebie. W porządku?

Potarła oko.

– Pewnie.

– Włamałaś się do DAR, żeby zdobyć tajne informacje na temat laboratoriów prowadzących badania biologiczne i genetyczne. Ale to nie były informacje, które dotyczyły tylko jednego miejsca albo projektu; wzięłaś większość tego, co mieliśmy w całym kraju. To znaczy, że John Smith wierzy, że jakieś laboratorium wytwarza coś, czego on chce, tylko nie wiedział które. Założę się, że teraz wie: to miejsce nazywa się Instytut Zaawansowanej Genomiki, a kieruje nim naukowiec o nazwisku Abraham Couzen. Wszystko wskazuje na to, że Couzen jest geniuszem. Jego praca umożliwia nowe podejście do genomu. A to oznacza nowe sposoby spojrzenia na ludzkość. – Przekrzywił głowę. – Wczoraj wieczorem, kiedy spytałem, czego tam szukałaś, powiedziałaś, że magicznego eliksiru. Uznałem, że po prostu się przekomarzałaś. Ale to nie było to, prawda?

Stała się, by jej spojrzenie pozostało obojętne, a oddech regularny.

Uśmiechnął się do niej w ten charakterystyczny sposób, jak w mydlanej operze. Wiedział, że ten jego uśmiech jest czarujący.

– Nie pomożesz mi?

– Twoje zasady.

– No tak. Dobra. Mogę tylko zgadywać. Ale próbowałem odnaleźć w tym wzorzec i znalazłem tylko jedną rzecz, która pasuje. Tylko jedną rzecz na tyle ważną, byś zaryzykowała włamanie się do DAR. Tylko jedną rzecz, którą Couzen mógł opracować, a której i John Smith, i Erik Epstein desperacko pragną. – Cooper przerwał, roześmiał się. – Boże, to brzmi jak jakieś wariactwo.

– To wariuj dalej.

– Uważam, że doktor Couzen dowiedział się, co sprawia, że niektórzy ludzie są obdarzeni.

To była ciężka walka, lecz Shannon zachowała pokerową twarz. *Ten facet nie upadłby ci w oko, gdyby był głupi.*

– Odkrył genetyczne podstawy zdolności – ciągnął Cooper. – I nie tylko to. Znalazł też jakiś sposób, żeby... żeby...

*Powiedz to, Nick. Powiedz na głos to, na co nikt nie śmiał mieć nadziei.*

– Shannon, czy on odkrył sposób, by dać zdolności każdemu? Magiczny eliksir, który zmienia normalnych ludzi w obdarzonych?

Teraz nadeszła jej kolej, by intensywnie mu się przyglądać. Nie była czytaczką, nie potrafiła powiedzieć, czy ktoś ją okłamuje, wyczuć niewypowiedziane na głos myśli. Ale trudno byłoby nie zauważyć niedowierzania na twarzy Coopera. Pamiętała, że czuła się tak samo, gdy John powiedział jej, dlaczego chce, by włamała się do DAR.

*Ale co to dla ciebie znaczy, Nick? Czy to dla ciebie ekscytujące? Czy przerażające? Twoja odpowiedź decyduje o tak wielu rzeczach.*

Starannie dobierając słowa, spytała:

– Gdyby to była prawda, co byś z tym zrobił?

– Z możliwością, by każdy był obdarzony? To by było sto tysięcy lat ewolucji w jednym mgnieniu oka. Status quo by przestał istnieć. Wszystkie nasze systemy, to, w co wierzymy. – Pokręcił głową. – Rząd chciałby trzymać to w tajemnicy, kontrolować to.

– Tak – przyznała. – Ale pytałam, co ty byś zrobił.

– Tak naprawdę pytasz, czy zrobiłbym to samo co ostatnio. Bo gdy ujawniłem prawdę o Monocle, o prezydencie Walkerze, Petersie i Służbach Obywatelskich, to miało gigantyczne konsekwencje. Próbowalem zrobić to, co słuszne, ale zamiast tego pchnąłem świat ku katastrofie. A ty chcesz wiedzieć, czy drugi raz zrobiłbym to samo.

Czekała.

– Oczywiście – powiedział. – Bez wahania. To nie może być decyzja podjęta za zamkniętymi drzwiami przez ludzi, którzy mają jakieś własne plany. To należy do nas wszystkich.

Jej ciało ogarnęło ciepło, żar rozlewał się z serca, obejmując całą jej istotę. Zimna noc w Wyomingu nie mogła go stłumić. Zbliżyła się o krok, położyła dłoń na jego policzku. Spojrzała mu w oczy.

– Dobra odpowiedź.

Zapał się w sobie, ale nie tak, jakby na jego ramiona spadł jakiś ciężar, ale jakby coś sztywnego w nim samym zniknęło. Jakby po raz pierwszy od dawna był w stanie oddychać.

– A więc to prawda? To istnieje?

– Tak.

– Mój Boże.

– Tak.

– To zmienia wszystko.

– Tak – odparła. Uśmiechnęła się do niego. – Ale nie myśl sobie, że to znaczy, że nie jestem już na ciebie wkurzona.

Nick się roześmiał.

– Nawet o tym nie marzyłem.

---

*Teraz nieustannie jesteśmy podłączeni. Gdy pracujemy, gdy jedziemy samochodem, nawet gdy czytamy książkę albo oglądamy telewizję. Nasze życie stało się częściowo wirtualne, przeżywane w cyfrowej przestrzeni.*

*To wielki wyrównywacz: czarni czy biali, mężczyźni czy kobiety, normalni czy obdarzeni, pierwszą rzeczą, którą większość ludzi robi rano – jeszcze zanim umyją zęby – jest sięgnięcie po tablet.*

*Chcecie zmienić świat? Zapomnijcie o polityce. Nauczcie się programować.*

JENNIFER LAURENS, DYREKTOR NACZELNA BRIDGETECH,  
DO STUDENTÓW OSTATNIEGO ROKU MIT

---

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Kobieta w polu projekcyjnym była szczupła, a w czarnym stroju taktycznym wydawała się jeszcze drobniejsza. Poruszała się jednak z wdziękiem tancerki, w każdym jej ruchu była pewność. Wymięła ochroniarzy. Mężczyzna patrzył gdzieś indziej, uniósł broń. Rozległ się stłumiony huk i na jego czole pojawiła się dziura. Ledwie zdążył się osunąć, gdy do środka wpadła druga komandoska. Powaliła drugiego strażnika na kolana i wbiła mu w szyję lufę pistoletu maszynowego.

– Zatrzymaj – powiedział Leahy.

Obie kobiety zamarły, ich obraz zastygł, jak na niezbyt dobrze uchwyconym zdjęciu.

– To Shannon Azzi – ciągnął Leahy. – Jej towarzyszka to Kathy Baskoff. Obie są obdarzone. To terrorystki silnie powiązane z Johnem Smithem.

Senator Richard Lathrup wszedł w pole projekcyjne. Jego ciało rzucało cienie, gdy zaślaniał projektory.

– Ta nie wygląda na żołnierza.

– Shannon zwykle nie bywa żołnierzem. To szpieg i zabójczyni. To ona w zeszłym tygodniu włamała się do siedziby DAR.

Senator gwizdnął.

– A teraz Akademia Davisa. Ma co robić dziewczyna. – Odwrócił się. – Potrafię zrozumieć, że zdjęły ochroniarzy. Ale jak udało im się zdezaktywować systemy zabezpieczeń?

– Jedną z rzeczy, które ukradła z DAR, był pakiet informatyczny akademii. Wykorzystali go, żeby zapętlić alarmy i sprawić, by placówka była niewidoczna.

– Kolejna porażka – stwierdził Mitchum.

– Tak, sir – przyznał Leahy. – Normalnie moglibyśmy to wyciszyć, ale niestety, terroryści udostępniły materiały mediom. Przypuszczamy, że prawdziwym celem był efekt społeczny; uwolnienie paru dzieciaków nie ma wartości taktycznej.

– To nam nawet pasuje, prawda? – Senator wskazał na zatrzymany obraz. – Zaatakowanie placówki rządowej, zabicie nauczycieli i pracowników administracji, wysadzenie budynków. To wyraźnie wskazuje, że obdarzonym nie można ufać, i jest świetnym powodem, by prezydent przyspieszył wdrożenie Inicjatywy Nadzoru i Monitoringu.



Leahy pokręcił głową.

– Gdy w Cleveland zaczęły się zamieszki, naciskałem na Claya, żeby to zrobił. Odmówił.

– I nie tylko to – stwierdził Mitchum. – Prawda?

– Nie, sir. – Leahy wciągnął powietrze. – Clay chce negocjować bezpośrednio z obdarzonymi. Ma nadzieję, że wynegocjuje układ z Erikiem Epsteinem, pełne partnerstwo Nowego Kanaan i Stanów Zjednoczonych, mające na celu zakończenie działań terrorystycznych, poczynawszy od Dzieci Darwina.

– Zgadza się. Jako swojego wysłannika posłał Nicka Coopera, agenta DAR, który zabił Drew Petersa i upublicznił dowody obciążające prezydenta Walkera. Dowody, które mogły ujawnić nasze zaangażowanie. – Mitchum przerwał. – Uważasz, że sytuacja jest pod kontrolą, Owen?

Leahy zapanował nad twarzą, by się nie skrzywić. *Wiedziałeś przecież, że on wepchnie ci to z pourotem do gardła.*

– Clay okazał się słabszy, niż sądziłem.

– Niebezpieczna pomyłka. A teraz nienormalny, o niepewnej lojalności, negocjuje z Erikiem Epsteinem.

– Tak, sir. – Zgrzytnął zębami i dodał: – Przyznaję, sytuacja wymknęła mi się spod kontroli.

– Czy to takie złe, że Clay negocjuje z Epsteinem? – spytał senator. – Cleveland, Tulsa i Fresno są obłożone. Może Epstein mógłby to zakończyć?

*Jezu, człowieku! Czy ty w ogóle rozumiesz, co próbujemy tu zrobić?* Senator był cennym sojusznikiem, bez dwóch zdań. Choć Inicjatywa Nadzoru i Monitoringu była pomysłem Leahy'ego, to Richard przedstawił ją w Senacie i był publiczną twarzą projektu. Jednak w sumie było politykiem, a nie agentem wywiadu.

– Martwi mnie to, jak daleko posunie się Clay, żeby być lubiany – powiedział Leahy.

– I powinno cię to martwić – odparł Mitchum. – Wczoraj nasz prezydent dał Nickowi Cooperowi upoważnienie, by zaoferował Nowemu Kanaan możliwość oddzielenia się od naszego pięknego kraju.

Leahy'emu opadła szczeka.

– Secesja?

– W rzeczy samej.

– Mój Boże. Skąd pan wie?

Mitchum nie odpowiedział, a Leahy przeklął się w myślach. Głupawe posunięcie: przyznał, że jest zaskoczony. Sekrety były władzą. *Warto jednak zauważyć, że nawet sam prezydent nie potrafi zachować swoich tajemnic przed Mitchumem.*

– Clayowi pomieszało się w głowie – powiedział. – To się nigdy nie uda.

– A ja się martwię, co będzie, jeśli się uda.

Senator wydawał się zdezorientowany.

– Dlaczego? Przecież położenie kresu terroryzmowi, nie wspominając już nawet o zakończeniu blokady trzech amerykańskich miast, jest znacznie więcej warte niż jakiś kawałek pustyni w Wyomingu.

Leahy już miał odpowiedzieć, lecz ku jego zaskoczeniu, to Mitchum naskoczył na senatora. W jego głosie nie było ani śladu zwykłego, wyważonego tonu:

– Kawałek pustyni w Wyomingu?! Senatorze, mówimy o suwerennym terytorium Stanów Zjednoczonych! Naszym zadaniem jest chronić nasz kraj, a nie go oddawać.

– Tak, ale...

– Marzenia o lepszym świecie są dla poetów. Ludzie o naszej pozycji nie mogą sobie pozwalać myśleć w ten sposób. Z pewnością nie chciałby pan, by pańscy wyborcy, nie wspominając już nawet o ścisłym kierownictwie partii, dowiedzieli się, że jest pan gotów rozparcelować Amerykę w zamian za drobne przysługi?

Senator pobałdł.

– Nie, sir. Oczywiście, że nie.

Leahy niemal się uśmiechnął. *Miło ze strony Richarda, że się tak podłożył i dał ci chwilę na oddech. Ale nie popadaj w samozadowolenie.*

– Chyba musimy pogodzić się z faktem, że z Inicjatywy Nadzoru i Monitoringu nic nie będzie. Wydarzenia zaszły już zbyt daleko.

– Odtwarzaj, wycisz głos – polecił Mitchum.

Dwie terrorystki znów zaczęły się poruszać. Shannon Azzi wyjęła taśmę klejącą i zaczęła krępować nią strażnika. Leahy widział ten materiał już kilka razy, więc skupił uwagę na Mitchumie. Pracował dla niego od dwudziestu pięciu lat, w takim czy innym charakterze, czasem bezpośrednio, czasem po prostu dlatego, że zawdzięczał mu swoje stanowisko. Wiedział, jak działa umysł Mitchuma, i podziwiał go za to.

W pracy wywiadowczej chodziło o gromadzenie góry informacji. Istniały trzy składniki sukcesu. Pierwszym było dostrzeżenie, który drobny szczegół jest tym ważnym. Drugim była decyzja, co z tym zrobić. Trzeci polegał na tym, by mieć dość jaj, żeby bezwzględnie przeprowadzić te działania.

Mitchum bez wątpienia odnosił sukcesy.

Na nagraniu Shannon Azzi poklepała strażnika po policzku, potem pchnęła jego krzesło w stronę pulpitu z monitorami i wyszła. Pojawił się widok na obszar przed budką ochrony, na wjeżdżające ciężarówki.

– Ludzie, którzy dyskredytują status quo, nigdy nie doświadczyli odwrotnej sytuacji – powiedział Mitchum. – Utrzymywania porządku, dbania o to, by system działał, choć ma pewne wady. To święty obowiązek. Nie chodzi o słowa na papierze, chodzi o nasze dzieci. Może i Ameryka nie jest doskonała, ale jest temu najbliższa, i zachowanie tego stanu dla moich dzieci jest moim najwyższym

powołaniem.

Leahy nigdy nie słyszał, by Mitchum bywał tak poetycki. Senator pochlebco kiwał głową, ale Leahy wiedział lepiej. Terence Mitchum nie chciał być kochany, nie szukał usprawiedliwienia dla swoich działań.

*Ta krótka mowa była przesłaniem.*

W jego głowie pojawiło się wspomnienie chwili, gdy ponad dwadzieścia lat temu siedział przed gabinetem Mitchuma, ściskając w rękach wyniki badania, które ogłaszało pojawienie się obdarzonych. Pociły mu się dłonie, nie mógł zebrać myśli. Było to śmiałe posunięcie, nawet brawurowe, i dzięki niemu zrobił karierę. Gdyby nie wpadł Mitchumowi w oko, byłby zapewne jakimś menadżerem średniego szczebla u któregoś z prywatnych dostawców sprzętu dla wojska. Nigdy nie zostałby sekretarzem obrony.

*Może nadeszła pora na kolejne śmiałe posunięcie.*

– Zawsze martwiła mnie jedna rzecz – odezwał się powoli Leahy. – Nowe Kanaan jest dość pokojowe. Nic tak bardzo nie przeczy stwierdzeniu, że nienormalni stanowią zagrożenie, jak ta mała szczęśliwa enklawa. Normalni i obdarzeni koegzystują tam w spokoju. I w tym tkwi problem.

Richard spojrział na niego.

– Masz dziwny światopogląd, synu.

– Nie jestem pańskim synem, senatorze. Jestem sekretarzem obrony Stanów Zjednoczonych.

– Nie miałem na myśli...

– To problem, ponieważ to fałszywy obraz. Nowe Kanaan jest mniej więcej tak samo samowystarczalne jak dwutygodniowe szczyt. Są w stanie funkcjonować jako miasto na wzgórzu tylko dzięki nam. Ochramiamy ich i wspieramy. A tymczasem nienormalni tam współpracują bez większych ograniczeń, dysponując nieograniczonymi funduszami. Gromadzą coraz to nowe atuty, dokonują przełomów w nauce i technologii, a potem oferują nam to w takim tempie, jakie im odpowiada.

W polu projekcyjnym Shannon Azzi uniosła broń.

– Zatrzymaj – powiedział Leahy.

Wybrał idealny moment, uchwycił ją dokładnie w chwili, gdy zwoływała swoich żołnierzy. Uniesiona broń, dzikie spojrzenie, typowa postawa przywódcy buntowników z Trzeciego Świata.

– To właśnie, senatorze, reprezentują obdarzeni. Ochramiamy enklawę, która daje schronienie terrorystom i uszczupla nasze środki, a równocześnie tworzy wynalazki, którym nigdy nie będziemy w stanie dorównać. – Zwrócił się do Mitchuma: – Sir, jeśli nie podejmujemy działań, sądzę, że wychowamy przyszłych panów naszych dzieci.

Mitchum potarł podbródek. Jego twarz była nieprzenikniona.

Leahy pomyślał o ostatnim wieczorze w Gabinetie Ovalnym. Święto Dziękczynienia,

katatoniczny prezydent gapiący się na płonące Cleveland. To wtedy istniała szansa, by ocalić kraj. Podjąć ostre działania, które mogły wszystko zmienić.

Chybiona polityka ustępstw lansowana przez Nicka Coopera udaremniła tę możliwość. Jednak Marla Keever poruszyła sprawę, która od tego czasu nie dawała Leahy'emu spokoju.

– Sir, zastanawiam się, czy nie myśleliśmy na zbyt małą skalę.

– Zastanawiał się, czy nie dodać czegoś jeszcze, ale postanowił tego nie robić. Niech sami do tego dojdą.

Po chwili odezwał się Mitchum:

– Czy to wykonalne?

– Biorąc pod uwagę politykę Claya, czyli dyskusje i kompromisy, na pewno będą kolejne zamachy. Kolejne zniszczenia w amerykańskich miastach. Kolejne... takie jak ona. – Wskazał na Shannon. – Może zamiast próbować wdrożyć Inicjatywę Nadzoru i Monitoringu, powinniśmy myśleć na większą skalę?

– Boże, człowieku – odezwał się Richard. – Naprawdę myślisz o...

– Senatorze. – Leahy spojrzał na niego groźnie. – Niech się pan zamknie.

Mitchum podszedł do pola projekcyjnego i stanął przed Shannon Azzi. Przez dłuższą chwilę spoglądał z namysłem w jej holograficzne oczy.

– Pójść na całość?

– To nasza chwila, sir.

– Być może. – Mitchum się odwrócił. – Oczywiście, mamy marne szanse, żeby Clay wydał rozkaz ataku.

– Zgadza się, sir. – Leahy wsunął ręce w kieszenie. – To dlatego będzie musiał zaufać swoim doradcom.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Cooperowi trudno było skupić się na śniadaniu.

Za godzinę miał usiąść naprzeciwko Erika Epsteina i negocjować warunki secesji Nowego Kanaan. Gigantyczne posunięcie polityczne, którego konsekwencje sięgały tak daleko, że nie był w stanie ich ogarnąć.

I nie miało to większego znaczenia, bo w rzeczywistości będą rozmawiać o czymś, co było największym postępem w dziejach ludzkości od czasów... Może zdobycia ognia?

Gdy obdarzeni pojawili się około trzydziestu lat temu, naukowcy i filozofowie zastanawiali się, co to oznacza. Dlaczego niektórzy ludzie posiadają niesamowite zdolności, a inni nie? Jednak po latach badań i tysiącach teorii nie znaleziono odpowiedzi. Podczas gdy narastały konsekwencje tych dychotomii, „dlaczego” i „jak” zaczęły się wydawać mniej ważne, bo ludzie skupili się na pytaniu, co świat z tym zrobi.

A teraz nagle wszystko to miało zniknąć. Nie będzie już więcej „nas” i „ich” – nie będzie podziałów. Będą pytania, lęki i milion decyzji do podjęcia. Ale przynajmniej będą jakieś opcje. Narastające napięcia, które trawiły kraj – i świat – zelżeją. Zamiast terroryzmu będzie debata. Zamiast ludobójstwa – wybór.

A ludzkość już nigdy nie będzie taka sama. W bardzo realny sposób ludzkość taka, jaką znano, przestanie istnieć i zastąpi ją coś lepszego.

Wszystko to sprawiało, że trudno mu było skupić się na śniadaniu.

*Na razie spróbuj być tu dla swojej rodziny. Zmarnowałeś już dość czasu, który mogłeś z nią spędzić.*

Restauracja była jasna, przestronna i gustownie urządzona. Unosił się w niej gwar ożywionych rozmów. Poleciał ją jeden z ich ochroniarzy; najwyraźniej szef kuchni był słynny w Nowym Kanaan. Był to obdarzony, który prowadził sieć restauracji. Ogólnie rzecz biorąc, Cooper unikał obdarzonych szefów kuchni; być może jego podniebienie nie było dość wyrafinowane, ale nie miał ochoty rozbierać swojego śniadania na czynniki pierwsze.

Jajko gotowane na parze, przycięte tak, by tworzyło sześcian – z usuniętym żółtkiem; wgłębienie po nim wypełnione szpinakiem i kozim serem; białka z wodorostów tak zabarwione, by wyglądały jak stek, podane na duszonym purée z buraków; opiekana brukiew podawana ze

skryształizowanym ketchupem.

– Jak robią kryształki z ketchupu? – Todd podejrzliwie patrzył na swój talerz.

– Muszę ci powiedzieć Todd, że ważniejsze niż jak jest chyba dlaczego.

Cooper rozejrzał się po pomieszczeniu. Stary nawyk. Panował tu spory ruch, wiele osób czekało na miejsce, ale stolik dla nich znalazł się od razu, gdy tylko się pojawili. Jedna z zalet bycia ambasadorem. Na szczęście ekipa ochroniarzy starała się nie rzucać w oczy; większość czekała na zewnątrz, a ci dwaj, którzy byli z nimi w restauracji, nosili cywilne ubrania.

*Już niedługo nie będziemy potrzebować ochroniarzy, nie będziemy się bać terrorystów.*

– Mi smakuje – odezwała się Kate. Na jej talerzu leżały zwierzątka orgiami z naleśników, posypane mrożonymi jagodami. Cooper podkraść jej z talerza truskawkę; miała słodki smak, ale konsystencję chrupki. – Podoba mi się tutaj.

Natalie szybko zerknęła na niego zza stołu, z uśmiechem w oczach.

– Naprawdę?

Kate pokiwała głową.

– Jest miło. Wszystko jest nowe.

– Głupio tu jest – powiedział Todd.

– Daj spokój – zaprotestowała Natalie. – Czemu tak mówisz? Jesteś tu dopiero jeden dzień.

– Schrzanili piłkę nożną.

Jak zamieniało się normalnego w obdarzonego? Zapewne wzmacniając uśpione tendencje; jeśli zawsze byłeś dobry w zgadywaniu, jak inni ludzie się czują, teraz byłbyś czytaczem. Jeśli zawsze poruszałeś się z wdziękiem i miałeś talent do sportów, teraz byłbyś w stanie wyczuwać ruchy innych, jeszcze zanim by je wykonali.

Ale – o mój Boże – jakie by to przyniosło zmiany. Dzieciom Darwina wydaje się, że wywołują chaos? Ich małe powstanko było jak liga podwórkowa w porównaniu z przewrotem, jaki wiązał się z ukochanym projektem Erika. To był naprawdę magiczny eliksir.

*Bądź teraz z nimi.*

Skupił się na synku.

– Jak to, schrzanili piłkę nożną? – Wczoraj grałem z paroma dziećmi. Mają wszystkie te głupie zasady, bo są obdarzeni.

– Na przykład jakie?

– Jeden dzieciak może robić wszystko to co ty, ale nie wolno go dotykać. No i strzela gola, a potem zabiera piłkę i strzela jeszcze jednego, i dopiero wtedy to się liczy. Inna dziewczynka siedzi po prostu pośrodku boiska. Nawet się nie rusza, ale to ją wybrali pierwszą. Dziewczynę! A innemu chłopakowi wolno używać rąk, bo widzi matematykę.

– Jak to, widzi matematykę?

– Tak powiedział. Kąty i tak dalej, i musi w tym celu odebrać piłkę i ją rzucić. A kiedy to zrobi, dzieją się straszne sztuczki, piłka odbija się od różnych rzeczy i od ludzi i nikt nie może jej złapać. Po prostu cię jakby mija.

Cooper usiłował się nie roześmiać. *Pamiętasz, jak mówiłeś, że miasto luster będzie fajne, dzieciaku? Witaj w ich świecie.*

– No to zmieniają zasady. Nikt nie mówił, że zasady zawsze muszą być takie same.

– Właśnie, że tak. Dlatego mówi się na to zasady.

– Jesteś zły, bo przegrałeś – powiedziała Kate.

– Nie przegrałem. To oni oszukiwali.

– Mi się podoba – odparła Kate. – Nikt tutaj nie uważa, że to dziwne, że organizuję rzeczy.

– Bo to wcale nie dziwne, kochanie. Nie jesteś dziwna.

– W domu jestem dziwna. Możemy tu zostać?

Cooper się roześmiał. Właśnie miał odpowiedzieć, gdy nóż przeciął gardło jednego z jego ochroniarzy i po trzech stolikach rozprysnęła się fontanna krwi.

Soren jechał.

Po stronie pasażera, na tylnym siedzeniu taksówki. Kierowca miał pieprzyk na szyi, wyrastały z niego włoski. Przebłyски widoków za oknem zmieniały się w martwe natury. Mężczyzna i kobieta idą, trzymając się za ręce. Wystarczyło spojrzeć na to powoli i można było zauważyć, że jej dłoń zaciska się mocniej niż jego, że jego oczy są skupione na witrynach sklepów, jej szyja świadczy o tym, że jest o dziesięć lat starsza, niż wygląda w makijażu, a on ma zapięty pasek, ale rozpięty rozporek. Wdzięk, trwałość, czystość – to wszystko były złudzenia. Ludzie to po prostu ciało: płyny, mięso, włosy i kości.

Broń była tą, o którą poprosił. Bojowy nóż Fairbairn-Sykes, zwężający się jak sztylet i ostry jak brzytwa, na tyle cienki, by przechodzić między kośćmi. Zasłynął podczas drugiej światowej, choć wtedy produkowali je ze stali, a ten był z włókna węglowego. Krawędź nie była mocna, lecz był na tyle lekki, że mógł nim poruszać bez żadnego zamachu, stanowił po prostu przedłużenie jego dłoni. Dobry nóż do zabijania, ale do niczego innego się nie nadawał. Palce Sorena spoczywały na rękojeści.

Samochód zaczął zwalniać. Upłynie prawie minuta, nim się zatrzyma. Soren wykorzystał ten czas, by przyjrzeć się dokładnie ochroniarzom przed restauracją. Tak jak przewidział John, była to ekipa ochrony dyplomatów, wszyscy obdarzeni, uzbrojeni, ze słuchawkami w uszach. Ochroniarze przyzwyczajeni do eskortowania VIP-ów, w każdej chwili spodziewający się zagrożenia. Byli nieustannie czujni, oceniali wszystko pod kątem ryzyka.

Stał się więc turystą z Missouri, zdziwionym i niestanowiącym żadnego zagrożenia. Miał cały czas tego świata, by wczuć się w tę rolę. Zapłacił taksówkarzowi z łagodnym podeksytowaniem

człowieka, dla którego przejazd taksówką to coś nowego, coś, co widywał głównie w trójwymiarowych filmach. Powiedział mu, by zatrzymał resztę, dolar napiwku, dokładnie tyle, by wzbudzić wdzięczność i zostać od razu zapomnianym. Wysiadł na chodnik i rozejrzał się. Próbował jednocześnie udawać, że tu jest jego miejsce – bo wtedy bandyci trzymają się na dystans – a równocześnie uważnie przyglądał się wszystkiemu wokół. Po półtorej minuty, co dla reszty świata trwało osiem sekund, odwrócił się i wszedł do restauracji. Świadomie starał się wyglądać tak, jakby każdy krok sprawiał mu przyjemność: człowiek, który zaraz zje posiłek, jakiego nigdy by nie dostał w starym dobrym Missouri.

Ochroniarze zauważyli go, przyjrzeni mu się i go zignorowali. Nawet ten czytacz przy wejściu. Czytacz go bawili. Byli tak bardzo dostrojeni do ludzi, a jednak ich zdolność oznaczała, że wydawał im się czymś takim jak złudzenie optyczne opony obracającej się do tyłu, gdy kręciła się do przodu. Błędne przybliżenie oparte na wadliwej percepcji.

W restauracji panował ruch i gwar. Tak wielu ludzi, którzy po prostu byli. Po prostu tutaj siedzieli, zachowywali się głośno, dźwięki i intensywność. Ale Soren był gotowy. Stał się zupełną nicością, podszedł do jednego z ochroniarzy i poderżnął mu gardło. Krawędź była tak ostra, że skóra rozchyliła się pod samym dotknięciem, tętnica szyjna podzieliła się na dwie części.

Krew trysnęła łukiem. Widok był dość ładny, dynamika płynu. Podziwiał go przez kilka sekund, po czym zbliżył się do drugiego ochroniarza. Ten wyciągał właśnie broń. Sprawny, wyćwiczony ruch. Soren poświęcił chwilę, by przejrzeć się kątowni ramienia mężczyzny, tego, jak lewą dłońią podpira prawą. Ustawił się tak, by impet ruchu mężczyzny sprawił, że wewnętrzna część jego łokcia zetknie się z ostrzem, że nóż przetnie ubranie i ciało, mięśnie i ścięgna i rozdzieli tętnicę ramienną.

Rozległ się krzyk, ale nie w jego nicości.

Soren przyłapał się na tym, że myśli o pająku, o tym, którym był, gdy przyjechał po niego John. Dlaczego? Aha! Spokój i bezruch poprzedzające śmiertelność. No tak.

Odwrócił się. Obaj ochroniarze osuwali się mniej więcej w tym samym tempie, jakby wyćwiczili taki układ choreograficzny.

Soren przyglądał się martwej naturze. Nick Cooper stał, oceniał sytuację. Żadnego wahania ani paraliżu. Interesujące.

Oczywiście, to nie wystarczy. Ale to było ciekawe.

Cooper zerwał się bez namysłu, to był odruch. Jednak zanim wstał, drugi ochroniarz był już załatwiony, idealne, podręcznikowe cięcie, przecinające do kości biceps. Zostało mu jeszcze kilka sekund świadomości, zanim osunie się w ciemność.

Mężczyzna z nożem odwrócił się, jego twarz była spokojna. Za nim osuwali się dwaj ochroniarze. Nie wyglądało to tak szybko i czysto jak na trójwymiarowym filmie. Chaotyczne ruchy, krew tryskająca z tętnic jak z węża z każdym uderzeniem serca.



Kobieta opryskana krwią wydała z siebie niehumanitarny, przeszywający krzyk.

Cooper przez chwilę chłonał tę scenę, jego umysł wytwarzał wzorzec zbliżającej się walki. Zabójca był szczupły i drobny, jego nóż wzorowany był na dawnych nożach brytyjskich komandosów. Spojrzał na Coopera i...

*Kostki jego dłoni nie zbierały. Oddycha regularnie. Puls w tętnicy szyjnej wynosi jakieś siedemdziesiąt uderzeń na minutę, właśnie zabił dwóch świetnie wyszkolonych ochroniarzy w ciągu trzech sekund i jest absolutnie spokojny.*

*To nie obdarzony, który żywi do ciebie jakąś urazę, brat któregoś z twoich dawnych celów. To zabójca.*

*Co oznacza, że został na ciebie nasłany. Zapełnia przez Johna Smitha.*

*I są tutaj twoje dzieci.*

...ruszył w stronę stolika.

Jednym ruchem Cooper okręcił się, chwycił oparcie swojego krzesła, odwrócił i cisnął je z rozmachem w zabójcę. Z trzech metrów to był łatwy rzut, krzesło nie było ciężkie, ale na tyle masywne, by go zdezorientować, zmniejszyć przewagę, jaką dawał mu nóż. Cooper wykorzystał impet tego ruchu, wskakując na stół.

Najkrótszą drogą między zabójcą a jego dziećmi była linia prosta. Zeskoczył po drugiej stronie stołu, podążając za rzuconym krzesłem, myślał: *Zejdź nisko, podetnij go, potem nastąp na nadgarstek, krocze, nadgarstek, szyja...*

Tyle tylko, że gdy już tam dotarł, krzesło przeleciało obok, a mężczyzna jakimś cudem dalej tam stał. Nawet nie mrugnął, gdy krzesło chybiło go o kilka centymetrów.

Niech będzie. Cooper przyjął postawę bojową, lekko na nogach, ugięte kolana, ręce uniesione do bloku. Gdy walczyło się z przeciwnikiem uzbrojonym w nóż, najważniejsze było, by wiedzieć, że na pewno cię potnie. Koniec. Kropka. I atakować mimo to. Jeśli będziesz się zachowywać jak ofiara, staniesz się ofiarą.

Twarz zabójcy była spokojna. Wydawał się niemal senny. Cooper przeniósł ciężar ciała, obserwując mężczyznę, wyczuwając jego następny ruch...

I nie miało to dla niego żadnego sensu. Zupełnie nic. Tak jakby ten człowiek nie miał żadnego planu, żadnych zamiarów. Był pustką.

To nie miało znaczenia. Cooper zamarkował prosty i cały impet włożył w potężny hak, wymierzony w lewą nerkę mężczyzny. Potem kolejny hak, w podbródek, by głowa odskoczyła do tyłu, odsłaniając szyję do ciosu łokciem, który zmiażdży tchawicę zabójcy.

Tyle tylko, że mężczyzna nie zareagował na zamarkowany cios i gdy Cooper wyprowadził hak, stwierdził, że zamiast w ciało trafia w ostrze noża, ustawione równolegle do kostek jego dłoni, tak że wbiło się pomiędzy drugi i trzeci palec i przecięło dłoni do połowy.

O.

*Cholera.*

Cofnął się o pół kroku, unosząc ręce do bloku. Tyle tylko, że jego prawa dłoń była krwawą miazgą, połowa jakby obwisła. Nie czuł jeszcze bólu, krawędź noża była zbyt ostra. Ogarniał go właśnie szok i przez ułamek sekundy był w stanie tylko gapić się na swoją rękę i myśleć: *Rany, jakie to dziwne.*

Twarz mężczyzny nadal była pozbawiona wyrazu, zerknął tylko błyskawicznie w bok, gdy...

*Jest odporny na twoje zdolności. Nie działają na niego.*

*Nie może być odporny. Po każdym uidać jego zamiary. Nasze ciała zdradzają nasze umysły. Ale u niego, z jakiegoś powodu, tak nie jest.*

*A to znaczy, że twoja zdolność ci nie pomoże. Ta walka nie przypomina żadnej innej w twoim życiu.*

*I na co on patrzy?*

O. Nie.

...Todd, który się zerwał i rzucił w jego stronę.

*Nie!*

Wtedy wszystko zwolniło. Nie wynikało to z jego zdolności, lecz z potężnej fali adrenaliny i przerażenia. Cooper myślał szybciej, niż był w stanie się poruszać i intensywniej, niż był w stanie znieść, usiłował samą siłą woli powstrzymać wszechświat, nie dopuścić do tego, co się działo. Jego syn z krzykiem biegł w stronę mężczyzny, który zranił jego tatę. Miał dziesięć lat i był duży jak na swój wiek, ale to był chłopiec, tylko chłopiec, chude nogi, chude ręce i dużo dobrych chęci, ale nie miał prawa robić tego, co robił, i Jezu, o Jezu, nie, tylko nie to, Cooper spróbował zablokować Todda jedną ręką, ręką wyrzuconą z całej siły, lepiej przewrócić dzieciaka do tyłu, wybić mu powietrze z płuc i może nabić siniaka niż dopuścić, by znalazł się w pobliżu tej maszyny do zabijania o pustych oczach, która w tej chwili ze straszliwą siłą wykonywała obrót, ręka do góry, wysunięty łokieć, nie, nie, nie, nie mój syn, ty sukinsynu, mnie weź, mnie, ale nie mojego chłopca...

Cios zabójcy był prosty, usztywnioną ręką, łokieć przeniósł cały impet ruchu w skroń Todda. Głowa chłopca odskoczyła zbyt mocno w bok, oczy stały się szkliste.

Cooper wrzasnął i rzucił się na zabójcę, gotów obdzierać go ze skóry, odrywać mięśnie od jego kości. Mężczyzna poruszał się, jakby miał nieskończoną ilość czasu, dokończył obrót i wbił nóż w pierś Coopera.

Wąskie chłodne ostrze rozdzieliło skórę i mięśnie, wsunęło się między żebra i przebiło serce.

Cooper wiedział, że jest już martwy.

Mimo to próbował walczyć, choć nie mógł poruszać rękami, ale to nie miało znaczenia, bo mężczyzna już się odwracał i odchodził, jego misja została wykonana, cel wyeliminowany.

Cooper osunął się na podłogę.

Nagle stała nad nim Natalie, jej twarz wypełniła całe pole widzenia, tańczące czarne punkty, dziury w jej głowie, i krzyczała coś, ale nie słyszał co, krew płynęła szybko, spływała na podłogę, gdzie upadł obok Todda, ich wspaniałego chłopca, ich syna, i to niemożliwe, żeby jego syn leżał na podłodze, żeby nie oddychał, to nie mogła być ostatnia rzecz nie mogła i zamiast tego w jego głowie pojawił się wir zieleni dzieci uczonej jego ramion gdy kręcił się z nimi na trawniku przed domem, domem w którym mieszkał z Natalie wszyscy roześmiani i świat jak wir piękny świat

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Nie chodziło o to, że Ethan był zmęczony, chociaż był, i to bardzo. Wykończony, zmaltrretowany jak zombie – znowu te zombie – z zapuchniętymi oczami, ramionami ciężkimi jak z ołowiu od niesienia Violet. Sześć kilogramów, to się wydawało niewiele, póki nie okazało się bezwładnym ciężarem niesionym przez wiele kilometrów.

I nie chodziło o ból, choć czuł dużo bólu. To było tak, jakby ktoś wbijał mu stalowe pręty w biodra i plecy. Kolano spuchło. Ale najgorsze były bose stopy. Zanim położyli się spać, Amy zdjęła skarpetki i buty, więc gdy wyszli od Jeremy'ego, dał jej swoje skarpetki i upierał się, by je włożyła. Wędrowali przez wiele godzin w ciemności, przez leżące odłogi pola i tereny parku narodowego. Jego stopy były pokaleczone i z każdym krokiem pozostawiał krwawy ślad. Drogą byłoby łatwiej, ale nie zamierzali już iść drogami.

Nie chodziło jednak o żadną z tych rzeczy. Dobijała go bezzadność. Nigdy dotąd nie czuł się tak cholernie bezużyteczny.

Violet obudziła się godzinę temu i od tego czasu nieustannie płakała. Żałosne wycie dezorientowanego, głodnego dziecka. A on nie miał nic, czym mógłby ją nakarmić.

Człowiek mierzył ze śrutówki do ludzi, których Ethan kochał, a on nie był w stanie nic na to poradzić. Chociaż miał za paskiem broń, nie potrafił nic zrobić. Jeszcze teraz żołądek ścisnął mu się na to wspomnienie. Wiedział, że postąpił inteligentnie, że to, co teraz czuje, to tylko jakieś pozostałości z czasów, gdy ludzie byli małpami, ale to nie miało znaczenia.

Miał bronić swojej rodziny, a zamiast tego przekradali się polami i nie mieli nic, ani jedzenia, ani schronienia, ani pieniędzy. Nie mieli nawet planu.

Świt nastał, gdy uciekając z płonącego miasta, wlekli się jakąś boczną drogą. Byli po prostu uchodźcami. W którymś momencie nocą musieli przekroczyć linię kwarantanny i nawet tego nie zauważyli. Jakiś czas temu widzieli w oddali helikopter, ale po prostu poleciał dalej.

Nie było to jednak zbyt miłe uczucie, kulić się pod krzakiem ze swoją rodziną i patrzeć na krążący śmigłowiec.

*Wczoraj w nocy przysięgałeś, że zrobisz wszystko, by chronić swoją rodzinę. I mówiłeś to poważnie. A więc zrób kolejny krok. I kolejny. I kolejny.*

Przełożył Violet na drugie ramię, a potem zrobił krok, i następny. Wiele następnych.

– Hej – odezwała się Amy.

Ethan tak bardzo skupiał się na tym, by patrzeć pod nogi, że był niemal zaskoczony, gdy podniósł wzrok i stwierdził, że reszta świata nie zniknęła.

– Co?

Amy wskazała ręką.

Jakieś dwieście metrów dalej, na skraju pola, stała stacja benzynowa. Cuyahoga Falls.

– Udało nam się.

Skorzystali z toalety na stacji benzynowej, by jak najlepiej się umyć. Zmyli brud z twarzy i rąk, krew z jego stóp. Przewinęli Violet, chociaż bez pieluchy, którą mogliby jej założyć, wydawało się to bez sensu. Koniec końców nawinęli kilka metrów papieru toaletowego i zrobili z niego prowizoryczną pieluchę.

Gdy Amy korzystała z łazienki, Ethan wziął córeczkę i wszedł do budynku stacji. Minimarket, tylko batoniki, napoje bezalkoholowe i najpotrzebniejsze rzeczy.

W tym pieluchy i pokarm dla niemowląt. Stał przy półce i się gapił.

Po chwili usłyszał kasznięcie. Sprzedawca opierał się o ladę i czujnie mu się przyglądał. Masywny facet z brudnymi paznokciami.

– Nie jestem złodziejem – powiedział Ethan.

– To dobrze.

– Niech pan posłucha. – Otworzył usta, próbował przywołać właściwe słowa, bardziej stosowne niż te, które mu się nasuwały. Był naukowcem, jednym z najlepszych w swojej dziedzinie. Chciały go uniwersytety i laboratoria badawcze. Był człowiekiem, który szczycił się tym, że zawsze potrafi znaleźć rozwiązanie, który wierzył, że jeśli los się odwróci, i tak zawsze jakoś sobie poradzi, będzie w stanie się utrzymać. Że znajdzie sposób.

A teraz pozostało mu tylko zebranie.

*Obiecałeś, że zrobisz uszysztko, co będzie trzeba.*

– Niech pan posłucha – powtórzył. – W nocy nas obrabowano. Mnie i mojej żonie nic nie jest, ale nasza córeczka jest bardzo głodna. – Wziął z półki tubkę mleka. – Czy byłaby możliwość...

– Przykro mi z powodu pańskich kłopotów, ale nie.

– Nie jestem włóczęgą ani nic takiego. Jestem tylko facetem, który miał pecha.

– A ja jestem facetem, który pracuje na dwie zmiany.

– Zapłacę panu. I dodam dwadzieścia dolarów, za pańską uprzejmość.

Sprzedawca ziewnął, skupił się na gazecie leżącej na ladzie.

– Ona ma trzy miesiące – powiedział Ethan. – Proszę. Niech pan będzie człowiekiem.

– Spadaj stąd, koleś – powiedział mężczyzna, nie odrywając wzroku od gazety.

*Jest inny sposób. Wciąż masz za paskiem rewolwer.*

Ta myśl wydała się tak przyjemna, że pozwolił sobie na chwilę fantazji. Jak miło byłoby patrzeć, jak twarz sprzedawcy się zmienia, gdy Ethan wyciąga broń.

Myśl była przyjemna, ale to szaleństwo. Za kilka minut znów będą mieli pieniądze. Zaopatrzą się w pieluchy i jedzenie – gdzieś indziej, na tej stacji benzynowej nie wyda ani centa – a potem wypożyczą samochód. W najgorszym wypadku wsiądą do autobusu. Być może sytuacja była dziwna i kiepska, ale teraz prawie mieli to za sobą. Ich trójka wydostała się z Cleveland, uciekli przed Gwardią Narodową, przetrwali wymierzoną w nich śrutówkę i przekroczyli granicę kwarantanny. Udało im się.

Teraz pozostawało tylko wyciągnąć gotówkę i jechać dalej.

Jego bank w Cuyahoga Falls wyglądał tak samo jak w Cleveland. Niebieskoszary dywan, biurka z imitacji drewna, kuloodporne szyby, kamera nad drzwiami skierowana w stronę bankomatów, popowa muzyka z lat osiemdziesiątych w tle. Nie wiedział, jak ludzie dają radę pracować w bankach. Nie było w tym nic złego, ale jak to możliwe, że nie wychodzili z siebie?

– W czym mogę panu pomóc? – Ton był uprzejmy, ale ostrożny, spojrzenie kobiety przebiegło po jego obszarpanym ubraniu i bosych stopach. Cieszył się, że Amy postanowiła poczekać z Violet na zewnątrz; we troje wyglądaliby jak ze zdjęcia Dorothei Lange.

– Ukradziono nam samochód – powiedział Ethan. – Dwóch mężczyzn z bronią.

– O mój Boże! – Czy kobiety się rozszerzyły. – Tutaj?

– Kilka kilometrów stąd, na drodze.

– Co powiedzieli na policji?

– Dopiero idę to zgłosić. Jest kierownik?

Kierownik był na miejscu. Jowialny mężczyzna w sztabowym garniturze, który przedstawił się jako Steve Schwarz. Zaprowadził Ethana do swojego gabinetu.

– Przykro mi słyszeć o tym, co się państwu przytrafiło. Wszystko w porządku?

– Tak – odparł Ethan. – Jesteśmy tylko w szoku. I bez grosza przy duszy. Zabrali nam wszystko. Telefony, portfele, wszystko.

– Zaraz to naprawimy. Czy otwierał pan konto w naszej placówce?

– W Cleveland.

Schwarz przekrzywił głowę.

– To stamtąd przyjechaliście?

– Nie – odparł Ethan. – Byliśmy na wakacjach.

– Zna pan swój numer konta?

Ethan opadł na krzesło po drugiej stronie biurka.

– Nigdy nie nauczyłem się go na pamięć.

– Ach! Ja też nie. To może numer ubezpieczenia społecznego?

Wyrecytował swój i Amy. Schwarz stukął na klawiaturze.

– Ponieważ nie ma pan dowodu tożsamości, będę musiał zadać kilka pytań.

– Niech pan strzela.

Przerobili numery PIN, położenie ulubionej placówki w Cleveland, ostatnie obciążenia rachunku, przybliżoną kwotę miesięcznej spłaty hipoteki. Kierownik szybko zadowolili się odpowiedziami i powiedział:

– Teraz wyrobimy państwu nowe karty debetowe. Obawiam się, że karty kredytowe będziemy mogli dosłać dopiero pocztą.

– Rozumiem. I chciałbym też podjąć trochę gotówki.

– Ile?

– Powiedzmy, jakieś pięć tysięcy.

– Żaden problem, doktorze Park. – Znów stukanie w klawiaturę. – Wie pan, miał pan szczęście.

– Jak to?

– Nie ukradli panu obrączki.

Ethan siedział na krześle i zaczynał się odprężyć. Podniósł wzrok i zobaczył, że Schwarz wpatruje się w niego pytająco. *A niech się zastanawia.*

– Chyba ma pan rację. Mieliliśmy szczęście.

Mężczyzna wyglądał, jakby chciał dodać coś jeszcze, ale wtedy zadzwonił telefon na jego biurku.

– Przepraszam – powiedział i odebrał. – Steve Schwarz, kierownik placówki.

Ethan nie słyszał, co mówił głos po drugiej stronie. Ale z pewnością było to coś, czego Schwarz się nie spodziewał. Zesztywniał, jego dłoń zaciśnęła się na słuchawce. Zerknął szybko na Ethana i zaraz odwrócił wzrok.

– Rozumiem. – A potem podał mu telefon. – To do pana.

Co u...? Ethan się rozejrzał, ściany gabinetu były ze szkła, tak że widział stąd resztę banku, wszystko wyglądało tak jak przedtem. Jednak to, co przed chwilą wydawało się pocieszające i znajome, teraz było złowrogie. Ethan przysunął telefon do ucha.

– Witam, doktorze Park. – Głos mężczyzny, gładki i pewny siebie. – Tu agent specjalny Bobby Quinn z Departamentu Analiz i Reagowania.

– Quinn? – To nie miało żadnego sensu. Tak się nazywał agent, który przyszedł do niego do domu i powiedział mu, że Abe został porwany. – Co pan... Skąd pan wie, że tu jestem?

– To nieistotne. Proszę posłuchać, doktorze. Wiem, że nie rozstaliśmy się w przyjaźni, i przepraszam za to, ale to bardzo ważne, żebyśmy porozmawiali.

– Nie rozumiem.

– Wiem i przykro mi. Wszystko wyjaśnię.

– Mam kłopoty?

– Nie, nic takiego. Potrzebujemy pańskiej pomocy, Ethan.

– W czym?

– Nie mogę o tym rozmawiać przez telefon. To sprawa bezpieczeństwa narodowego.

*Bezpieczeństwa narodowego? O czym on mówi?*

A potem: *Czy to ważne? On jest rządowym agentem, a ty amerykańskim obywatelem.*

– Kiedy?

– Po prostu proszę poczekać. Jestem w Waszyngtonie, ale zarekwiruję odrzutowiec i będę tam za dwie godziny. Jeśli pan chce, mogę przywieźć świeże ubrania i jakieś buty.

Ethan już otworzył usta, żeby mu podziękować, ale wtedy pomyślał: *buty?* Poczuł dreszcz na plecach. Odwrócił się powoli.

Kamera przy drzwiach obróciła się i teraz spoglądała w głąb gabinetu kierownika placówki.

Zza lady patrzyły na niego dwie kolejne.

Za oknem kamera na słupie telefonicznym była skierowana prosto na jego żonę i dziecko.

– Mój Boże.

– Doktorze Park, przejęliśmy kontrolę nad wszystkimi kamerami w promieniu trzystu kilometrów. Aż tak ważny jest pan w tej chwili.

– Dron – powiedział Ethan. – Gwardia Narodowa.

*Ten człowiek zadał sobie niesamowicie wiele trudu, by cię odnaleźć. Człowiek, któremu nie ufałeś, gdy spotkaliście się wcześniej; człowiek, który cię okłamał, nie chciał podać prawdziwych powodów, dla których do ciebie przyszedł.*

– Zgadza się. Zaczyna pan rozumieć.

– Nie – odparł Ethan. – Nie rozumiem. Dlaczego nie zgarnie nas miejscowa policja?

– Już mówiłem, przyjadę osobiście.

– Ale mówił pan, że jest mało czasu. A jest pan w Waszyngtonie. Dlaczego nie odbierze nas policja? – Przystawił słuchawkę do drugiego ucha. Wpatrywał się w kamerę. – To dlatego, że nie chce pan ich angażować?

Teraz myśli napływały szybko, kolejne punkty się łączyły. To prawda, minie wiele lat, nim serum stanie się publicznie dostępne. Ale działało. Mogło dawać zdolności normalnym ludziom. A to było rewolucyjne w każdym znaczeniu tego słowa. Nie tylko takim, że byliby niesamowicie bogaci; rewolucyjne również w tym sensie, że zmieniłoby świat.

*Może DAR nie chce, żeby świat się zmienił? Nie aż tak bardzo.*

– Gdyby zgarnęła nas miejscowa policja – powiedział powoli Ethan – istniałby protokół z aresztowania. Ślad. Nie wspominając już nawet o kilku gliniarzach, którzy wiedzieliby, że nas zgarnięto.



– I co to, według pana, za różnica?

– Jeśli nie będzie świadków, łatwo można sprawić, żebyśmy zniknęli.

– Zniknęli? – Agent się roześmiał. – Doktorze Park, ma pan paranoję.

– W ciągu ostatnich paru dni mój szef został porwany, moje miasto objęto kwarantanną, mój dom był obserwowany i szukały mnie wojskowe drony. Cztery razy mierzone do mnie z broni, w tym dwa razy zrobili to żołnierze, i obrabowano mnie ze wszystkiego, nawet z butów. Wczoraj w nocy widziałem, jak Gwardia Narodowa zabiła niewinnego człowieka. Gwardia, którą, jak pan przyznał, wysłano po mnie. Zaczynam myśleć, że moja paranoja na to nie wystarczy.

– Ethan, posłuchaj...

A potem skojarzył coś jeszcze. Abe. Doktor Abraham Couzen. Geniusz. Potwornie upierdliwy naukowiec, który znalazł odpowiedź na pytanie dręczące cały świat od trzydziestu lat. Pytanie, które decydowało o wszystkim i wszystko zmieniało. Które było przyczyną powstania DAR i Dzieci Darwina. A teraz Abe został uprowadzony, jego praca zaginęła, w jego laboratorium była krew.

– Agencie Quinn? – spytał Ethan. – Gdzie jest Abe?

Nastąpiła długa chwila milczenia. Gdy agent rządowy znów się odezwał, powiedział:

– Doktorze Park, co pan zamierza? Proszę tego nie robić.

Ale wtedy Ethan zdążył już upuścić telefon i rzucił się biegiem.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Nigdy nie chciał tej roboty. Szczerze mówiąc, nie chciał być nawet wiceprezydentem. Kresem politycznych ambicji Lionela Claya był senat: miejsce, gdzie mógł kształtować ustawy i narodowy dialog, gdzie silne argumenty i przekonujący głos mogły zmieniać świat tak samo jak za czasów Cyncerona w Rzymie. Za pierwszym razem, gdy Komitet Krajowy Partii Republikańskiej zwrócił się do niego z pytaniem, czy będzie pracował jako wiceprezydent Walkera, Clay uprzejmie odmówił. Henry Walker nie był w jego guście, a poza tym nie chciał aż tak skupiać na sobie uwagi. Ale oni wciąż do niego przychodzili, przynosili diagramy i statystyki. Powtarzali argumenty o tym, jakie to ważne dla społeczeństwa, jak istotna jest akademicka perspektywa, a wreszcie, co było całkowicie zgodne z prawdą, twierdzili, że to on wygrał dla Walkera całe Południe. I to zadecydowało.

Nawet gdy już się zgodził, wiedział, że przyjęcie tego stanowiska było błędem. A teraz, gdy wchodził do Gabinetu Dowodzenia, był o tym bardziej przekonany niż kiedykolwiek dotąd. Gdy wszedł, wszyscy wstali. Pokazał ręką, by usiedli.

– Co się stało?

Leahy odchrząknął.

– Panie prezydencie, mniej więcej dwadzieścia minut temu, o godzinie dziewiętej czterdzieści trzy czasu miejscowego, dokonano zamachu na Nicka Coopera w Tesli w Nowym Kanaan.

Clay właśnie siadał, ale te słowa sprawiły, że zamarł. Wziął głęboki oddech i opadł na fotel.

– Nie żyje?

– Tak, sir. Obdarzony o nazwisku Soren Johansen wszedł do restauracji, gdzie pan Cooper jadł śniadanie z rodziną, zabił dwóch ochroniarzy ubranych po cywilnemu, a potem pchnął Coopera nożem w klatkę piersiową. Ostrze przebiło lewą komorę serca. Cooper został przewieziony do Guardian General, ale po przybyciu na miejsce stwierdzono zgon.

– Co z jego rodziną?

– Jego syn, Todd, został ranny podczas zamachu. Jest w stanie krytycznym.

– A ten zabójca, Soren Johansen?

– Wciąż nie mamy jasnego obrazu sytuacji. Ale wygląda na to, że uciekł.

– O Boże. – Clay opadł na oparcie. – Jak to się stało?

Przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, generał Yuval Raz, wymienił spojrzenia z Jenem Forbusem, dyrektorem DAR. Clay westchnął w myślach. Tak wiele w polityce polegało na tym, że każdy próbował kryć własną dupę. Po chwili przemówił generał Raz.

– W tej chwili posiadamy dopiero wstępne informacje.

– Rozumiem.

– Nie przechwyciliśmy żadnych dowodów na to, że to był spisek. Jednak ten Johansen wyminał oddział ochrony dyplomatów z Epstein Industries. Dwóch zabił w restauracji, ale...

– Czy Epstein jest zamieszany w ten zamach.

– Jego ochrona co najmniej nie zdołała mu zapobiec.

– To może wynikać z natury naszego zabójcy – wtrącił Forbus. – Zdolności Sorena Johansena są temporalne, jego czas zerowy wynosi 11,2. To bardzo niezwykle współczynnik. Oznacza to, że to, czego my doświadczamy jako jednej sekundy, on postrzega jako trochę ponad jedenaście sekund. Przy takiej różnicy istnieje możliwość, że po prostu miał dość czasu, by to wszystko zrobić.

– Skąd to wiemy? – zapytał Clay.

– Wychował się w akademii. W Hawkesdown.

– Akademia Hawkesdown? – Clay splótł palce. – Ta sama, w której wychował się John Smith.

– Tak, sir. I Johansen przebywał tam w tym samym czasie, choć Smith jest od niego dwa lata starszy. Jednak po ukończeniu akademii Soren zniknął. Jeśli jest zaangażowany politycznie, to musiał nie rzucać się w oczy. Nie ma żadnych dowodów, które łączyłyby tych dwóch ze sobą. Ale przecucie mi podpowiada, że John Smith jest w to zamieszany.

– Panie prezydencie – odezwał się Leahy – chcielibyśmy zatrzymać i przesłuchać Johna Smitha.

Do rozmowy włączyła się Marla Keevers, która do tej pory milczała:

– To będzie polityczny koszmar. Zdobył ogromną popularność po ujawnieniu materiałów związanych z Monocle. Występuje w talk-show, wygłasza przemówienia. Jego książka przez wiele tygodni była bestsellerem „New York Timesa”. Aresztowanie go będzie miało poważne konsekwencje.

– To już nie ma znaczenia – stwierdził Leahy.

Clay przyglądał mu się uważnie. Leahy był byłym żołnierzem. Przez ostatnie trzydzieści lat pracował w wywiadzie i był poważnym kandydatem na szefa CIA, nim został sekretarzem obrony. Powiedzieć, że jego CV przygotowało go, by patrzeć na świat w sposób militarystyczny, byłoby ogromnym niedopowiedzeniem.

*Ale to nie znaczy, że się myli. Bądź co bądź Owen był przeciwny wysyłaniu tam Coopera.*

– Zatrzymać Johna Smitha – polecił.

Leahy kiwnął głową generałowi Razowi, ten sięgnął po telefon i zaczął cicho mówić coś do słuchawki.

– Poza tym, sir, musimy przygotować reakcję militarną wymierzoną w Nowe Kanaan.  
– Dlaczego? Skoro myślimy, że to Smith...  
– Cooper był ambasadorem Stanów Zjednoczonych. Zamach na niego musi być traktowany jako akt wojenny.

– Co mówi Epstein?

Leahy rozejrzał się po siedzących przy stole.

– Sir, nie byliśmy w stanie się z nim skontaktować.

– Że co proszę?

– Możliwe, że to dlatego, że wszystko dzieje się tak szybko. Ale istnieją tylko dwie możliwości. Albo Epstein i Nowe Kanaan są terrorystami, albo ich rząd – to ostatnie słowo Leahy wypowiedział z wyraźnym niesmakiem – aż się nad nich roi. Tak czy inaczej, amerykański doradca został zamordowany w trakcie misji dyplomatycznej w okresie bezprecedensowych niepokojów społecznych. W trzech miastach obowiązuje stan wojenny, brakuje żywności i prądu. Nie możemy pozwolić sobie na to, by zastanawiać się nad różnymi opcjami. – Leahy przerwał na chwilę. – Sir, zalecamy, by zarządził pan przygotowania do operacji militarnych na pełną skalę, mających na celu zajęcie Nowego Kanaan.

Clay zerknął na Marłę. Wzruszyła ramionami.

– Ludzie są przerażeni – powiedziała. – Wezwanie kawalerii pokazuje, że rząd Stanów Zjednoczonych wciąż panuje nad sytuacją.

– Generale Raz, jak wyglądałaby taka inwazja?

– Ustanowilibyśmy supremację w powietrzu przy użyciu F27 Wyvern operujących z bazy lotniczej Ellsworth. Uziemilibyśmy wszelkie loty w tym rejonie, prócz pomocy humanitarnej. Potem jednostki Czwartej Dywizji Piechoty, Pierwszej Dywizji Pancernej i Sto Pierwszej Powietrznodesantowej przejęłyby Gillette, Shoshoni i Rawlins, miejsca wjazdu do Nowego Kanaan, i w ten sposób by je odcięły.

– Jakie siły byłyby zaangażowane?

– Około siedemdziesięciu pięciu tysięcy.

– Siedemdziesiąt pięć tysięcy? To prawie tyle co cała populacja Nowego Kanaan.

– Tak, sir. To ważne, byśmy użyli przeważających sił. Nie proponujemy im uczciwej walki – odparł generał. – Chcemy zademonstrować, że możemy ich zniszczyć. Dzięki temu myśl o stawianiu oporu staje się absurdem. W ostatecznym rozrachunku ocali to życie ludziom po obu stronach.

Kilkanaście osób wpatrywało się w niego. Mężczyźni i kobiety w mundurach ciężkich od medali, dowódcy wszelkich rodzajów wojsk i szefowie wywiadu. Lionel Clay szczył się tym, że żył honorowo. Był nauczycielem i przywódcą. Ale nigdy nie był żołnierzem.

*I, mój Boże, nigdy nie chciałem być człowiekiem podejmującym tę decyzję.*

– Mówi pan o operacji militarnej wymierzonej w amerykańskich obywateli.

– Mówimy o przygotowaniu takiej operacji – odezwał się sekretarz Leahy. – O przesunięciu wojsk na pozycje. Ma to przypomnieć naszym wrogom, że będą musieli stawić czoło połączonym siłom największej potęgi militarnej, jaką świat kiedykolwiek widział.

– Do czego to ma prowadzić?

– Sir?

– Jeśli wydam rozkaz do ataku. Co się stanie, gdy już przejdziemy Nowe Kanaan?

Leahy rozejrzał się po zgromadzonych.

– To zależy od pana, panie prezydencie. Zalecamy jednak, by wszyscy przywódcy oraz obdarzeni pierwszym i drugim poziomem zostali tymczasowo osadzeni w obozach dla internowanych. Samo Nowe Kanaan powinno zostać ewakuowane i zniszczone.

Jak to powiedział Cooper?

*Wiedział pan, że ktoś tu będzie namawiał pana do rozpoczęcia wojny domowej. A pan nie był pewny, czy będzie pan na tyle silny, by powiedzieć „nie”.*

Druga wojna domowa, tylko że tym razem nie między stanami, lecz między większością a mniejszością. Ze wszystkimi potencjalnymi okropnościami, z jakimi się to wiązało, aż po całkiem prawdopodobne ludobójstwo.

– Sir, nie musi pan jeszcze podejmować decyzji o ataku. Ale przemieszczenie wojsk na pozycje daje nam taką możliwość, a równocześnie jest przesłaniem dla wroga i uspokoi społeczeństwo.

Uderzyła go pewna myśl. Mógł po prostu wstać i wyjść z tego pokoju. A potem z budynku. Mógł pójść na róg, zatrzymać taksówkę, pojechać na lotnisko i kupić bilet na lot do Columbii. Mógł po prostu to rzucić i wrócić do domu. To była tylko absurdalna fantazja. Ale kusząca.

Lionel Clay wpatrywał się w stół. Rozczapierzył palce na wypolerowanym drewnie.

– Dyktatorzy jeżdżą na grzbietach tygrysów, z których lękają się zejść choćby na chwileczkę.

A tygrysy są coraz bardziej głodne.

– Winston Churchill – powiedział Leahy. – Ale nie jesteśmy dyktatorami.

– Ciekawe, czy historia się z panem zgodzi.

– Panie prezydencie?

– Proszę wydać rozkaz przemieszczenia wojsk do Wyomingu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Dobiegł sprintem do przedsionka, adrenalina tłumiła ból w poranionych stopach. Wypadł na parking. Zobaczył, że żona gapi się na niego.

– Ethan?

– Uciekaj!

W jej oczach zobaczył tysiąc pytań, ale nie zadała żadnego i rzuciła się biegiem, przyciskając do piersi córeczkę. Z parkingu wypadli na chodnik, i pobiegli na północ, wybierając kierunek na chybił trafił. Cuyahoga Falls było jednym wielkim centrum handlowym, miastem sponsorowanym przez wielkie sieci. Przed nimi drogeria, po lewej restauracja, obie z dobrze znanymi logo. State Street miała cztery pasma, z obustronnym ruchem. Ani śladu policji, ale na to nie trzeba będzie długo czekać.

Ethan w biegu liczył kamery. Były wszędzie. Kamery na światłach, kamery na parkingach, kamery na rogach budynków. Nigdy nie zdawał sobie sprawy, że jest ich tak wiele.

Wszystkie wycelowane w jego rodzinę.

Gdy biegli, każda z nich obracała się, by ich śledzić. Poczł dreszcz na plecach.

– Ethan – wydyszała Amy – dlaczego my...

– Zaufaj mi.

Kiwnęła głową i dalej biegli na północ. Upłynie co najmniej pięć minut, nim DAR skontaktuje się z miejscową policją. Ktoś będzie musiał nadużyć swojego stanowiska, powiedzieć im, że zbiegł – *O Boże, jesteśmy zbiegami* – ucieka State Street. Kolejna minuta albo dwie, nim dotrze tu radiowóz.

Ale mimo wszystko, jak daleko uda im się dotrzeć? I jakie to ma znaczenie, skoro śledzą ich kamery?

– Tędy! – Skręcił w boczną uliczkę.

Oddychał szybko, a każdy krok wstrząsał całym ciałem. Minęli szeroki parking, uniknęli zderzenia z dwójką dzieciaków na deskorolkach. Kolejna przecznica i znaleźli się w dzielnicy małych domków, przytulonych do siebie bungalówów. Żółto-brązowe trawniki i spłowiałe amerykańskie flagi. Za płotem zaszczekał pies. Ethan na chybił trafił skręcił w prawo, dobiegł do kolejnego skrzyżowania, skręcił w lewo; zagłębiali się w osiedle. Nie można powiedzieć, by byli bezpieczni, ale

tu przynajmniej nie było kamer.

– Muszę przystanąć – powiedziała Amy.

Była blada, w ramionach ścisnęła Violet. Córeczka krzyczała, co prawda niezbyt głośno, ale jej żalony płacz przenikał go do szpiku kości. Kiwnął głową, przeszedł w szybki marsz.

– Co się dzieje?

– Amy, wiem, że to zabrzmiało jak jakieś szaleństwo, ale myślę, że DAR próbuje nas aresztować z powodu mojej pracy.

– Masz rację. To jakieś szaleństwo.

– Naprawdę? A pamiętasz tego drona, Gwardię Narodową?

– Tak, ale... Daj spokój.

– Gdy byłem w banku, zadzwonił telefon. To był Quinn, ten agent, który przyszedł do nas do domu. Obserwował mnie przez kamerę. – Odwrócił się, by na nią spojrzeć. – Dlaczego miałby to robić?

Minęli szereg domów z cegły. Im bardziej oddalali się od centrum miasta, tym trawniki były większe. Niedługo dotrą do pól golfowych i do lasu. Puste pola. Skrzywił się na tę myśl. Stopy znów krwawiły.

Po długiej chwili milczenia Amy powiedziała:

– Wiesz, przez ponad rok szanowałem to, że przestrzegasz umowy zobowiązującej cię do zachowania tajemnicy. Myślałam, że to trochę głupie, że to przesada, ale dla ciebie to było ważne, więc się na to godziłam. Ale najwyższa pora, żebyś mi powiedział, nad czym pracujecie z Abe'em.

Spojrzał na nią. Od początku dręczyło go to, że nie mógł opowiedzieć jej o projekcie, nie mógł podzielić się z własną żoną tym, że odniёsi sukces. Abe dał mu to jednak bardzo jasno do zrozumienia: nikt nie mógł się dowiedzieć, absolutnie nikt. Każdy, kto złamał tę klauzulę, był spalony. Wywalony z roboty, pozbawiony praw patentowych, wciągnięty na czarną listę, załatwiony.

Ethan uważał, że szef ma paranoję, ale zgodził się dla świętego spokoju. Jeśli taka była cena pracy w prywatnym laboratorium o nieograniczonych funduszach, razem z największym geniuszem w tej dziedzinie, to cóż, był gotów ją zapłacić. Teraz zaczynał się zastanawiać.

*Co, jeśli DAR dowiedział się dlatego, bo ktoś powiedział żonie?*

*I czy w ogóle cię to jeszcze obchodzi?*

– Doszliśmy do tego, jak zmieniać normalnych w obdarzonych.

Zatrzymała się gwałtownie, jakby wpadła na ścianę. Wpatrywała się w niego.

– Żartujesz sobie?

– Nie. I DAR nie chce do tego dopuścić. Myślę, że porwali Abe'a, a teraz ścigają nas.

– No to... co zrobimy?

Pytanie za miliard dolarów.

I wtedy Ethan zobaczył odpowiedź.

– Poczekaj tutaj.

Gdy wszedł do środka, rozległa się melodyjka. Batoniki, napoje bezalkoholowe i najpotrzebniejsze rzeczy. To samo co wcześniej. Ethan wszedł między regały, zgarnął trzy opakowania pieluch i jedyne dwie zgrzewki z mlekiem dla niemowląt. Położył je na ladzie. Sprzedawca spojrzał na niego, przecesał włosy palcami. Przetrąszone kosmyki opadły mu na szyję.

– To znówu ty?

Ethan odwrócił się i znów wszedł między regały. Latarka i opakowanie baterii. Całe suszone mięso, jakie było. Plastry i ibuprofen. Dorzucił je do sterty na ladzie.

– Daj spokój, człowieku – powiedział sprzedawca.

Opakowanie snickersów.

Karton jajek i dwa galony mleka.

Osiem litrowych butelek wody źródlanej.

Cztery zapalniczki z wystawy przy kasie.

Rolka taśmy klejącej.

– Koles, będę musiał to wszystko z powrotem odkładać.

– Nie, nie będziesz musiał. Zapakuj to.

– Dobra. Chcesz tak? – Sprzedawca sięgnął po telefon. – To dzwonię po gliny.

– Nie martw się – powiedział Ethan. – Już wychodzę. Jeszcze tylko jedno pytanie.

Mężczyzna gapił się na niego zmęczonym wzrokiem kogoś, kto właśnie został poproszony o jałmużnę.

– Tak?

Ethan sięgnął za pasek i wyciągnął rewolwer. Uniósł broń i wycelował w sprzedawcę. Patrzył, jak mina mężczyzny się zmienia, dokładnie tak, jak to sobie wcześniej wyobrażał. I było to dokładnie tak przyjemne, jak przypuszczał.

– Jaki masz samochód?



Precision Aerospace Industries™, wiodący światowy producent pocisków dla różnych platform, z dumą przedstawia:

# Avenger (BGM-117)

**Stworzony i zaprojektowany  
przez obdarzonych wyszkolonych  
w akademiach Avenger jest:**

## **SZYBKI**

Pierwszy wieloplatformowy pocisk osiągający prędkości naddźwiękowe do 5,3 macha, czyli ponad 6,5 tys. kilometrów na godzinę.

## **NIEWYKRYWALNY**

Nasza technologia stealth następnej generacji zapewnia niewidzialność dla systemów wczesnego ostrzegania.

## **NIEPOWSTRZYMANY**

Zintegrowane urządzenia elektroniczne wykazują 97,8 procent skuteczności przeciw systemom obrony.

## **ELASTYCZNY**

Zdolny do przenoszenia ładunków konwencjonalnych lub nuklearnych Avenger uderzy tak mocno, jak tego zapragniesz.

# Pocisk Avenger

*Zemsta należy do ciebie.*



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Powietrze było chłodne i słabo pachniało amoniakiem.

Słyszał dźwięki. Zdał sobie sprawę, że słyszał je już od jakiegoś czasu, choć do tej pory sobie tego nie uświadamiał. Po prostu dryfował unoszony ich prądami. Szum i elektroniczne sygnały.

Otworzył oczy. Światło. Bolesne, najczystsza biel, żadnych kształtów, żadnych form, światło jak perłowe wrota, jak to, co jest na końcu tunelu.

Czy to niebo?

Przed oczami przemknął mu obraz. Twarz Todda, zaledwie kilkanaście centymetrów od niego, puste, gasnące spojrzenie.

Piekło.

Cooper jęknął i usiadł. Świat się zakotłosał i zawirował. Nick wyciągnął rękę, by się podeprzeć, uderzył o coś prawą dłońią. Poruszył się niezdarnie, przeszył go ból, osunął się w to dziwne uczucie po silnej narkozie, przebił się przez nie. Świat wibrował od przeszywającego bólu. Nie istniało nic prócz pulsowania.

Oddychaj, po prostu oddychaj. To minie.

Powoli jego pole widzenia znów się poszerzyło. Pomieszczenie, ostre światło, twarde powierzchnie i brzydkie krzesło. Był na łóżku, wysokim, z barierką. Jego prawa ręka była cała w bandażach, do jego ciała były podłączone kroplówki, a do jego piersi biegł jakiś kabel.

A więc to była prawda. To się wydarzyło. Mężczyzna zjawił się znikąd, demon w ludzkiej postaci. Zabił ochroniarzy i pchnął Coopera nożem w pierś – śmiertelna rana, bez żadnych wątpliwości, więc jak to możliwe, że żyje? – i co gorsze, co najgorsze, uderzył...

*Głowa Todda odskoczyła zbyt mocno w bok, oczy stały się szkliste.*

Cooper gwałtownie wciągnął powietrze, z jego gardła wyrwał się rozdzierający szloch. Wyciągnął prawą rękę, przypomniał sobie o bandażach, chwycił wenflony lewą, zaczął je wyciągać. Potem kabel wchodzący w jego pierś. Gdy się wysuwał, uczucie było dziwne, naprawdę paskudne. Na końcu były pająkowate, mechaniczne ramiona, nie grubsze niż nić; lśniły i drgały. Poczuł, że zaraz zwymiotuje. Zapanował nad tym. Elektroniczne sygnały przeszły w sygnał ciągły. Obrócił się, odurzony i zaplątany w pościel. Udało mu się opuścić z łóżka jedną nogę, potem drugą. Wstał,

zachwiał się.

Drzwi się otworzyły. Wbiegła kobieta w zielonym kitlu.

– Co pan...

Cooper chwiejnie ruszył do przodu, chwycił lewą ręką ramię kobiety.

– Mój syn.

– Musi pan wracać do łóżka.

– Mój syn! Gdzie jest mój syn?

Drzwi były otwarte, za nimi korytarz. Cooper pchnął pielęgniarkę. Ledwie trzymał się na nogach. To był szpital, tak, ale niepodobny do żadnego, jakie dotąd widział, korytarz był za ładny i za krótki, tylko kilkoro drzwi, żadnej dyżurki pielęgniarek, mały stolik z kwiatami, krzesło. Kobieta w kitlu była za nim, próbowała chwycić go za ramiona, lecz Cooper strząsnął jej ręce i otworzył kolejne drzwi.

Inny pokój, podobny do tego, z którego właśnie wyszedł. Twarde powierzchnie, jaskrawe światło, piszcząca elektronika. Kobieta stojąca przy łóżku odwróciła się, gdy wszedł. Natalie, jej oczy zaczerwienione, policzki mokre od łez, a w łóżku...

W łóżku jego syn.

– Nick? – powiedziała Natalie.

W tym jednym słowie było tak wiele. W pierwszej chwili zaskoczenie; potrafił to sobie wyobrazić z jej perspektywy: drzwi otwierają się głośno i wpada jakiś szaleniec w szpitalnej pidżamie. Potem radość na jego widok, bo wciąż żyje. Ale wszystko to tłumił lęk, lęk o ich syna, lęk, że bogowie na to patrzą, i najłżejsze nawet uczucie szczęścia to kuszenie losu. A potem, jako ostatnie, pytania, te same, jakie zadaje każdy rodzic stojący nad szpitalnym łóżkiem, w którym leży jego dziecko:

*Jak do tego doszło?*

*To chyba nie może się dzieć naprawdę?*

*Weźmiesz mnie zamiast niego?*

Podszedł i wziął ją w ramiona, przycisnął do siebie jej szczupłe ciało, przylgnęli do siebie, jakby walczyli z grawitacją. Drżała, przytuliła mokrą twarz do jego szyi.

– Czy on... czy on...

– Nie wiem, nie wiem, oni nie wiedzą.

Te słowa zaboląły bardziej niż nóż wbity w ciało. Wtulili się w siebie. Pielęgniarka za jego plecami otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

Po długiej chwili wypuścił Natalie z objęć.

– Powiedz mi.

Otarła oczy. Gdy się odezwała, słyszał drżenie w jej głosie.

– Jest w śpiączce. Miał krwotok wewnętrzny.

– Wiedzą, kiedy się obudzi?

Pokręciła głową.

– Nie są pewni, czy w ogóle się obudzi. Ani czy... czy...

Zamknął oczy, zacisnął je mocno.

– Panie Cooper, proszę – odezwała się pielęgniarka.

Zignorował ją, ruszył naprzód. Todd wydawał się malarz w wielkim szpitalnym łóżku, jego szczupłe ręce niknęły pod pościelą. Wzdłuż rąk wily się rurki. Miał zabandażowaną głowę, z jednej strony ogoloną. Toddowi to by się nie spodobało, dziwaczna fryzura, martwiłby się, co powiedzą inne dzieci.

Cooper ujął dłoń syna w obie ręce, fizyczny ból, który przeszył prawą był niczym, w porównaniu z tym wyciem, które w sobie stłumił. Potem coś do niego dotarło.

– Chwileczkę. A gdzie jest Kate? Czy ona...

– Nic jej się nie stało. Wreszcie zasnęła.

– Wreszcie? – Oczywiście. Ten kabel w jego piersi, skomplikowany opatrunek na rękę, uczucie odurzenia. Spojrzał na zegar na stoliku przy łóżku, zobaczył, że jest piąta rano. Dwadzieścia godzin od zamachu. – Złapali go?

Natalie pokręciła głową.

– Panie Cooper, to cud, że pan w ogóle żyje – odezwała się pielęgniarka. – Lewa komora pańskiego serca była właściwie otwarta. Operacja, która uratowała panu życie, była bardziej niż radykalna. Musi pan wracać do łóżka.

– Nie.

– Sir...

– Nie zostawię mojego syna.

Nastąpiła długa chwila milczenia, a potem rozległo się skrzypienie. Kobieta przysunęła stojące pod ścianą krzesło.

– Niech pan przynajmniej usiądzie. Proszę!

Usiadł, nie odrywając oczu od Todda. Natalie stała obok niego, jedną rękę oparła na jego ramieniu, drugą dotknęła ramienia syna.

Urządzenia szumiały i piszczały.

Wyczuł ich, jeszcze zanim ich usłyszał. Znajome uczucie laskotania, jego umysł, nieubłagane wychwytyjący wzorzec, choć patrzył tylko, jak unosi się i opada pierś jego syna, a myśli, kruche i wyschnięte jak jesienne liście, zataczały bezsensowne kręgi. Modlitwy, układy i groźby, ale gdzieś pod tym wszystkim – i nienawidził się za to – jego mózg wyszukujący wzorce.

Po chwili usłyszał niemal nieuchwytnie dźwięki wydawane przez elitarną ochronę, buty na gumowych podeszwach, wyszkolony głos, niejasno znajomy; Patricia Ariel, dyrektor do spraw

komunikacji Nowego Kanaan. Ściszony, czolobitny pomruk niewidocznego personelu. A wreszcie dwie pary obuwia: stukanie włoskich półbutów i piszczące podeszwy trampek. Słyszał, jak idą korytarzem, słyszał, jak wchodzi do pokoju i zatrzymują się.

Cooper się nie odwrócił, rzucił tylko:

– Dajcie mi jeden dobry powód, żebym nie skreślił wam obu karków.

– Twój syn.

Zerwał się i spojrzał na Erika i Jakoba Epsteinów.

– Grozicie...

– Nie – zapewnił Jakob, unosząc ręce. – Nie grozimy. Ale mamy tu najbardziej zaawansowaną medycynę na świecie.

– Nick, uspokój się – powiedziała Natalie.

– Uspokoić się? Ja was tu sprowadziłem. Powierzyłem bezpieczeństwo naszej rodziny tym dwóm. A jakiś dupek wparadował tam i... – Zobaczył, jak łokieć mężczyzny wbija się w skroń Todda. Zatkalo go. – Nie wydaje mi się, żebym szybko się uspokoił.

– To dobrze – stwierdził Erik. – Kiedy jesteś wściekły, masz lepszą skuteczność. – Wyciągnął z kieszeni tablet i strzepnął nadgarstkiem, by go rozprostować. Na ekranie pojawiło się zdjęcie, nijaki mężczyzna o zapadłych policzkach i martwych oczach. – Soren Johansen, talent temporalny pierwszego poziomu.

– ...co wyjaśnia, w jaki sposób tam wparadował – dodał Jakob. – Ciekawostka: John Smith powiedział kiedyś, że Soren jest jedynym człowiekiem, jakiego spotkał, który naprawdę go rozumie. Na tym tablecie jest wszystko, co o nim mamy, w tym również wszystko, co ma o nim DAR. Oczywiście ścigamy go, podobnie jak twój rząd. Ale pomyśleliśmy, że ty także chciałbyś mieć te informacje.

Cooper złożył tablet i wepchnął do kieszeni. Nie podziękował i nie zamierzał tego robić.

– Jeśli chodzi o twojego syna, na pewno rozmawiałeś z lekarzami. Nie będę powtarzał tego, co już wiesz. Powiem ci tylko, że w żadnym innym miejscu na świecie ludzie nie potrafią robić takich rzeczy, jakie umiemy robić tutaj. A twój syn trafił tu w o wiele lepszym stanie niż ty. Bądź co bądź on żył.

Cooper szykował się już, by coś odpowiedzieć, ale słowa zamarły mu na ustach.

– Co?

– Rzeczywisty czas, jaki upłynął od chwili, gdy Soren uderzył Todda, do chwili, gdy dźgnął ciebie, wyniósł zero sekund i sześćdziesiąt trzy setne – powiedział Erik. – Przy czasie zerowym jedenaście i dwie dziesiąte oznacza to, że miał siedem tysięcy pięćdziesiąt sześć sekund, by precyzyjnie wymierzyć cios. Rana, którą zadał, była idealna. Otworzył ci lewą komorę serca. Śmierć nastąpiła niemal natychmiast.

– Chcesz powiedzieć... – Cooper rozejrzał się. – Co? Byłem martwy, a wy sprowadziliście mnie z powrotem?

– Nick, to prawda – odezwała się Natalie.

Odwrócił się do niej.

– Tak?

Kiwnęła głową.

– Patrzyłam, jak umierasz. – Jak większość tego, co mówiła Natalie, to stwierdzenie było brutalne i bezpośrednie. Nie bawiła się w żadne gierki, nie ściemniała, nie miała ukrytych planów. Co nie znaczyło, że w tym prostym zdaniu nie kryło się wiele znaczeń. Prócz stwierdzenia faktu usłyszał w nim ból, utratę, żal oraz nadzieję i radość z jego niemożliwego powrotu. Ciągnęła: – To nie jest szpital. To ich tajna, prywatna klinika.

– Życie w miejscu, gdzie jest więcej obdarzonych niż gdziekolwiek indziej, ma swoje korzyści – stwierdził Jakob. – Zwłaszcza jeśli się tym kieruje i ma się gdzieś politykę Amerykańskiej Agencji ds. Żywności i Leków i komisje etyki.

– Po śmierci największym zagrożeniem jest uszkodzenie komórek z powodu braku tlenu – odezwał się Erik. – Rozwiązanie jest oczywiste: zredukować zapotrzebowanie metaboliczne tak, by było bliskie zeru, wprowadzić pacjenta w stan zawieszenia. Naprawa uszkodzeń jest kwestią inżynierii tkankowej z zastosowaniem komórek macierzystych pochodzących z tkanki tłuszczowej.

– Chcesz powiedzieć, że mam... – Spojrzał na swoją pierś i dopiero wtedy sobie przypomniał, że ma na sobie szpitalną pidżamę. Niech to szlag. Trudno wyglądać godnie w czymś takim. Odchylił ją lekko pod szyją. Z nabrzmiałej blizny pośrodku jego piersi wystawał mały dren. Po tym, jak Cooper wyciągnął kabel, wyciekł z niego płyn. Przypomniał sobie robotyczne ramiona i natychmiast ogarnęła go panika. Poczuł się jak ktoś, kto jest zbyt głęboko pod wodą i brakuje mu powietrza. Wziął oddech, potem kolejny. – Co? Sztuczne serce?

– Oczywiście, że nie – odparł Jakob. – Wydaje ci się, że co, wciąż mamy tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty? Masz własne serce. Nie musieli cię nawet otwierać. Nasi lekarze wykorzystali ranę jako punkt wejścia, wstrzyknęli ci twoje własne komórki macierzyste, by zasklepiły dziurę w lewej komorze. Jakby łatali dziurawą oponę.

– Ale... próbowano tego w Johns Hopkins, w Mayo. Nigdy nie udało im się sprawić, żeby komórki...

– To nie jest Johns Hopkins – warknął Erik. – To coś nowego. Wasze zasady tu nie obowiązują.

Cooper zeszytniał. Nabrał nawyku, by myśleć o Eriku jako o uroczym dumniu, a o Jakobie jako człowieku mającym prawdziwą władzę, choć w rzeczywistości było na odwrót. Jakob był elokwentnym i bystrym facetem, ale wszystko wokół nich, w tym tajna klinika, która przywróciła go do życia, zaczynało się i kończyło na Eriku.

*A teraz życie twojego syna jest w jego rękach.*

– Muszę porozmawiać z prezydentem – wycedził Cooper.

– Wkrótce po tym, jak prezydent Clay dowiedział się o zamachu na twoje życie, rozkazał przenieść wojska do Wyomingu – powiedział Jakob. – Przejeli miasta Gillette, Shoshoni i Rawlins, skutecznie odcinając Nowe Kanaan. Lotnictwo patroluje niebo nad wszystkimi miastami. W akcję zaangażowanych jest ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy wszystkich typów wojsk.

– Siedemdziesiąt pięć tysięcy? – Cooper potarł oczy. – Ale gdy tylko prezydent dowie się, że żyję...

– I tak będzie musiał dalej działać w ten sam sposób. – Jakob pokręcił głową. – Clay nie ma wyboru.

– Ciemne chmury – powiedział Erik. – Drapieżne ptaki. Potężne wektory. Przerażeni ludzie pragną działań bardziej niż właściwych działań. To mówią dane. Clay nie ma wyboru.

– Dlaczego wciąż mnie okłamujecie? – spytał Cooper. Erik nie spodziewał się tego pytania. Zaskoczyło go to, więc Cooper zaraz po tym haku wyprowadził prosty. – Wiem, że odkryliście genetyczny mechanizm, który decyduje o rozwoju ponadprzeciętnych zdolności. Że nawet opracowaliście serum, które może dać zdolności normalnym ludziom.

– Co? – spytała Natalie. Wpatrywała się w Todda, ale słowa Coopera sprawiły, że odwróciła wzrok. – To prawda?

Nick patrzył na Epsteinów. Po chwili Jakob kiwnął głową.

– Wiele rzeczy trzeba dopracować, ale to działa.

– To jest prawdziwą ochroną Nowego Kanaan – powiedział Cooper. – Nie to, że zabiję Johna Smitha, ani suwerenność, ani ich miliardy. A więc pytam jeszcze raz: dlaczego mnie okłamujecie?

– Co macz na myśli?

– Mówicie, że ludzie są przerażeni, że Clay nie ma wyboru, ale nie wspominacie nic o tym, że macie magiczny eliksir, który zmieni świat. Większość normalnych nie chce wojny; są po prostu przerażeni, że spycha się ich na margines historii. Ten eliksir to zmieni, a przynajmniej da im wybór. Więc musicie tylko... – Urwał, bo uderzyło go, że...

*Jakob skrzyżował ręce na piersi; Erik zagryza wargę, negatywne reakcje. Dlaczego?*

*Nie mogą liczyć na zyski finansowe; mają więcej pieniędzy niż ktokolwiek na świecie.*

*Poza tym czeka ich atak na potężną skalę. Jedynie ujawnienie prawdy o serum mogłoby zapobiec zniszczeniu Nowego Kanaan. Nie wspominając już nawet o powstrzymaniu wojny domowej.*

*A jednak ich reakcje są negatywne.*

*...coś musiało mu umknąć.*

– Chwileczkę. Gdy rozmawialiśmy wczoraj, mówiłeś, że nie ma dość czasu. Miałeś na myśli serum, prawda? Nawet wasze negocjacje w sprawie suwerenności były tylko zagrywką, która miała kupić



wam więcej czasu. – Patrzył to na jednego brata, to na drugiego. Obaj byli bystrzy, obaj chcieli dobrze. Ich trójka była w jakiś sposób odpowiedzialna za uratowanie świata i nie miało już znaczenia, jak do tego doszło, bo jego talent już go wyprzedził, odpowiedział mu na pytanie. – A to znaczy – potarł czoło – że nie macie tego serum, prawda?

– Naukowiec, który je opracował, jest trudnym człowiekiem – stwierdził Jakob. – Doktor Couzen zgodził się przyjąć nasze finansowanie wyłącznie pod warunkiem, że będzie miał kompletną autonomię. Przesyłał nam raporty o postępie prac, wyniki badań, ale nigdy nie udostępnił nam samej formuły.

– No i?

– Doktor Couzen został porwany tydzień temu – powiedział Jakob.

– Przez DAR – dodał Erik. – Twój rząd dąży do wojny.

---

*Rewolucja? Jesteś idiotą. Nie wiesz nawet, co to słowo oznacza. Zapomnij o swoim ukochanym Mao, o Che i Fidelu. Może pojawiają się na T-shirtach, ale głównie zmienili.*

*Jeśli pragniesz rewolucji, spójrz na Alexandra Fleminga. Penicylina zmieniła świat w sposób, o którym Lenin czy Waszyngton mogli tylko marzyć.*

*A teraz siadaj i zamknij się, ty przemądrzały smarkaczu. To zabawa dla dorosłych.*

DR ABRAHAM COUZEN, W ODPOWIEDZI NA PYTANIE STUDENTA PODCZAS KONFERENCJI „CO BĘDZIE NASTĘPNE PO TYM, CO NASTĄPI: PRZYSZŁOŚĆ FUTURYZMU”, UNIWERSYTET HARVARDA, MAJ 2013

---

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Staw był płytki, jego brzegi porastał zwiędły tatarak o połamanych łodygach. W gładkiej tafli wody odbijało się zamglone listopadowe niebo. Powietrze było rześkie, pachniało sosną i zapowiedzią śniegów, które przyniesie zima.

W oddali przetoczył się stłumiony huk. Śrutówka jakiegoś myśliwego. Ethan usiłował nie dopatrywać się w tym złej wróżby.

– Jak myślisz, pyzatku? Ładne, co? – Córeczka zmrużyła oczy i machnęła rączką. Naukowiec w nim wyobraził sobie naukowca w niej; czasem patrzył na Violet jak na małą istotkę w kokpicie pojazdu, którego nie rozumiała. Pulpit pełen tarcz, przełączników i galek i żadnej instrukcji obsługi. Nie pozostawało nic innego, tylko wciskać i przekręcać na chybił trafił, i patrzeć, co się stanie. *Wciśnij ten przycisk, a wtedy wysunie się ta część. Interesujące.*

– Zimno jej – powiedziała Amy.

Ethan podskoczył. Odezwiała się do niego po raz pierwszy od jakichś dwudziestu czterech godzin, i choć był pewien, że córeczce jest ciepło pod kocykiem, którym ją owinął, kiwnął głową, otulił ją szczelniej i zawrócił w stronę chaty.

Żona wciąż była na niego wkurzona. Nie miał jej tego za złe.

Wczoraj, gdy już zabrał sprzedawcy kluczyki i skrupował mu taśmą ręce i nogi, wyniósł torby ze stacji benzynowej. Amy patrzyła na niego zdezorientowana, gdy prowadził ją na tyły budynku, do zaparkowanego tam zdezelowanego pick-upa. Wrzucił torby na tył, obok podniszczzonej skrzynki z narzędziami.

– Co to jest?

– Nasz nowy samochód. No chodź.

– Ethan, co ty...

– To, co musiałem. Proszę, Amy, zaufaj mi.

Podeszła do samochodu i powiedziała:

– Nie ma fotelika dla dziecka.

– Nie jedziemy daleko.

Wpatrywała się w niego i to była jedna z tych chwil, gdy zdawał sobie sprawę, jak bardzo dziecko

wszystko zmienia. Stać się uchodźcą i uciec z miasta? Była na to gotowa. Uwierzyć mu, że muszą uciekać przed agentami federalnymi? Nie ma sprawy. Przejechać kilka kilometrów bez fotelika dla dziecka? Houston, mamy problem.

– Kochanie, proszę. Musimy jechać. Obiecuję, że będę ostrożny.

Niechętnie wsiadła do wozu.

Wszystkie instynkty krzyczały w nim, by wjechał na autostradę, uciekał jak najdalej od Cuyahoga Falls. Ale musiał działać inteligentnie. Śledziła ich niesamowicie potężna agencja rządowa. Wkrótce odkryją, że skrupował sprzedawcę, poznają markę i model wozu, który Ethan ukradł. I choć podejrzewał, że mógłby zmienić tablice rejestracyjne, jakoś nie przypuszczał, że to by wprowadziło w błąd agencję, która w każdej chwili miała dostęp do wszystkich kamer.

Nie, choć bardzo pragnął uciekać, mądrzej było się ukryć. Jeśli będą mieli szczęście, DAR zacznie szukać setki kilometrów stąd. Może nawet całkiem zgubi ich ślad. Na j a k i ś c z a s .

– Dokąd jedziemy? – Amy siedziała na miejscu pasażera, kurczowo ściskając w ramionach Violet.

– Będę wiedział, kiedy to zobaczę.

– Kochanie, kocham cię, ale skopię ci tyłek.

– Wyjaśnię ci wszystko, gdy już będziemy na miejscu. – Spróbował się uśmiechnąć, ale nie odpowiedziała mu uśmiechem. – Słuchaj, teraz musimy się skupić. To zadziała tylko pod warunkiem, że nie będziemy mijać żadnych kamer. Możesz mi pomóc?

Skrzywiła się, ale pochyliła się do przodu i zaczęła wypatrywać przez przednią szybę. Trzymali się bocznych dróg i osiedlowych uliczek i meandrując tak, dotarli do parku narodowego, tego samego, który dopiero co przemierzili pieszo.

Pierwsze domy nie wyglądały tak jak trzeba – były zbyt blisko drogi albo stały przed nimi samochody. Po paru chwilach wypatrzył ręcznie wymalowany znak z napisem: KRYJÓWKA HENDERSONÓW, a obok bitą drogę.

– To się może nadać.

– Do czego?

Skreślił w dróżkę, która wiała się przez jakieś czterdzieści metrów między starymi sosnami. Hendersonowie mieli pojęcie, co to kryjówka: chata w lesie, o odpowiednich rozmiarach i poza zasięgiem wzroku sąsiadów. Do tego jeszcze staw na tyłach i miało się idealne miejsce na spędzanie letnich weekendów.

– Tak, to się nada.

– Ethan...

– Dwie minuty.

Wysiadł z wozu i podszedł do frontowych drzwi. Załomotał do nich, ale nikt nie odpowiedział. Z przodu było duże wykuszowe okno. Oslonił oczy dłońmi i zająrzył przez nie do środka. Meble były

nakryte prześcieradłami. Doskonałe. W skrzynce z narzędziami nie było łomu, ale znalazł łyżkę do opon. Podeszedł do frontowych drzwi, wsunął ją w ościeżnicę. Przez chwilę się wahał, potem pomyślał: *Hej i tak już jesteś zbiegiem i złodziejem samochodów. Podpadasz pod kilka paragrafów.*

Szybkie mocne szarpnięcie i drewno ustąpiło, drzwi otworzyły się z impetem.

Ethan się odwrócił, zobaczył, że jego żona kurczowo ściska córeczkę i przygląda mu się, jakby postradał rozum. Uśmiechnął się i powiedział:

– Witaj w domu. Chcesz rozpalic domowe ognisko?

– Zaczynj jeszcze raz.

– Odkąd?

– No wiesz, od początku.

– Dobra. – Ethan sięgnął po pogrzebacz i poruszył polano na kominku. Zatańczyły iskry, drewno zaczęło sucho trzaskać. – A więc pierwszych obdarzonych odkryto w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku, prawda? To znaczy, że przez ostatnie dwadzieścia siedem lat każdy genetyk na świecie próbował się dowiedzieć, w jaki sposób powstał. Pierwszym krokiem, być może najważniejszym, było zmapowanie ludzkiego genomu. Gdyby obdarzeni się nie pojawili, nie przyznano by na to nawet jednej dziesiątej tego budżetu i nie przykułoby to niczyjej uwagi. Do diabła, załóż się, że wtedy nie skończylibyśmy mapowania genomu przed dwa tysiące trzecim.

– Ale zostało ukończone w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym.

– Zgadza się. Teraz mieliśmy punkt odniesienia. Wszyscy myśleli, że potem wszystko będzie proste: porównać normalnych i obdarzonych i znaleźć gen odpowiedzialny za zdolności. Oczywiście, to wymaga wielkiej mocy obliczeniowej i czasu, więc upłynęły lata, nim wszyscy pogodzili się z faktem, że to nie będzie takie proste.

– Nie ma genu, który by za to odpowiadał.

– Właśnie. Więc wszyscy rozbiegają się w różne strony. Niektórzy zaczynają szukać przyczyn i pracują od tyłu: czy przyczyną było zanieczyszczenie, hormony wzrostu, dziura ozonowa, próby nuklearne i tak dalej. Inni doszli do wniosku, że to w ogóle nie jest genetyczne, lecz odpowiada za to jakiś wirus albo prion, którym zaraził się jakiś odsetek ludzi. Jednak Abe, ja i inni tacy jak my nadal wierzyliśmy, że kluczem jest DNA. Po prostu nie chodziło o jakiś jeden gen. Tak jak w przypadku inteligencji.

– Inteligencja jest warunkowana genetycznie.

– Tak, zgadza się, ale nie ma jednego genu, który by za to odpowiadał. Wciąż nie wiemy, jak to dokładnie działa, ale badania ze Stanford i z Tokio sugerują, że w rzeczywistości chodzi o kilkadziesiąt genów, być może kilkaset, które w koniunkcji określają podstawową inteligencję. I okazuje się, że tak samo jest w przypadku obdarzonych. Tylko jest to jeszcze subtelniejsze.

Violet krzyknęła nagle i oboje spojrzeli w jej stronę. Cała scenka była urocza: mama i tata przy

migoczącym ogniu, dziecko szczerze opatulone, pogrążone w drzemce. Brakowało tylko ajerkoniaku i byłby obrazek na świąteczną kartkę.

*Jeśli pominąć fakt, że w każdej chwili rządowi agenci mogli wyużyć drzui.*

– A więc co za to odpowiada?

– Epigenetycznie warunkowane wydłużenie telomeru.

Spojrzała na niego znacząco i powiedziała:

– No tak. Telomery to te sekwencje nukleotydów na zakończeniach chromosomów, które chronią je przed uszkodzeniem. Tak jak te plastikowe końcówki w sznurówkach.

Wyjaśnił jej wszystko najlepiej jak potrafił: że telomery mają różną długość, i odkryli, że dłuższe telomery na zakończeniu niektórych chromosomów były związane z długością życia komórek. Ethan był przekonany, że to nie same geny są różne, lecz raczej mechanizmy ich interakcji. Rozwiązanie epigenetyczne wyjaśniało, dlaczego odpowiedź była tak nieuchwytna. To, co było przyczyną, nie przytrafiło się samym obdarzonym, lecz ich przodkom, dwa czy trzy pokolenia wstecz. I nie tylko to. Nie zmieniło to ich sekwencji DNA, a jedynie sposób, w jaki te geny były regulowane.

– Pomyśl o tym jak o gotowaniu. Sekwencja DNA dostarcza podstawowych składników. Ale sposób, w jaki te składniki reagują ze sobą, kolejność, w jakiej są dodawane do garnka, użyta temperatura, wszystko to zmienia końcowy rezultat. Tylko że tutaj nie chodzi o garstkę składników. Ludzkie DNA zawiera ponad dwadzieścia jeden tysięcy genów, które oddziałują na siebie wzajemnie w bardzo subtelny i złożony sposób. Ale mimo to, gdy zaczęliśmy się przyglądać zmianom epigenetycznym w ekspresji genów, zwłaszcza tym, które odnosiły się do telomerów, znaleźliśmy wzorec.

– Jakie to proste.

Uśmiechnął się, uniósł brew.

– Seksowne, co?

– A więc jaka była przyczyna?

– Hmm?

– Mówiłeś, że obdarzonych stworzyło coś, co przytrafiło się ich przodkom.

– Ach, to. – wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia. W nauce zwykle jest tak, że ludzie na coś natrafiają, a później przez całe dziesięciolecia próbują zrozumieć dlaczego. Jeśli pytasz mnie o zdanie, nie było pojedynczej przyczyny. Przez sto pięćdziesiąt lat ludzkość bawiła się tą planetą. Zatruliśmy morza, uszkodziliśmy łańcuchy pokarmowe, testowaliśmy broń termojądrową, wprowadzaliśmy zmutowane uprawy i grzebaliśmy w rzeczach, które nie do końca rozumiemy. I jednym z efektów są obdarzeni.

Zapatrzyła się w płomienie, blask ognia podkreślał jej delikatne rysy, odbijał się w jej oczach.

– A więc dowiedzieliście się, co sprawia, że niektórzy są obdarzeni. Dlaczego nie podzieliliście się

tym ze światem?

– Gdy już zrozumieliśmy wzorzec, Abe'owi przyszło do głowy, że być może udałoby się go odtworzyć. Że właściwie to mogłoby być proste.

– Proste? Ludzie pracowali nad tym od trzydziestu lat.

– Zgadza się. Ustalenie przyczyny było trudne. Ale jej replikacja już nie. Nazwijmy to teorią trzech ziemniaków. – Zauważył, jak na niego patrzy, i roześmiał się. – To powiedzonko Abe'a. Powiedzmy, że przyczyną pojawienia się obdarzonych jest zjedzenie trzech ziemniaków z rzędu. Dojście do tego wniosku, jeśli weźmie się pod uwagę cały zakres ludzkich doświadczeń, jest trudne. Ale gdy już zdasz sobie z tego sprawę...

– Wystarczy tylko zjeść trzy ziemniaki.

– Albo, w tym przypadku, zaprojektować docelową terapię z wykorzystaniem niekodującego RNA, by uregulować ekspresję genów.

– I to działa? Możecie sprawić, że ludzie staną się obdarzeni?

– Uzyskanie dowodu słuszności naszej koncepcji było ogromnym sukcesem. Zastanawialiśmy się już tylko, jak przejść do testów fazy A na ludziach. I wtedy zniknął Abe.

Amy wstała i odeszła. Zrobiła to tak gwałtownie, że w pierwszej chwili pomyślał, że może coś usłyszała. Zerwał się szybko.

– Co się stało?

Patrząc w przestrzeń za oknem, zaciskała i otwierała pięści.

– Kochanie?

Żona odwróciła się nagle.

– Ty głupi, dumny smarkaczu.

Zaskoczył go ten niespodziewany atak. Czuł taką ulgę, że znów ze sobą rozmawiają, że opowiadał jej o swoim triumfie. Że spoczywał w tej wykradzionej chwili spokoju i popisywał się przed nią.

– Nie rozumiem...

– A myślałeś, że co się stanie? – wyszczała te słowa, i to było gorsze niż wrzask. – Czy ty w ogóle myślałeś?

– O czym ty mówisz?

– Naprawdę jesteś aż tak ślepy? – Amy postąpiła o krok w jego stronę; blask płomieni, w którym przed chwilą wyglądała tak pięknie, teraz tylko podkreślał jej furję. – Ty i Abe. Dwaj dumni geniusze.

– Słuchaj, wiem, że to wykracza poza przyjęte normy, ale musisz zrozumieć, jesteśmy bliscy największego odkrycia od... no nie wiem, rozszczepienia atomu.

– Zgadza się. Dokładnie tak. I do czego to wykorzystali?

Otworzył usta. Zamknął je.

– Masz rodzinę, Ethan. Masz córkę. Ty i ten twój kumpel wymyślacie sobie ten swój mały projekcik...

– Hej...

– ...który zmienia cały świat. Wszystko zmieni. I nie przyszło wam do głowy, że ludzie będą chcieli wam to odebrać?

– Jestem... – Wypuścił powietrze. – Jestem naukowcem. Chciałem tylko wiedzieć.

– No to gratuluję. Zmienileś historię. – Szyderstwo w jej głosie było dla niego szokiem. Oboje byli intelektualistami o liberalnych poglądach, rozmawiali, słuchali. Kłócili się, pewnie, ale nigdy nie szło na noże. Nigdy nie słyszał w jej głosie takiego tonu, odkąd byli małżeństwem.

*To nieprawda. Po prostu nigdy nie mówiła tak do ciebie. Ale słyszałeś to uczoraj w nocy, gdy zuracała się do Boga, do którego modlił się Jeremy, by go pokarał.*

– Amy...

– Milcz, Ethan. Po prostu milcz.

I milczał przez resztę dnia. Miał nadzieję, że może gdy wstaną rano, wszystko będzie dobrze. Ale choć spali w jednym łóżku, skuliła się jak najdalej od niego. Wydawała się wściekła i najeżona nawet przez sen. Rano przygotował śniadanie, ugotował jajka i zaparzył kawę.

Nie odezwała się ani słowem. Nie odzywała się do niego aż do teraz, gdy zasugerowała, że Violet jest zimno.

Zawrócili w stronę chaty.

Rozległ się huk kolejnego wystrzału, tym razem bliżej. Chciał z nią rozmawiać, błagać, by się do niego odezwała, ale zmusił się do milczenia.

Gdy dotarli do drzwi domku, odwróciła się i wyciągnęła ręce. Ethan bez słowa podał jej dziecko. Amy kurczowo chwyciła córeczkę i odwróciła się, ale zmieniła zdanie.

– Ethan, kocham cię. Wiesz o tym. Ale nie wiem, czy potrafię ci wybaczyć.

– Amy...

– Gdyby chodziło tylko o nas, byłoby inaczej. Ale ktoś porwał Abe'a, pewnie go zabili. Ci sami ludzie ścigają ciebie. Może to agenci federalni, może nie, ale to żadna różnica, bo DAR też cię ściga. Wczoraj napadłeś na stację benzynową...

– Nie miałem wyboru!

– I to wszystko, wszystko do nas wróci. – Uniosła dziecko. – Do niej wróci. Pomyśl o tym.

Weszła do środka i zatrzasnęła drzwi.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Był trupem i dręczyły go słowa innego martwego człowieka.

„Jeśli to zrobisz, świat spłonie”.

Czy to zaledwie trzy miesiące temu Drew Peters mu to powiedział? Trzy miesiące od czasu, gdy siedział na ławce w parku pod pomnikiem Lincolna, trzymał w rękach bombę i próbował zdecydować, czy ją zdetonować. Zdecydować, czy świat zasługuje na prawdę, bez względu na to, jaka może być tego cena.

*Ty żaloszny idioto. Co za naiwność, co za ślepy optymizm, by tak kusić uszechświat.*

Bezpośrednim skutkiem jego decyzji było zlikwidowanie Służb Obywatelskich i to, że DAR wybito zęby. John Smith został oczyszczony ze wszystkich zarzutów i mógł swobodnie działać. Prezydent Walker ustąpił z urzędu i czekał go proces. Ustąpił miejsca dobremu człowiekowi, pozbawionemu siły woli i mądrości wystarczających, by być prezydentem. Człowiekowi, który miał ich pchnąć ku wojnie domowej, choć Cooper przez całe życie walczył, by temu zapobiec. Zbrojna pięść Stanów Zjednoczonych czekała zaciśnięta tuż pod murami miasta. A jego syn leżał w śpiączce, pogrążony w świecie koszmarów za ten grzech, że próbował bronić taty.

Po raz kolejny z powodu jego czynów cierpiały jego dzieci. Nie metaforycznie, lecz dosłownie. Na tablicie leżącym na jego kolanach wciąż i wciąż od nowa odtwarzało się nagranie. Cały ten koszmar trwał tylko dziesięć sekund: Johansen wchodzi do restauracji, podrzyina gardło jednemu ochroniarzowi i przecina tętnicę ramienną drugiemu, potem się odwraca. Cooper rzuca krzesłem, wskakuje na stolik, atakuje. Głupawa mina, gdy wpatruje się w swoją rękę, przeciętą niemal na pół. Todd rzuca się na napastnika. Zabójca wykonuje obrót, unosi łokieć. Szkliste oczy synka, jego zwiotczałe ciało. Cooper rzuca się na nóż, który wbija mu się w serce. Osuwa się obok syna. Johansen wychodzi.

Pauza. Ponowne odtwarzanie. Johansen wchodzi do restauracji...

Zmusił się, by oglądać to wciąż i wciąż od nowa, ale szok nie ustępował, obrazy nie traciły zawartej w nich grozy.

Cooper zdrową ręką potarł oczy. Jego syn leżał nieruchomo na szpitalnym łóżku, oddychał, i niewiele poza tym. Do rąk podłączone miał rurki. Ogolona głowa była owinięta bandażem.

Gdy Epstein wyszedł, Cooper przekonał Natalie, by się położyła. Nie chciała, ale w końcu zmęczenie wzięło górę i zwinęła się w kłębek obok Kate w sąsiednim pokoju. Cooperowi zdawało się, że już nigdy nie zaśnie. Leki przestawały działać i czuł się tak, jakby w pierś wbijały mu się szpony, a rękę cięła rozżarzona piła łańcuchowa. Ból był dobry; to była pokuta za jego pychę. Tak jak oglądanie tego nagrania, wciąż i wciąż od nowa. Jak wyobrażanie sobie wojsk gromadzących się pod Nowym Kanaan.

Siedemdziesiąt pięć tysięcy ludzi, absurdalne nadużycie siły. Nie chodziło o podbicie Nowego Kanaan, chodziło o zrównanie go z ziemią. Nawet tu, w podziemiach, słyszał przelatujące odrzutowce.

Gdyby mógł oddać za cudem przywrócone mu życie w zamian za to, że Todd by wstał i pobiegł grać w piłkę, zrobiłby to bez wahania. Ale nawet to zdawało mu się tylko odroczeniem wyroku. John Smith będzie miał swoją wojnę i świat spłonie. Nikt nie był bezpieczny.

*A ty siedzisz tu bezradny i nie możesz nic na to poradzić. Do diabła, nie potrafiłeś nawet obronić swojego syna.*

Czuł narastający w nim krzyk i wyobrażał go sobie jak falę uderzeniową, siłę, która rozsadzi mury i zrówna świat z ziemią. Ale jeśli ostatnie miesiące czegoś go nauczyły, to tego, że jest tylko człowiekiem.

Z braku innego zajęcia uderzył palcem tablet i wyłączył nagranie. Zamiast tego otworzył plik o Sorenieniu Johansenie, człowieku, który spróbował odebrać mu syna.

Plik był bardzo obszerny. Informacje o dacie i miejscu urodzenia, wczesna diagnoza. Każdy zapisek z Akademii Hawkesdown, gdzie się wychował. Szczegółowa analiza jego zdolności.

Talenty temporalne pierwszego poziomu były wyjątkowo rzadkie, nawet wśród i tak nielicznych obdarzonych – Cooper nigdy nie miał z kimś takim do czynienia. Filozoficznie było to fascynujące pojęcie; coś jak teoria względności. Istnienie takich zdolności udawdniało, że rzeczy, które ludzie uważają za wartości stałe, wcale takie nie są. Oczywiście ludzie ze zdolnościami temporalnymi nie zaginali tak naprawdę czasu, tak jak robiła to prędkość. Była to wyłącznie kwestia percepcji i dla większości z nich zróżnicowanie było bardzo niewielkie. U talentów niższego poziomu, czwartego i piątego, różnica mogła być w ogóle niezauważalna. Ktoś z czasem zerowym jeden i pięć dziesiątych mógł wydawać się po prostu wyjątkowo bystry.

Ale czas zerowy Johansena, jedenaście i dwie dziesiąte, to była najwyższa wartość, o jakiej Cooper kiedykolwiek słyszał. Jak dziwny musiał mu się wydawać świat, gdy każda sekunda przeciągała się w bolesną nieskończoność.

*I dobrze ci tak. Mam nadzieję, że męczyłeś się przez całe życie.*

Wyjaśniało to również, dlaczego talent Coopera okazał się bezużyteczny. Odczytywał intencje, budował wzorce na podstawie fizycznych wskazówek i intuicji. Ale Soren nie miał żadnych intencji.

Nie planował, że tu wykona obrót, a tam ugodzi nożem; czekał po prostu, aż jego przeciwnik się poruszy, a wtedy wykorzystywał jego nieskończenie powolne ruchy, by ustawić nóż tak, aby spowodował jak największe uszkodzenia. W rzeczywistości zaatakował tylko dwa razy: pierwszego ochroniarza, któremu poderznął gardło i...

Cooper znów zobaczył tę chwilę, gdy nacierał na niego i dostrzegł jeden przeblysł zamiarów. Wtedy wiedział, co się stanie, wiedział, że skurwysyn się odwróci i wysunie łokieć.

Todd na chwilę przestał oddychać i Cooper zerwał się z miejsca. Równocześnie przepełniła go nadzieja i niewyobrażalne przerażenie. Ale zaraz znów usłyszał chrapliwy oddech syna. Drobną czkawka. Mimo to Cooper nie spuszczał go z oka przez kolejne dwadzieścia oddechów.

Wyjaśnienie, jak to się stało, że został tak łatwo pokonany, niewiele pomagało. W porządku, Cooper odczytywał zamiary, a ten facet ich nie miał. Ale jak to się przekładało na działanie w praktyce? Jak pokonać człowieka, który wykorzystywał ciebie samego, żebyś się pokonał?

Stanąć przed nim i zabić go spojrzeniem?

Prawda była taka, że wszystko w życiu sprowadzało się do intencji i rezultatów. Gdy Cooper zabił Petersa i upublicznił nagranie, miał dobre intencje, ale rezultaty okazały się katastrofą. Czy to sprawiło, że jego intencje były złe? Jeśli tak, to oznaczało to, że moralność to tylko mówienie o tym, czego byśmy pragnęli. Nadzieja, empatia, idealizm – może wcale nie miały znaczenia. Może liczyły się jedynie rezultaty.

Chłodne, pragmatyczne spojrzenie na świat. Zawsze uważał, że Ayn Rand brakowało poczucia humoru. Intencje musiały coś znaczyć, musiały...

Chwileczkę.

Wstrzymał oddech. Patrzył prosto przed siebie, jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Nie wyszukiwał wzorca, po prostu myślał, i jeśli miał rację, to...

Cooper zrzucił tablet z kolan i wstał. Ten ruch sprawił, że przeszył go ból, zakręciło mu się w głowie, ale to go nie powstrzymało. Szybko rozejrzał się po pokoju i zobaczył to, czego szukał: w kącie, mała grudka, mniej więcej wielkości szklanej kulki. Podszedł do kamery i zaczął machać rękami.

– Erik! Erik! Wiem, że mnie słyszysz, sukinsynu. To twój mały świat, no dalej!

Zadzwonił telefon na stoliku. Cooper podbiegł do niego, chwycił słuchawkę przed drugim sygnałem.

– Erik, potrzebuję danych.

– Danych, tak. Jakich?

– Mówiłeś, że doktor Couzen został porwany przez DAR.

– Tak, projekcja statystyczna oparta na wielu zmiennych...

– Tak, tak... Mam gdzieś, skąd to wiesz. Tym, co się tutaj liczy, są zamiary.

– Statystycznie ujmując, zamiary rzadko mają znaczenie.  
– Jeśli to DAR porwał doktora Couzena, to ktoś miał zamiar przejąć jego pracę. Nie mówimy tu o statystyce, mówimy o ludziach.

Chwila milczenia.

– Wyjaśnij.

*Użyj języka Erika.*

– Znam prezydenta Claya. Możesz założyć, że to, co ci mówię, jest zgodne z prawdą?

– Masz zdolność znajdowania wzorców. Tak. Założenie przyjęte.

– Clay jest dobrym człowiekiem. Nie chce wojny, jest ku niej popychany. Przez ekstremistów po obu stronach. Próbują usunąć wszelkie możliwości kompromisu, dyskusji. Ale Clay chwyciłby się każdego rozsądnego sposobu, byle tylko uniknąć konfliktu, który będzie katastrofalny w skutkach.

– Założenie przyjęte.

– Badania doktora Couzena oferują taki sposób. Fakt, że Clay z nich nie skorzystał, oznacza, iż możemy założyć, że nie zdaje sobie sprawy z ich istnienia. A jednak DAR jest agencją rządową. Co to oznacza?

– Wpływowi ludzie z administracji Claya ukrywają to przed nim. Prawdopodobnie to są ci sami ludzie, którzy dążą do wojny. – Chwila milczenia. – I jeśli uda ci się to udowodnić...

– Wtedy jednym posunięciem możemy zneutralizować sępy otaczające prezydenta i udaremnić dążenia do wojny Johna Smitha. Bo wtedy nie tylko będziemy mogli pokazać prezydentowi, że jest manipulowany, ale też dać mu doktora, bo Couzen już jest w rękach rządu.

Cooper wyobraził sobie Epsteina w jego jaskini cudów, w tym mrocznym amfiteatrze, gdzie tańczył w strumieniach danych. Wyobraził sobie, jak Epstein gestami przywołuje wykresy i diagramy, świetliste hologramy z informacjami, których żaden człowiek na świecie nie potrafił interpretować tak jak on. Wiedział, że ten człowiek sprawdzi każde jego słowo, skoreluje je z setką innych czynników. Wstrzymał oddech. Tak wiele zależało od tego, co teraz powie Erik.

Gdy wreszcie się odezwał, w jego głosie było coś, co mogło przypominać podekscytowanie.

– Twoja teoria jest statystycznie sensowna. Przesyłam ci wszystkie dane o uprowadzeniu doktora Couzena.

Cooper się nie pożegnał. Rozłączył się po prostu i wrócił do swojego tabletu.

Miał w piersi takie uczucie, jakby ktoś oblał go roztopioną stalą, dłoń pulsowała z każdym uderzeniem zreperowanego serca, ale to nie miało znaczenia, bo istniał sposób, żeby wszystko naprawić. Tak jak powiedziała mu Natalie. Istniał sposób, a on go wymyślił, do diabła. Może jednak nie był taki bezsilny.

Opadł na krzesło, położył tablet na łóżku, by mieć wolną zdrową rękę. Wyświetlacz pokazywał, że trwa transfer gigantycznego pliku, ale najważniejsze fragmenty już dotarły. Cooper czuł swój

puls, świszczący oddech i radość, która sprawiała, że drżały mu palce, gdy zaczął czytać, szukając dowodu, którego potrzebował.

Po pięciu minutach wiedział już, że się myli.

Po pięciu minutach zdał sobie sprawę, że jest jeszcze gorzej, niż sobie wyobrażał.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

– Nie rozumiem – powiedziała Natalie.

Znajdowali się w korytarzu podziemnej kliniki, Cooper chodził niecierpliwie w tę i z powrotem, czuł ciężar ziemi nad ich głowami, ciężar świata, który ma się rozpaść. Był tak pewny, że ma rację, tak przekonany, że znalazł sposób. Przez chwilę życie zdawało mu się takie, jakie powinno być, jakby stoczył dobrą walkę i wytrwał do końca, i jakby wszystko mogło przybrać właściwy obrót.

Mysłał, że zajmie mu to wiele godzin, że będzie musiał śleźć nad profilami osobowości, namawiać do pomocy Bobby'ego Quinna i może nakłonić Epsteina, by kazał swoim hakerom włamać się do tajnych systemów rządowych. Wystarczyło jednak pięć minut oglądania zdjęć z miejsca popełnienia przestępstwa.

– Nie ma mowy, żeby to DAR porwał doktora Couzena.

– Ale skąd możesz być taki...

– Bo to właśnie robię, Nat. Wiesz, ile operacji przeprowadziłem dla DAR. Ile razy wysyłałem oddziały, by aresztować cel, albo namierzałem go sam? Wiem, jakie mamy protokoły. DAR ma jedno z najlepszych oddziałów taktycznych na świecie.

– No i?

– No i okno przy drzwiach Couzena zostało wybite, żeby ktoś mógł włożyć rękę do środka i otworzyć drzwi. DAR użyłoby taranu albo naboju Hattona, specjalnych naboju śrutowych do niszczenia drzwi. Sąsiedzi zgłaszali, że słyszeli strzelanie; agencja użyłaby broni z tłumikami. W środku meble były przewracane, widać było ślady walki, ale jaki jajogłowy ważący siedemdziesiąt pięć kilogramów mógłby narobić takiego bajzlu w walce z oddziałem taktycznym? Poza tym w jego laboratorium była krew, a jeśli agencja chciała mieć go żywego, to takiego by go zgarnęli.

– Może miał broń? Może zobaczył zbliżających się agentów i...

Cooper pokręcił głową.

– To nie był DAR, wierz mi.

– No dobra – zgodziła się. – Ale jaka to różnica, kto go porwał? To niczego nie zmienia.

– To zmienia wszystko.

– Dlaczego?

– Bo w ogóle nie został porwany.

To krew to zdradziła. Nie był ekspertem medycyny sądowej, ale nie można było robić tego co on przez dziesięć lat i nie podłapać przy tym paru rzeczy. Gdyby Couzen został zaatakowany przez DAR, gdyby stawiał mocny opór i gdyby agenci byli zmuszeni użyć broni, to byłaby to broń palna.

Krew z rany postrzałowej rozpryskiwała się w maleńkie kropelki, co nazywano śladami krwi powstającymi przy wysokiej prędkości. Jednak krew na ścianie była gęsta, a plama średniej wielkości. Tego rodzaju ślad powstawał przy brutalnym użyciu tępego narzędzia, na przykład przy uderzeniu w głowę ołowianą rurką. DAR nigdy nie użyłby tego rodzaju broni.

*Ale dokładnie takie ślady powstałyby, gdyby ktoś wziął niewielki pojemnik z własną krwią i cisnął nim o ścianę.* Było jeszcze więcej wskazówek, ale to wtedy zyskał pewność.

– Sfingował to. – Cooper przestał przemierzać korytarz, przystanął, oparł się o ścianę, przymknął oczy. – Sfingował własne uprowadzenie. Nikt po niego nie przyszedł.

Natalie milczała, rozważając jego słowa.

– Ale jeśli to prawda, oznacza to...

– Oznacza to, że Couzen ucieka. Że z jakiegoś powodu postanowił zniknąć i chciał zyskać na czasie. Może ktoś złożył mu lepszą ofertę niż Epsteinowie. To nie ma znaczenia. – Potarł oczy. – Liczy się tylko to, że jedyny człowiek, który posiada rozwiązanie całego tego szaleństwa, zaginął.

– Dalej nie rozumiem. Dlaczego to pogarsza sytuację?

– Bo to znaczy, że on się u k r y w a . Świadomie ukrywa.

– No to znajdź go.

Roześmiał się.

– Wystarczy, bym zrobił parę kroków, i już widzę plamki przed oczami. Moja prawa ręka jest kompletnie do niczego. Za pięć minut zacznie się wojna domowa, a jedyny człowiek, który może ją powstrzymać, ma ogromną przewagę. Mój syn jest w sypialni. – Cooper osunął się po ścianie i usiadł na podłodze. – Co niby mam zrobić?

Wiedział, jak zabrzmiały jego słowa, i miał to gdzieś. Przez szpitalną podłame płytki na podłodze wydawały się przyjemnie chłodne. Tak długo biegł w tym wyścigu, a osiągnął tylko tyle, że wszystko jeszcze bardziej pogorszył. Miał dość.

Natalie podeszła i usiadła pod przeciwną ścianą. Włosy miała związane w kucyk i w połączeniu z podkrążonymi oczami sprawiało to, że wydawała się spięta i blada.

– Myślisz, że to tylko twój problem? – spytała.

– Nie. Wiem, że ty...

– To przeze mnie Todd tu jest. Przeze mnie. To był mój głupi pomysł, pamiętasz? Chciałam, żebyśmy byli razem, jak rodzina. Ze względu na dzieci, a poza tym – wzruszyła ramionami –

gdybym nie miała jakiegoś romantycznego przekonania, że wszyscy będziemy razem, że to może dla nas wiele znaczyć, dla mnie i dla ciebie, Todd byłby teraz w Waszyngtonie. A zamiast tego jest tutaj, w sypialni. Więc nawet ze mną nie zaczynaj, dobrze?

– Natalie...

– Ty tego nie widzisz. Nigdy nie widziałeś. W twojej głowie zawsze jesteś ty przeciwko światu. I to ty osobiście masz być człowiekiem, który go ocali. – Zaśmiała się zimno. – Co byś w ogóle zrobił, gdyby sytuacja się poprawiła? Powiedz mi, Nick, bo jestem ciekawa. Co byś zrobił, gdyby nagle nie trzeba było ratować świata? Zacząłbyś grać w golfa? Zostałbyś księgowym?

– Hej, to nie fair – zaprotestował.

– Nie fair? – parsknęła. – Jesteś jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochałam. I było nam razem tak dobrze, byliśmy szczęśliwi, mieliśmy piękne dzieci. Ale gdzieś po drodze to przestało działać. Może to przez twoją pracę, może przez to, że ty jesteś obdarzony, a ja nie, może po prostu zakochaliśmy się w sobie za wcześnie i potem się wypaliliśmy. To nie fair, ale niech będzie. Takie rzeczy zdarzają się w życiu i człowiek zostawia to za sobą i idzie dalej. I tak zrobiliśmy, i to też było w porządku. A potem okazuje się, że Kate jest obdarzona, i nie tylko. Ma talent pierwszego poziomu. I chcą nam ją odebrać. A ty wtedy robisz tę niesamowitą rzecz. Zaczynasz działać w ukryciu i ryzykujesz dla niej wszystko. To nie fair. I to, jak się to skończyło, też nie było fair. Ale życie zaczyna wracać do normy, może nawet coś więcej. I jakaś część mnie zaczyna się zastanawiać, czy nie za szybko podjęliśmy decyzję. Czy nie powinniśmy byli wytrwać dłużej? I dlatego, że się nad tym zastanawiam i chcę, żebyś wiedział, że nie jesteś sam, przyjeżdżamy tutaj i... – Wciągnęła powietrze. – „Fair”. Pierdol się.

Te słowa były jak uderzenie w twarz i Cooper aż się wzdrygnął.

– Natalie...

– Cierpisz, rozumiem to. I wszystko się ponuro zapowiada, to też rozumiem. Ale nie mów do mnie w ten sposób. Czy popełnialiśmy błędy? Jasne, bez dwóch zdań. Ale walczyliśmy po dobrej stronie. Wiem to, i ty też to wiesz. A teraz masz wybór. Możesz siedzieć na podłodze pod salą, w której leży twój syn, i czekać, aż zaczną spadać bomby. Albo możesz spróbować ten ostatni raz, bez względu na to, jak marne są szanse. Powalczyć o lepszy świat. To twoja decyzja, Nick. Naprawdę twoja. Bez względu na to, co postanowisz, nikt nie może mieć do ciebie pretensji. Ale tak czy inaczej, nie mów mi, co jest fair.

I równie nagle, jak zaczęła mówić, umilkła. To było jak cisza, która zapada po uderzeniu pioruna. Powietrze wydawało się naelektryzowane. Cooper wpatrywał się w nią i czuł ból w piersi, który miał niewiele wspólnego z jego raną. Zastanawiał się, co powiedzieć. Od czego zacząć.

– Cousen jest geniuszem – odezwał się w końcu. – Wie, że będzie ścigany. Nie uda się nigdzie, gdzie by go szukano. Do żadnego miejsca, które posiada, do rodziny ani przyjaciół, do żadnej



placówki badawczej.

Natalie przyglądała mu się. To chłodne, obojętne spojrzenie odzwierciedlało jej myśli.

– No to jak znaleźć kogoś, jeśli wiesz o nim tylko tyle, że nie uda się tam, gdzie mógłbyś się tego spodziewać?

Spoglądał na swoje ręce. Jedna nie nadawała się do niczego....

*Czas jest przeciwko tobie. W każdej chwili może uzbuchnąć wojna.*

*Być może doktor Couzen jest jedynym człowiekiem na świecie, który byłby w stanie to powstrzymać.*

*Jego badania mogłyby wszystko zmienić. Nawet w tej beznadziejnej sytuacji.*

*Tylko że się ukrywa, a szanse, że go znajdziesz, są bliskie zeru.*

*Z danych, które dał ci Epstein, wynika, że choć Couzen był geniuszem, nie pracował sam. Miał swój zespół najlepszych i najinteligentniejszych ludzi.*

*I protegowanego.*

*Gdzie jesteś, Ethan Park?*

...druga była wciąż silna. Wstał, pochylił się i podał zdrową rękę Natalie. Ujęła ją i stanęła naprzeciw niego. Ich twarze znalazły się tuż obok siebie.

Cooper pochylił się i pocałował ją, a ona odwzajemniła pocałunek. Oboje tego pragnęli. Po o wiele zbyt krótkiej chwili odsunął się, odchylił do tyłu.

– Powiesz dzieciom, że je kocham?

Natalie zagryzła wargę. Widział, że zaczyna do niej docierać rzeczywistość, konsekwencje jej przemowy, i że mimo wszystko tego nie żałuje. I kochał ją za to. Kiwnęła głową.

– Dokąd idziesz?

– Przekonać Erika Epsteina, żeby pożyczył mi odrzutowiec. Ale najpierw – uśmiechnął się – muszę się pozbyć tej cholernej pidżamy.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Odgłos nisko przelatującego samolotu wyrwał ją z głębokiej czerni snu.

Shannon zamrugała, przewróciła się na bok. W łóżku hotelowym było z pół tuzina poduszek i spała na nich wszystkich. Jej kokon był ciepły i miękki, ciało wydawało się ciężkie w ten przyjemny sposób. Ziewnęła, zerknęła na zegar.

Dziesiąta dwanaście. Dobry Boże, przespała... osiemnaście godzin?

*Takie są skutki braku snu przez dwie doby z rzędu.*

Po tym, jak Nick odszedł wczoraj wieczorem – cóż, chyba dwa wieczory temu, ale dla niej tak nie było – czekała na lotnisku w Tesli na przylot Lee i Lisy. Plastikowe krzesła, kiepska muzyka, obolałe ciało i piasek pod powiekami. Siedziała czujna, a jej chrześniaczka spała. Shannon pogłaskała dziewczynkę po włosach, patrzyła na przechodzących ludzi i próbowała przeczekać te ciągnące się godziny.

Świtało już prawie, gdy zobaczyła dwie postacie biegnące przez halę. Nie widziała rodziców Alice od kilku miesięcy, od tej nocy, gdy ona i Cooper zatrzymali się w ich mieszkaniu w Chinatown. Ta noc zrujnowała im wszystkim życie. Oboje trafili do więzienia, ich córka do Akademii Davisa, a Shannon znalazła się w emocjonalnym czyścisku, z którym nie potrafiła sobie poradzić. Oboje postarzeli się o wiele lat przez te kilka miesięcy. Lisa miała podkrążone oczy, a Lee przygarbioną postawę, jakiej nigdy u niego nie widziała.

Kiedy jednak zauważyli córkę, to było jak ta chwila, kiedy ognisko wreszcie zaczyna płonąć: nagły rozbłysk ciepła i światła. Shannon potrząsnęła dziewczynką śpiącą na jej kolanach, powiedziała:

– Kochanie?

Alice otworzyła oczy i zobaczyła biegnących ku niej rodziców. Zerwała się i rzuciła w ich stronę, a potem cała trójka wpadła sobie w ramiona. Stali tak, słowa płynęły, miłość, utrata i radość. Wszyscy płakali. Shannon stała z boku i czuła się niepotrzebna. Zaciskała i otwierała pięści.

W końcu Lee Chen odwrócił się w jej stronę. Shannon bała się tej chwili, pierwszego spojrzenia starego przyjaciela; okazała się katastrofalnie lekkomyślna, a jemu przyszło za to zapłacić. Zaskłamywała na każde bolesne słowo.

– Dziękuję. – Jego twarz była mokra od łez, nos zaczerwieniony. – *Mei-mei*. Dziękuję.

I wtedy ona też przestała nad sobą panować. Dołączyła do ich wspólnego uścisku i całą czwórką śmiali się i płakali.

Shannon ziewnęła, przeciągnęła się, zsunęła koldrę. Powlokła się do łazienki, sikała przez pół godziny. Potem opryskała sobie twarz zimną wodą. Na policzkach miała odciski od poduszki. *Rany, jaki z ciebie leniuch*, usłyszała w głowie głos taty. Uśmiechnęła się.

Jedną z jej ulubionych rzeczy w hotelach były szlafroki, a ten, który wisiał obok prysznicza, był prawdziwym cudem: gruba, miękka, puszysta frotka. I co było jeszcze lepsze, w pokoju stał ekspres do kawy. Wrzuciła do niego podwójną porcję i czekała, gdy maszyna syczała i bulgotała, Shannon myślała o cieplej głowie Alice na swoich kolanach, palcach wplecionych w jej włosy.

Sporo wybuliła za ten apartament, ale wystrój był tego wart. Pokój był niczym studium minimalizmu, białe ściany, nierzucające się w oczy meble. Jedna ze ścian była ze szkła solarnego i jej powierzchnia łagodziła surową zimę na zewnątrz. Shannon wzięła kubek z kawą i wyszła na balkon. Zadrżała z zimna i szczelniej otuliła się szlafrokiem. Wyoming w listopadzie, nie, dzięki. *Musisz znaleźć sobie jakąś rewolucję w San Diego*.

Choć było zimno, to było przyjemne uczucie i ten kontrast sprawiał, że kawa smakowała jeszcze lepiej. W dole rozciągała się Tesla w swoim regularnym, precyzyjnie zaplanowanym pięknie. Lustrzane ściany kompleksu Epstein Industries odbijały zimne niebo nad pustynią.

Skądś dobiegł głęboki pomruk, pewnie odgłos ruchu ulicznego. Zastanawiała się, jak poszło spotkanie Coopera z Erikiem; czy miliarder przyznał, co stworzyli jego naukowcy. Idea serum wciąż nie mieściła jej się w głowie. Czuła się tak jak tego ranka, gdy po raz pierwszy się z kimś przespała – cały świat wyglądał tak samo, a jednak inaczej, ale co to za warkot, bo brzmi strasznie podobnie do...

Nagle dźwięk stał się czymś więcej niż tylko dźwiękiem, był otaczającą ją obecnością, potężną i nachalną, na tyle silną, że można by się było o nią oprzeć, błyskawicznie rosnącą i pochłaniającą wszystko, ogłuszającym, wyjąłym jękiem pochodzącym nie od jednego czy dwóch, ale od trzech odrzutowych myśliwców przelatujących nad głową. Formacja drapieźnych trójkątów, lecąca tak nisko, że Shannon widziała pociski podwieszone pod skrzydłami.

*Co, u diabła?*

Shannon ścisnęła mocniej balustradę – patrzyła, jak samoloty przecinają szare niebo, słyszała ich odbijający się echem ryk. Niewiele wiedziała o samolotach wojskowych. Nie byłaby w stanie powiedzieć, jaki to model, ale przez całe dorosłe życie była żołnierzem i potrafiła rozpoznać zagrożenie.

Pobiegła z powrotem do apartamentu, nie domykając drzwi balkonu. Do środka wdarł się zimny podmuch. Telewizor był lśniący i elegancki, bardziej dzieło sztuki niż centrum rozrywki, ale

Shannon chciała tylko znaleźć ten cholerny przycisk i zacząć przerzucać kanały. Nieciekawa kuchnia z nieciekawego sitcomu, hiperkinetyczna animacja z jakiegoś programu dla dzieci, reklama firmy prawniczej dla osób poszkodowanych wskutek cudzych zaniedbań, a potem wreszcie Fox News, sam środek jakiegoś efekciarskiego pakietu graficznego. Pompacyjna muzyka w tle, gdy w pole projekcyjne wtaczają się trójwymiarowe litery, krzyczące: AMERYKA NA SKRAJU PRZEPAŚCI, potem litery eksplodują, zastępuje je stylizowana mapa płonącego Wyomingu, a na jej tle tytuł OSTATECZNA ROZGRYWKA NA PUSTYNI. I jeszcze szybka porcja patriotyzmu: flaga, gwiazdy, Biały Dom, krzyk orla, myśliwce.

Zamiast pakietu graficznego pojawiło się zdjęcie z lotu ptaka. Powoli lecący dron stacji telewizyjnej. Obóz wojskowy, budynki z prefabrykatów tętniące aktywnością. Szeregi czołgów i pojazdów. Lotnisko pełne śmigłowców bojowych. I tysiące, tysiące żołnierzy.

Krajobraz był brązowy, zakurzony, zimny. Niebo w takim samym kolorze jak to za oknem, a miejsce wydawało się znajome – była tam z pięćdziesiąt razy: Gillette, wschodnia brama do Nowego Kanaan. Shannon gwałtownie wciągnęła powietrze. Nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

Amerykańskie wojska okupujące amerykańskie miasta.

Głos prezentera:

– Oddziały wojska nadal gromadzą się w Wyomingu, prowadzą operację, którą rząd określa mianem „manewrów antyterrorystycznych”. Nie wiadomo, czy te manewry zakończą się wkroczeniem na teren Nowego Kanaan.

W polu projekcyjnym pojawiła się mapa Wyomingu, tereny Nowego Kanaan oznaczono krwistym czerwonym kolorem. Do enklawy prowadziły tylko trzy drogi – potężne autostrady biegnące z Gillette, Shoshoni i Rawlins. Wszystkie trzy miasta oznaczono gwiazdkami, które przypominały dziury po kulach.

Rzecznik sił zbrojnych potwierdza, że w manewrach biorą udział połączone siły obejmujące siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy.

Ujęcie z jakiegoś pasa startowego, baza wojskowa, startujące myśliwce.

Ujęcie szeregu czołgów, potężne metalowe potwory otoczone żołnierzami ładującymi amunicję.

Ujęcie barykady na autostradzie, ustawione pod kątem humvee. Żołnierze oparci o ciężkie karabiny maszynowe. Sznur ciężarówek ciągnący się po horyzont.

Zawieszono możliwość wjazdu do Nowego Kanaan, mimo protestów miejscowego rządu, który podkreśla, że niezbędne jest dostarczenie artykułów pierwszej potrzeby.

Ujęcie lalusiowatego mężczyzny w drogim garniturze i okularach, stojącego na podwyższeniu. Podpis głosił: HOLDEN ARCHER, SEKRETARZ PRASOWY BIAŁEGO DOMU. Mężczyzna mówił:

– Podejmowane są wszelkie wysiłki, by znaleźć szybkie i pokojowe rozwiązanie tej sytuacji. Tymczasem pamiętajmy, że trzy amerykańskie miasta są wciąż pozbawione prądu i żywności

w bezpośrednim następstwie zamachów terrorystycznych. Wierzymy, że schronieniem terrorystów jest Nowe Kanaan.

W tym momencie w polu projekcyjnym pojawiła się fotografia. Przystojny mężczyzna, o wydatnej szczęce, stojący przy podwyższeniu.

– Wysoko postawione źródło w Białym Domu potwierdza, że wydano rozkaz aresztowania aktywisty Johna Smitha. Niegdyś uważany za przywódcę terrorystów, Smith w dramatycznych okolicznościach został oczyszczony z zarzutów, gdy ujawniono dowody na to, iż były prezydent Walker...

Z zewnątrz znów dobiegł pomruk, stawał się coraz głośniejszy. Najpierw brzmiało to jak sprzęt stereo ustawiony na pełen regulator; potem jak przetaczający się nad głową grom; potem jak ryk tłumu na stadionie. A wreszcie dźwięk przecinających niebo myśliwców. Szyby w oknach zadrażały.

Prezenter mówił dalej:

– Narastają napięcia po pierwszych atakach Dzieci Darwina. Obecnie indeks niepokojów społecznych osiągnął bezprecedensową wartość dziewięć i dwie dziesiąte...

Rozległo się pukanie do drzwi i Shannon prawie wyskoczyła ze szlafroka. Kawa prysnęła jej na ręce.

– Cholera. – Ściszyła telewizor i wrzasnęła: – Nie potrzebuję sprzątanía, dziękuję!

– Shannon?

Zamarła, ocierając palce o szlafrok. Znała ten głos, choć nie spodziewała się, że usłyszy go w tych okolicznościach. Odstawiła kawę na stolik, podeszła do drzwi. Kątem oka dostrzegła w lustrze swoje odbicie i skrzywiła się. Na policzku miała ślady po poduszcze. I okropne włosy! Przeczesała je palcami, ale to nic nie dało. Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i otworzyła drzwi.

– Witaj, Natalie.

Była żona Coopera wyglądała blado i wydawała się zmęczona.

– Cześć.

Stały tak przez chwilę po obu stronach progu. W końcu Shannon powiedziała:

– Wszystko w porządku?

– Mogę wejść?

– Och, jasne. Przepraszam. – Shannon przytrzymała drzwi, wykonała zapraszający gest. – Kawa jeszcze nie zaczęła działać.

Natalie weszła do apartamentu, obróciła się powoli, przyglądając się nowoczesnemu umeblowaniu, widokowi z okna, wszystkim tym luksusom. Shannon niemal widziała, jak Natalie taksuje ten pokój, wyobraża sobie tu Nicka, ocenia kobietę, którą wybrał zamiast niej.

*Prześni. Zawsze była dla ciebie uspaniałomyślna. To nie jej wina, że zakochałaś się w jej byłym.*

Przypała się na tej myśli, zastanowiła się nad nią.

*„Zakochałaś się?” Kiedy „spotykanie” stało się „zakochaniem”?*

Odpowiedź była oczywista. Wczoraj wieczorem, na lotnisku. Nie z powodu tego, co zrobił dla Lee i Lisy, i nie dlatego, że udzielił właściwej odpowiedzi zapytany o serum. Cieszyły ją obie te rzeczy, ale wielkie gesty i sumienie polityczne nie były czymś, z czego rodzi się miłość.

*Nie. Zakochałaś się w nim, kiedy zaczął przeproszać. Kiedy powiedział, że już nigdy w ciebie nie wątpi.*

*Tak naprawdę sprawiły to te ostatnie słowa. Na upół wypowiedziana obietnica przyszłości, która coś znaczy.*

Zdała sobie sprawę, że po prostu tak stoi, otrząsnęła się.

– Podać ci coś? Może napijesz się kawy?

– Posłuchaj – powiedziała Natalie, odwracając się do niej. – Nie wiem, co cię łączy z Nickiem. Właściwie to nawet nie wiem, co mnie łączy z Nickiem. Ale uratowałaś życie moim dzieciom. Nigdy ci tego nie zapomnę. I nawet gdybyś tego nie zrobiła, i tak bym tu przyszła, bo zasługujesz na to, by wiedzieć, że on żyje.

*Jak to, co łączy cię z Nickiem? Myślałam, że wy... Chwileczkę.*

– Kto żyje? O czym ty mówisz?

– Wiesz – powiedziała Natalie – gdy pierwszy raz zabił dla Służb Obywatelskich, przesiedzieliśmy całą noc i rozmawialiśmy. Nie jestem żoną z jakiegoś filmu, która nie wie, że jej mąż jest tajnym agentem.

– Że... Co? Nigdy tak nie myślałam.

– Nie znam kung-fu i nie mogę mu pomóc znaleźć terrorystów. Ale tysiąc razy robiliśmy razem kolację, kochaliśmy się jeszcze tysiąc razy więcej. Kiedy urodziłam Todda, karmił mnie lodami i masował mi plecy. Wspierałam go, kiedy umarł jego ojciec.

Shannon miała kiedyś wypadek, samochód najechał na nią od tyłu i pchnął w ruch uliczny. Nadjeżdżająca z przeciwka ciężarówka okręciła jej samochód i wtedy uderzył w nią kolejny. Stała teraz w hotelowym szlafroku i czuła te same zawroty głowy co wtedy. Myśliwce, zbierające się wojska, zagadkowe oświadczenia, a teraz to, cokolwiek to miało znaczyć.

– Natalie...

– Daj mi skończyć, dobrze? Muszę to powiedzieć.

Shannon otuliła się szczerzej szlafrokiem, kiwnęła głową.

– Próbuje powiedzieć, że nie jestem jakąś koncepcją, ideą byłej żony. Ja i Nick, nasza historia, to wszystko jest prawdziwe. Był pierwszym mężczyzną, w którym się zakochałam, i jest ojcem moich dzieci.

*O Boże. Ona wciąż go kocha.*

To było zdumiewające, ale jakoś nigdy nie przyszło jej to do głowy. Ona i Nick nigdy nie mieli

typowego etapu załotów, nie przechodzili dzień po dniu przez ten niezręczny okres, gdy para się do siebie zbliża. Do diabła, ledwie zaliczyli coś, co można nazwać randką: kolacja, butelka wina, swobodne rozmowy. Wszystko to, co lata temu Nick musiał przeżyć z Natalie. Wiedziała, że Cooper kocha swoje dzieci, ale zawsze zakładała, że jeśli chodzi o wzajemne uczucia, on i Natalie skończyli ze sobą.

– Nie chcę ci mówić, co masz robić – ciągnęła Natalie. – *Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, czego sama chcę. Nie można tak po prostu przywłaszczyć sobie drugiego człowieka. – Umilkła, jakby się zastanawiała, czy właśnie tego nie zrobić.*

*A jeśli to robi, co wtedy? Choć tak bardzo pragniesz Nicka, czy staniesz na drodze kobiecie, która próbuje odzyskać swoją rodzinę?*

Nim Shannon zdążyła odpowiedzieć na to pytanie, coś w trójwymiarowym polu projekcyjnym przykuło jej uwagę. Nie chodziło o szybkość i skuteczność, z jaką ratownicy zajmowali się ludźmi leżącymi na podłodze. Ani o to, że poznała restaurację. Nie chodziło nawet o to, że ochroniarze próbują powstrzymać krzyczącą kobietę.

Tą krzyczącą kobietą była Natalie.

Była żona Nicka podążyła za jej spojrzeniem, zobaczyła nagranie. Skrzywiła się.

– Muszę wracać. Mój syn wciąż jest...

– Natalie, co się stało?

– Wczoraj rano, przy śniadaniu, zaatakował nas mężczyzna. Chodziło mu o Nicka, ale Todd stanął mu na drodze.

– O Boże. – Shannon zasłoniła usta dłonią. – Czy on...

– Jest w śpiączce, ale mówią, że z tego wyjdzie. – Natalie wypowiedziała te słowa spokojnie, nie uciekając przed odpowiedzią. Była silna, co do tego nie było wątpliwości. – Mielśmy szczęście. Gdyby to się stało gdziekolwiek indziej, Cooper już by nie żył.

Natalie opowiedziała jej o wszystkim krótkimi, urywanymi zdaniami. O tym, jak zabójca zdjął ochroniarzy, jakby ich tam w ogóle nie było. Jak dźgnął Nicka. Jego serce przestało bić. Ratownicy, nie zwyczajne pogotowie, tylko elitarni lekarze zatrudniani przez Epsteina, zawiesili w jakiś sposób słabnące procesy metaboliczne w jego organizmie, a potem przewieźli go do kliniki na zabieg jak z jakiegoś filmu science fiction. Nick ocknął się, by stwierdzić, że jego syn jest w śpiączce, a kraj szykuje się do wojny. A wszystko to się stało, gdy Shannon była nieprzytomna ze zmęczenia. Gdy wróciła z lotniska, wynajęła ten apartament i padła na łóżko.

– Mogę go zobaczyć? – Shannon ruszyła w stronę sypialni. – Poczekaj chwilę, zaraz się ubiorę.

– Nie ma go.

Zatrzymała się, odwróciła powoli.

– Nie ma?

– Epstein organizuje dla niego odrzutowiec. Będzie próbował się dostać do Ohio.

– Będzie... Co?

Dźwięk, jaki wydała Natalie, nie był do końca śmiechem.

– Tak.

– Dlaczego?

– Jest jakiś naukowiec, który wynalazł coś niezwykłego. Coś, co według Nicka mogłoby zapobiec wojnie.

– Wiem – odparła Shannon. – To ja powiedziałam o tym Nickowi. – To nie była szpila, wmawiała sobie, to nie był atak, ale nie było nic złego w tym, że wytycza swoją przestrzeń. Natalie dzieliła z Nickiem wspólną przeszłość; a ona miała to, to dziwne intensywne życie na krawędzi, które oboje prowadzili. I to też było coś warte.

– No tak. – Usta drugiej kobiety lekko się zacisnęły. – Cóż, doktor Couzen zaginął. Nick próbuje go znaleźć.

– Wczoraj rano przeszedł operację serca, a dziś leci do Ohio?

– No wiesz, próbuje uratować świat. – Natalie wzruszyła lekko ramionami. – Muszę wracać do mojego syna. Pomyślałam tylko, że zasługujesz, by wiedzieć, że on żyje.

Shannon kiwnęła głową, odprowadziła ją do drzwi.

– Dziękuję.

– Tak. Uważaj na siebie.

– Ty też.

A potem odeszła; kobieta z kucykiem i w pożyczonym płaszczu, wyprostowana mimo przytłaczającego ją ciężaru. Shannon patrzyła za nią. Nad głową ponownie rozległ się ryk przelatujących myśliwców, a Natalie wciąż kochała Nicka, Nick umarł i narodził się na nowo, i jeśli był w tym jakiś wzorzec głębszy niż w wodzie spływającej do ścieków, to Shannon go nie widziała.

Zamknęła drzwi i poszła do sypialni. Jej komórka leżała na stoliku przy łóżku. Wpisała w nią sekwencję cyfr, której nigdy dotąd nie używała. Zawahała się, jak sformułować wiadomość, ale pomyślała: pieprzyć to. Sformułowała to prosto.

MUSZĘ ZNAĆ ODPOWIEDZI. NATYCHMIAST.

Wcisnęła „Wyślij”, potem przeszła do łazienki, odkręciła prysznic. Hotel był naprawdę luksusowy i zamiast wojskowego prysznica, do jakiego nawykła w Nowym Kanaan, woda płynęła tu ciągle i była gorąca. Gdy wyszła z łazienki, zobaczyła odpowiedź w swoim telefonie.

TAK MYŚLAŁEM. 44.3719 NA – 107.0632.

Wypożyczony samochód był elektryczny, ale udało jej się dostać pick-upa z przyzwoitymi oponami. Wymagały tego podane współrzędne GPS; bynajmniej nie było to w głębi pustyni, ale ponad półtora kilometra od drogi i trzeba było jechać starym, wyschniętym korytem rzeki. Paleta barw



krajobrazu sięgała od jasnego brązu do ochry: kurz, skały, nawet poskręcane krzaki – wszystko było w odcieniach brązu. Spod kół wzbijały się za nią chmury pyłu. Ponura, brązowa linia sięgająca aż do autostrady.

Shannon wypatrzyła miejsce spotkania, jeszcze zanim tam dotarła: gołe wzgórze wznoszące się na jakieś pięćdziesiąt metrów. Zaparkowała pick-upa u podnóża, obok humvee, prawdziwego pożeracza benzyny. Pojazd był zakurzony i podniszczony. Mężczyzna, który stał, opierając się o niego, trzymał karabin szturmowy ze swobodnym spokojem zawodowca. Na jego mundurze nie było żadnej flagi, żadnych oznaczeń stopnia, ale przy pasku miał dwa magazynki i dwudziestocentymetrowy nóż.

– Cześć, Shannon.

– Bryan VanMeter – powiedziała. Przypomniała jej się robota w Boise, jakieś dwa lata temu – rozglądała się po banku, a potem on go obrabował ze swoją ekipą. Jednym ze szczegółów rewolucji, o którym często się zapomina, jest to, że wymaga pieniędzy, i Shannon zrobiła niejeden skok, by wesprzeć swoją sprawę. Ona i VanMeter odtąd ze sobą nie pracowali, ale wtedy facet zrobił na niej wrażenie; był kompetentny, nie będąc przy tym macho, i potrafił działać tak, by się nie martwiła, że może postrzelić jakichś przypadkowych ludzi.

– Niezły wóz. Szykujesz jakąś inwazję?

– Prezydent Clay – mężczyzna odchrząknął i splunął – wydał wczoraj rozkaz. Federalni szukają Johna, żeby go aresztować.

Zwróciła uwagę, że użył imienia. Pomyślała: *Bystre posunięcie. Robisz z niego swojego przyjaciela, nie pracodawcę.* Potem przypomniała sobie, że też mówi o Johnie po imieniu.

*Zgadza się, ale ja to coś innego.*

Czy to była prawda? Trudno powiedzieć. Bryan VanMeter nie był po prostu osiłkiem. Zanim go olśniło, był rangersem. Shannon jednak nigdy nie myślała o nim jako o kimś, kto jest doradcą Smitha.

*Ciekawe, czy VanMeter myśli tak samo o tobie.*

– Gdzie on jest?

– Na szczycie. Uważaj, jak idziesz. Niektóre kamienie są obluzowane.

Kiwnęła głową i zaczęła się wspinać ścieżką. Było stromo, ale dość łatwo. Dzień był zimny, po niebie sunęły groźne chmury, na ich tle widać było jakąś postać. Jeśli usłyszał, że się zbliża, nie pokazał tego po sobie, dalej wpatrywał się w horyzont. John Smith zamienił garnitur na wytarte robocze spodnie, koszulę z długim rękawem i kurtkę bez rękawów i szarą, robioną na drutach czapkę. Pod oczami miał paskudne niebiesko-zielone siniaki – *to była sprawa Nicka* – i w tym stroju wyglądał naprawdę inaczej. Mniej jak polityk, a bardziej jak stary wojownik.

– Powiedz mi, że był jakiś powód.

– Witaj, Shannon.

– Oglądałam wiadomości. Wiem, że to twój stary kumpel z akademii zaatakował Nicka i jego rodzinę. Ten temporalny dziwolak. Nie mów mi, że to nie ty go nasłałeś.

– Ma na imię Soren. I tak, wysłałem go. – Ton Smitha był rzeczowy.

Zacisnęła pięści, otworzyła je.

– Wiesz, że Nick jest moim przyjacielem...

– Przyjacielem?

– ...a ty wysłałeś kogoś, żeby go zabił.

– Tak, przykro mi, ale trzeba to było zrobić. Chodzi o coś większego niż osobiste uczucia.

– Lepiej, żeby tak było – odparła. – Ale nawet odkładając na bok mój związek z Cooperem, i tak nie rozumiem dlaczego. Był ambasadorem prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przyjechał tu, by zawrzeć pokój. I choć w to nie wierzyłeś, musiałeś wiedzieć, że zamordowanie go może rozpętać wojnę.

John Smith roześmiał się ponuro. Wskazał głową przed siebie.

– Może?

Za jałowymi pustynnymi terenami osiem kilometrów dalej wznosiła się sylwetka Tesli. Z tej odległości miasto wydawało się żałośnie małe, garstka niskich budynków rozchodzących się od srebrnych wież Epstein Industries. Miasto nieuzbrojonych marzycieli skulone pod ponurym niebem. I nawet stąd widziała krążące myśliwce. Lecące nisko helikoptery. Widziała humvee toczące się po pustyni. Łuk wojsk dłuższy niż samo miasto, gotowy do inwazji.

– Spójrz na ich armię – powiedział John. – Statystycznie około siedmiuset pięćdziesięciu z nich to obdarzeni. Chcesz się założyć, ilu z nich jest oficerami?

– Myślisz, że tego nie wiem? Ale wywoływanie wojny, żeby to naprawić, to jakieś szaleństwo.

– Zgadza się – przyznał. – Byłem aktywistą, pamiętasz? Próbowałem zmienić system. Cóż, system nie chce się zmienić. Będzie walczyć do ostatniej kropli krwi, by zniszczyć wszystko, co próbuje go zmienić.

– Zachowaj sobie tę gadkę dla studentów, John. Powiedz mi, że jest jakiś powód tego wszystkiego.

– Jest – warknął i odwrócił się, by na nią spojrzeć. – Shannon, oni uwięzili dzieci. Chcą wszczepiać mikrochipy naszym przyjaciołom. Zamordowali te rodziny w Monocle, żeby ludzie bali się obdarzonych, i zabili ponad tysiąc ludzi w zamachu na giełdę, po to żeby podsyć płomienie. Wprowadzili kwarantannę we własnych miastach, a gdy ich obywatele błagali o żywność, wypuścili na nich gaz łzawiący i zaczęli do nich strzelać. Oni nigdy nie pozwolą na to, byśmy byli im równi. Jedyne świat, jaki potrafią sobie wyobrazić, to ten, który mają, i zrobią wszystko, żeby go zatrzymać. Nawet jeśli oznacza to rozlew krwi.

– A więc ty idziesz im na rękę i próbujesz zabić wysłannika pokojowego?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć. Znieruchomiał. Sięgnął do kurtki i wyjął papierosy.

– Próbuję?

*O cholera.*

– Wiesz, o co mi chodzi. W czym zabicie go miało nam pomóc? Jak to może doprowadzić do czegokolwiek prócz ataku na Nowe Kanaan?

Spojrzał na nią, jakby oceniał ją wzrokiem. Otworzył paczkę, wysunął papierosa i zapalił go. Wciąż patrzył jej prosto w oczy.

Prawda do niej dotarła.

– Ty c h c e s z , żeby zaatakowali.

– Zrobią to. A wtedy sami skazą siebie na zagładę.

– Jak? Tam jest siedemdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy. Jeden uzbrojony żołnierz na każdego mężczyznę, kobietę i dziecko w Nowym Kanaan. A tam, skąd przyszl, są ich miliony.

John zaciągnął się głęboko. Uśmiechnął się.

– Shannon, to nie jest coś, co przyszło mi do głowy dziś rano pod prysznicem. Planowałem to od lat. Obezwładniłem rządową agencję i obaliłem prezydenta, żeby do tego doprowadzić. Jeśli wojna jest dla nas jedynym sposobem, by dostać to, na co zasługujemy, to, na Boga, będą mieli swoją wojnę.

Shannon wpatrywała się w niego, myślała. Znała Johna od lat, dla niego ryzykowała, że trafi do więzienia, walczyła z żołnierzami i nieraz zabijała. Ale choć wiedziała, że nie obawia się konfliktu, nigdy nie przyszło jej do głowy, że pragnie otwartej wojny. Dobry Boże, jak to w ogóle by wyglądało. Normalni mieli przytłaczającą przewagę liczebną, przypadało ich dziewięćdziesięciu dziewięciu na jednego obdarzonego. Nie było takiego sposobu, z wyjątkiem ludobójstwa i niewolnictwa, by sięgnęli po to, na co według Johna zasługiwali. Równość by jej odpowiadała, świat, w którym rząd istnieje, by próbować służyć ludziom, wszystkim ludziom, zamiast manipulować prawdą, by służyć tylko tym, którzy są na szczycie.

I było coś jeszcze.

– Serum – powiedziała powoli. – Badania doktora Couzena nad replikacją zdolności obdarzonych. Gdy wysłałeś mnie do DAR po te informacje, nie zamierzałeś się tym podzielić, prawda? Nie chciałeś tego upubliczniać.

Nie odpowiedział, wciąż patrzył jej w oczy.

– Pytam, bo w ciebie wierzyłam.

– Shannon...

– Jest sposób, żeby tego wszystkiego uniknąć. A ty z niego nie korzystasz. – Wpatrywała się w niego. Teraz widziała wszystko, cały ten paskudny bajzel. Wszystkie te rzeczy, które pozwoliła

sobie zignorować. – Chcesz tej wojny równie mocno jak oni, prawda? Chcesz maszerować na czele armii i podbijać świat. Bez względu na to, ile krwi zostanie przelane.

Jego spojrzenie stało się twarde.

– Przejmuję się naszą krwią. Nie ich.

– Krew to krew.

– Nie – powiedział. – Nieprawda. I to nie ja zacznę tę wojnę. To oni użyją wojska.

– Jeszcze tego nie zrobili.

– Ale robią. Ktoś po ich stronie będzie tak przekonany, że trzeba zabić nienormalnych, że rozpoczną skomasowany atak na własnych obywateli. Może to będzie Clay, może ktoś z jego sztabu, może jakiś osiemnastoletni dzieciak, którego poniosą nerwy i pociągnie za spust. Zaatakują, a kiedy to robią, zjednoczą wszystkich obdarzonych. – Zerknął na zegarek. – To się już dzieje. Równie dobrze możesz się z tym pogodzić.

– Nie zamierzam.

– Lepiej spróbuj. Rozumiem, że wyobrażałaś sobie, że powinniśmy wszyscy trzymać się za ręce i śpiewać *Kumbaya*, pisząc nową konstytucję, ale to tak nie działa. Budowanie nowego świata to krwawy biznes. I lepiej zdecydować, na kim ci naprawdę zależy. – Zrzucił niedopałek ze szczytu wzgórza. – Bo albo jesteś z nami... albo z nimi.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIELTY SIÓDMY

Soren celował.

Przez celownik teleskopowy patrzył, jak kobieta rozmawia z Johnem. Znajdował się czterysta metrów dalej, ale celownik miał dwudziestokrotne powiększenie i gdy krzyż celownika był na jej czole, łatwo było czytać z ruchu jej warg. Nie cierpiał krótkiej broni palnej. Odrzut, nasilony jego poczuciem czasu, sprawiał, że wydawało mu się bardzo nieelegancka. Ale karabin snajperski to była czysta mechanika. Trzymaj go, porządnie oddychaj, dociśnij spust, zamiast go pociągnąć – to była tylko projekcja woli na odległość. Mimo wszystko cieszył się, że jej nie zabił; John mówił mu, że jest bliską przyjaciółką Samantha.

Gdy już wsiadła do wozu i odjechała, znów przesunął celownik na Johna. Na twarzy przyjaciela malowało się to samo skupienie, które zapamiętał z czasów, gdy grali w szachy. Pogrążony w permutacjach, podążający za łańcuchem możliwości.

W końcu John spojrzał prosto na niego i przemówił. Tym razem użył normalnego języka, zgadując – błędnie – że wymaga tego odległość.

– Cooper przeżył. Mamy problem.

W oddali przelatujące myśliwce brzmiały jak rozwścieczone owady.

– Wszystko idzie zgodnie z planem. – Smith potarł kark. – Tylko jedna rzecz może to teraz powstrzymać.

Soren czekał, by usłyszeć, czego potrzebuje jego przyjaciel.

– Doktor Couzen ma asystenta o nazwisku Ethan Park.

Reszta była oczywista. Soren wstał i zaczął iść.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Cooper spodziewał się korporacyjnego odrzutowca. Czegoś lśniącego i szybkiego, ze skórzanymi fotelami i trójwymiarowymi telewizorami w zagłówkach.

– Nie, sir – roześmiał się pilot. – Nie teraz, kiedy dobrzy ludzie z amerykańskiego lotnictwa składają nam wizytę. Wszystkie prywatne loty zostały uziemione. Jedyne, co może się teraz znaleźć w powietrzu, to samoloty transportowe z towarami pierwszej potrzeby. Kursuje też paru przemysłowców z jajami, ale wtedy byłyby spore szanse na to, że wyleciałby pan w powietrze, więc pan Epstein zasugerował ten sposób.

„Ten sposób” oznaczał przerobiony na samolot transportowy boeing 737 ze zdemontowanymi fotelami, bez okien i z wielkim czerwonym krzyżem namalowanym na boku. Cooper spojrzął na samolot, wzruszył ramionami.

– No to gdzie mam siedzieć?

– No cóż, może pan sobie wybrać dowolną skrzynkę. – Pilot wyszczerzył zęby. Ale na trzydziestu tysiącach stóp może być trochę zimno.

– No tak. Miejsce drugiego pilota. – Cooper zapiął pasy, gotów do lotu.

Trzy godziny później wciąż czekali na pasie. Cooper pomstował i kłął, ale pilot wzruszał tylko ramionami. Nie dało się na to nic poradzić; według niego mieli szczęście, że w ogóle mieli wystartować.

Gdy wreszcie dostali pozwolenie, Cooper wyrzwał przez okno na wojska w dole i poczuł, że ścisną mu się żołądek. Słyszeć liczby, to było jedno. Zobaczyć to, to było już zupełnie coś innego. Szeroki łuk wojsk wymierzony prosto w serce Nowego Kanaan. Koszary i hangary z prefabrykatów, kolejne rzędy ciężkiego sprzętu, postacie jak mrówki kłębiące się tam na dole. Minęło prawie dziesięć lat, odkąd odszedł z wojska, ale potrafił sobie wyobrazić tę aktywność na ziemi, napięcie narastające w każdej piersi, nerwową energię, która sprawiała, że pragnąłeś, by to najgorsze wreszcie się stało i żebyś nie musiał już na to czekać.

Może z tej wysokości żołnierze zdawali się maleńcy, ale to było złudzenie; prawda była taka, że to on był maleńki. Jeden człowiek, który ledwie wstał ze szpitalnego łóżka i zamierzał przeszukać trzystumilionowy kraj, by znaleźć jednego ukrywającego się geniusza. Świat nie widział dotąd

większego stogu siana, w którym trzeba było znaleźć igłę.

*A może przestaniesz się nad sobą użalać i weźmiesz się do roboty?*

Włączył tablet i zaczął czytać.

Jeśli istniało coś, co miał Epstein, to były to informacje. Czas szybko mijał, gdy Cooper usiłował przyswoić sobie wszystko o Ethanie Parku. Jego rodzice, dzieciństwo, pochodzenie z akademickiej rodziny, badania epigenetyczne, związki z Abrahamem Couzenem. Facet bez wątpienia był genialnym naukowcem, ale Cooperowi wyglądało na to, że był raczej kimś, kto inspiruje i wspiera innych, zamiast ich prowadzić. Katalizator, asystent, którego przeznaczeniem jest być blisko wielkich ludzi. To było pozytywne; różnica pomiędzy kimś takim jak Ethan a laureatem Nagrody Nobla polegała prawdopodobnie na wybujałym ego, co było istotną zmienną, jeśli chodzi o przewidywalność.

Przez cały ten czas coś go dręczyło. Gdzieś tu kryła się wskazówka, fragment danych, których jeszcze nie poskładał. Wiedział, że nie może się do tego zmuszać, po prostu stwierdził fakt i pozwolił, by jego umysł działał swobodnie, karmił go danymi, które były jak benzyna dla silnika jego zdolności.

Cooper wcale nie był zaskoczony, ale też niezbyt zadowolony, gdy dowiedział się, że Ethan Park również ucieka. Dobra wiadomość była taka, że choć złożyli mu wizytę agenci DAR, wyglądało na to, że to nie z tego powodu opuścił dom. Wszystko wskazywało, że to sytuacja w Cleveland zmusiła go do opuszczenia miasta. Ryzykowne posunięcie, ale Cooper je pochwalał; lepiej odważyć się na trudną podróż niż czekać, aż wszystkie drogi ucieczki zostaną odcięte. Taka decyzja musiała być szczególnie trudna dla mężczyzny, który dopiero co został ojcem; Cooper przyłapał się na tym, że niemal go podziwiał.

Pilot powiedział coś przez słuchawki i potem, gdy zaczął schodzić do lądowania...

*Chwilęczkę. Agenci DAR złożyli Parkowi wizytę? Dlaczego?*

*DAR zorientowałby się równie szybko jak ty, że Couzen sfingował własne uprowadzenie. Ale czemu agencja miałaby się zajmować zwykłym porwaniem? Chyba że...*

*Wiedzieli, nad czym pracował Couzen. A gdy zniknął, agent prowadzący sprawę wykonał logiczny kolejny krok, ten, który ty wykonujesz teraz.*

*Zaczął szukać Ethana Parka.*

...krajobraz się zmienił.

– Sukinsyn – mruknął Cooper.

– Sir?

Nagle jego umysł skupił się na dręczącej go wskazówce. *Niewiarygodne.* Miał odpowiedź pod samym nosem, jeszcze zanim zaczął jej szukać. Patrzył na nią tego wieczoru, gdy poszedł na piwo ze swoim dawnym partnerem.

- Kiedy wylądujemy?
- Za jakieś trzy minuty.
- Dobra. – Cooper spróbował napiąć zabandażowaną prawą dłoń. Poczuł, jakby zaraz miała pęknąć, wstążki płomieni wystrzeliły ku palcom, ale zacisnął zęby i tak to zrobił. – Będę potrzebował dwóch rzeczy.
- Proszę powiedzieć jakich. Pan Epstein kazał dać panu wszystko, czego pan zażąda.
- Po pierwsze, bezpiecznego połączenia telefonicznego, gdy tylko wylądujemy.
- A po drugie?
- Naprawdę szybkiego samochodu.

To było jak hołd dla miliardów i tego, co potrafią zdziałać. Mimo faktu, że znajdowali się w Akron w Ohio, na małym lotnisku, o którym Cooper nigdy nie słyszał, dwa i pół tysiąca kilometrów od Nowego Kanaan, mężczyzna w kombinezonie siedł po płycie lotniska, ściskając w rękę okazały telefon, jeszcze zanim silniki zdążyły się zatrzymać.

Cooper odpiął pasy w siedzeniu drugiego pilota i spotkał się z mężczyzną u szczytu trapu. Wyciągnął prawą rękę po telefon, ale w porę się zorientował.

- Jest bezpieczny?
- Tak, sir. Szyfrowanie dla poziomu kierownictwa Epstein Industries.

*Czyli pewnie bezpieczniejszy niż to, co mają w DAR.* Cooper spojrzał na pilota, odczekał, aż ten powie:

- No tak, już się zbieram.

Zamknął za nim włącz do kokpitu.

Cooper wybrał numer, jeden z kilku, których nauczył się na pamięć. Były takie czasy, gdy wybierał go kilkanaście razy dziennie. Rozległ się pierwszy sygnał, potem drugi, potem trzeci, Cooper myślał „no dalej, odbierz”, a potem w słuchawce zabrzmiał znajomy głos.

- Quinn.
- Bobby, to ja.

Milczenie. Długa chwila milczenia. Potem Quinn rzucił z napięciem w głosie:

- Z kimkolwiek rozmawiam, powinieneś wiedzieć, że uruchomiłem algorytm namierzania.
- Naciesz się tą twoją gierką, bo za kilka sekund, kiedy cię znajdę, wyślę na ciebie drony.

*Co? No tak. Racja.*

- Bobby, ja żyję. Erik Epstein wyciągnął królika z kapelusza, zrobili mi jakiś nowy, nielegalny zabieg i uratowali mi życie.
  - Mów dalej, dupku. Jak myślisz, jak długo twoje szyfrowanie wytrzyma technologię DAR.
- Cooper westchnął.
- Jesteś rozwiedziony. Twoja córka ma na imię Maggie. Trzy miesiące temu ty, ja i Shannon



zephnęliśmy dyrektora Petersa z dachu w centrum Waszyngtonu.

Milczenie.

– Cooper i ja niedawno poszliśmy na piwo. Gdzie byliśmy?

– Nie pamiętam, jak się nazywał bar, ale był tam półmrok, świąteczne lampki. Piliśmy piwo i whisky i gadaliśmy o porwaniu Johna Smitha.

– Jezu Chryste! Cooper? To naprawdę ty?

– To naprawdę ja, stary.

– O Boże. O cholera. – Quinn mówił szybko, w jego głosie słychać było ulgę, wzruszenie. – Co, u diabła, Coop? Myślałem, że nie żyjesz. Wszyscy tak myśleliśmy.

– Bo nie żyłem.

– Co?

– Najwyraźniej z medycznego punktu widzenia byłem martwy. Zawiesili mi jakiś procesy życiowe i naprawili serce. Coś z komórkami macierzystymi, nie wiem dokładnie, ale słuchaj, naprawdę nie mam czasu...

– Co z Toddem?

Poczuł falę ciepła, a równocześnie potężne wyrzuty sumienia i ból.

– On... Mówią, że z tego wyjdzie.

– Dzięki Bogu. Tak się bałem. Mój Boże. Coop! Ty żyjesz.

– Hej, mów trochę ciszej, co? – Wyobraził sobie biuro Bobby'ego, wszystkich tych ludzi, którzy mogli się tam przewijać. – To jest do wiadomości wszystkich.

– Dlaczego nie?

– Bycie martwym ma swoje zalety. Gdybym żył, powinienem zadzwonić do prezydenta i wykonywać rozkazy. Ale martwi mogą robić, co chcą.

– O cholera! – Bobby nagle spowaźniał. – Co kombinujesz?

– Ratuję świat, jak zwykle.

– I jak ci idzie?

– Tak jak zawsze. Słuchaj, nie mamy czasu. Tego wieczoru w barze mówiłeś, że dopiero co wróciłeś z Cleveland. Że rozpracowywałeś tam cel, naukowca, który uciekł.

– No i?

– To był doktor Abraham Couzen, prawda?

Znów milczenie.

– Nie wiem, czy mogę potwierdzić...

– Wiem, że chodziło o Couzena, i wiem, że byłeś tam, by rozpracować jego asystenta, faceta o nazwisku Ethan Park. Zgadza się.

Westchnienie.

– Tak.

– Wiem, nad czym pracował Couzen. I ty też to wiesz. Znalazł przyczynę pojawienia się obdarzonych i pracował nad tym, jak to zreplikować.

– Wiesz, że cię kocham, stary, ale to naprawdę zdecydowanie wykracza ponad...

– Bobby, bez jaj, to naprawdę nie jest właściwy moment. Mogę być twoim dawnym szefem albo specjalnym doradcą prezydenta, albo po prostu twoim najlepszym przyjacielem, cokolwiek, czego ci potrzeba, żebyś przestał już pierdolić. – Przybrał twardy ton, pozwolił, by Quinn wyczuł jego desperację. – Możesz to zrobić?

Długa chwila milczenia.

– Co się dzieje?

– Couzen sfingował własne uprowadzenie. Próbowałem się dowiedzieć, dlaczego to zrobił, i wreszcie wszystkie fragmenty zaczęły do siebie pasować. Zrobił to, bo DAR zaczął go szukać, prawda? Dowiedzieliście się jakoś, czym się zajmował, i chcieliście to mieć.

– Cholera, stary, wszyscy tego chcą. Coś takiego może zmienić świat. Może nawet powstrzymać to, co się teraz dzieje.

– Też tak myślę. Dlatego muszę to znaleźć, i to natychmiast.

– No to powodzenia. Może Couzen za bardzo się nie popisał, figując napaść, ale okazał się naprawdę świetny w nierzucaniu się w oczy. Uruchomiłem wszystkie protokoły, żeby go złapać, ale nic z tego.

– A teraz Ethan Park też ucieka. Jest celem. – Znowu chwila milczenia. – Zgadza się?

Cooper nienawidził telefonów. Gdyby rozmawiał z Bobbym osobiście, mógłby przejrzeć na wskroś warstwy konfliktu, rozłożyć to na czynniki pierwsze. Jednak bez wszystkich tych drobnych fizycznych wskazówek, drgających mięśni, oznak zdenerwowania, jego zdolność była bezużyteczna.

*Już po raz drugi w ostatnim czasie. Może za bardzo na niej polegał, Coop.*

*Może przyszła pora, żebyś zamiast tego użył mózgu?*

– Mówiłeś, że w Cleveland przyspiliłeś Parka. Domyślam się, że był pod obserwacją, zgadza się?

– Jasne. Ale potem w Cleveland się porobiło. Gdy zaczęły się zamieszki, moi ludzie wycofali się, żeby pomóc. To wtedy zwał.

– Myślisz, że wiedział o twojej ekipie?

– Nie. Miał po prostu szczęście. Wtedy wielu ludzi próbowało się wydostać z Cleveland. Gdy się zorientowałem, co się stało, przeskanowaliśmy nagrania i znaleźliśmy jego samochód. Zaczęliśmy go obserwować z dronów, znaleźliśmy go, jak szedł na południe, z żoną i z dzieckiem. Miała go zgnać Gwardia Narodowa, ale jakiś napaleniec zastrzelił uchodźcę i potem zrobił się chaos.

– Zgubiliście go?

– Na jakiś czas. Potem znaleźliśmy go w banku, znowu go zgubiliśmy, dowiedzieliśmy się, że

napadł na stację benzynową.

– Poważnie? – To zupełnie nie pasowało do wzorca postaci, jaki wytworzył sobie Cooper. – Myślałem, że to taki niezaradny naukowiec. Został przestępcą?

– Tak, no cóż... – W głosie przyjaciela słychać było zakłopotanie. – Postanowiłem zaryzykować, zadzwoniłem do niego, gdy był w banku, i spróbowałem przemówić mu do rozsądku. Spanikował.

– Gdzie była ta stacja benzynowa?

– W miejscu, które nazywa się Cuyahoga Falls. Pod Akron.

Cooper się roześmiał.

– Jaja sobie robisz.

– Nie, a czemu?

– Zgadnij, skąd dzwonię.

– Nie żartuj? Hmm.

– Co ma znaczyć to hmm?

– No cóż, nasz Ethan jest bystry. Wziął samochód sprzedawcy ze stacji, ale nie próbował uciekać. Zamiast tego gdzieś się zaszył. Minęło trochę czasu, nim przeskanowaliśmy materiał z satelity, ale znaleźliśmy go. Jest niedaleko, w domku letniskowym. Miałem właśnie wysłać gliny, żeby go zgarnęli.

– Miejscową policję? Nie ma mowy. Bobby, nie możemy go stracić. Jeśli jakiś żółtodziób zobaczy, że facet ma broń, i strzeli...

– Tak, wiem. Ale nie mam wyboru, Coop. Nie mam ludzi. Włączyłeś telewizor? Wszystko jest skupione na Wyomingu. W tej chwili nie byłbym w stanie zamówić pizzy.

– To pilnuj go. Namierzyłeś go; nigdzie nie pójdzie.

– Taki był plan, póki twój koleś nie zjawił się w Ohio.

– Mój koleś?

– Soren Johansen. Taki dupek z nożem, pamiętasz?

– J o h a n s e n ? On tu jest? Skąd wiesz?

– Bo musiałem skorzystać z każdej możliwej przysługi, żeby uruchomić skanowanie materiału z kamer w całym kraju. Nikt nie może zabić mojego partnera i uciec, i mam gdzieś, czy zaraz się zacznie trzecia wojna światowa. Na tę chwilę mogłem zdobyć dostęp tylko do publicznych kamer, no wiesz, instytucje rządowe, lotniska...

– Lotniska?

Quinn czytał mu w myślach.

– Gdzie dokładnie... Mówiłeś, że jesteś w Akron. Na Fulton International?

– Nie mogłem dostać się do Cleveland, bo miasto jest odcięte, więc przyleciałem tutaj.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale Johansen też.

Cooper poczuł dziwny, nagły ucisk w piersi. Jego serce jakby się zacięło, uderzenie, a potem nic. Ogarnęła go zwierzęca panika, mrowienie w palcach, potem jego serce znów ruszyło, kolejne uderzenia, teraz szybkie. Świat lekko się zachwiał. Nick opadł na oparcie fotela pilota.

– Coop? Wszystko w porządku?

Nie chodziło o strach, choć czuł również to. To było coś mechanicznego, jakby jego serce zgubiło rytm. *Peunie latana opona nie jest tak mocna, jak nieuszkodzona.* Wziął głęboki oddech, skupił się na tym, by serce znów zaczęło regularnie bić.

– Nic mi nie jest. Słuchaj, jeśli on tu jest, szuka Ethana.

– Bez jaj. Nie mam wyboru, muszę wysłać gliny.

Cooper się nad tym zastanowił. Dlaczego nie skorzystać z pomocy policji? Nie musiał przecież sam ratować świata. Zwłaszcza teraz. A potem przypomniał sobie, co się wydarzyło w restauracji. Łatwość, z jaką Johansen zamordował wyszkolonych ochroniarzy Epsteina. Do tego trzeba było dodać przerażonego ojca z bronią, mężczyznę, który nie ma pojęcia, jakie siły miotają się wokół niego. Dorzućmy jeszcze garstkę gliniarzy z przedmieścia, niemogących się doczekać małej przygody. To by była katastrofa.

– Nie wysyłaj policji, Bobby. Jest inna możliwość.

Samochodem okazało się porsche 911, jeden z tych nowych modeli, w których stronę nigdy nie spoglądał, gdy był na rządowej pensji. Umieszczony z tyłu silnik z turbodoładowaniem mógł przyspieszyć od zera do stu kilometrów na godzinę w ciągu dwóch i dziewięciu dziesiątych sekundy. Czerwona jak kandyzowane jabłko karoseria aż krzyczała, jaka jest seksowna.

*Wygląda na to, że Epstein potraktował cię poważnie, gdy mówiłeś, że chcesz szybki wóz.*

Bobby'ego trzeba było trochę przekonywać, ale w końcu podał Cooperowi adres domku, gdzie ukrywał się Ethan z rodziną. Obiecał, że nie poinformuje policji jeszcze przez trzydzieści minut. Ale Johansen i tak miał przewagę.

Cooper wsiadł do wozu, uruchomił silnik i właśnie miał nacisnąć gaz, gdy zdał sobie sprawę, w jakim stanie jest jego ręka. Nie mógł nią zmieniać biegów. Wcisnął sprzęgło, unieruchomił kierownicę prawym nadgarstkiem i pochylił się, by zmienić biegi lewą ręką. Poczul wyczerpanie, ogarnęła go fala frustracji.

*Co ty wyprawiasz?*

Gdy siedział na korytarzu w klinice Epsteina, usłyszał prawdę w słowach Natalie – tę dobrą i tę złą. Prawda była taka, że choć bardzo kochał dzieci, choć czuł, że powinien spać na krześle przy łóżku Todda, był za bardzo żołnierzem, by wierzyć, że ma to jakiś sens. Romantyczniej było wierzyć, że stoczy dziesięciorundową walkę o życie syna z ponurym kosiarzem, ale prawda była taka, że przesiadywanie tam byłoby bezużyteczne. Świat znalazł się na skraju wojny, na Nowe Kanaan miał

spaść deszcz bomb, a on miał szansę to powstrzymać. A więc tak, lepiej było jechać.

Plan jednak zakładał, że odnajdzie Ethana Parka. Użyje swojego umysłu i zdolności, by namierzyć naukowca i przekonać go, by podzielił się swoją wiedzą. W tym planie nie było mowy o walce. Nie było mowy o tym, że ma stawić czoło najlepszemu przyjacielowi i zabójcy Johna Smitha.

Z każdym uderzeniem serca Cooper czuł ból, pulsowanie, które zaczynało się w piersi, odbijało echem w jego dłoni i miażdżyło głowę. Widział trochę niestabilnie – obraz nie był zamazany, ale jakby opóźniony o pół klatki. Gdy opuszczając drugi bieg, wrzucił trzeci, przypomniał sobie walkę w restauracji. Przerazającą oszczędność ruchów napastnika, to, jak ten człowiek omijał każdy cios, jakby nawet nie został zadany.

Po raz pierwszy od dawna Cooper czuł prawdziwy strach. Nie zdenerwowanie, napięcie albo obawę. Nie panikę przychodzącą w nieoczekiwanym momencie ani lęk o bezpieczeństwo tych, których kochał.

Myśl, że znów ma się zmierzyć z Sorenem Johansenem, go przerażała.

Ale z drugiej strony, jaki miał wybór? Jeśli tamten pierwszy dotrze do Ethana, szanse na zapobiegnięcie wojnie legną w gruzach. Wojsko zaatakuje Nowe Kanaan. To kruche marzenie zostanie zniszczone wraz z dziesiątkami tysięcy młodych marzycieli. A potem Ameryka przestanie istnieć. Przynajmniej taka Ameryka, jaką kochał.

*Nie wspominając już nawet o tym, że Natalie i twoje dzieci są w samym środku celownika.*

Znów gra toczyła się o wszystko. Tak jak kilka miesięcy temu w Waszyngtonie, gdy Peters porwał jego rodzinę. Znów całe życie Coopera leżało na stole, a ruletka losu kręciła się z terkotem. Tylko że tym razem ledwie był w stanie...

*Dość.*

*Zwycięzisz tutaj albo przegrasz wszystko.*

*Zobaczmy, na co cię stać, żołnierzu.*

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Jak daleko mogła sięgnąć pamięcią, Holly Roge pragnęła latać.

Po części miał na to wpływ jej ojciec, pilot marynarki wojennej, który lądował na poruszających się lotniskowcach. Gdy inne dziewczynki zasypiały, słuchając opowieści o księżniczkach i jednorożcach, tata leżał obok niej w ciemności i opowiadał jej, jak to jest schodzić stromo w dół, widzieć poniżej ciemną wodę i małe cel przed sobą. Jak precyzyjny musiał być kąt, by zahaczyć o linę hamującą, i że jeśli się nawaliło, można było się zsunąć, wpaść do oceanu.

– Było strasznie? – pytała go zawsze.

A on zawsze odpowiadał:

– Pewnie. Ale pięknie też.

Potem, gdy już pocałował ją w czoło i życzył jej kolorowych snów, leżała wpatrzona w sufit i zastanawiała się, co to znaczy „strasznie, ale i pięknie”.

Teraz, gdy ubrana w kombinezon siedziała w sali odpraw w Ellsworth przy wschodniej granicy Wyomingu, zastanawiała się, co by o tym wszystkim myślał tata. Zmarł, gdy była jeszcze w akademii, tętniak zabił go, gdy siedział w fotelu, błyskawicznie jak pocisk rakietowy. Nie zobaczył, jak dostała odznakę pilota, nie dowiedział się, że była najlepsza w swojej klasie. Nie dowiedział się, że była pierwszą kobietą wybraną do pilotowania F27 Wyvern, tego wspaniałego sprzętu wartego sto osiemdziesiąt pięć milionów, jej drugiej prawdziwej miłości. Sześćdziesiąt siedem stóp i sześćdziesiąt pięć tysięcy funtów absolutnej skuteczności, które mogło szybować na wysokości osiemnastu mil, z dopalaczami mógł mknąć z prędkością 2,9 Ma, wspaniale dwa tysiące dwieście mil na godzinę. Maszyna tak wyrafinowana, że komputer w jej hełmie mógł odczytywać fale alfa jej mózgu, i pozwalał na to, by kontrolowała przyrządy i automatykę, po prostu myśląc wytrenowanymi schematami.

To był myśliwiec, którym latała nad amerykańską ziemią i schodziła nisko nad miasto swoich rodaków z pełnym uzbrojeniem na pokładzie.

To była ta część, której nie rozumiała, i myślała, że tata też by tego nie rozumiał. Była wojowniczką, latała w misjach sił pokojowych po całym świecie, wybrano ją do Gwardii Honorowej, by eskortowała Air Force One prezydenta Walkera, gdy wybrał się z wizytą do Indii. Jej zadaniem

było bronić Ameryki, a nie stanowić dla niej zagrożenie. I bez względu na to, co się myślało o obdarzonych, Wyoming wciąż był jednym z pięćdziesięciu stanów.

Fakt, że dzisiejszej odprawy nie prowadził jak zwykle major Barnes, tylko sam podpułkownik Riggs, nie sprawił, że poczuła się lepiej.

– ...ciągly stan najwyższej gotowości. Wszyscy wiecie, że Nowe Kanaan ma baterie przeciwlotnicze. – Riggs przerwał, uśmiechnął się lekko, dwudziestu pilotów parsknęło śmiechem. – I choć to prawda, że mogłyby być szczególnie niebezpieczne dla MiG-ów 19 – znowu śmiech – to nie znaczy, że możecie sobie pozwolić na nieostrożność. Wszystko zgodnie z procedurami, ludzie. Chcę, żeby wszyscy moi piloci wrócili w jednym kawałku. Będziecie mieli...

Holly wiedziała, jaki będzie ładunek. Ten sam, z którym przeprowadzała ostatnie loty zwiadowcze. Życie w wojsku nauczyło ją jednak jednego: nigdy nie sprawdzaj dwa razy, jeśli możesz sprawdzić cztery razy.

To musi być tylko poza, myślała. Przesłanie dla Dzieci Darwina i wszystkich innych terrorystów. Jasne, możecie napaść na parę ciężarówek, ale czy możecie zrobić to? Od czasów Korei nie było żadnej wojny, co znaczyło, że przez większość czasu operacje militarne były raczej związane z demonstrowaniem siły niż z rzeczywistym atakiem. W ten sposób rozmawiali ze sobą politycy, grali w swojego pokera.

Tyle tylko, że komu mieli coś przekazać tutaj? Nowe Kanaan było garstką dzieciaków mieszkających na pustyni, próbujących udawać, że to nowy świat, a nie sterta kamieni. Nie miała nic przeciwko temu, więc po co pełne uzbrojenie? Każdy wyvern miał go na tyle, by znieść z powierzchni ziemi pół Tesli. Latanie z czymś takim nad tym miastem na pustyni było jak użycie bomby atomowej podczas podwórkowej awantury.

– Jakies pytania?

Holly się rozejrzała. Chciała podnieść rękę i spytać: „Sir, z całym szacunkiem, co my, u diabła, tutaj robimy?”. Oczywiście tego nie robi, ale może robi to ktoś inny. Dziewiętnastu pozostałych pilotów na tej sali należało do najlepszych na świecie, a to dużo znaczyło.

Gdyby to major Barnes prowadził odprawę, może któryś z nich by to zrobił. Ale zastępca dowódcy skrzydła to już było coś innego. Wszyscy siedzieli wypreżeni, gotowi zaszalować i wsiąść do maszyn.

Dopiero dziesięć minut później, gdy zamknęła się owiewka kabiny i jej wyświetlacz HUD przebudził się do życia, kapitan Holly Roge zaczęła się zastanawiać, czy to nie właśnie dlatego to Riggs prowadził odprawę.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Soren dryfował.

Nie mógł się pograć w nicości. Nie w jadącym escalade z wiadomościami z radia w tle, spikerami, którzy praktycznie sprzedawali obligacje wojenne; nie, gdy trzech nieznajomych sprawdzało swoją broń i głośno rozmawiało. Nicość będzie musiała poczekać. Na razie oparł się po prostu w fotelu i zapatrzył przed siebie. Pozwalał, by świat po nim spływał, mijał go, był jak liść na rzece niesiony prądem.

Rozumiał decyzję Johna, by wysłać z nim Bryana VanMetera. Sytuacja była płynna i gdyby Ethan Park się przemieścił, musieliby na niego polować. Lepiej mieć ekipę, która potrafi rozmawiać z ludźmi, przekonywać, przekupywać i namawiać, wszystko to, czego Soren nie potrafił. Mimo to odczuwał drażniącą obecność trzech żołnierzy, ten ładunek testosteronu i bezlitosnej kompetencji, i przez to czas włókł się dla niego jeszcze wolniej.

*Musisz znów gdzieś się zaszyć. Cały ten hałas. Tracisz swoją nicość.*

Już niedługo. John będzie miał swoją wojnę. Chwalebna sprawa i wielka bitwa nic nie znaczący dla Sorena, ale miał nadzieję, że jego przyjaciel jest z tego powodu szczęśliwy.

Sam miał nadzieję tylko na to, że Samantha z nim odejdzie. Nie miał czasu, by się z nią pożegnać, i ta ironia może trochę go nie bawiła. Przylecieli tu wojskowym odrzutowcem, gdy tylko nadarzyła się możliwość, lecz przy jego percepcji czasu odczuwał to jako ponad trzydzieści godzin. Półtorej doby w samolocie, a jednak nie miał czasu, by spotkać się ze swoją ukochaną.

*Jesteś liściem, a prąd poniesie cię w dal.*

VanMeter prowadził odprawę dla swoich ludzi, a Soren próbował go ignorować.

– Park Narodowy Cuyahoga Valley...

– W zasięgu wzroku nie ma żadnych sąsiadów, ale...

– Ustawienie taktyczne: dwóch z przodu, jeden z tyłu...

Za oknem stare sosny na tle szarego nieba. Wiatr wzbijający martwe liście. Nóż był tak lekki, że Soren musiał się skupić, by go poczuć, dobre ćwiczenie medytacyjne. Bądź mięśniami klatki piersiowej, bądź skórą dotykającą koszuli. Zastanawiał się, jakim cudem Cooperowi udało się przetrwać. Soren pamiętał spojrzenie mężczyzny, kiedy uderzał łokciem w skroń jego syna, ten



surowy ból, równie wyniszczający jak później pchnięcie w serce. Zastanawiał się leniwie, jak by to było mieć dziecko, stworzyć nowe życie. Czy to by nadało sens nieskończoności? Czy sprawiłoby tylko, że byłoby jeszcze gorzej?

– Dobra – odezwał się ten, na którego mówili Donovan. – Ale po co tyle zachodu? To naukowiec. Po prostu tam podjedźmy, załatwmy to, co trzeba, i spadajmy.

– Kretyn z ciebie, wiesz – skrzywił się VanMeter. – Przylecieliśmy tutaj wojskowym odrzutowcem. Ten pilot był śpiochem i John go spalił, żebyśmy mogli tu dotrzeć. Do diabła, potrafisz sobie wyobrazić, ile musiał wykorzystać wpływów, by znaleźć kolesia, którego szuka DAR. – Żołnierz pokręcił głową. – Nie wiem, jak to zrobił, i nie wiem, dlaczego John chce jego śmierci. Wiem tylko, że musimy to dla niego załatwić, więc zrobimy to czysto, jak należy, i od początku do końca. Rozumiesz?

– Od początku do końca? Chcesz powiedzieć...

– Mamy rozkaz wyeliminować wszystkich. Żonę i dziecko też.

– Dziecko? – Donovan wciągnął powietrze przez zęby. – Kurwa.

– Jeśli od tego poczujesz się lepiej, są normalni, wszyscy troje. – VanMeter zwrócił się do Johansena: – Sir?

Soren uniósł brew.

– Została nam niecała minuta. Chce pan coś dodać?

Drzewa rosły coraz gęściej, mijane podjazdy były coraz dalej od siebie. Widział dom, w którym ukrył się doktor Ethan Park i jego rodzina.

– Jesteś słaby – powiedział Soren.

Już niedługo ta męcząca wędrówka przez świat się skończy i będzie mógł powrócić do swojej nicości.

– Ja zabiję dziecko.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

*You are my sunshine, my only sunshine...*

Było późne popołudnie, ale niebo już zaczynało blaknąć, okrywały je gęste, zimne chmury. Na kominku płonął ogień, a w telewizji były wiadomości. To był prawdziwy stary telewizor, nie trójwymiarowy. Ethan dzielił uwagę między horror rozgrywający się w Wyomingu i spoglądanie na żonę, która nuciła kołysanki córeczce. To był wstrząsający kontrast, żołnierze, czołgi i myśliwce, pociski rakietowe, przemawiający politycy i dwie miłości jego życia, córeczka bezpieczna, ciepło okryta, zasypiająca przy słowach piosenki.

*You make me happy, ev-er-y day.*

Dużo śpiewali Violet. Śpiewali piosenkę o nagim dzidziusiu, kiedy ją kąpali (na melodię *Allouette*: „Nagi dzidziuś, nagi, nagi dzidziuś, nagi dzidziuś, nagi dzidziuś nasz”). Improwizowali piosenki o różnych zabawkach, o śniadaniu i o kupie. Amy już na samym początku oświadczyła, że będą też mieli własną wersję *You Are My Sunshine*, taką, która się będzie odnosiła do różnych przerabianych tematów.

Teraz w wiadomościach pokazywali materiał z Cleveland. Gdyby nie powiedzieli, które to miasto, nie poznalby go. Większość śródmieścia zniszczyły pożary – pozostali tylko szarzy ludzie w szarych ubraniach grzebiący w gruzach, rodziny w łachmanach na ulicach i oddziały policji interwencyjnej zwierające tarcze.

*You'll never know, dear, how much I love you.*

Spojrzenie Ethana wędrowało od ekranu do rodziny, od rodziny do ekranu, ale jakaś jego część, którą – gdyby ktoś go zapytał – określiliby jako swoje prawdziwe ja, była tak naprawdę zajęta czymś innym. Myślał nad tym, co powiedziała wcześniej Amy.

Fakt, że miała rację, był tak oczywisty, że nie musiał się nad tym zastanawiać. On i Abe na oślep rzucili się w miejsca, gdzie lękały się stąpać anioły, i choć znaleźli tam odpowiedzi, narobili sobie też wrogów. Zabawne, że ta myśl nigdy nie przyszła mu do głowy. Nawet gdy u jego drzwi pojawił się DAR i agenci dopytywali ich o badania, Ethan wyprosił Bobby'ego Quinna, jakby ten prowadził spis ludności. Patrząc wstecz, wszystko wydawało się absolutnie jasne. DAR musiał ich obserwować,

jeszcze zanim zniknął Abe. I nigdy nie przestaną go szukać, nigdy. Nie z tym, co wiedział.

*No one can take my sunshine away.*

A co, jeśli DAR nie był jedyną grupą, która pragnęła zdobyć serum? Kolejna rzecz, o której nigdy by nie pomyślał, póki nie wygarnęła mu tego Amy. Wartość ich odkrycia była dosłownie nieoceniona. Kontrolowanie tego przypominałoby próby zachowania patentu na koło. Nic dziwnego, że Abe miał takie sztywne podejście do klauzuli poufności. Problem polegał na tym, że Abe nie posunął się w tym dostatecznie daleko. Powinni byli działać całkowicie tajnie na jakiejś samotnej wyspie na Pacyfiku.

Skoro DAR wiedział o ich badaniach, może wiedziały też o tym Dzieci Darwina. Oraz ich tajemniczy sponsor, z którego głębokiej kieszeni finansowano laboratorium. Ethan zawsze podejrzewał, że mógł nim być Erik Epstein – bo kto inny mógłby na tym aż tak skorzystać? – co oznaczało, że on i Abe pracowali dla zbuntowanego stanu, obecnie otoczonego przez amerykańskie wojsko.

Wszystkie te siły sprzymierzyły się przeciwko niemu, a on ukrywał się w domku w lesie i czekał, aż niebo spadnie mu na głowę i go zniażdży. Nie wspominając już nawet o jego żonie i córce. Wszystko z powodu tego, co Ethan zrobił.

Nie, to nie było dokładnie tak. Nie chodziło o to, co zrobił. Chodziło o to, co wiedział. Ta różnica była istotna. Pierwsze brzmiało tak, jakby chodziło o jakąś karę za już popełnione grzechy. Nic nie dało się na to poradzić.

Ale jeśli ludzie ścigali go z powodu tego, co wiedział... Cóż, to by wiele wyjaśniało.

Ethan skupił się na żonie i córeczce. Amy spoglądała na Violet z lekkim uśmiechem na ustach. Jej ramiona okrywał wełniany koc, a płomienie rzucały na nie migotliwe, łagodne światło. Mała rączka Violet zacisnęła się na palcu jego żony. Zrobiłby wszystko, by je ochronić.

*No one can take my sunshine away.*

Będzie musiał działać szybko. Dopóki z nimi przebywał, narażał je na niebezpieczeństwo. Jeśli miał je opuścić, być może na zawsze, będzie musiał zrobić to wkrótce. Teraz.

Ethan próbował się zmusić, by wstać i odejść od wszystkiego, co kochał. I wtedy usłyszał dźwięk, który tutaj nie pasował. Sam ten dźwięk nie niósł w sobie zagrożenia i w normalnych okolicznościach w ogóle nie zwróciłby na niego uwagi. Ale teraz oznaczał wszystko. Oznaczał, że kończy się świat.

To był odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu.

Byli tu.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

– Nie jestem przekonany.

Sekretarz obrony Owen Leahy patrzył zza stołu na prezydenta Stanów Zjednoczonych i myślał: *To nie ma prawa się wydarzyć po raz drugi.*

– Rozumiem – ciągnął Clay – że użycie wojska może być konieczne. Ale nie jestem przekonany, że muszę decydować się na ten krok teraz. Wciąż prowadzimy rozmowy z Epsteinem.

– Panie prezydencie, sytuacja w Cleveland...

– Wiem, co się dzieje w Cleveland. Ludzie są głodni, przerażeni i wściekli, chcą rychłych działań, chcą wiedzieć, że zemsta została dokonana.

– To coś więcej niż...

– Na szczęście żyjemy w republice, co oznacza, że wybierają nas dokładnie po to, by w czasie kryzysu to nie ofiary decydowały o takich sprawach. – Clay potarł podbródek. – Zaatakowanie Nowego Kanaan nie zapewni koców ani żywności ludziom w Cleveland.

– Nie chodzi o żywność i koce. Chodzi o to, że terroryści działają bezkarnie na amerykańskiej ziemi.

– Atak na Nowe Kanaan nie sparaliżuje Dzieci Darwina. Wywiad sugeruje, że to mało prawdopodobne, by byli bezpośrednio dowodzeni przez kogokolwiek z Nowego Kanaan.

*No dobra, dosyć tego.*

– Panie prezydencie, nie o to chodzi – powiedział Leahy. – Musi się pan przestać zachowywać tak, jakby to było seminarium dla studentów i jakbyśmy prowadzili jakąś debatę.

Oczy Claya błysnęły.

– Co proszę?

– To nie jest odpowiedni moment, by wygłaszać wykład o zaletach życia w republice. Naprawdę muszę to panu tłumaczyć?

– Lepiej niech pan uważa na swój ton.

Leahy niemal wybuchnął śmiechem. Przez wiele lat proste wszczepienie mikrochipów obdarzonym wydawało mu się trudnym celem. Teraz miał okazję, by zrobić o wiele więcej. Nie zamierzał pozwolić, by przeszkodziła mu w tym wrażliwość Claya.

Wszyscy normalni w Ameryce powinni paść na kolana i nam za to dziękować. Bo nasza praca, choć może się wydawać niesmaczna, jest jedyną rzeczą, jaka chroni ich dzieci.

– Jeśli to już wszystko...

– Jeszcze nie. – Leahy pochylił się do przodu. Zaczął wyliczać na palcach. – Oto, jakie są fakty. Trzy miasta są w rękach terrorystów. Liczba ofiar sięga tysięcy, zniszczenie mienia setek milionów. Zaufanie do rządu jest najniższe w historii. W całym kraju ludzie gromadzą żywność, ukrywają się po piwnicach. – To było już pięć, więc przerzucił się na drugą rękę i wyliczał dalej. – John Smith jest na wolności w Nowym Kanaan. Erik Epstein jest marionetką i nie jesteśmy pewni czyją. Dane wywiadu wskazują, że technologia Nowego Kanaan dawno prześcignęła naszą. Wiemy, że produkują broń i fundują laboratoria, w których opracowują Bóg wie co. A teraz amerykański ambasador został zamordowany w miejscu publicznym na oczach swojej rodziny. – Uniósł wszystkie dziesięć palców. – Muszę mówić dalej?

– Owen...

– Nie, sir. Koniec dyskusji, koniec zastanawiania się. Dla dobra kraju przyszedł czas na działania. Musi pan wydać rozkaz do ataku. Musi pan to zrobić teraz...

– Nic nie muszę robić, do cholery! – Clay pochylił się do przodu. – Jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych. To ja decyduję, kiedy zaatakujemy. Jeśli ma pan z tym problem, od razu przyjmę pańską rezygnację. Rozumie mnie pan?

Stary zegar w kącie odmierzał sekundy. Leahy wzruszył ramionami.

– Rozumiem.

– To dobrze. – Clay wstał. Odwrócił się do niego plecami i podszedł do biurka. Najwyraźniej uważał rozmowę za skończoną.

No cóż. Wiedziałeś, że może do tego dojść.

– Ale ma pan rację tylko w połowie – odezwał się Leahy.

Prezydent się odwrócił.

– Owen, przysięgam na...

– Jest pan prezydentem. – Leahy uśmiechnął się chłodno. – Ale nie jest pan jedynym człowiekiem, który może wydać rozkaz ataku.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Ethan zerwał się na nogi. Na krześle naprzeciw niego Amy wzdrygnęła się, trzymając Violet w ramionach. Żona odczytywała wyraz jego twarzy, spytała:

– Co się dzieje?

– Ktoś tu jest. Zabierz Violet do kuchni.

Nie zawahała się i kochała ją za to. Nie traciła cennego czasu. Żona była silniejsza i lepsza niż on. Poradzi sobie bez niego. Żałował, że nie zdążył jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha, nie przeprosił za wszystko to, co na nich ściągnął. Ale one przetrwają, i to było najważniejsze.

Rewolwer leżał na stole. Ciężar, który zaledwie tydzień temu wydawał mu się tak dziwny w dłoniach, teraz dawał pocieszenie. Ethan sprawdził, czy we wszystkich sześciu komorach są naboje.

*Ciągle sobie powtarzasz, że zrobisz uszysztko, by je chronić. Pora to udowodnić.*

Podkrał się do drzwi i przygłąnął do ściany. Było w nich małe okienko z zakurzoną zasłonką. Podwórze przed domem wyglądało tak jak przedtem, upstrzone cienkimi drzewami i usłane sosnowym igliwem. Ukradziony wóz zaparkowany był tyłem do ściany, tak by w każdej chwili mogli stąd uciec. Nie śladu innego pojazdu. Czy tylko mu się zdawało, że słyszał...

Coś się poruszyło za samochodem. Ethan poczuł się tak, jakby nie miał w płucach miejsca na powietrze, dłonie zaczęły mu się pocić. Najlepiej zrobić to szybko. Jeśli będzie to przeciągał, może stracić odwagę.

Wciągnął powietrze przez nozdrza, szarpnął drzwi i wyszedł z uniesioną bronią. Chłodne powietrze i zapach sosnowej żywicy, igliwie pod stopami, drżący rewolwer. Dwa kroki, trzy, a potem znów dostrzegł jakiś ruch po drugiej stronie samochodu; ten człowiek go obszedł. Ethan odwrócił się gwałtownie, wycelowal i pociągnął za spust.

Rewolwer podskoczył w jego ręce, jakby był żywy, Ethan wzdrygnął się od huku wystrzału. Z pobliskiego drzewa zerwało się stado ptaków. Mężczyzna wciąż był na nogach i zbliżał się, był już niedaleko, Ethan miał tylko tę jedną szansę, wymierzył i nie wzdrygnął się, gdy znów pociągnął za spust, tyle tylko, że ten człowiek nie był tam, gdzie miał być. Uchylił się, jakby ktoś pociągał go za niewidzialne sznurki, jego lewa ręka wystrzeliła, wytrącając Ethanowi rewolwer, równocześnie

rzucił się naprzód całym ciałem, nagle w polu widzenia Ethana była tylko głowa mężczyzny, trzask i wir, i eksplozja bólu między oczami, i wrażenie, że upada.

Wylądował na plecach, ze świstem wypuścił powietrze, kaszlał, mrużył oczy i patrzył na stojącą nad nim postać.

– Witaj, Ethan – powiedział mężczyzna. – Jestem Nick Cooper.

Ziemia pod Holly Roge krzyczała. Wykonała łagodny skręt, opadanie piętnaście stopni i obrót, gdy dotarła do wschodnich granic Tesli. Z tej wysokości widziała wyraźnie resztę wojsk, piechotę i kolumny pancerne w odległości zaledwie kilku kilometrów. Kopuły budynków z prefabrykatów, lśniący metal, helikoptery wiszące jak ważki. Jej towarzysze broni, potęga wojskowa Stanów Zjednoczonych. Siły, które wydawałyby się na miejscu na jakiejś pustyni daleko stąd, gotowe do akcji.

Wygenerowała fale alfa, by przejść na podczerwień. Nie miała ku temu żadnych konkretnych powodów, ale lubiła mieć dużo informacji, i wciąż zmieniała obrazy na wyświetlaczu, obserwując ziemię i niebo wokół. Jej maszyna sprawiała, że to było takie proste. Ten cud technologii, fotel przypięty do rakiety sterowanej komputerem, który kontrolowała własnym mózgiem.

Gdy na ekran nakładał się częściowo obraz w podczerwieni, miasto zdawało się lśnić na żółto i pomarańczowo, źródła ciepła odcinały się wyraźnie od zimnego powietrza. Holly zmrużyła oczy. Wyglądało to tak, jakby Tesla płonęła.

*Dość tego.* Przełączyła HUD na standardowy widok, potem odruchowo sprawdziła formację. Jej wyvern leciał w idealnej formacji z pozostałymi dwoma, odległość pięćset metrów, równa wysokość. Dokładnie tak, jak dziesięć sekund wcześniej, i jeszcze dziesięć sekund, i jeszcze dziesięć, i była dumna z tego, że za kolejne dziesięć sekund będzie tak samo.

Za szybą kokpitu przesuwano się miasto. W ciągu ostatnich dni Holly spędziła wiele godzin, latając nad nim, i znała jego topografię, kształty budynków i bulwarów. Było to całkiem ładne małe miasteczko, mimo tej paskudnej lokalizacji. Było tak wiele placów, a na dachach budynków rosła zmodyfikowana genetycznie roślinność. Bijącym sercem miasta był kompleks ponad dwudziestu sześciątów z lustrzanego szkła, w którym odbijały się przelatujące myśliwce. Najwyższy budynek jeżył się od sprzętu, anteny satelitarne, czujniki meteorologiczne i pociski ziemia–powietrze, broń przeciwlotnicza, z której wszyscy tak bardzo się śmiali. Wszystko to okazałoby się całkowicie nieskuteczne przeciw jej maszynie.

– Pantera Jeden, mamy dla ciebie nowe rozkazy.

– Przyjęłam Ziemia, słucham.

Na szkle kokpitu zaczął się przewijać strumień tekstu. Standardowa procedura operacyjna podczas misji z możliwością użycia broni: nie ogłaszaj swoich zamiarów w transmisjach głosowych, nawet zaszyfrowanych, skoro tak łatwo jest je przesłać...

O cholera.

– Ziemia, chyba doszło do jakiejś pomyłki.

– Sprawdzam – upłynęła chwila. – Nie potwierdzam. Wyświetlamy ci wszystko na zielono, Pantera Jeden.

Holly wpatrywała się w wyświetlacz. Miała nadzieję, że źle przeczytała. A jednocześnie wiedziała, że tak nie jest.

Protokół Misji Delta Jeden, a potem strumień dobrze znanych szczegółów. Przerabiali wszystkie protokoły, zanim opuścili pas startowy, i знаła ten protokół tak dobrze, że nie musiała go czytać. Słowa zdawały się jednak do niej krzyżeć: CEL, KOMPLEKS, MAKSYMALNE ZNISZCZENIA, POTWIERDZENIE POZWOLENIA NA PRZEPROWADZENIE ATAKU.

– Ziemia, możecie potwierdzić ten rozkaz?

– Potwierdzam, kontynuuj, Delta Jeden.

– Co? Nie. – Myśli wirowały jej w głowie, a jednak czuła się tak, jakby została z tyłu. To nie mogło się dzieć naprawdę. – Ziemia, to rozkaz ataku.

– Potwierdzam. – Głos był chłodny i odległy; Holly zastanawiała się, czy zna tego człowieka po drugiej stronie. – Kontynuuj.

Czoło Coopera pulsowało po tym, jak uderzył Ethana z główki. Kolejna obolała część ciała. Niedługo łatwiej mu będzie wyliczyć, co go nie boli.

Ethan Park opierał się na łokciach. Powiedział:

– Będziesz mnie musiał zabić.

– Co? – Cooper pochylił się i lewą ręką podniósł rewolwer. Oprócz samochodu powinien był poprosić o jakąś broń. Ale to by oznaczało opóźnienie, a Johansen już tu jechał. – Masz jakieś błędne wyobrażenia, doktoru.

– Dla kogo pracujesz?

– Dla Zjednoczonych Stanów Podnieś Swoją Dupe. – Uśmiechnął się. – Słuchaj, jestem tu, żeby ci pomóc. Nawet nie masz pojęcia, co ci grozi. A poza tym za chwilę zacznie się wojna.

– Jestem... Co?

– Zdaję sobie sprawę, że walnięcie cię z główki to nie był najlepszy sposób, by się przedstawić. Ale z drugiej strony, próbowałeś mnie zastrzelić. – Wsunął rewolwer do kieszeni, przez spodnie czuł rozgrzaną lufę. – Wszystko ci wyjaśnię, ale najpierw, bez jaj, musimy się stąd zmywać.

– Wypuść moją żonę i dziecko, to z tobą pójde.

– Dobra.

– Mówię poważnie... Czekaj. Wypuścisz ich?

– Pewnie.

Ethan Park gapił się na niego, całe jego ciało wyrażało nieufność. Ale gdzieś głębiej krył się



strach, nie o samego siebie. Ten człowiek bał się o swoją rodzinę. Cooper potrafił się do tego odnieść.

– Słuchaj – powiedział – jestem ten dobry. Nie chcę ukraść twoich badań. Nie chcę ci zabić rodziny. Sam mam dzieci. Chcę tylko powstrzymać wojnę. A dobra wiadomość jest taka, że jeśli zrobimy to jak należy, ty też nie będziesz już na celowniku. Proszę cię, naprawdę ładnie cię proszę.

– Wyciągnął rękę. Ethan się zawahał. Cooper dodał: – Ten drugi, który po ciebie jedzie, już nie będzie taki miły.

Naukowiec schwył jego dłoni i Cooper pomógł mu wstać. Za nimi trzasnęła jakaś gałązka, sięgnął lewą ręką do kieszeni, niezdarnie chwycił rewolwer, to było głupie, że schował go tylko po to, aby pomóc facetowi wstać, ale miał szczęście, bo broń o nic nie zahaczyła, gdy jednym płynnym ruchem wyszarpnął ją i wycelował, mierząc do...

– Jezu – powiedział. – Jesteście parą.

Rozpoznał Amy Park ze zdjęć z jej kartoteki. Atrakcyjna kobieta, z ogniem w oczach. Stała trzy metry dalej, trzymając siekiere jak kij bejsbolowy. Zardzewiałą. Cooper opuścił broń, powiedział:

– Doktorku, mógłbyś?

– Już dobrze, kochanie – powiedział Ethan, ale zupełnie bez przekonania. – Gdyby chciał mnie zabić, już by to zrobił.

Zawahała się, opuściła siekiere.

– Nie jesteś z DAR.

– Nie.

– To kim jesteś?

– W tej chwili musisz wiedzieć tylko tyle, że jadą tu ludzie, którzy mają zamordować twojego męża. I przypuszczam, że również ciebie i twoją córeczkę.

Na te słowa jej twarz stężała. Biła od niej wściekłość. Nie potrzebował swoich zdolności, by poznać niedźwiedzicę broniącą swoich młodych. Cooper musiał przyznać, że zaczyna lubić tych Parków.

– Twoje dziecko jest w środku?

Kiwnęła głową.

– Idź po nią. Szybko.

Amy i Ethan wymienili spojrzenia. Potem upuściła siekiere i pobiegła do domu. Cooper zwrócił się do Ethana:

– Masz tu coś, bez czego nie możesz żyć?

Ethan pokręcił głową.

– Zostaliśmy obrabowani.

– A co z twoimi badaniami? Masz jakieś notatki albo próbki?

– Abe wszystko trzymał u siebie. Mam tylko to, co jest w mojej głowie.

Cooper spodziewał się tego, ale miło byłoby się pomylić. Choć prezydent Clay by go wysłuchał, trudno było powiedzieć, czy same słowa mu wystarczą. Zwłaszcza gdy nie było żadnych danych. Oczywiście Bobby i DAR mogli to do pewnego stopnia potwierdzić, ale...

*Nie uciekaj za daleko naprzód. Najpierw musisz się stąd wydostać.*

Porsche był jak czysty seks, ale miał tylko dwa siedzenia. Będą musieli wziąć pick-upa. Mógł wcześniej zadzwonić, załatwić, by czekał już na nich samolot, który zabierze ich do Waszyngtonu.

Kończył im się czas.

Boże, jaki był zmęczony. Cooper wyprostował się i nabrał powietrza głęboko w płuca. Było czyste i chłodne, pachnące igliwem. Tuż przy jego stopie żarzył się niedopalek papierosa, leniwie przydeptał go, kiepski pomysł, palić tutaj, kiedy wszystko jest takie suche, tyle tylko, że teraz ta czerwona kropka była na jego stopie, dziwne...

Cooper odwrócił się. Czerwona kropka przemieściła się na pierś Ethana Parka, i wtedy Cooper zauważył tę ciszę, czy przedtem nie było tu ptaków? Rzucił się na Ethana, pozbawiony wdzięku ruch, który sprawił, że potoczyli się jeden na drugiego, a las wokół nich eksplodował hukami karabinów maszynowych.

– O czym pan mówi? – usta prezydenta Claya drżały.

Leahy wstał z sofy, podszedł do niego.

*Jak to uderzył się Mitchum?*

*Pójść na całość.*

– Mniej więcej – zerknął na zegarek – w tej chwili trzy F27 Wyvern wystrzeliwiają rakiety w kompleks Epstein Industries w Nowym Kanaan. Nie wiem, ile pan wie o Wyvernach, sir, ale mogą przenosić...

– Coś ty zrobił?

– To chyba oczywiste. – Leahy wzruszył ramionami. – Wydałem rozkaz, by zrównać te budynki z ziemią. W pańskim imieniu. Jesteśmy w stanie wojny.

Clay gapiał się na niego z niedowierzaniem, z wytrzeszczonymi oczami, jakby usiłował przekonać samego siebie, że to jakiś żart.

– Jeśli będziemy mieli szczęście – ciągnął Leahy – dorwiemy samego Epsteina. Ale tak czy inaczej sparalizujemy ich rząd, nie wspominając o tym, że cofniemy ich w rozwoju.

– Nie – powiedział Clay. Sięgnął po telefon. – Powstrzymam to.

– Rany, naprawdę nie masz czego szukać za tym biurkiem, co? – Leahy się roześmiał. – To już się stało, Lionelu. Trzy myśliwce właśnie zaatakowały cywilny budynek, zabijając tysiące ludzi. I zrobiły to na twojej zmianie.

Skóra Claya poszarzała. Powoli opadł na fotel.

– Będziesz za to wisiał.

– Nie – odparł Leahy. – Nie będę. A teraz ty sięgniesz po ten telefon i poprzecz moje posunięcia. Wydasz rozkaz skomasowanego ataku na Nowe Kanaan.

– Nie zrobię tego.

– Ameryka właśnie wypowiedziała wojnę. Nie ma już odwrotu. Teraz jesteśmy my przeciw nim. Możesz działać i zapewnić nam szybkie zwycięstwo, które ocali życie wielu ludziom. Albo możesz zwlekać i ryzykować, że dojdzie do ludobójstwa.

– Powiem im, że to ty, że ja nie...

– Że nie wydałeś rozkazu do ataku? Że prezydent Stanów Zjednoczonych nie potrafi dowodzić własnym wojskiem? – Leahy pokręcił głową. – Dla martwych nie będzie ważne, kto wydał rozkaz do ataku, a jeśli ich rodziny przeżyją, też nie będą dzielić włosa na czworo. Rozpęta się anarchia w całym kraju, takie zamieszki, przy których to, co dzieje się w Cleveland, wydaje się fraszką. Poza tym nigdy nie nosiłeś munduru i może tego nie rozumiesz, ale żołnierze nie lubią, kiedy dowódcy ich porzucają. Nie byłbym zaskoczony, gdyby czekał cię zamach stanu. Tak czy inaczej Ameryka zostanie zniszczona i zginą miliony ludzi.

Clay wpatrywał się w swoje biurko, biurko, które przetrwało rozkwit i upadek całych narodów, stało tu, gdy rozszczepiono atom, gdy urodzili się pierwsi obdarzeni. Zaciśnął palce na jego brzegu, jakby próbował się go złapać, jakby to drewno mogło mu dać rozwiązanie.

– Powtórzę to jeszcze raz. – Leahy pochylił się nad nim. – Jesteśmy. W stanie. Wojny. Twój kraj cię potrzebuje. Co zamierzasz zrobić?

Przez długą, mrozącą krew w żyłach chwilę Clay po prostu patrzył przed siebie i Leahy zastanawiał się, czy nie przycisnął go zbyt mocno, czy prezydent znów nie popadł w stan katatonii.

A potem, jak człowiek wybudzony z koszmaru, prezydent sięgnął po telefon.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Cooper ciężko uderzył o ziemię, szarpnęło jego ramieniem, poczuł paskudny, rozrywający ból w piersi. Popołudniową ciszę przerwały strzały, trzy serie, jakby Bóg zaczął się jąkać. Okno chaty eksplodowało.

Ból był potworny, jakby jakieś stworzenie z ostrym dziobem szarpało jego ciało, ale nie było na to czasu, i Cooper zmusił się, by się przetoczyć, przykucnąć. Wylądowali za pick-upem; Park leżał na brzuchu, zasłaniając głowę rękami, ale Cooper nie widział żadnej krwi. Oparł plecy o oponę i wysunął głowę, by zerknąć znad maski samochodu. Jasne rozbłyski w lesie, kule trafiające w samochód, błyskawicznie schylił głowę...

*Ogień wylotowy z dwóch pozycji, jedna o jakieś trzydzieści stopni od drugiej.*

*Gdyby strzelający byli w pozycji leżącej, rozbłyski pewnie nie byłyby widoczne.*

*To, że wylądowali za samochodem, to był łut szczęścia, ale to nie potrwa długo. Kule przebiją blachę. Niektóre zatrzyma silnik, ale nie wszystkie.*

*Nie musisz wracać do domu, ale tutaj nie możesz zostać.*

...i opadł na ziemię z wycelowaną bronią. Wziął głęboki oddech, pomodlił się w duchu i przetoczył się, starając się nie spuszczać z oka punktu, w którym widział przed chwilą jasny rozbłysk, sosnowe igły kłuły go przez ubranie, zapach i chłód ziemi, broń w lewej ręce oparta na prawym nadgarstku, zderzak pick-upa, niebo, drzewa, linia gęstych krzewów, wysoki mężczyzna idący w ich stronę, pochylony, z karabinem szturmowym na ramieniu, facet, który go widzi, śledzi jego ruchy, celuje, rozpryskująca się przed nim ziemia, a wtedy Cooper wypuścił powietrze i dwa razy nacisnął spust, raz, dwa.

Odstrzelił mężczyźnie fragment głowy, facet obrócił się i upadł, mimowolny skurcz mięśni sprawił, że karabin wystrzelił jeszcze jedną serię w niebo.

*Jeden załadowany. Nieźle, jak na praworęcznego.*

Cooper pełzł po omacku w stronę pick-upa, kule wrywały dziury w miejscu, gdzie przed chwilą leżał. Ci ludzie nie byli nieźli. Nie był tym zaskoczony. A gdzieś tam czekał Soren.

*Po jednej rzeczy naraz.*

– W porządku, doktorku?

Naukowiec wciąż leżał na brzuchu, ale szybko kiwnął głową.

– Jeśli chcesz, żeby tak zostało, zrób dokładnie to, co ci powiem. – Cooper znów oparł się o samochód, gotów do następnego ruchu. – Kiedy ci powiem, wstaniesz, pobiegiesz do domu i wskoczysz przez to rozbite okno.

– Może drzwiami...

– Za wolno. Gotów? Teraz!

Wstał, odsłaniając głowę i tors, ale już przesunął się wzdłuż wozu, od przodu w tył, trzy szybkie kroki, ścigany przez kule, przednia szyba się rozprysła, boczne okna wyleciały. Gdy dotarł do tylnych kół, wymierzył i oddał dwa strzały, nie miał szans nikogo trafić, ale uzyskał to, o co mu chodziło, ten drugi musiał się schować. Cooper zaryzykował spojrzenie przez ramię, zobaczył, jak Ethan skacze na supermena w wykuszowe okno, zasłaniając rękami twarz, by nie pokaleczyć się szkłem.

Znów się odwrócił, oparł ręce o wóz, starannie wymierzył. Jeśli ten facet był macho, pokaże się i będzie próbował strzelać, Cooper będzie miał nad nim niewielką przewagę. Broń była do niczego, rewolwer kalibru .38 przeciw karabinom szturmowym, ale jeśli istniało jakieś lepsze posunięcie, to nie przychodziło mu do głowy.

*No dalej, dalej.*

Napastnik wyskoczył zza drzewa. Cooper wycelował, ale facet wciąż był w ruchu, biegł zakosami, prowokując Coopera do strzału. Pod osłoną cienkich drzew dotarł do wielkiej sosny, pień musiał mieć jakieś sześćdziesiąt centymetrów, dobra osłona. Tyle tylko, że Cooper był w stanie odczytać jego intencje, napięcie mięśni, impet ruchu i wiedział, że mężczyzna nie zamierza zatrzymać się za drzewem, wybiegnie po drugiej stronie. *Mam cię.* Wycelował w to miejsce, gdy jego zdolność podpowiedziała mu, by oddać strzał, dwa razy nacisnął spust.

Kurek dwa razy odskoczył, ale rewolwer nie wystrzelił.

O cholera.

Cooper był zawodowcem, liczył oddane strzały, było ich cztery. W ferworze walki zapomniał, że Ethan dwa razy do niego strzelał. Skończyła mu się amunicja.

Przez ułamek sekundy, który wydawał się trwać całą wieczność, on i ten drugi żołnierz patrzyli na siebie. Nie mogli od siebie oderwać wzroku, jak kochankowie. Mężczyzna miał brodę i był mocno zbudowany, lekko łysiejący, o grubych brwiach. Cooper patrzył, jak ten człowiek zdaje sobie sprawę, że powinien już być martwy, widział uśmiech pojawiający się na jego ustach. Lufa karabinu się uniosła. Cooper zmusił swoje ciało do ruchu, odczytał wektor i przemieścił się, ale był taki zmęczony, jego ciało było obolałe, i nawet gdyby był idealnie zdrowy i wypoczęty, wątpił, czy to by miało jakiegokolwiek znaczenie, bo mniej więcej wiedzieć, gdzie ktoś strzeli, to jedno, ale uchylać się przed kulami, to już zupełnie co innego. Czerwona plamka celownika, Cooper niemal czuł ją na

czole i po raz drugi w ciągu dwóch dni już wiedział, że jest martwy.

Pomyślał, czy nie zamknąć oczu, ale postanowił umrzeć z otwartymi.

Rozległa się szybka seria strzałów, broń ustawiona na ogień ciągły. Zdumiało go, że usłyszał je, zanim je poczuł.

Potem brodacze osunął się na ziemię, jakby zmiażdżyła go ręka olbrzyma. Cooper stał z otwartymi ustami. Nie był w stanie przetworzyć danych. Za jego plecami ktoś się roześmiał. Odwrócił się powoli.

Przy narożu chaty stała Shannon z kolbą pistoletu maszynowego opartą o ramię. Uśmiechnęła się krzywo.

– Cześć.

Natalie miała ochotę krzyczeć.

To pomieszczenie nie przypominało niczego, co do tej pory widziała. Najbliższym porównaniem, jakie przychodziło jej na myśl, było planetarium, tylko że to tutaj było większe. I zamiast gwiazd w przestrzeni wisiały holograficzne obrazy. Wykresy, schematy i diagramy we wszystkich kolorach tęczy. Jedne obrazy zastępowały inne w sekwencjach, które zdawały się nie mieć żadnego sensu: uśmiechnięte jasnowłose dziecko, zbliżenie makro płatka kwiatu, zbombardowany betonowy budynek w jakimś pustynnym kraju. Materiał na żywo z dronów stacji informacyjnych w całym Nowym Kanaan pokazywał świat na zewnątrz i gromadzące się wojsko, ludzi z otwartymi ustami zapatrzonych na mknące po niebie myśliwce, kolumnę czołgów toczących się przez pustynię i wzbijających chmury kurzu. Niekończący się strumień informacji, wszystko w ruchu, zmienne, pojawiające się i znikające wedle kaprysów Erika Epsteina, najbogatszego człowieka na świecie ubranego w bluzę z kapturem i w trampkach na nogach.

Błede kolory migotliwego światła na białej skórze jej jedyne go syna. I Natalie miała ochotę krzyczeć.

Przeniesienie ich tutaj z kliniki było pomysłem Erika, i gdy tylko wypowiedział to na głos, zespół techników toczył już łóżko przez prywatną klinikę, a Natalie wlokła się za nimi.

– Jesteśmy zakładnikami? – spytała, a on zareagował, jakby go ugryzła.

– Nie. Tu jest bezpieczniej. Klinika jest dobra, dobre mury, dobra ochrona, ale tu jest mój świat. Tu jest najbezpieczniej.

Z tego, co powiedział jej Nick, wynikało, że Epstein nie robi nic bez wyrachowania. I nie była przekonana, że był to jedyny powód ich obecności tutaj. Jako prawniczka wiedziała, że w negocjacjach nie chodzi o to, co mówi się na głos. Chodziło o wszystkie karty wszystkich stron, rozegrane czy nie. Jeśli zacznie się wojna, Epstein może skorzystać na tym, że będzie miał pod ręką byłą żonę i dzieci amerykańskiego dyplomaty.

Epstein, stojąc na środku pomieszczenia, powiedział:

– Kwadraty dwa do dziesięć, zastąp. Materiał wideo, drony z Tesli. – Dane zamigotały i zmieniły się.

Kate w jej ramionach powiedziała:

– Nie musimy się bać, mamusiu.

Natalie pogodziła się już z faktem, że jej córka, podobnie jak były mąż, zawsze będzie w stanie czytać jej w myślach, jeszcze zanim wypowie je na głos. Często było w tym coś słodkiego, jakby obie miały własny język. Ale były też inne chwile, gdy bycie rodzicem oznaczało, że nie pokazuje się swojej pięcioletniej córce, jak bardzo jest się przerażonym. Przerażonym, że jej ojcu gdzieś tam grozi niebezpieczeństwo, że jej brat może nigdy się nie obudzi, że twój świat już się rozpadł i że cała reszta świata robi to samo. Że masz ochotę krzyczeć.

– Nie boję się, kochanie. Jestem po prostu zmęczona.

Epstein powiedział:

– Odszyfruj pakiety danych z bazy lotnictwa Ellsworth do myśliwców F27, skrzydło Panter.

Kate zmarszczyła brwi.

– Jesteśmy tu bezpieczni.

– Wiem, kochanie.

*Tylko że widzę wojska na kilkudziesięciu różnych monitorach. Nad miastem latają myśliwce, są uzbrojone w rakiety. Jadą tu czołgi.*

*A w centrum całego tego zniszczenia są moje dzieci.*

– Nie – powiedziała Kate. – Nie musimy się bać żołnierzy.

– Natalie – odezwał się Epstein. – Posłuchasz tego?

Mówił takim głosem, jakby zapraszał ją na bal maturalny.

– Co? Jasne. – Przełożyła Kate na drugie ramię.

Z ukrytych głośników rozległy się dwa głosy:

– *Ziemia, możecie potwierdzić ten rozkaz?* – głos kobiety.

– *Potwierdzam, kontynuuj, Delta Jeden.*

– *Co? Nie. Ziemia, to rozkaz ataku.*

– *Potwierdzam. Kontynuuj.*

– *Ziemia, uszędzie widzę cywilów. Te budynki nie zostały, powtarzam, nie zostały ewakuowane.*

– *Przyjąłem. Przejdź do ataku, protokół Delta Jeden.*

– *Tam są tysiące ludzi...*

– *Czy to...* – spytała Natalie.

– Tak. Myśliwce. Nad nami. Wasz rząd kazał zniszczyć kompleks, w którym jesteśmy.

– Co takiego? Mówiłeś, że jesteśmy bezpieczni!

– Mamusiu – odezwała się Kate.

- Chwileczkę, kochanie. Erik, obiecałeś, że będziemy tu bezpieczni.
- Tak. – W jego głosie była nuta smutku. – Chciałem, żebyś to usłyszała, żebyś zrozumiała.
- Co rozumiała? Dobry Boże, Erik, poddaj się. Natychmiast, może będziesz mógł...
- Komputer – powiedział Epstein – uaktywnij wirus Proteusz.
- Tak, Erik. Zakres?
- Pełny zakres. – Te słowa brzmiały niemal jak szloch. – Zrób to im wszystkim.
- Zanim Natalie zdążyła zapytać, co to znaczy, znów odezwały się głosy z głośnika.
- *Ziemia! Ziemia! Straciłam przyrządy! Powtarzam, straciłam HUD. Ziemia, mój komputer się zamyka...* – Głos kobiety nagle umilkł.

Natalie kątem oka wychwyciła jakiś ruch na jednym z ekranów. Kamera na szczycie któregoś budynku śledziła trzy myśliwce krążące nad miastem.

Wszystkie trzy bezładnie opadały. Przechylały się w sposób, który nie mógł być zamierzony. Jeden z nich leniwie wykonał przewrót, znalazł się zbyt daleko i wpadł na drugi. Wybuchły w deszczu ognia.

- Widzisz, mamusi – powiedziała Kate. – Mówiłam ci. Nie musisz się bać.

Cooper wpatrywał się w Shannon.

- Jak?
  - Epstein. W telefonie, który ci dał, jest nadajnik. Pomyślałam, że przyda ci się pomoc.
  - Uśmiechnęła się i Cooper poczuł w piersi coś, co nie miało nic wspólnego z jego raną. Przez głowę przemknęła mu myśl, by przyciągnąć ją do siebie, wsunąć rękę za jej kark, całować do bólu.
- Ale...

- Soren Johansen wciąż gdzieś tu jest.
- Soren? – Podskoczyła, obróciła się szybko. – Jest tutaj?
- Tak. Chodź.

Cooper odwrócił się i pobiegł w stronę domu. Zdołał zrobić dwa kroki, potem upadł.

- Nick! Wszystko w porządku?
- Przeżyję – odparł. Podźwignął się. – Chodź.
- Drzwi chaty były uchylone, otworzył je, szybko wszedł do środka.
- Doktorze Park?

Telewizor był włączony, wojско, sceny z Wyomingu. Po ramionach Ethana spływały strużki krwi, wyciągał odłamki szkła. Rozległo się ciche kwilenie. Cooper odwrócił się, zobaczył Amy Park z płaczącym dzieckiem w ramionach. Malarstwo; zapominał, jakie małe są dzieci w tym wieku. Kobieta spojrzała na niego i spytała.

- To koniec?
- Nie. – Zwrócił się do Shannon. – Gdzie twój samochód?



– Na drodze. Usłyszałam strzały, zostawiłam go i pobiegłam przez las.

*Cholera.*

– Dobra. Wszyscy do pick-upa. Wynosimy się stąd.

*Zakładając, że to stare gówno ruszy. Zebrało spory łomot. I co, jeśli...*

– Nie – odezwał się Ethan.

Cooper i Amy spytali równocześnie.

– Co?

Naukowiec popatrzył na żonę.

– Nie zdążyłem ci powiedzieć. Musimy się rozdzielić.

– Ethan...

– Chodzi im o mnie. Ty nie jesteś dla nich ważna.

– Doktorku, to bardzo szlachetne i w ogóle, ale nie mamy na to czasu – odezwał się Cooper.

– To moja wina. To przeze mnie. Sam tak powiedziałeś. Chcą mnie. Jeśli uciekniemy, pojedą za nami?

Cooper powoli pokiwał głową.

– Dobra. Wydostań stąd moją rodzinę. – Głos Ethana był spokojny. – Ja zostaję tutaj.

– Doktorku, ten facet, który tu idzie, nie będzie z tobą gadał.

– Nieważne. – Ethan podszedł do żony, objął ją, ich czoła się zetknęły. Szeptał coś cicho. Cooper go nie słyszał, ale potrafił odczytać jej mowę ciała, jej niechęć...

*Jeśli on tu zostanie, ty i Shannon będziecie mogli wydostać się z jego rodziną. A Soren go zabije.*

*Ale co możesz na to poradzić? Przykro mi, stary, ale powiem ci to prosto z mostu. Soren już raz skołał ci tylek. A teraz twoja prawa ręka jest do niczego, ledwie trzymasz się na nogach i skończyła ci się amunicja.*

*Jakie masz z nim szanse? Jak pokonasz człowieka, jeśli nie potrafisz odczytać jego zamiarów, bo ich po prostu nie ma.*

*Pora wybierać, Coop.*

...i powiedział:

– On ma rację. – Zwrócił się do Shannon: – Zabierz stąd Amy i dziecko. Wyjdź od tyłu i bądź ostrożna. Soren przyjdzie po nas, ale może być ich więcej. – Gdy się zawahała, dodał: – Shannon, proszę. Idą tu.

Skrzywiła się, potem uniosła pistolet maszynowy i powiedziała do Amy:

– Chodźmy.

Po twarzy Amy spływały łzy, Violet wciąż krzyczała.

– Nie, nie, nie możesz...

– Dla dziecka. – Shannon położyła rękę na jej ramieniu i pociągnęła. – No chodź. – Szarpnęła

jeszcze raz, mocniej, i Amy ruszyła za nią, nie odrywając wzroku od męża.

– Kocham cię – powiedział Ethan.

A potem wyszły. Cooper słyszał, jak przechodzą przez następne pomieszczenie, potem dobiegł go dźwięk otwieranych drzwi.

*Dobra, co teraz.*

– Nie musisz tu zostawać – powiedział Ethan. – Nie ma sensu, żebyśmy obaj zginęli.

– Mówiłem ci, doktorku, ja też mam dzieci. – Cooper chodził po pokoju, szukał broni, jakiegos pomysłu, modlitwy. – A poza tym, kto wspominał o umieraniu? Może wygramy.

*Żebyś tylko sam w to wierzył.*

Alarmy wyły, gdy Holly Roge walczyła z przyrządami. Drażek w jej ręce nie stawiał żadnego oporu, samolot nie reagował. Za szybą kolkpitu wirował świat. Ścisnął jej się żołądek, jakby wykonywała pętle na pełnej prędkości, gdy dziób wyverna zanurkował w dół. Wyświetlacz nie działał, kontrola naziemna milczała.

W jej umyśle pojawiła się scena z akademii, instruktor wyjaśniający, jak działają nowoczesne myśliwce. „Zapamiętajcie, mówił, że to nie są samoloty. Skrzydła nie utrzymają was w powietrzu. To rakieta. Ona nie lata, tylko pędzi przed siebie, a wy i wasz komputer współpracujecie ze sobą, żeby nad tym panować”.

Teraz jej komputer nie działał, przyrządy nie reagowały, a rakieta była zdana na łaskę wiatru i grawitacji.

Przeprowadzali tysiące symulacji, również te dotyczące awarii komputera, choć w praktyce było to niemożliwe. Systemy były potrójnie redundantne i nawet jeśli te zaawansowane zawiodły, podstawowe przyrządy miały...

Za szybą Pantera Dwa zanurkowała nosem w dół, przewracając się na plecy, i zderzyła się z Panterą Trzy.

– Nie!

Odczuła kolizję jako falę gorąca i nagły wstrząs, a potem niebo i ziemia straciły jakąkolwiek perspektywę, kompletnie utraciła kontrolę nad maszyną. Alarmy wyły, nic nie działało, przed nią był budynek.

Szkolenie wzięło górę. Holly położyła lewą rękę na piersi, pochyliła głowę i katapultowała się.

Wybuch pod nią. Rozbłysk światła i huk, żołądek opadł jej do kolan, uderzył w nią mocny, lodowaty wiatr, wszystko wirowało, nie było linii horyzontu, a potem coś szarpnęło ją od tyłu i otworzył się spadochron. Opadała szerokim łukiem, na chwilę zrównała się ze spadochronem, potem znów opadła w dół, gdy powietrze wypełniło nylonową czaszę. Oddychała szybko, drżała. Wisiała na niebie.

W dole rozległ się huk głośniejszy niż grzmot i gdy tam spojrzała, zobaczyła ogon swojej maszyny

odpadający w deszczu ognia od ściany jednego z lustrzanych budynków, tego, do którego leciała. Płomienie uderzyły na boki, a fala uderzeniowa roztrząsała wszystkie okna.

*Oddychaj. Musisz oddychać. Twoja sytuacja, pilocie?*

Drżąc, skupiła się na wypełnianiu płuc powietrzem i próbowała ocenić sytuację. Zmusiła się, by działać mechanicznie, nie myśleć, nie czuć, po prostu zbierać dane.

W budynku pod nią wciąż rozlegały się eksplozje, z okien wystrzeliwały płomienie. W dole widziała poskręcane szczątki Pantery Dwa i Pantery Trzy porozrzucane w promieniu około ośmiuset metrów. Rozejrzała się po niebie, nie zobaczyła innych spadochronów. Przyjaźniła się z oboma pilotami, piła z Joshem i udzielała porad Taylorowi, jak się zachowywać na randkach. Teraz obaj nie żyli, spłonęli albo zabił ich wybuch.

*Co z resztą wojsk?*

Oderwała wzrok od płonących wraków i spojrzała w stronę horyzontu.

Wojska były rozmieszczone na trzech pozycjach, największe zgrupowanie przy Tesli, łuk czterdziestu pięciu tysięcy ludzi ciągnący się na ponad trzy kilometry.

Trzy kilometry, gdzie toczyła się zażarta walka. Z setek miejsc unosiły się tumany dymu. Eksplozje migotały jak fajerwerki w oddali, jasne i wyraźne, stłumiony huk dobiegał do niej kilka sekund później.

Z przodu była dywizja pancerna, postrzępiona linia czołgów i transporterów, osiemset metrów od miasta. Małe zabawki na piasku. Gdy tak patrzyła, rozbłyskiwały między nimi iskry, wciąż i wciąż od nowa. Strzelali.

*Ale do czego?*

Nie widziała żadnych wrogich sił, żadnych innych czołgów. A więc co oni...

Gdy tak patrzyła, jeden z czołgów przechylił się na bok, zawisł tak na chwilę, a potem przewrócił się do góry nogami. Uplętnęła chwila, nim dotarł do niej dźwięk. Z tej odległości zdawał się słaby.

Transporter opancerzony eksplodował w kuli ognia, fala uderzeniowa cisnęła we wszystkie strony małe plamki. Holly wiedziała, że tymi plamkami byli żołnierze.

Pustynia się uniosła i pochłonęła formację humvee.

*Jak? Skąd ten ostrzał.*

To mogły być miny albo...

Na jej oczach jeden z czołgów pierwszej linii leniwym łukiem odwrócił lufę. W jej wylocie rozbłysło światło.

I czołg obok eksplodował.

*O Boże. Atakują samych siebie.*

*Ktoś przejął kontrolę nad maszynami. Tak jak nad twoim samolotem.*

*A teraz zabijają twoich towarzyszy.*

Zmarznięta, zagubiona Holly Roge wisiała bezradnie ponad tą piekielną sceną.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Shannon wyjrzała przez otwarte drzwi, omiotła wzrokiem otoczenie, wąski pas szarzielonej trawy prowadzący do niewielkiego stawu. Taki sam niezbyt gęsty las porastający stoki niskich wzgórz. Widok napawał spokojem, ale to tylko jeszcze bardziej działało jej na nerwy.

Nigdy nie spotkała Sorena, ale wiele o nim słyszała. Samantha kiedyś go kochała. I pewnie wciąż go kocha, ale w taki sposób, że Shannon miała ochotę zgrzytać zębami. Ten związek przypominał krótkie śpięcie, wzmacniali w sobie swoje słabości. Samantha potrzebowała, by ktoś jej potrzebował, a nikt nie mógł jej potrzebować tak mocno jak mężczyzna, dla którego jedna minuta była jak jedenaście.

John powiedział jej pewnego razu, że Soren był kiedyś kimś w rodzaju jego brata bliźniaka, lecz odbitego w mrocznym zwierciadle. Smith całkowicie żył przyszłością, plany w planach, które ciągnęły się na całe lata; Soren przebywał w niekończącej się teraźniejszości, równie wielowarstwowej. Gdy Smith opowiadał o swoim starym przyjacielu, słyszała w jego głosie ciepło, ale również pewną dozę respektu, mieszaninę emocji, jaką pracownik zoo może odczuwać wobec rzadkiego i wyjątkowo jadowitego węża.

*A gdybyś ty była tym wężem, gdzie byś była?*

Minęła pewnie niecała minuta, odkąd wyeliminowała faceta, który mierzył do Nicka, ale w walce to było mnóstwo czasu, a dla Sorena pewnie cała wieczność. Możliwe, że z początku wołał się trzymać z boku, pozwolić, by oddział wykonał całą robotę. Ale teraz, gdy nie było już oddziału, sam wkroczył do akcji.

*Pozwól mu na to. Lepiej, żeby ruszył za tobą i tym słicznym H&K 9 mm niż za Nickiem. Zwróć uwagę na tę formę, w jakiej jest teraz.*

Dość tego, gdyby tu był, poradziłaby sobie z tym. Shannon wyszła na zewnątrz, rozglądając się na wszystkie strony. Żadnego ruchu. Za nią wciąż płakało dziecko, a ta kobieta – Amy? – kołysała je i próbowała uciszyć.

*To by było na tyle, jeśli chodzi o skradanie się. Lepiej postawmy na szybkość.*

– Chodź – powiedziała, spoglądając w stronę najbliższego wzgórza. – Idziemy.

Bała się, że Amy się zawaha, zachowa się jak typowy cywil i stanie bez ruchu. Ale ta kobieta

miała jaja. Po jej twarzy spływały łzy, dziecko płakało, mąż został, żeby się poświęcić, a ona nadal robiła to, co trzeba, szła. Ruszyły biegiem, Shannon skanowała wzrokiem teren, z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Powietrze było mroźne, pachniało zimą i glonami.

Gdy dotarli do linii drzew, poczuła się trochę lepiej. Lepsza osłona, więcej miejsca, by robić to, co potrafiła. Poza tym, jeśli doktor Park miał rację, być może Soren je zignoruje. Na szczycie wzgórza przystanęła na chwilę, obejrzała się za siebie.

Dokładnie w chwili, gdy szczupła postać wchodziła do domku tylnymi drzwiami.

Shannon podrzuciła broń na ramię, wycelowwała, ale to było beznadziejne, wiedziała o tym.

Amy dostrzegła ruch przy domku.

– Musimy wracać.

– Chodź. Idziemy.

– Mogłybyśmy pomóc.

Shannon szarpnęła kobietę za ramię, pociągnęła w dół na drugą stronę wzgórza.

– Ruszaj się.

Na wpół prowadząc, na wpół ciągnąc Amy, przedzierała się w stronę drogi. Widziała swojego SUV-a zaparkowanego na poboczu. *Już prawie. No dalej, dalej.*

Jakiś głos za jej plecami powiedział:

– Shannon.

Natalie stała pośrodku jaskini Epsteina i patrzyła.

Większość wykresów zniknęła, zastąpiły je zawieszone w powietrzu filmy, obrazy na żywo z terenów otaczających Nowe Kanaan. Wszystkie pokazywały sceny niewyobrażalnych zniszczeń. Płomienie, krew i dym.

Córeczka przygłębła do niej i Natalie wiedziała, że powinna kazać jej odwrócić wzrok. Ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Po prostu patrzyła.

Patrzyła, jak z nieba spadł płonący helikopter, z otwartych drzwi wyskakowali ludzie.

Patrzyła, jak odwracała się ciężka wieża czołgu, lufa wycelowwała w transporter piechoty pięćdziesiąt metrów dalej. Bezgłośny odrzut i rozblysk płomieni, transporter zniknął w chmurze wzbitego kurzu.

Patrzyła, jak strugi światła uderzają w ziemię pomiędzy uciekającymi żołnierzami, mężczyznami i kobietami w bojowych mundurach, rozbiegającymi się we wszystkie strony, gdy spadał na nich deszcz rakiet z niewidocznych, wiszących w powietrzu dronów. Wybuchy wstrząsały ziemią, wyrzucały w powietrze ludzi, jakby byli szmacianymi lalkami, ich ciała skręcały się, rozpadały na kawałki.

Kilka kilometrów stąd byli tysiące żołnierzy. Ginęły tysiące żołnierzy.

– Co ty zrobiłeś? – powiedziała. – Mój Boże. Co ty zrobiłeś?

– Nie chciałem. Zmusili mnie – odparł Erik Epstein drżącym głosem. Grzbietem dłoni otarł oczy.  
– Słyszałaś. Zmusili mnie.

Shannon odwróciła się błyskawicznie. Mężczyzna wyszedł zza drzewa, swobodnie i pewnie trzymał karabin szturmowy. Mężczyzna, którego widziała tego ranka ponad dwa tysiące kilometrów stąd, gdy chronił Johna Smitha.

– VanMeter – powiedziała.

– Co robisz?

*Nie mierzy do ciebie. Jeszcze nie.*

– To samo co ty. John wysłał mnie po Ethana Parka. – Ścisnęła mocniej ramię Amy. – To jego żona i dzieciak.

– John nic mi nie powiedział.

– A opowiada ci zwykle o swoich planach? Pyta, czy się zgadzasz? – Shannon wzruszyła ramionami. – Przyjaźnię się z nim od dziesięciu lat i nauczyłam się tyle, że John zawsze szykuje jakieś niespodzianki.

– Ty suko! – Amy spróbowała wyszarpnąć rękę. – Mówiłaś, że będziesz nas chronić.

Shannon puściła ją, wzięła zamach i z całej siły uderzyła kobietę w twarz. Amy jęknęła i zachwiała się na nogach.

Oczy VanMetera były jasnoniebieskie i nawet ładne. Jego spojrzenie mówiło jednak, że nie jest do końca przekonany.

– Gdzie doktorek?

– Soren jest u niego. – Wskazała kciukiem przez ramię. – W domu.

Te ładne niebieskie oczy na ułamek sekundy spojrzały w inną stronę i Shannon się przemieniła. Odsunęła się na bok i opadła na jedno kolano, wiedząc, gdzie oczy VanMetera będą jej szukać. To jej kupiło ten ułamek sekundy, którego potrzebowała. Choć zdążył unieść broń, widziała, że on już wie. Wtedy go zabiła.

*Cóż, John, mówiłeś mi, że będę musiała wybrać.*

Wstała, chwyciła Amy za rękę i powiedziała:

– Idziemy.

Strzał sprawił, że dziecko znów zaczęło krzyczeć. Amy, krwawiąc z nosa, patrzyła na martwe ciało. I Shannon widziała, że kobieta dodaje dwa do dwóch. Nie stawiała oporu, gdy biegły do SUV-a.

Pilotem odblokowała i otworzyła drzwi od strony kierowcy. Amy obeszła wóz od przodu. Shannon powiedziała:

– Nie.

– Co?

– Wsiadaj z tej strony. – podała jej kluczyki. – Masz dokąd jechać?

– Do mojej matki. Mieszka w Chicago.

– Starczy ci benzyny. Nigdzie się nie zatrzymuj.

Shannon odwróciła się i rzuciła biegiem pod górę, w stronę chatki.

Na filmach w takim domku byłby przeszklony regał na broń, a Cooper stłukłby szybę i się uzbroił. Niestety, wyglądało na to, że Hendersonowie nie czytali scenariuszy.

Cooper otworzył bębenek rewolweru i wyrzucił puste łuski.

– Masz więcej naboji?

– Mieliśmy. Zostały...

– Ukradzione. Racja. – Zerknął w bok, zobaczył w telewizji relację z Wyomingu, zmusił się, by odwrócić wzrok. Nie było na to czasu.

– Co teraz? – spytał Ethan.

– Wciąż nad tym pracuję.

Gdy to do niego dotarło, wydawało mu się tak oczywiste, że miał ochotę klepnąć się w czoło. Obaj żołnierze mieli karabiny szturmowe. Wsunął rewolwer do kieszeni i ruszył do drzwi. Zamarł.

*Musisz myśleć. Nie możesz liczyć na swoje zdolności.*

Cooper opadł na podłogę i zaczął się czołgać. Wymagało to całkiem sporo siły, a gdy tylko napiął mięśnie, jego pierś przeszył ból, znów poczuł, że serce przeskakuje jedno uderzenie. Wciągnął powietrze, zmusił się, by ruszyć naprzód, łokieć, kolano, łokieć, kolano. Kaleczyły go odłamki rozbitego szkła.

Gdy dotarł do okna, przyglnął plecami do ściany, przyjrzał się odłamkom, wybrał fragment w kształcie sztyletu, długi na piętnaście centymetrów. Powoli unióśł go do góry, ustawił pod takim kątem, by zobaczyć, co jest za oknem.

Odbicie było niewyraźne i przeźroczyste, ale całkiem niezłe widać było zarysy pick-upa. Przekreślił odłamek, próbował sobie przypomnieć, gdzie dokładnie upadli ci faceci. Drzewa i ciemniejące niebo, niewyraźne kształty i...

Soren Johansen idący w stronę domu z tym samym spokojem, z tym samym nieobecny wyrazem twarzy. Długi nóż bojowy w jego prawej ręce.

Cooper cofnął odłamek szkła. Jego serce biło jak pijany perkusista, ciężko, bez rytmu. Dłonie były mokre od potu, w dziesiątków drobnych skaleczeń kapłała krew.

Nie dotrze do karabinów, nie bez walki z Johansenem.

Opcje.

Od tyłu może być czysto. Z drugiej strony może tam być oddział snajperów, którym rozkazano czekać na cel. To miało sens; Johansen wchodzi od frontu, oni wybiegają prosto pod ostrzał.

Dobra, boczne okno. Mogliby się przez nie wydostać, pobiec w stronę lasu. Tyle tylko, że



pozostawał ten sam problem.

*Poza tym, kogo próbujesz oszukać, Cooper. Nie będziesz szybszy od Johansena, nie w tej chwili. Może Ethan byłby od niego szybszy, ale wtedy będzie zdany tylko na siebie, a to jest równoznaczne z jego śmiercią.*

Trzęsły mu się ręce,abrał powietrza. Poczuł się, jakby połykał żyletki. Nie było żadnych opcji. Musieli stawić opór, a najlepszym miejscem do tego był domek.

Ale jak? Ostatnim razem, gdy walczył z tym facetem, poniósł spektakularną klęskę. Teraz było o wiele gorzej.

*Mys! Gra się toczy o uszystko, co masz, a koło ruletki zuualnia, zaraz spadnie kulka.*

Nie poradzi sobie z nim, nie w uczciwej walce. Zdolności tego faceta czyniły go po prostu zbyt potężnym. Czas zerowy jedenaście i dwie dziesiąte, mój Boże. Mgnienie oka trwałoby dla niego sekundę, jeden krok pięć sekund. To była dziwna i straszna zdolność, którą...

*Czekaj. Dla większości obdarzonych ich zdolność jest tylko częścią nich.*

*Ale zdolność Johansena jest inna. W bardzo realny sposób on jest swoją zdolnością.*

*To kształtuje całe jego postrzeganie świata.*

*Będzie na nią całkowicie zdany, będzie ufał temu, co ona mu powie.*

...można było wykorzystać przeciwko niemu.

Cooper czołgał się po podłodze, ignorując ból. Ryzyko było niewiarygodnie wysokie. Nie chodziło tylko o jego życie. Chodziło też o Ethana, nadzieję, jaką dawał na przyszłość. I wszystko zależało od tego, czy Cooper miał rację.

– Doktorku, musisz mi znów zaufać. – Wciąż trzymając odłamek szkła, który wykorzystywał jak lustro, Cooper obejrzał się przez ramię. Przez okno nie było ich widać. Szybko wstał, rozejrzał się po pokoju. W myślach mierzył kąt. – Widzisz tę szafkę? Kiedy ci powiem, pochyl się, podejdź do niej i wejdź do środka. I cokolwiek się stanie, nie oglądaj się za siebie.

Ethan się roześmiał.

– Mówisz poważnie?

Cooper też miał ochotę wybuchnąć śmiechem, lecz stłumił to. Z salonu łukowate przejście prowadziło do czegoś, co wyglądało na kuchnię. Tylne drzwi, którymi wyszła Shannon.

– Zrób to teraz.

Lionel Clay siedział u szczytu stołu i rozglądał się po Gabinetie Dowodzenia. Widział świat, który oszalał. Mężczyźni i kobiety w mundurach wrzeszczeli na siebie, rozmawiali przez telefon, ale wszyscy patrzyli na to samo.

Na ścianę trójwymiarowych ekranów, gdzie amerykańscy żołnierze masakrowali się nawzajem.

Ujęcie z drona zwiadowczego pokazywało linię płonących pojazdów. Te, które wciąż były w stanie się poruszać, przesuwaly się na odsłonięte pozycje i nadal ostrzeliwały się nawzajem.

Śmigłowiec bojowy zawisł nad plutonem uciekających żołnierzy, wypływając z siebie kule i pociski smugowe. Ludzie chwiali się, padali.

Żołnierz bez ręki próbował czołgać się po splekanej ziemi.

Wszędzie leżały ciała. Pojedynczo i w grupach.

Z dronów taktycznych spływały strumienie światła, każdy pocisk wstrząsał ziemią, wyrzucając w górę pojazdy, jakby to były zabawki, rozdzierając ludzkie ciała.

– Co się dzieje? – Nikt nie odpowiedział i Clay zdał sobie sprawę, że jego głos jest ochrypłym szeptem. Walnął pięścią w stół, powiedział: – Co się dzieje?

Generał Yuval Raz, Przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, był czterdziestoletnim weteranem, jego mundur był ciężki od medali zdobytych w różnych zakątkach świata. Wyglądał, jakby miał ochotę wpełznąć pod stół.

– To wirus. Koń trojański. Musieli go wprowadzić do całego naszego sprzętu.

– Nie możemy wszystkiego wyłączyć?

– Nic nie reaguje. Wirus zablokował ręczną kontrolę.

– Program komputerowy masakruje tysiące amerykańskich żołnierzy, a my nic nie możemy zrobić, tylko się przyglądać?

– Pracujemy nad problemem, ale jak na razie...

– Generale! – Żołnierz, który mu przerwał, był porucznikiem, przy uchu trzymał telefon. Był nieogolony, a zarost wyglądał bardzo nierówno. *Jaki młody*, pomyślał Clay. *Tak wielu, tacy młodzi.*

– Mamy nieautoryzowane odpalenie rakiety BGM-117.

– Avenger? – Raz spojrział na Claya. – To na pewno z bazy lotniczej w Warren w Cheyenne. – Zwrócił się do porucznika: – Kiedy uderzy w Nowe Kanaan?

– Sir – powiedział młody mężczyzna, jego oczy były rozszerzone, twarz biała. – To nie z Warren. – Dowództwo lotnictwa donosi, że rakieta została wystrzelona z USS *Fortitude*, okrętu podwodnego klasy Luna na szerokości geograficznej trzydzieści osiem czterdzieści siedem, długość siedemdziesiąt cztery czterdzieści.

– Trzydzieści osiem północ, siedemdziesiąt cztery zachód. Ale to przecież...

– Około stu sześćdziesięciu kilometrów na wschód od Waszyngtonu. – Porucznik przełknął.

Generał Raz położył ręce na stole.

– Próbowali już samozniszczenia?

– Żadnej reakcji, sir.

– Uruchomić baterie obrony przeciwrakietowej. – Raz odwrócił się gwałtownie. – Sir, musi pan stąd natychmiast wyjść.

– Uderzy w Biały Dom?

Raz kiwnął głową.

– Możecie ją zniszczyć?

– Spróbujemy. A teraz, sir, musi pan wyjść. Natychmiast.

Lionel Clay patrzył. Na monitory, gdzie jego żołnierze krwawili i płoneli. Na siedzących przy stole oficerów. Na obwisłą amerykańską flagę w kącie.

– Panie prezydencie, Avenger to nasza najbardziej zaawansowana technologia. Może osiągać ponad sześć i pół tysiąca kilometrów na godzinę, to pięć razy więcej niż prędkość dźwięku. Musi pan iść.

*Nigdy tego nie chciałeś. Tego urzędu, podziału w Ameryce, tej wojny. Pozwoliłeś, by inni cię do tego zmusili.*

*Wiedziałeś o tym, a jednak i tak do tego dopuściłeś.*

*A teraz giną tysiące.*

*A teraz rakietą zbliża się do siedziby amerykańskiej demokracji.*

*Gdzie będziesz, kiedy uderzy?*

– Wydałem naszym wojskom rozkaz do ataku. Zostaję.

– Panie prezydencie...

– To rozkaz.

Generał oszacował go wzrokiem, kiwnął głową.

– Tak, sir.

Clay wstał. Sięgnął po marynarkę wiszącą na oparciu krzesła, włożył ją. Był profesorem historii, nie matematykiem, ale rachunek nie był skomplikowany. Jeśli rakietą mogła w godzinę pokonać sześć i pół tysiąca kilometrów, sto sześćdziesiąt kilometrów pokona w półtorej minuty.

Co oznaczało, że zostało trzydzieści sekund.

– Sir, teraz strzelają baterie przeciwrakietowe w Chesapeake Bay. – Porucznik zamknął oczy i zagryzł wargę.

*Budowę Białego Domu ukończono w roku tysiąc osiemsetnym. Mieszkali tu wszyscy prezydenci z wyjątkiem George'a Washingtona. Przez dwieście trzynaście lat był symbolem uszyszkiego, czym jest Ameryka.*

Wszyscy zebrani wpatrywali się w porucznika, który pobielalymi palcami przyciskał telefon do ucha. Nie było słyhać nic prócz oddechów.

A potem w młodym oficerze coś pękło. Jego ramiona obwisły, spuścił głowę.

To był koniec. Wiedzieli to wszyscy, jeszcze zanim się odezwał:

– Próba nieudana. Nie zestrzelili jej.

Piętnaście sekund.

Clay zapiął marynarkę, wyprostował się. Omiótł wzrokiem pokój. Zabawne, dopiero teraz zdał sobie sprawę, kogo brakuje.

*Leahy, ty mały zasańcu. Powinieneś przynajmniej tutaj być.*

Chciał coś powiedzieć. Znaleźć słowa, które nadałyby temu znaczenie.

Ale jak miałyby brzmieć?

– Pięć sekund. – Wyteżył słuch, potem przypomniał sobie, że rakietę przemieszcza się szybciej niż fale dźwiękowe generowane przez nią samą. *W niczym nie jesteśmy tak uzdolnieni, jak w tworzeniu sposobów, by zniszczyć samych siebie.* – Przykro mi – powiedział Lionel Clay. I dodał: – Boże, błogosław Amerykę.

Świat zalała biel.

Soren siedł.

Mijając czerwone porsche, przesunął palcami po masce, po chłodnym metalu. Minał podziurawionego od kul pick-upa. Szkło z rozbitej przedniej szyby chrzęściło pod jego nogami.

Jak zwykle John uczynił słusznie, przygotowując się. Oddział komandosów zawiódł. I teraz on musiał to dokończyć. Wieża, ale już nie w tylnym rzędzie. Przemieszczał się teraz po szachownicy, wymuszał szach-mat.

Utracił swoją nicość, zaprzepaścił całe zapomnienie. *Pora odejść. Ale najpierw dokończ to dla swojego przyjaciela.*

Obecność Nicka Coopera była dla niego zaskoczeniem. Facet był odporny. Ale Soren dostrzegł bandaż na jego ręce, widział, jak Cooper potknął się i upadł. Cała ta odporność da mu tylko tyle, że odwlecze to, co nieuniknione.

Szedł w stronę chaty, cichy, spokojny, spoczywając w chwili. Przez rozbite wykuszowe okno widział salon, włączony telewizor, ani śladu ludzi... Ale nisko, lecz nie dość nisko zobaczył skulonego Ethana Parka, który biegł do jakichś drzwi w bocznej ścianie. Szafa. Soren bez pośpiechu katalogował przedmioty wewnątrz. Koce i płaszcze, wędki i gry planszowe.

Park wśliznął się do szafy i zamknął za sobą drzwi.

Soren przystanął, myślał przez trzydzieści swoich sekund. Doktor był inteligentny, a chowanie się w szafie było zachowaniem dziecka. Zwłaszcza że w hacie był Cooper. Co oznaczało...

Oczywiście. Pułapka. Soren miał widzieć, jak Ethan tam wchodzi. Cooper będzie czekał gdzieś, gdzie mógł kontrolować dostęp do frontowych drzwi i do szafy. Uśmiechnął się. Wyobraził sobie, jak Johna rozbawi taki prosty manewr.

Zignorował frontowe drzwi, ruszył biegiem wzdłuż ściany domu. Gdy mijał róg, rozejrzał się. Staw, drzewa, ta kobieta, Shannon, idąca przez las z Amy Park i dzieckiem. Dobrze. Nie będzie trzeba się nią teraz zajmować.

Tylnie drzwi były uchylone, na pewno zostawiła je tak, gdy uciekała. Soren zbliżył się do nich lekkim krokiem. Choć wiedział, co zaraz zobaczy, poruszał się ostrożnie, powoli wysunął się zza framugi.

Nick Cooper stał przy wejściu do kuchni w łukowatym przejściu prowadzącym do salonu. Był zwrócony plecami do Sorena, mierzył z rewolweru we frontowe drzwi. Sorenowi zrobiło się niemal smutno; facet okazał się zaradny, i choć znów poniesie klęskę, próbował walczyć do końca.

Soren wśliznął się do środka. Cztery kroki i będzie na miejscu.

Zrobił pierwszy krok, potem drugi. Uniósł nóż, wąskie czarne ostrze było tak lekkie, że zdawało się przedłużeniem jego ręki.

Trzeci krok. Cooper trzymał broń w lewej dłoni, oparty o ścianę, i uporczywie celował w drzwi. Całą uwagę skupiał na pułapce, którą zastawił. Miał odsłonięte plecy.

Czwarty krok.

Soren odchylił nóż, wycelował między kręgi Coopera, na lewo od kręgosłupa, i rzucił się naprzód.

Cooper czuł poruszające się w pokoju powietrze, krew pulsującą w żyłach. Słyszał ciche skrzypienie domku, czuł zapach potu i krwi. Ręka była coraz bardziej zmęczona, ale wciąż mierzył w drzwi. Od tego zależało wszystko. Będzie miał jedną szansę, tylko jedną, i jeśli zawiedzie, obaj będą martwi. Musiał to zrobić perfekcyjnie. By ratować swoje życie i Ethana, i swoje dzieci, i swój kraj. Tylko jedna szansa.

A potem, gdy w odłamku szkła opartym o blat zobaczył, że Johansen unosi nóż i rzuca się na niego, odwrócił się. Wszystko sprowadzało się do tej jednej chwili. Obrócił ciężki rewolwer w lewej dłoni, modląc się, by miał rację, by to, co pokazał mu Todd w tamtej restauracji, było prawdą, i gdy zobaczył Sorena w ruchu, z wysuniętym ostrzem, przeniesionym ciężarem ciała, odczytał jego zamiary tak jasno, jakby zapalił się neon, uchylił się i z całej siły uderzył go w kark rewolwerem.

Szok na twarzy mężczyzny był drugą najpiękniejszą rzeczą, jaką zobaczył tego dnia.

Cios był potężny, paraliżujący, i nóż wypadł napastnikowi z ręki. Ale Cooper nie delektował się tą chwilą, obrócił się i znów wziął zamach, tym razem uderzając w twarz, a potem ten potwór się osunął. Uderzył o podłogę, sapnął, zacharczał.

– Cześć – powiedział Cooper. Potem uniósł nogę i z całych sił ją opuszcł, usłyszał trzask łamanych palców. Johansen wrzasnął, chwycił zmasakrowaną dłoń drugą ręką. – Zabawne. – Cooper, kuśtykając, obszedł leżącego mężczyznę. – Zrozumiałem, dlaczego nie mogłem cię pokonać. Nigdy nie zaatakowałeś. Czekaleś, aż się poruszę, i umieściłeś nóż tam, gdzie miałem się znaleźć. Ale gdy już przechodzisz do działania, całkiem nieźle cię czytam. – Znów uniósł nogę. – Wiesz, jak do tego doszedłem? Odczytałem cię tylko w tej chwili, nim uderzyłeś mojego syna. – Strzaskał lewy goleń mężczyzny, jakby to była zapalka. – Masz pozdrowienia od Todda.

Johansen wrzeszczał.

Cooper usłyszał jakieś strzały na zewnątrz, taka sama szybka seria jak wcześniej. Pistolet maszynowy Shannon. Nikt nie odpowiedział ogniem. Dobrze. Cooper się uśmiechnął. Wtedy spróbował oprzeć się o ścianę, ale zamiast tego się osunął.

Chwilę później była w kuchni. Poruszała się szybko, z uniesioną bronią.

– Nick?!

– Nic mi nie jest. – Chwycił jej wyciągniętą rękę i chwiejnie podźwignął się na nogi. – A ty?

– W porządku.

– Hej, doktorku! – krzyknął do drugiego pokoju. – Możesz już wyłączyć. Wygrali ci dobrzy.

Mężczyzna, przez którego jego syn znajdował się w śpiączce, jęczał i wił się na podłodze. Jego twarz była krwawą miazgą, miał strzaskaną dłoń, z łydki wystawała kość. Cooper patrzył. Po chwili zawołał:

– Doktorku?

– Cooper. – Głos Ethana był słaby. – Chyba musisz to zobaczyć.

Zerknął na Shannon, która celowała w Johansena. Cooper pokuśtykał przez łukowate przejście, minął stłuczone zdjęcia i szkło i podszedł do Ethana, który gapił się w telewizor.

Na tle najwyraźniej niezniszczonej Tesli płonęły czołgi. Wszędzie leżały ciała, były ich tysiące. Pokrywały pustynię jak dywan. Budynki z prefabrykatów się tliły, czarne smugi dymu wznosiły się ku niebu. Nad tym wszystkim unosiły się helikoptery, strzelały do nielicznych żołnierzy, którzy jeszcze żyli. Potem na ekranie pojawiło się coś innego.

*Nie, o nie.*

Coś, co kiedyś było Białym Domem. Tam, gdzie kiedyś stał budynek, teraz był ogromny krater. Wokół ziemia wydawała się pofałdowana jak dywan. Widok zasłaniał słup gęstego dymu, ale gruzy były wszędzie. Kolumny Południowego Portyku leżały porozrzucane jak dziecięce klocki. W stertach wapieni, marmurów i powyginanej stali lśniły odłamki szkła. Wiatr rozwiewał sterty papieru, widać było małe, migoczące płomyki. Kurz, ziemia, krew i ludzkie ciała zmieszane z potworną szarą masą. Płonęły drzewa na północnym trawniku, płomienie drgały jak jesienne liście.

Podszedł do telewizora i znalazł regulator dźwięku.

– ...rakietą, najwyraźniej wystrzeloną z okrętu podwodnego. Biały Dom został całkowicie zniszczony. Sądźmy, że prezydent Clay był wówczas w środku razem z ... O Boże! – głos uwiązł prezenterowi w gardle. – To był wirus komputerowy, koń trojański uaktywniony przez obdarzonych. Wojska pod Nowym Kanaan same siebie zniszczyły. Liczba ofiar sięga dziesiątek tysięcy. Jesteśmy... – Chwila milczenia, zdławiony głos. – Ameryka jest w stanie wojny. Mój Boże, prowadźmy wojnę sami ze sobą!

Cooper patrzył. Patrzył, jak płonie wszystko, o co walczył.

Nie byli już na skraju przepaści. Wskoczyli w nią na główkę.

Bez zastanowienia kopnął telewizor, odbiornik przewrócił się i walnął o ścianę. Posypały się iskry. Ethan odskoczył z jękiem.

– Jezu Chryste!

Cooper odwrócił się, chwiejnym krokiem ruszył do kuchni. Soren Johansen leżał teraz na boku i drżał. Shannon spojrzała na Coopera szeroko otwartymi oczami.

– Czy słyszałam...

– Tak. – Wbił wzrok w podłogę.

Ethan dołączył do nich, zobaczył Sorena, znów powtórzył:

– Jezu Chryste! – I dodał: – Gdzie moja rodzina?

– Są bezpieczne – zapewniła Shannon. – Nikt ich nie ściga. Twoja żona jedzie do matki.

Ethan powoli pokiwał głową.

– Co teraz?

Co teraz? No właśnie, co teraz?

Cooper wiedział od początku, że ten plan był strasznie naciągany, wiedział, że pewnie zginie, próbując go zrealizować. Ale przeżył, uratował Ethana Parka. I to nie miało znaczenia. Białe Dom został zniszczony, prezydent zginął, w Ameryce wybuchła wojna domowa. John Smith zwyciężył.

*Nie.*

*Nie pozwolę na to.*

– Doktorku, twój szef, Couzen, dobrze go znasz?

– Pewnie. Ale został porwany...

– Nie. Sfingował to.

– Sfingował?

– Tak. Gdzieś się ukrywa i ma ze sobą przepis na coś, co jest naszą ostatnią nadzieją. Pomożesz mi go odnaleźć. – Zwrócił się do Shannon: – To jeszcze nie koniec.

– Nick...

– To nie koniec. Przynajmniej dopóki się nie poddamy. Dopóki nie pozwolimy, by Smith zwyciężył. – Wciągnął powietrze, próbował zapanować nad drżeniem rąk. – Wszystko się rozpada. Ale wciąż możemy walczyć. Musimy tylko tak postanowić. Moje dzieci żyją i dopóki to prawda, nigdy się nie poddam.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, jego groźna wojowniczką, a potem powoli pokiwała głową.

– Jaki masz plan?

– Zabierzesz tę kupę gówna – wskazał na Johansena – z powrotem do Epsteina.

– Co? Dlaczego?

– Epstein mówił, że to najlepszy przyjaciel Smitha. Że rozumie go lepiej niż ktokolwiek inny. –

Wyczytał w jej oczach potwierdzenie. – To dobrze. Jeszcze nam się przyda.

– A co ze mną? – spytał Ethan.

Soren jęknął na podłodze. Cooper odwrócił się powoli i kopnął go w skroń. Mężczyzna znieruchomiał.

Potem Cooper spojrzał na naukowca.

– Ty i ja, doktoru? – Uśmiechnął się. – Razem uratujemy świat.



## EPILOG

W barze były popękane plastikowe blaty i zdjęcia brzydkich dzieci przyklejone przy kasie. Kucharz zobaczył go i spytał:

– Dwie czarne kawy na wynos?

Mężczyzna kiwnął głową. *Zaczęłeś popadać w schematy. To musi być twoja ostatnia wizyta tutaj.*

Omiótł pomieszczenie wzrokiem. Jakiś grubas pochylony z wielkim skupieniem nad talerzem. Dwóch facetów w takich samych roboczych kombinezonach, rozmawiają przy barze. Mały trójwymiarowy telewizor, ukazujący obraz niszczenia. Ach tak, Biały Dom. Słyszał coś o tym, że trafiła w niego rakietą – chyba jakiś tydzień temu? – ale był zbyt zajęty, żeby to sprawdzić.

– Słuchaj – powiedział jeden z robotników. – Ten pocisk, to mogła być bomba atomowa. Mogli zbombardować Manhattan. Nie zrobili tego. Więc może powinniśmy...

– Odmiercy już mieli swoją szansę – odparł ten drugi. – Na jednego z nich przypada nas dziewięćdziesięciu dziewięciu. Zobaczymy, czy uda im się zawirusować bagnety.

Kucharz postawił kawę na blacie.

– Cztery dolce. A w ogóle, to jestem Zeke. – Wyciągnął rękę. Była pulchna i spocona, a paznokciom przydałoby się przycięcie.

Doktor Abraham Couzen patrzył na jego dłonie.

– Przepraszam, jestem przeziębiony.

Położył na ladzie cztery dolary, wziął swoją kawę i wyszedł.

Był początek grudnia, niebo było zimne i białe. Abe zsunął przykrywkę z jednego kubka i upił długi łyk, potem kolejny. I jeszcze jeden. Gdy już skończył, wyrzucił biało-niebieski kubek do kosza na śmieci i ruszył dalej. Południowy Bronx nie był najbardziej elegancką częścią miasta, ale zdążył się już przyzwyczaić. I było to ostatnie miejsce, w którym komuś przysłoby do głowy szukać...

*Ten człowiek czekający na autobus. Nie widziałeś go przypadkiem wczoraj?*

W powietrzu unosiła się woń benzyny i ryb. Śmieci, które utkwiły w siatce ogrodzenia szeleściły na wietrze. Abe postawił kołnierz płaszcza, przeszedł kolejne piętnaście metrów, odwrócił się. Mężczyzna go nie śledził.

To nic nie znaczyło. W tej chwili mogły go namierzać drony. Agencje rządowe, ugrupowania

terrorystyczne, szpiedzę Epsteina – tyle brudnych palców grzebało w jego przeszłości, szukało go w nagraniach z kamer, plądrowało jego domy.

*Pierre Curie to zrobił.*

Przyszło mu to do głowy wczoraj w nocy. Sposób, by mieć pewność, że nikt nie odbierze mu jego pracy.

Budynek był niski, prostokątny, bez okien. Abe przekręcił klucz i przycisnął kciuk do skanera biometrycznego. Zapaliły się szeregi świetlówek, oświetlając sto osiemdziesiąt metrów kwadratowych porzuczonego do niedawna magazynu. Śmiesznie łatwo było odłożyć na boku dość pieniędzy Epsteina, by kupić ten budynek i przebudować go według własnych potrzeb.

*Barry Marshall to zrobił.*

Szereg rur wentylacyjnych zwisał bezwładnie, ciągnęły się aż do sufitu. Dalej laboratorium podzielone było według funkcji. Stół laboratoryjny, stół przyrządowy, miejsce na prowadzenie obliczeń. Zamrażarki i lodówki na odczynniki. Suchy blok grzejny. Termocykler. Szereg wirówek. Mikropipeta. Trzy sekwencery DNA.

Laboratorium było równe temu, jakie porzucił w Cleveland. Tylko że o tym nikt nie wiedział, nawet Ethan. Jeśli te sukinsyny chciały jego badań, będą musiały go najpierw znaleźć.

*Jonas Salk to zrobił.*

Były jeszcze szczegóły do rozpracowania, pewne problemy. Efekty uboczne. Testy, które powinien móc przeprowadzić. Nie dopuścił do tego pośpiech Erika Epsteina. I działania agencji rządowej.

Był jednak naukowcem. Jego praca polegała na tym, by okiełznać wszechświat, zmusić go, żeby zdradził swoje sekrety.

Abe upił długi łyk kawy. Podeszedł do lodówki, otworzył drzwi i wyjął strzykawkę. Zawiesina w niej miała mleczny kolor.

*To głupota.*

Rozdarł opakowanie i wyjął wacik nasączony alkoholem.

*Lekkomyślność.*

Podwinął rękaw.

*Ale Pierre Curie przypinał sobie do ramienia sole radu, by udowodnić, że promieniowanie wywołuje oparzenia.*

Przetarł biceps alkoholem.

*Barry Marshall wypił kulturę bakterii Helicobacter pylori, by udowodnić, że wrzody są chorobą bakteryjną.*

Sięgnął po strzykawkę.

*Jonas Salk podał całej swojej rodzinie szczepionkę przeciw polio.*

Wbił igłę w skórę i nacisnął tłoczek.

*A doktor Abraham Couzen ustrzyknął sobie niekodujące RNA, by radykalnie zmienić ekspresję swoich genów.*

Stało się, nie było już odwrotu. Abe odłożył strzykawkę i opuścił rękaw.

Zawsze wiedział, że jest geniuszem.

Teraz nadeszła pora, by stać się obdarzonym.

## PODZIĘKOWANIA

Mam dług wdzięczności wobec tak wielu ludzi, że to aż krępujące.

Scott Miller i Jon Cassir to najlepsi agenci w branży i to dla mnie zaszczyt, że mnie wspierają.

Cały zespół Thomas & Mercer jest naprawdę niezwykły. Moja przyjaciółka Alison Dasho po mistrzowsku zredagowała tekst, z dzidziusem w brzuchu. Alan Turkus przejął wodze jak prawdziwy ekspert, gdy dzidzius uparł się, by już przyjść na świat. Jacques Ben-Zekry niedługo będzie rządził światem. Gracie Doyle jest królową PR. Danielle Marshall jest tajemniczym geniuszem. Daphne Durham jest niezrównana w rozmowach o książkach przy burbonie. Jeff Belle to klasa sama w sobie. Dziękuję również Andy'emu Bartlettowi, Terry'emu Goodmanowi, Paulowi Morrisseyowi i Tiffany Pokorny.

Jestem też wdzięczny Alex Hedlund, Palak Patel, Joemu Rothowi i Juliusowi Onahowi za ich zaangażowanie nie tylko w to, by nakręcić film, lecz również w to, by ten film był świetny. Dziękuję też Davidowi Koeppowi za niesamowity scenariusz.

Robert Yalden, niegdyś z Secret Service, pomógł mi przy szczegółach związanych z Białym Domem i uświadomił przerażający obraz bezpieczeństwa w sieci.

Jestem ogromnie wdzięczny mojemu przyjacielowi ze szkoły średniej, doktorowi Yuvalowi Razowi, za wymyślenie, w jaki sposób mogą pojawiać się obdarzeni na poziomie genetycznym oraz jak wskrzesić Coopera. Wszelkie błędy, nieścisłości i dzikie wybryki fantazji to moje dzieło.

Jeroen ten Berge znów zaprojektował naprawdę wyczesaną okładkę. Dziękuję za to, że dajesz z siebie wszystko.

Joe Buice narysował ulotkę „Demobilu u Ringo” z pierwszych rozdziałów książki, a Nick Robert zaprojektował plakat „(Nie)Normalnych”. Obaj zrobili to tylko dlatego, że podobała im się książka. Czyż to nie wspaniale?

Dziękuję wszystkim przyjaciołom i członkom rodziny, którzy czytali szkic i dzielili się ze mną uwagami, zwłaszcza Darwynowi Jonesowi i Michaelowi Cookowi, dżentelmenom i naukowcom.

Niezrównana praca redakcyjna Marjorie Braman pozwoliła mi zobaczyć wszystko to, co mogłem zrobić lepiej. Jessica Fogleman wychwyciła wszystko, co schrzaniłem.

Moi przyjaciele Sean Chercover i Blake Crouch byli dla mnie ogromną pomocą na każdym

etapie pracy. Nie chodzi o to, że bez nich ta książka byłaby gorsza – całkiem możliwe, że wcale by jej nie było. Dziękuję też Gillian Flynn za całą masę wsparcia.

I dziękuję Tobie, drogi Czytelniku, że dałeś szansę mojej powieści. Mam nadzieję, że Cię nie zawiodłem.

Moja rodzina jest dla mnie wszystkim. Dziękuję Sakeyom 1.0, znanym również jako moja matka Sally, mój ojciec Tony i mój brat Matt.

Jossie, jesteś najlepszym, co kiedykolwiek współtworzyłem. Jestem z ciebie niesamowicie dumny i kocham cię tak bardzo, że aż kręci mi się w głowie.

A wreszcie g.g: moja partnerko, moja żono, moje życie. Kocham cię.

# Lepszy świat

## Spis treści

Okładka

\*\*\*

Karta tytułowa

Dedykacja

\*\*\*

TRZY TYGODNIE WCZEŚNIEJ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

TYDZIEŃ PRZED ŚWIĘTEM DZIĘKCZYNIENIA

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚTY

ROZDZIAŁ OSIEMNAŚTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY  
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY  
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY  
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY  
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY  
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI  
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI  
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY  
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY  
EPILOG  
PODZIĘKOWANIA  
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału *A Better World*

First published by Thomas & Mercer, Seattle

Text copyright © 2014 Marcus Sakey

*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań  
2015

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym  
utrwalaniem,

zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo  
zabezpieczony

Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Elżbieta Bandel

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce

© James Wragg/Trevillion Images

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

*Lepszy świat*, wyd. I, Poznań 2015)

ISBN 978-83-7818-922-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)





Plik ePub przygotowała firma eLib.pl  
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa  
e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)  
[www.Lib.pl](http://www.Lib.pl)